

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 4/54/ ROK VI • KWIECIEŃ 2000

CENA 4 zł

_____ Rozmowa z prezydentem Katowic PIOTREM USZOKIEM

_____ Profesor ANDRZEJ BOCHENEK:

„Czuję się lekarzem spełnionym”



_____ HELENA
SYNOWIEC:

Powrót do
śląskiej mowy

_____ Jubileusz
JERZEGO

DUDY

GRACZA

_____ Ostatni sołtys

Katowic

_____ Ruch Chorzów:
osiemdziesiąt
niebieskich lat

_____ HIEROWSKI:

– Odczytywanie
Śląska



W Katowicach odbyła się uroczystość wręczenia diamentowych, platynowych i złotych Laurów Kompetencji i Umiejętności. Diamentowe Laury otrzymali Javier Solana Madariaga, sekretarz generalny Rady Unii Europejskiej i Bronisław Geremek, minister spraw zagranicznych RP. Wśród laureatów platynowych Laurów znaleźli się m.in. Jerzy Wiźnyk, szef kancelarii premiera Jerzego Buzka, Brunon Bartkiewicz - I prezes zarządu Banku Śląskiego S.A. Złote Laury otrzymali m.in. Adam Graczyński - dyrektor Głównego Instytutu Górnictwa, Górnośląska Wyższa Szkoła Handlowa w Katowicach, Krystyna Szaraniec, wicedyrektor Teatru Śląskiego.



Foto: Zbigniew Sawicz

Na zdjęciu u góry: Javier Solana, premier Jerzy Buzek i Brunon Bartkiewicz.

Na zdjęciu z lewej: Brunon Bartkiewicz odbiera nagrodę z rąk prezydenta Katowic Piotra Uszoka, wiceministra Tadeusza Donocika i wojewody śląskiego Jana Olbrychta.



1629

TYSKIE

BROWARY KSIĄŻĘCE

SPONSOR „ŚLĄSKA”

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO- KULTURALNY

Nr 4 (54), Rok VI, KWIECIEŃ 2000

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 586-694

Redaguje zespół:
TADEUSZ KIJONKA
redaktor naczelny

FELIKS NETZ
zastępca redaktora naczelnego
WIEŚŁAWA KONOPELSKA
sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT
dział kulturalny

MARIAN KISIEL
dział krytyki i esejów

STEFAN SZYMUTKO
dział nauki

ANDRZEJ KUŚNIERCZYK
dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
dział graficzny

MIROŚLAW KORBEL
nadzór techniczny i poligraficzny

ANNA STRUMIŁOWSKA
PAWEŁ GARDAWICKI
korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,
tel./fax 206-82-71

Czasopismo wspierane finansowo przez:
**MINISTERSTWO KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO,
ZARZĄD WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO
I URZĄD MIASTA KATOWICE**

Skład i montaż elektroniczny: Studio Typografii
Profesjonalnej „KorGraf” s.c., 40-084 Katowice,
ul. Opolska 22, tel. 597-271 w. 107

Druk: MARQUARD PRESS S.A.
40-084 Katowice, ul. Opolska 22.

Materialów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, po-
prawek i zmian tytułów w tekstach przyję-
tych do druku oraz skracania korespondencji.

Warunki prenumeraty: - poprzez Oddziały i De-
legatury „RUCHU” - na terenie całego kraju. Bez-
pośrednio - w sekretariacie Redakcji oraz w urzę-
dach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na
konto: GTL - redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO
II Oddz. Katowice 10202326-746272-270-1-111.
Prenumerata roczna - 48 zł., półroczna - 24 zł.
Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wska-
zany adres bez dodatkowych opłat.

Cena egzemplarza — 4 zł
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X
Numer zamknięto 27.03.2000 r.

W NUMERZE:

Andrzej Kuśnierzczak ROZMOWY O ŚLĄSKU	2
Tadeusz Kijonka MŁODY DO KONCA	5
Rozmowa z prezydentem Katowic, Piotrem Uszokiem ZNIKAJĄ KOPALNIE, POZOSTAJĄ PROBLEMY	6
Ryszard Stelmaszczyk MIASTO I WEGIEL	8
Stanisława Warmbrand DZIEDZICTWO	10
Jacek Durski SCENKI	13
Rozmowa z prof. dr hab. Andrzejem Bochenkiem „ CZUJĘ SIĘ LEKARZEM SPEŁNIONYM ”	14
Aleksander Widera WSPOMINAJĄC JANA WYPLERA	19
Beata Rokosz WIERSZE	20
Henryk Wolna Van Das GNIAZDO	22
Małgorzata Krakowiak JUBILEUSZ PROFESORA KŁAKA	25
Rozmowa z prof. UŚ Heleną Synowicz GWARA ŚLĄSKA-JĘZYK ŻYWY	26
Edward Szopa APOSTOLSTWO KSIĄZKI	30
Wilhelm Przeczek WIERSZE	33
Marta Fox „ WYWOŁYWANIE WILKA Z LASU... ”	34
Rozmowa z Jackiem Kaczmarskim DWIE SKAŁY POLAKA	41
ODCZYTYWANIE ŚLĄSKA	
Karolina Drwał WIZJA „WIELKIEGO ŚLĄSKA” W KULTURZE	42
Zdzisław Hierowski ODBUDOWA KULTURALNA ODZYSKANEGO ŚLĄSKA	43
Andrzej Kuśnierzczak MARYNOWANE ŚLEDZIE LOMPY	47
Magda Fręś POWRÓT	48
Joachim Waloszek OSIEMDZIESIĄT NIEBIESKICH LAT	52
Piotr Zaczkowski KRONIKA SPORTOWA	55
Rozmowa z Gerardem Cieślikiem WIERNY	56
Tadeusz Kijonka WIELKI BENEFIS	62
Monika Branicka OSOBNY I OSOBNY	63
Piotr Zaczkowski PROWOKACJA BARDZO SERIO	65
Andrzej Urbanowicz ZIEMIN Z KSIĄŻA	80
LISTY	2
ŚLĄSKI MIESIĄC	4
PEJZAŻ MITOLOGICZNY	
Antoni Halor SZWEDZI NA GÓRNYM ŚLĄSKU	29
GWARA	
Jolanta Tambor O CO SIĘ ROZCHODZI?	38
EKOLOGIA	
Jan Rzymelka POSADŹ SWOJE DRZEWKO	39
SPOZA KADRU	
Feliks Netz BALWIERZ I BARBARZYŃCY	40
POWRÓTY	
Marian Kisiel DIARIUSZE NAŁKOWSKIEJ	51
Rozmowa z ks. prof. Józefem Tischnerem OBJAŚNIANIE	
BIBLIJ	58
PODKOPKI	60
EDUKACJA	
PREZENTACJE. LEKSYKON GÓRNEGO ŚLĄSKA.	
Z WYDAWNICTW	
Tomasz Nawrocki REGION. REGIONALIZM.	
REGIONALIZACJA	67
TEATR	
Krzysztof Karwat SIŁA UCZUĆ	68
Jan Picheta PRZED TEATREM MARZEŃ	69
JAZZ	
Dobrosław Barwicki-Picheta ZADYMIANIE	70
TEATR	
(k.k.) MASKI '99	70
MUZYKA	
Magdalena Dziadek ODEJŚCIE WITA	71
KSIĄZKI	
Tomasz Głogowski GŁÓD DOKUMENTU	72
Viera Zembrová FRASZKA I EPIGRAMAT	73
Jerzy Mularczyk ZADUMANA KOBIETA	74
Tadeusz Kijonka „ TEATR ŚLĄSKI ” LINERTA	75
Marcin Halaś RAŃA HISTORII	76
Marcin Halaś BUNT USTATECZNIONY	76
Tomasz Głogowski LEGENDA MARSZAŁKA	77
Joanna Jurgala-Jureczka JULIAN PRZYBOŚ I GÓRY	77
Maria Kwaśniewicz PISEMKA-ZWIERCIADŁA	78
Miroslaw Tyl FILOZOF I NAUCZYCIEL	78
Marek Baster BLOC-NOTES	79
Marta Fox LISTY	80
Wojciech Janota GLOSSY GÓRNOŚLĄSKIE	81
NOTATNIKI KULTURALNE	
Wiesława Konopelska KATOWICE	82
Jan Picheta BIĘLSKO	84
Ryszard Jasnorzewski CZĘSTOCHOWA	85
Marek Świercz OPOLE	86
Jacek Sikora ZAOLZIE	87

W kolorze:

- „Osobni“ i Jerzy Duda-Gracz - wystawa w Muzeum Śląskim (str. A)
- Malarstwo Piotra Naliwajki (str. B)
- Rysunek Stefana Żochowskiego i wystawa w Galerii ESTA w Gliwicach
- Znaki i Twarze Miasta: Ratusz miejski przy ulicy Młyńskiej i Pocztowej (str. D).

Okładka:

Jerzy Duda-Gracz:
Obraz 2478
(Krasnobród - Strachy polne), olej, 88x73,
1999.

Reprodukcja:

Wiesław Lipiec

Adres internetowy: www.miesiecznik.silesia.top.pl E-Mail alfa@alfa.com.pl

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą
„RUCH” S.A. Tel. +48/022/620-12-71, fax +48/022/620-70-39, 624-14-88.
E-mail: zagran@pol.pl

z listów do redakcji

Do „Biografii romantycznej” J. Pierzchały („Słask”, 2000, nr 1(51), s. 71) będącej omówieniem książki G. Górnickiego „Miłość Emilii S.”, SAAW, Poznań 1998 da się dodać kilka uzupełnień. Wątek „Miłości Emilii S.” podjął wcześniej M. Mann (1814-76) w dramacie „Sztuka i miłość”, Poznań 1849, jednak nieitożsamy z późniejszym swym imiennikiem, monografem najobszerniejszego, lecz nieukończonego zyciorysu twórczości W. Pola po polsku. Najobszerniejszą bowiem monografię o autorze „Pieśni Janusza” dedykowanych Emilii Sczanieckiej zawdzięczamy G.W. Strobel’owi (1955) po niemiecku. O literaturze źródłowej, „które nie opowiedział autor” (G. Górnicki) można się dowiedzieć z tomu XXXV/I „Polskiego Słownika Biograficznego”, W-wa — Kraków 1995 w biografii E. Sczanieckiej, opracowanej przez Marka Rezlera, autora także osobno opublikowanej monografii w 1984 r. Wcześniej biografię E. Sczanieckiej w „Słowniku pracowników książki polskiej”, Wwa 1972 oraz W. Jakubczyka (bez bibliografii) w „Wielkopolskim Słowniku Biograficznym”, Poznań 1981. Bardzo sumienne są opracowania Jarosława Maciejewskiego: „Literackie przystanki nad Wartą” (1962) oraz „Mickiewicz wielkopolskie drogi” (1972). Da się przytoczyć, niewymienione w „PSB”: J. J. Simon (1896), J. Sobczak („Ziemia” 1984), J. W. Chojna „Wojskowe lazarety warsz. w czasie powstania listop.”, W-wa 1970 oraz wzmianki kilku XIX-wiecznych pamiętnikarzy. Wydaje się też, iż spotkanie w B.N. 1831 nastąpiło w Łukowie (a nie w Łubowie), gdzie S. Kolanowski (1781-1856) wraz z W. Polem, Wiewiórskim, Wojtkiewiczem przywieźli z Elbląga Franciszka, brata A. Mickiewicza. Łukowo należało wtedy do Grabowskich h. Zbiświcz. E. Sczaniecka była h. OSSORYA.

Spazier (nie: Spazierezy) Otto Richard (1803—54) z Lipska, literat, tłumacz, publicysta, polonofil, związany z „Jung Deutschland” i „Polenfreundschaft”, autor „Geschichte des Aufstandes des polnischen Volkes in den Jahren 1830 u. 1831”, Altenburg 1832, w 3 tomach na 1256 str. 80 przetłum. przez P. Laskowskiego i wyd. Paryż 1834) (1 tom). Osobno po francusku w 1834 r. Zaginęło wydane konspiracyjnie (Ossolineum) Spaziera „O rewolucji polskiej”. Spazier korzystał m.in. z relacji W. Pola, uczestnika partyzantki litewskiej i emisariusza, podróże swe opisał w „Ost u. West”, Stuttgart 1835 i jest pierwszym (!) tłumaczem „Pana Tadeusza” (1836) A. Mickiewicza, którego przełożył „Farys” i „Ode do młodości”. Z wymienionym przez J. Pierzchałę hr. E. Brezją wydał O. R. Spazier dzieło numizmatyczne „Illustrations israelites”, Paryż 1834. Spazier należy do grona wybitnych niemieckich znawców i popularyzatorów Polski takich, jak np.: K. L. Kurtzmann, H. Nitschmann, K. Wurzbach, H. Buddemsiel, K. Dedecius, G. W. Strobel.

A. POL

Jedyne zwycięskie?...

Towarzystwo Przyjaciół Śląska w Warszawie ze zdumieniem stwierdziło, że kolejny już raz — ostatnio w dniu 27 grudnia 1999 roku w programach informacyjnych telewizji publicznej i radia, w sekwencjach poświęconych rocznicy powstania wielkopolskiego 1918/1919, upowszechniano nieprawdziwą wiadomość jakoby było ono jedynym zwycięskim polskim powstaniem.

W związku z tym, że informacje te, dezinformujące społeczeństwo, powtarzane są już od kilku lat przez powołane do publicznej służby środki masowego przekazu o ogromnym zasięgu oddziaływania, pomimo zgłaszanych przez obywateli, w tym członków naszego Towarzystwa protestów, zmuszeni jesteśmy zwrócić się z formalną skargą do mierzalnych czynników państwowych, w tym do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji oraz Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, aby sprzeciwiły się tolerowaniu ignorancji fałszującej naszą historię oraz obrażającej uczucia wielu pokoleń Ślązaków, którzy od wieków walczyli o powrót Śląska do Macierzy.

Najbardziej dramatycznym wyrazem tych dążeń były aż trzy ludowe powstania śląskie. W rezultacie III powstania, w którym wzięło udział z bronią w rękę 60 tysięcy Ślązaków i wspomagających ich Rodaków z innych regionów, znaczna część Górnego Śląska, z jego — jakże istotnym dla Odrodzonego Państwa — potencjałem przemysłowym przyłączona została do Polski. Musimy więc spytać: — dlaczego ciągle dezuwuje się znaczenie III powstania śląskiego, czy było ono — i ma nadal pozostawać — aż tak nieistotną dla Polski sprawą, którą można lekceważąco traktować? Czy nadal — jak stwierdził swego czasu senator Kazimierz Kutz — Polska ma pozostawać odwrócona plecami do Śląska? Wreszcie, czy kolejne pokolenie Polaków ma być wychowywane tylko na nieudanych powstaniach narodowych?

Pragniemy również podkreślić, że III zwycięskie powstanie śląskie wybuchło nieprzypadkowo w 130 rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja, rocznice te były bowiem wielkimi świętami narodowymi na Śląsku. Dziś jednak 3 Maja w związku z wybuchem III powstania śląskiego, prawie się o tym nie wspomina w publicznych środkach masowego przekazu. Co roku natomiast społeczeństwo epatowane jest wyczynami nacjonalistycznych grup organizujących 3 Maja różne hece na Górze św. Anny, jakby to miało stanowić istotę tego Święta, pod — dodajmy — rozsypującym się Pomnikiem Czynu Powstańczego, w sąsiedztwie upadającego Muzeum Powstań Śląskich na świętej górze Ślązaków.

Z nadzieją, że nasza skarga i apel o prawdę historyczną w końcu przebiją się do decydentów środków masowego przekazu, które mają także edukować patriotycznie młode pokolenie Polaków, łączymy serdeczne pozdrowienia.

Za Zarząd
Towarzystwa Przyjaciół Śląska
prezes dr Józef Musioł

Warszawa, 8 lutego 2000 r.

Taki tytuł noszą stale, comiesięczne spotkania, poświęcone najważniejszym problemom Śląska, w nawiązaniu do publikacji w naszym piśmie.

Ich miejscem jest Sala Portretowa Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, ze słynnym malowidłem Jerzego Dudy Gracza „Parnas śląski”.

Już inauguracyjne spotkanie pod tym tytułem poświęcone najważniejszym wydarzeniom mijającego wieku, w nawiązaniu do kroniki stulecia pt. „Wiek XX na Górnym Śląsku” zamieszczonej w pierwszym tegorocznym numerze, potwierdziło potrzebę organizowania otwartego forum takich społecznych dysput, połączonych z promocją nowego numeru naszego pisma.

Nadzwyczaj udane było spotkanie drugie, które odbyło się 24 lutego. Punktem wyjścia do rozmów stała się opublikowana w lutowym numerze dyskusja „Co czeka

Rozmowy o Śląsku

Śląsk. Czas przełomu”, z udziałem wybitnych znawców problematyki regionu — profesorów: Andrzeja Klasika, Tadeusza Sławka, Marka S. Szczepańskiego i Jana Wojtyły. Spotkanie uświetnili swą obecnością Marszałek Województwa Śląskiego Jan Olbrycht oraz Wicemarszałek Jan Rzymek.

Dyskusję zdominowały problemy społeczne związane z przekształceniami w przemyśle oraz kwestie kultury. Marszałek Olbrycht swoje wystąpienie poświęcił kwestiom tożsamości mieszkańców nowo kreowanego województwa śląskiego, oczekiwaniom i nadziejom mieszkańców poszczególnych subregionów oraz procesom integracyjnym w ramach województwa (rejony bielski i częstochowski). Okazuje się, jak wielkie znaczenie w procesach odnajdywania tożsamości zajmują wyższe uczelnie. Potrzeba posiadania uczelni o statusie uniwersytetu silnie wyczuwalna jest w Częstochowie a także Rybniku, Raciborzu.

Profesor Marek S. Szczepański określający się żartobliwie mianem „komiwojażera myśli socjologicznej” wskazał na społeczne skutki postaw rewindykacyjnych (tzw. „górnice wiatki”), które wpływają na obraz naszego regionu w oczach mieszkańców kraju.

Wątek w interesującej dyskusji było wiele; wystąpienia dotyczyły m.in. funkcjonowania teatrów, edukacji, wizerunku Śląska na zewnątrz. Pilna staje się potrzeba ochrony śląskiego krajobrazu i kulturowej substancji Śląska (mówili o tym m.in. Henryk Waniek, Edmund Wojnarowski i Henryk Bzdok).

Trzecie marcowe spotkanie potwierdziło, iż problemy poruszane na łamach miesięcznika wymagają dopowiedzeń w bezpośredniej dyskusji.

Tym razem po prezentacji numeru przez redaktorów pisma, główną uwagę skupił nowy cykl pt. „Odczytywanie Śląska”, rozpoczęty przedrukiem „śląskich reportaży Ksawerego Pruszyńskiego”. Jego diagnozy sprzed 60 lat okazały się nadzwyczaj aktualne — i te dotyczące górnictwa, i te dotyczące zawitych kwestii tożsamości poczucia zawodu i niespełnienia ludności rodzimej, zepchnięcia już wtedy na „społeczne pobocze”.

„Rozmowy o Śląsku” — to obywatelskie spotkania, okazja do zderzeń sądów i opinii.

Redakcja zaprasza na kolejne spotkania w swojej siedzibie — zawsze co miesiąc!

Pytanie „Co czeka Śląsk” pozostaje wciąż aktualne.

(ak)

Górnośląski Bank Gospodarczy sprawdził się w tej roli. Świadczą o tym jego wyniki finansowe, osiągnięte na szybko rozwijającym się rynku usług bankowych oraz z powodzeniem wypełniana misja regionalna. Uwzględnia ona zarówno szczególne związki z woj. śląskim, bardzo wysoko cenioną przez jego mieszkańców tożsamość regionalną, specyficzne wartości kulturowe i potrzeby rodzin, do których adresowana jest podstawowa oferta banku.

Dobre wyniki

W ciągu minionej dekady GBG Bank, przy silnym wsparciu kapitałowym inwestora strategicznego - Powszechnego Banku Kredytowego S.A., utrwalił swoją pozycję jako bank regionalny, specjalizujący się w obsłudze klienta indywidualnego, małych i średnich przedsiębiorstw oraz samorządów z woj. śląskiego.

Szczególnie korzystny dla kondycji Banku był 1999 rok. Podwoił on w tym czasie swoje fundusze w stosunku do roku poprzedniego, zwiększył zysk netto do 25,2 mln złotych, obsłużył o 20 proc. klientów więcej, powiększając równocześnie o 65 proc. dynamikę akcji kredytowej oraz depozytów, których saldo wzrosło o 47 proc.

Partner samorządów

Jako instytucja finansowa, mocno zaangażowana w rozwój regionalny GBG S.A. wyraźnie zacieśnił w ubiegłym roku współpracę z samorządami województwa śląskiego. Dzięki powołaniu Bankowego Ośrodka Doradztwa i Współpracy z Jednostkami Samorządu Terytorialnego do obsługi bankowej pozyskał rachunki m.in. powiatów ziemskich: gliwickiego, raciborskiego, rybnickiego, wodzisławskiego, żywieckiego, lublinieckiego, będzińskiego; takich miast jak Będzin czy Cieszyn a także Komunikacyjnego Związku Komunalnego GOP oraz budżetu województwa śląskiego.

Nowe miejsca pracy

W postaci właściwej dla działalności bankowej GBG Bank uczestniczy w restrukturyzacji gospodarki regionu. W tym m. in. celu podpisał umowę z Polską Fundacją Promocji Małych i Średnich Przedsiębiorstw. Umożliwiła ona, w ramach programu Phare - Inicjatywa udzielanie preferencyjnych kredytów małym i średnim przedsiębiorstwom, tworzącym nowe miejsca



Nasz bank w regionie

Powstał przed 10 laty w Katowicach jako bank obywatelski. Obok działalności komercyjnej za cel postawił sobie również wspieranie przedsiębiorstw gospodarczych. Taki bank był w górnośląskiej aglomeracji niezwykle potrzebny, gdyż rozpoczynał się właśnie niezwykle trudny proces restrukturyzacji przemysłu.

Obsługuje budżet województwa śląskiego, wspiera jego firmy, kulturę, oświatę, służbę zdrowia i sport!

pracy dla zwalnianych z kopalń i hut górników i hutników.

Wspólnie z Funduszem Górnośląskim Bank był inicjatorem powołania Górnośląskiego Funduszu Restrukturyzacyjnego S.A., który wspiera unowocześnianie i prywatyzację małych i średnich przedsiębiorstw państwowych oraz spółek z udziałem Skarbu Państwa z woj. śląskiego. Pierwszym udanym przedsięwzięciem Górnośląskiego Funduszu Restrukturyzacji S.A. było uruchomienie w lutym br. w Czeladzi Spółki - Ceramika Avanti sp. z o.o., która jako nowoczesny zakład ma duże

szanse, by sprostać konkurencji na rynku ceramiki budowlanej. Firma ta zatrudniła na początek 150 osób z dawnego przedsiębiorstwa państwowego - Zakładów Płytek i Wyrobów Sanitarnych „Józefów“ w Czeladzi.

Pomaga innym

Dobre wyniki uzyskane na rynku bankowości - w opinii Tadeusza Wnuka, Prezesa Zarządu GBG S.A. zobowiązują bank regionalny do wspierania najpilniejszych potrzeb województwa, które ma wystarczający potencjał gospodarczy i intelektualny, by stać się nowoczesnym ośrodkiem przemysłowym, naukowym i kulturalnym oraz wykreować centrum usług finansowych w Katowicach.

Dlatego Górnośląski Bank Gospodarczy wspiera nie tylko restrukturyzację przemysłu, oświatę, naukę, organizacje społeczne i charytatywne, stowarzyszenia sportowe i służbę zdrowia, przekazując każdego roku znaczne kwoty na cele charytatywne i najbardziej użyteczne społecznie. Wśród adresatów tego wsparcia są instytucje kultury i nauki. Najdłuższą ich listę stanowią placówki służby zdrowia, fundacje gromadzące środki na kosztowne i bardzo skomplikowane operacje oraz badania naukowe. Ich celem, jak w przypadku Fundacji Rozwoju Kardiochirurgii w Zabrze jest postęp w leczeniu najgroźniejszych społecznie chorób. (w 1999 roku na te charytatywne przedsięwzięcia bank przeznaczył ponad 371 tys. złotych).

GBG S.A. angażuje się również w inne, wielkie przedsięwzięcia. Jednym z nich, prawdziwym wyzwaniem dla całego woj. śląskiego jest budowa nowego gmachu Muzeum Śląskiego, obecnie najpotrzebniejszego obiektu kultury dla kilkumilionowej Aglomeracji Katowickiej, pozbawionej nowoczesnego centrum wystawienniczego - muzealnego, gdzie można prezentować nie tylko ekspozycję, związaną z dziejami Górnego Śląska, ale i w sposób bezpieczny wspaniałe zbiory polskiej i obcej sztuki oraz czasowe wystawy i dzieła sztuki wybitnych, rodzimych i światowych artystów.

Górnośląski Bank Gospodarczy S.A. jako pierwszy zadeklarował finansowe wsparcie dla tego ogromnego przedsięwzięcia. I ważnego nie tylko dla społeczeństwa woj. śląskiego, które zostało pozbawione w latach okupacji hitlerowskiej najnowocześniejszego w ówczesnej Europie gmachu muzeum, wybudowanego tuż przed II wojną światową.

■ **BIELSCY** radni Unii Wolności wydali pierwszy numer gazety „Nasze Miasto”. Będzie ona kolportowana bezpłatnie wraz z istniejącą już gazetą miejskiego samorządu „Magazynem Ratuszowym”. „Nasze Miasto” unicy - uwaga! - sfinansowali z własnych diet rajcowskich.

■ **NOWYM** radnym gminnym w Ornowicach w wyborach uzupełniających został Piotr Szoltysek.

■ **POD** hasłem „Górny Śląsk - wysoka technologia” w siedzibie Górnośląskiej Agencji Rozwoju Regionalnego w Katowicach odbyło się pierwsze spotkanie przedstawicieli wydziałów promocji urzędów miast i gmin z przyszłymi japońskimi i francuskimi inwestorami. Kolejne tego typu spotkanie odbędzie się w marcu w Düsseldorfie a następnie we Francji, w regionie Nord Pas-de-Calais.

■ **ZARZĄD** miasta powierzył obowiązki gminnej jednostki budżetowej Straż Miejska w Gliwicach Józefowi Rozkoszowi.

■ **AŻ** pięć dni województwo śląskie będzie prezentowało się na wystawie Expo 2000 w Hanowerze. W programie: wystawy, koncerty muzyki poważnej i jazzowej oraz haappeningi.

■ **ZMARŁ** na początku lutego mgr inż. Adam Meus, długoletni pracownik Szybowcowych Zakładów Doświadczalnych w Bielsku-Białej. Niegdyś, przez prawie pół wieku, były one chlubą naszego rodzimego przemysłu lotniczego.

■ **MISS** Świętochłowic 2000 została Mariola Adamek. Skończyła szkołę dla detektywów, a teraz kontynuuje naukę w Akademii Języków Obcych w Chorzowie.

■ **DO** czterdziestu istniejących już w Polsce górniczych związków zawodowych dołączył kolejny - Związek Zawodowy Górników na Urlojach Górniczych...

■ **KILKA** lat pacjenci i pracownicy czekali na decyzję Ministerstwa Zdrowia o połączeniu Górnośląskiego Szpitala Onkologicznego z Instytutem Onkologii. Dzięki temu nareszcie otwarty zostanie świecący dotychczas pustkami nowoczesny szpital onkologiczny. Gliwicki Instytut Onkologii przyjmuje rocznie ok. 9 tys. pacjentów w szpitalu i ok. 100 tys. w poradniach.

■ **PO** miesięcznej przerwie wznowiono proces 22 byłych zomowców oskarżonych o strzelanie do górników w kopalniach „Wujek” i „Manifest Lipcowy”.

■ **ŚLĄSKIE** firmy złożyły się i kupiły I Klinicę Kardiologii „Ezopa” - pierwszego w Polsce robota medycznego.

■ **BUDOWA** zbiornika Racibórz Dolny rozpoczęła się w przyszłym roku. Największa inwestycja w województwie śląskim potrwa sześć lat i orientacyjnie kosztować będzie 520 milionów zł. Zbiornik ma zapobiec wylewaniu Odry.

■ **NAJLEPSZYM** kierowcą Miejskiego Zarządu Komunikacji w Tychach na 1999 r. został Zbigniew Postawa.

■ **JEDYNY** kościółek w naszym regionie p.w. św. Walentego znajduje się w Bieruniu. W dniu patrona (14.II) chorych nerwowo i epileptyków („choroba św. Walentego”) przyjeżdżają tu pątnicy, by wyprosić u świętego łaskę zdrowia. O nerwowo chorych mówi się, że są „stuknięci”, zakochani też są w pewnym sensie „stuknięci”, dlatego też zapewne za swego opiekuna przyjęli św. Walentego, patrona „od czubków”.

■ **PRZEZ** całą dobę w gliwickim I Liceum Ogólnokształcącym im. E. Dembowskiego 101 maturzystów rozwiązywało 700 zadań z wszystkich działów matematyki.

■ **PREZESEM** Polskiego Stronictwa Ludowego w województwie śląskim został ponownie wybrany Jacek Soska.

■ **DAMA** Turniejów Savoriv-Vivre'u w Bytomiu została Małgorzata Kwiecińska (trzecia klasa Państwowej Szkoły Baletowej); tytuł Gentelmana Turnieju zdobył Tomasz Kwieciński z Liceum Społecznego Towarzystwa Oświatowego.

■ **NAJNOWOCZEŚNIEJSZY** mikroskop neurochirurgiczny otrzymała Klinika Neurochirurgii w Katowicach. Mikroskop ma 2 metry wysokości, waży 200 kg i powiększa 13 razy.

■ **NOMINACJE** profesorskie z rąk prezydenta RP otrzymali m.in.: dr hab. dr hab. Urszula Zagóra-Jonszta z Akademii Ekonomicznej w Katowicach, Elżbieta Anna Marszał ze



Śląskiej Akademii Medycznej, Tadeusz Czachórski z Instytutu Informatyki Teoretycznej i Stosowanej PAN w Gliwicach, Narcyz Mirosław Grzesik z Instytutu Inżynierii Chemicznej PAN w Gliwicach, Andrzej Bronisław Wilk z Politechniki Śl. w Gliwicach, Krystian Wojciech Roleder i Janusz Janeczek z Uniwersytetu Śląskiego.

■ **PO** rezygnacji prezydenta Rudy Śl. Edmunda Sroki z mandatu poselskiego, jego miejsce w Sejmie zajął Józef Korpak, 39-letni inżynier rodem z Radzionkowa.

■ **RÓWNO** w połowie miesiąca - 15 lutego - w Cygańskim Lesie w Bielsku-Białej zakwitły przebiśniegi - pierwsze zwiastuny wiosny.

■ **NOWYM** przewodniczącym Rady Powiatu Tarnogórskiego został profesor prawa Uniwersytetu Śl. Józef Tabor.

■ **WNUK** Wojciecha Korfanteo - Feliks, pracownik firmy komputerowej, obywatel USA ze stanu Teksas, przyjechał po raz kolejny do Katowic. Feliks Korfanty uczestniczył 17 lutego w uroczystościach Plebiscytu „Gazety Wyborczej” w Katowicach na wybór 100 najwybitniejszych Ślązaków i Zagłębiaków XX wieku, w którym Wojciech Kortanty zajął zdecydowanie I miejsce liczbą 37 274 głosów.

■ **PIERWSZĄ** w Polsce udaną operację wymiany zastawki mitralnej serca tzw. techniką maloinwazyjną przeprowadził w Śląskim Centrum Chorób Serca dr Kit Arom ze Stanów Zjednoczonych.

■ **PRAWIE** 500 turystów i uczestników Międzynarodowego Narciarskiego Rajdu Chłopskiego w Rajcy - Polaków i Słowaków - spotkało się 17 bm. na szczycie Wielkiej Raczy.

■ **CZECHOWICKIE** Zakłady Przemysłu Zapalczanego, największa tego typu firma w Polsce ma zostać sprywatyzowana, interesuje się nią aż czterech inwestorów. Wiedzą co robią. W II RP Polski Monopol Spirytusowy, Polski Monopol Tytoniowy i właśnie Polski Monopol Zapalczany były filarami gospodarki państwowej. W III RP mieliśmy już „afery spirytusową”, „przekręty” papierosowe, czas więc na „skok” zapalczany.

■ **PRAWIE** 3,8 miliona zł w „Twoim szczęśliwym numerku” wygrała osoba, która złożyła kupon za 2,40 zł w jednej z kolektur Totalizatora Sportowego w Katowicach. To najwyższa wygrana we wszelkich grach i konkursach w powojennej Polsce.

■ **DYREKTOR** Ośrodka Alliance Francaise w Rybniku, Elżbieta Paniczek, odznaczona została wysokim odznaczeniem francuskim Orderem Palm Akademickich.

■ **NOWĄ** ustawową nominację odebrał „stary” dyrektor Zbigniew Damiec, szefujący cieszyńskiemu Urzędowi Celnemu od 15 lat.

■ **ZA** zasługi dla rozwoju gospodarki i działalności samorządową prezydent RP odznaczył, m.in.; Srebrnym Krzyżem Zasługi - Jana Soli-

cha i Witosława Wasilewskiego z Izby Handlu i Przemysłu w Bielsku-Białej, Brązowymi - Krzyszami Zasługi Wojciecha Matela z Geodezyjnej Izby Gospodarczej w Katowicach i Błażeja Ślązaka ze Stowarzyszenia Kupców Polskich w Sosnowcu.

■ **MIESZKANKA** Jastrzębia Zdroju urodziła trojaczki. Maluchy (w inkubatorach) oraz ich matka czują się dobrze.

■ **PO** raz ósmy wręczono w Katowicach nominacje do Łoży Liderów, które od 1992 r. przyznaje redakcja „Trybuny Śląskiej - Dzień”. Za rok 1999 uhonorowani zostali: Irene Lipowicz - ambasador RP w Wiedniu (za decentralizację i reformę administracyjną kraju), Elżbieta Adach - prezes zabrzańskiego Komitetu Obrony Mieszkańców (za obronę lokatorów mieszkań zakładowych), Tadeusz Chrószcz - przewodniczący Stowarzyszenia Gmin Górniczych (za reprezentowanie interesu gmin w rozmowach ze spółkami węglowymi), Kamil Durczok - dziennikarz i publicysta (za profesjonalizm i występowanie informowania), Łukasz i Paweł Golcowie - muzycy z Miłówki (za łączenie elementów jazzu z muzyką góralską i osiągnięty dzięki temu sukces), Krzysztof Materna - satyryk (za menedżerski talent i inteligentne talk-show), Teresa Mokrzyńska - współwłaścicielka firmy Mokate z Ustronia (za sukces na rynku), Mariusz Nowak - dyrektor katowickiego Szpitala im. Rydygiera (za wzorowe prowadzenie placówki w trudnym okresie), Piotr Weresniak - scenarzysta i reżyser filmowy (za udany debiut reżyserki „Zakochani”) i zespół „Myslowitz” (za dotarcie na szczyty bez wymeldowania się ze Śląska).

■ **KOLEJNI** pracownicy nauki odebrali nominacje profesorskie z rąk prezydenta RP. Są to: Stanisław Ostaficzuk z Uniwersytetu Śl., dr hab. Marian Dolipski, dr hab. Nina Stefania Juzwa i dr hab. Jerzy Andrzej Świerdz z Politechniki Śl., Eugeniusz Knapik, Hanna Kryjak i Edmund Mandra z Akademii Muzycznej w Katowicach, Aleksander Lasoń i Anna Kowalczyk-Klus z cieszyńskiej filii USL oraz Jerzy Fober z katowickiej filii Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

■ **NOWYM** przewodniczącym Rady Miejskiej w Mikołowie został Marek Muszer.

■ **MEROWIE** dwudziestu dwu rosyjskich miast górniczych byli gośćmi Urzędu Gminy Marklowice.

■ **OGÓLNOPOLSKA** konferencja „Poród w wodzie” odbyła się w Szpitalu Wojewódzkim w Tychach.

■ **PODCZAS** pobytu na Śląsku Marian Krzaklewski zadeklarował chęć dialogu i porozumienia między władzami regionalnymi AWS i Unii Wolności.

■ **KSIĄŻĘ** Michał Sapięha spotkał się z licealistami w Gogolinie, opowiadając o dziejach wielkich rodów i ich znaczeniu dla kultury europejskiej. Książę Sapięha jest członkiem Rady Nadzorczej concernu belgijskiego CBR właściciela cementowni „Strzelce Opolskie” i „Górażdzie”.

■ **STO** cztery lata ukończyła 28 lutego Maria Skrzypiec z Rybnika Orzepowic. Mieszka w tym samym domu w którym się urodziła, ale wówczas dom był kryty strzechą.

■ **NAUKOWCY** z Instytutu Onkologii w Gliwicach jako pierwsi w Polsce i jedni z nielicznych na świecie pokierowali wiązką promieniowania tak, by niszczyła komórki raka, nie niszcząc przy tym zdrowych. Jest to pionierska metoda, chociaż droga.

■ **RZECZNIKIEM** prasowym śląskiej organizacji SLD została 25-letnia Aleksandra Szatkowska.

■ **PRZED** katowickim Sądem Okręgowym rozpoczął się proces dwu satanistów, którzy wiosną ub. r. w leśnym bunkrze w Rudzie Śl. Halembie zadźgali nożami Karinę i Kamila. Zabójcy mają po 22 i 20 lat. Grozi im dożywocie.

■ **DOTYCHCZASOWY** wicemarszałek województwa śląskiego Jan Rzymelka zrezygnował ze stanowiska w związku z objęciem mandatu poselskiego po Irene Lipowicz, która przeszła do służby dyplomatycznej.

■ **DEFICYT** dekady: ponad 1,25 miliarda złotych straciły w ub. r. nasze huty. Prawie pięciokrotnie więcej niż rok wcześniej. Najwięcej w całej dekadzie lat 90.

KRONIKARZ

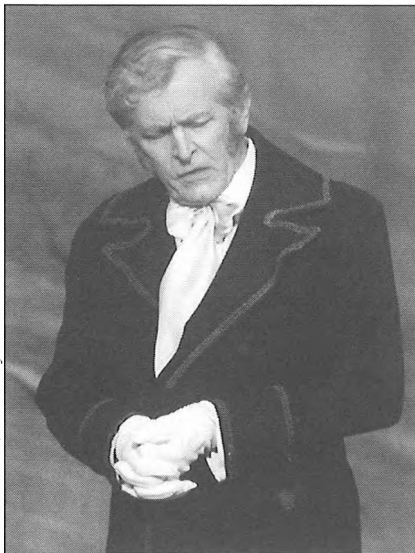
Do ostatniego dnia życia — tamtej soboty 26 lutego, gdy zmarł nagle na serce w Krakowie, był Andrzej Hiolski śpiewakiem nieprzerwanie czynnym, którego wyjątkowa pod każdym względem kariera trwała już 60 lat. Ta podróż artystyczna okazała się jednak ostatnią, choć nic nie zapowiadało, że następnego dnia... Co prawda wyruszył z Warszawy samochodem, pomimo niedawno przebytej grypy — i to trasą z postojami. Jeszcze zatrzymał się przejazdem w Bytomiu, gdzie mieszka brat Włodzimierz, przez długie lata czołowy solista Opery Śląskiej a na ementarzu Mater Dolorosa spoczywa matka. Teraz ta podróż nabiera symbolicznego znaczenia, bo okazała się pożegnalną, choć bracia uściskali się z myślą o kolejnym spotkaniu. Lecz do zapowiadanego występu z zaprzyjaźnioną od lat Capellą Cracoviensis już nie doszło — a koncert w Krakowie miał charakter żałobny. I tak między datami: 1 stycznia 1922 roku i 26 lutego roku 2000 zamknęło się życie jednego z największych artystów polskich mijającego stulecia.

Przeżył 78 lat, lecz nie był nigdy kojarzony z człowiekiem w podeszłym wieku — zawsze jak najdalszy od wyniosłego dostojeństwa i artystycznego paternalizmu; na co dzień w wiatrówce i dżinsach. I jakby czas się zatrzymał, wciąż pojawiał się na koncertowych estradach i operowych scenach nie unikając dalszych podróży. Jeszcze jesienią wybrał się samochodem do rodzinnego Lwowa, gdzie wystąpił w kościele Ojców Dominikanów a nawet wyprawił się do Kamieńca Podolskiego. Po zapowiedzianym na 28 lutego koncercie w Krakowie czekał go recital w Pałacu Prezydenckim na zakończenie Roku Chopinowskiego, zaś na 15 marca afisze zapowiadały występ Andrzeja Hiolskiego w macierzystym Teatrze Wielkim w jednej z popisowych ról — Ojca Germonta w „Traviacie”... To w tej roli jako 24-letni śpiewak towarzyszył 23 listopada 1946 roku Bogdanowi Paprockiemu w jego operowym debiucie na bytomskiej scenie w partii syna Alfreda. Ileż planów wiązało go znów właśnie z Operą Śląską w roku jej 55-lecia! Nie, nic nie zapowiadało ostatniej drogi na Starych Powązkach i pośmiertnego Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą, ani garści ziemi z Cmentarza Obrońców Lwowa z drżącej dłoni Jerzego Janickiego.

Poetyka nekrologu ma swoje zasady i prawa wynikające z wyjątkowych okoliczności ostatecznego faktu jakim jest ludzka śmierć — a już szczególnie człowieka wybitnego o uznanym autorytecie. Dlatego też zwykle nie szczędzimy słów podniosłych i to nawet ponad realne zasługi i dokonania. Tym razem jednak jest inaczej; wszystko, co zostało powiedziane i napisane pod wrażeniem śmierci Andrzeja Hiolskiego, pokrywa się z odczuciami i miarą jego wybitnych dokonań. Był niewątpliwie jednym z największych artystów polskiej sceny muzycznej XX wieku i pozostanie niedosięglym wzorem profesjonalizmu w zakresie sztuki wokalne. Trudno o przykład śpiewaka równie wszechstronnego, jednoczącego wyjątkowe walory głosu, muzykalności i dramatycznego aktorstwa, wrodzonej inteligencji i kultury, z naturalną elegancją i męską, sceniczną urodą. Nie eksponował jednak tych cech z potrzeby dominacji i popisu, był raczej ascetyczny w swoim głębokim aktorstwie a przez to jeszcze bardziej koncentrujący uwagę. Tak było gdy kreował role operowe, lecz jego sztuka znajdowała jeszcze bardziej skupiony wyraz na estradzie koncertowej, gdy śpiewak pozostaje sam na sam z muzyką i słuchaczem, gdy liczy się i to co „poza nutami”. Bo Andrzej Hiolski był od najwcześniejszych lat — co niezwykle rzadkie: nie tylko wielkim śpiewakiem, ale zarazem „wybitnym muzykiem” — i to zdanie Józefa Kańskiego sprzed lat utrwalalo się z każdym rokiem. Ostatnim potwierdzeniem była Nagroda Muzyczna Polskiego Radia za rok 1999, wieńcząca kolejne dokonania nie tylko artystyczne, ale i twórcze, bo sztuka interpretacji wokalne Andrzeja Hiolskiego miała znamiona aktu twórczego, co potwierdzają liczne nagrania także z lat ostatnich, gdy nadal panował nad głosem jak nad nieskazitelnym w swej doskonałości instrumentem.

— Takiego barytona już nigdy nie będziemy mieli! — powtarzał ze łzami w oczach wstrząśnięty Bernard Ładysz i te słowa wielkiego śpiewaka najpełniej i najprościej wyrażają skalę straty. Tak, Andrze-

Młody do końca



Andrzej Hiolski w roli Ojca Germoda — w jednym z ostatnich występów na scenie Opery Śląskiej

ja Hiolskiego można było porównywać wyjątkowo z Andrzejem Hiolskim. I to od pierwszych lat, gdy wyznaczał kręgi wysokie i najwyższego lotu nad bytomskim gniazdem talentów z pierwszych, najwspanialszych lat.

Do wydarzeń wyjątkowych należy pamiętny udział Andrzeja Hiolskiego w premierowym spektaklu „Halki” 14 czerwca 1995 roku z okazji jubileuszu Opery Śląskiej. Znow w roli Janusza — po 50 latach, w rocznicę historycznego spektaklu inauguracyjnego działalność powstającej nowej sceny operowej, utworzonej od podstaw przez Adama Didura, który skupił wokół siebie najpiękniejsze młode polskie głosy. Pośród nich w pierwszym artystycznym zaciągu utalentowany baryton rodem ze Lwowa, z którego musiał uchodzić jeszcze w okresie okupacji hitlerowskiej ze względu na konspiracyjną działalność. Tych faktów i wątków życiorysu, gdy był żołnierzem AK, czynnym w partyzancie na ziemiach tarnowskiej i nowosądeckiej, nigdy nie eksponował, aby nic nie stało się ważniejsze od sztuki i artystycznego powołania. Swoją patriotyzm potwierdzał natomiast wyjątkową obecnością pozycji z repertuaru narodowego, w tym dzieł polskiej muzyki współczesnej, która znalazła w nim najświetniejszego interpretatora. I swoim niezłomnym przywiązaniem do scen polskich i polskiej publiczności, której pozostaw wierny przez wszystkie lata kariery — obejmującej pół setki pozycji operowych o co najmniej tyle z repertuaru oratoryjno-kantatowego, od Monteverdiego i Bacha po Pendereckiego i Bairda. Występował na scenach i estradach

całego świata — i zawsze do Polski wracał. Nie było takiej ceny i pokusy by przestał na zagraniczną ofertę — i to nawet w latach artystycznej młodości. To zresztą cechowało ich wszystkich: najświetniejszych śpiewaków jego generacji, z Bogdanem Paprockim i Bernardem Ładyszem. Oferty intratne były — lecz nie dla ludzi, którzy znali cenę utraconego domu i los wygnania.

Za datę oficjalnego debiutu sam Andrzej Hiolski uznawał swój pierwszy recital w 1940 roku przed mikrofonami lwowskiego radia, gdy śpiewał kilka pieśni Moniuszki i Galla, które na zawsze zachowa w swym pieśniarskim repertuarze. Studia wokalne, które podjął jeszcze w 1939 roku u wybitnej lwowskiej śpiewaczki, Heleny Oleskiej, kontynuował w warunkach okupacyjnych, lecz w fazę mistrzowską weszły już w Operze Śląskiej, gdy znalazł się pod opieką Adama Didura oraz tak świetnego znawcy sztuki operowej jakim był dyrygent Jerzy Sillich; nad rozwojem sztuki scenicznej miał tam artystyczną pieczę legendarny Bolesław Fotygo-Folański. Są to lata nadzwyczaj pracowite — co sezon: nowe partie i role, wnet z opinią pierwszego polskiego barytona. Później nieraz sam Andrzej Hiolski to potwierdzi: *W Bytomiu spędziłem najlepszy okres jako śpiewak, to jest czas pierwszych kilkunastu lat...*

Jego biografia artystyczna przełamuje się na 18 sezonów bytomskich, i lata, gdy osiadł na stałe w Warszawie. Do końca sezonu 1963 godził jeszcze występy na swej pierwszej scenie z pracą w Operze Warszawskiej, w której pojawił się na stałe w 1957 roku. Jest to już czas, gdy okazały się nierealne wizje wielkiego gmachu teatralnego w Katowicach, w co Andrzej Hiolski długo wierzył, przecież właśnie Opera Śląska uznawana była przez pierwsze powojenne lata za najlepszy zespół w kraju. Lecz ta niepowtarzalna szansa powstania na Śląsku teatru operowego europejskiej rangi została bezpowrotnie zmarnowana.

Jako solista Teatru Wielkiego, którego kalendarz artystyczny wypełniały także liczne zobowiązania międzynarodowe ważne dla polskiej kultury, zawsze znajdował czas by wystąpić na swej pierwszej scenie i podnieść temperaturę artystyczną na miarę wielkiej legendy — oczekiwany, kochany, wielbiony... A już nade wszystko przez osiadłych w Bytomiu licznie lwowiaków. Z wielu występów w różnych rolach na bytomskiej scenie ten jednak zapamiętany zostanie szczególnie — jubileuszowy spektakl „Halki” 14 czerwca 1995 roku. To wejście Andrzeja Hiolskiego w zamaszystym polonezie w roli Janusza — znow ten sam: wysoki, szczupły, z głosem jak za najlepszych lat. Wielkie, powitalne brawa, które wymusiły zatrzymanie na chwilę akcji. I ten zawiadacki uśmiech Andrzeja Hiolskiego — obraz, który powraca.

TADEUSZ KIJONKA

— Od ponad roku Katowice są stolicą zupełnie innego województwa, pod wieloma względami bardziej zróżnicowanego, silniejszego. Czy ma to wpływ na postrzeganie Katowic, które stały jednym z 16 miast metropolitalnych, odbierając poniekąd dwóm miastom — Bielsku i Częstochowie — status miast wojewódzkich?

— W poprzednim układzie administracyjnym państwa, kiedy było wiele miast wojewódzkich, niejako zatracił się charakter miast metropolitalnych. Po nowym podziale kraju powstało 16 silnych ośrodków, które pełnią istotną rolę miast wojewódzkich, co należy postrzegać w kategoriach dużych szans rozwojowych ale i wielkich wyzwań, chociażby w aspekcie konkurencji pomiędzy poszczególnymi województwami. Szans rozwoju upatruję w tym, że do czasu nowego podziału kapitał krajowy jak i zagraniczny koncentrował się w stolicy kraju — w Warszawie. Z chwilą powstania większej ilości ośrodków metropolitalnych, inwestorzy zaczęli rozważać możliwości inwestowania w innych miastach. Inwestycje prywatne, a więc komercyjne, mają takie samo znaczenie jak inwestowanie ze środków publicznych. Wszystko to razem zmienia obraz miasta.

Nowy podział administracyjny postawił przed miastami metropolitalnymi nowe wyzwania, którym należy sprostać. Dla naszego miasta jest to sprawa o szczególnym znaczeniu, bowiem Katowice postrzegane są nie tylko jako miasto wojewódzkie, ale również jako stolica wielkiej aglomeracji katowickiej. Występuje naturalna chęć współzawodnictwa pomiędzy dużymi miastami tego województwa: Zabrzem, Bytomiem, Gliwicami, Sosnowcem czy Dąbrówką Górniczą, ale też Bielskiem i Częstochową. Istnienie konkurencji powinno być wyłącznie motorem do podejmowania nowych wyzwań.

— Czy ma Pan poczucie, że jest Pan gospodarzem miasta europejskiego? Czy jesteśmy równorzędnym partnerem dla miast państw Europy Zachodniej, chociażby tych, z którymi Katowice współpracują na co dzień?

— Na tak postawione pytanie trzeba spojrzeć z kilku punktów. Po 1990 roku, kiedy powstały gminy samorządowe, naturalnym kierunkiem ich rozwoju stało się nawiązywanie współpracy z miastami krajów Europy Zachodniej. Współpraca opiera się na wymianie doświadczeń w wielu dziedzinach: kulturalnej, naukowej, gospodarczej, samorządowej. Oceną tej współpracy zajmowały się różnorodne instytucje, lecz najważniejszą z nich jest Rada Europy. Wyróżniającym się miastom przyznawane są honorowe odznaczenia. Honorowa Flaga Rady Europy przyznana Katowicom jest symbolem dobrej współpracy Katowic z miastami państw europejskich.

W szeroko rozumianym zakresie społecznym Katowice są z pewnością miastem europejskim. Na tym jednak „europejskość” się nie kończy. Trzeba przyjąć i realizować określone standardy i reguły, jakie obowiązują w krajach Zachodu. I tu zaczynają się problemy, bo mamy do odrobienia wiele zaległości. Unia Europejska w ramach swoich funduszy posiada środki bezzwrotne, które przekazuje państwom kandydującym. Służą one właśnie wyrównywaniu tychże standardów. Katowice wystąpiły do Unii o przyznanie grantu na ochronę środowiska, zwłaszcza na kompleksową przebudowę rzeki Rawy.

Dostosowywanie standardów przez nasze miasto do wymogów Unii Europejskiej można również ocenić poprzez wysokość środków przeznaczanych na finansowanie rozwoju gospodarczego miasta, zwłaszcza na rozwój układów komunikacyjnych i ochronę środowiska. Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych kilku lat staniami się miastem europejskim we wszystkich płaszczyznach;



Foto: Janusz Pilszak

Znikają kopalnie, pozostają problemy

mamy przygotowane projekty dla pozyskania środków europejskich. Myślę, że zbiegnie się to z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej.

— Od kilku już lat wiele mówi się o zmianie wizerunku Katowic, o tym, że ma to być miasto na wskroś nowoczesne. Najbardziej widocznym tego elementem miały być nowoczesne rozwiązania architektoniczne, zarówno Rynku jak i dzielnic miasta. Ogłaszano konkursy, prowadzono ankiety wśród mieszkańców. Które z nich mają szansę na realizację, bo jak na razie, większość pomysłów kończyła się w sferze projektów i na podsycaaniu apetytów mieszkańców Katowic na życie w ładniejszym mieście.

— Aby zrealizować któryś z pomysłów na przebudowę chociażby Rynku, potrzebna są znaczne środki finansowe. Z kolei o podział środków z budżetu miasta zawsze trwają targi w ramach poszczególnych Komisji Rady Miejskiej. Każda Komisja ma inne priorytety. Uważam, że nie tak powinna przebiegać walka o pozyskiwanie funduszy na poszczególne dziedziny życia. Trzeba zabić o środki zewnętrzne, pozabudżetowe, które wspomogą budżet miasta. W 1997 roku uchwalono „Studium Uwarunkowań i Kierunków Zagospodarowania Przestrzennego”, w którym określono kierunki rozwoju przestrzennego miasta, rozwoju gospodarczego oraz wskazano obszary, które mogą być przeznaczone na rozwój kultury, nauki i sportu. Określone zostały również cele strategiczne Studium, obejmujące m.in. rozwój funkcji metropolitalnych miasta, tzn. rozwój infrastruktury drogowej, kolejowej, tramwajowej, oraz tworzenie warunków do realizacji nowoczesnej edukacji z uwzględnieniem potrzeb regionu i aspiracji młodzieży.

Powszechna stała się zmiana szkół zawodowych na licea ogólnokształcące; wykształcenie średnie musi również być standardem dla współczesnej młodzieży. Na

tym nie możemy poprzestać. Musimy realizować rozwój szkolnictwa wyższego. Miasto w sposób bezpośredni nie może finansować tego rodzaju przedsięwzięć, ale staramy się wspomagać rozwój szkolnictwa wyższego poprzez inne działania. Tym problemem jestem osobiście zainteresowany, ale o szczegółach na razie nie mogę mówić. Ważną sprawą jest również rozwój szkolnictwa niepublicznego. Tą formą uczenia się zainteresowanych jest wiele osób.

Kolejnym celem strategicznym jest poprawa jakości życia mieszkańców i uzyskanie równowagi ekologicznej miasta. W poprzedniej kadencji została uporządkowana gospodarka odpadami. Mielśmy na co dzień do czynienia z protestami mieszkańców, brakiem właściwego składowiska odpadów. Wszystkie te problemy zostały rozwiązane. Mamy m.in. własne nowe wysypisko i zrehabilitowane stare, uruchomiliśmy spalarnię odpadów poszpitalnych.

— Od dawna jednym z największych problemów Katowic są układy komunikacyjne.

— Podjęliśmy bardzo trudne przedsięwzięcia inwestycyjne w zakresie rozwoju i modernizacji systemów transportowych oraz infrastruktury technicznej. Podpisaliśmy umowy kredytowe związane z budową ulicy Bocheńskiego; jej budowa ruszy niebawem. Ulica ta zagwarantuje połączenie Drogowej Trasy Średnicowej z autostradą, co spowoduje skierowanie ruchu samochodowego na autostradę A-4, a wszystko po to, aby można było przystąpić do przebudowy układu komunikacyjnego w centrum miasta, czyli w rejonie Chorzowskiej, Rożdżeńskiego i na Rondzie. Przebudowa tego niewłaściwego fragmentu miasta staje się faktem. Są pieniądze i zostały podjęte działania związane z wykwaterowa-

niem mieszkańców z budynków przeznaczonych do rozbiórki. Efekty działań będą widoczne za kilka lat.

— **Rozwój szkolnictwa wyższego związany jest z napływem młodych ludzi, którzy być może zechcą tu pozostać, mieszkać i podjąć pracę. Czy miasto jest zainteresowane aby ci młodzi ludzie pozostali w mieście, co stwarza przecież dodatkowe wyzwania?**

— To niezmiernie ważny dla nas temat. W moim przekonaniu jednym z głównych celów działania władz samorządowych Katowic powinno być zatrzymanie młodzieży w Katowicach. Społeczeństwo się starzeje i to nie jest tylko problem Katowic. Powinniśmy tworzyć nowe miejsca pracy nie tylko dla mieszkańców tego miasta, bo taki jest charakter i zadanie stolicy województwa i aglomeracji. Miejsca pracy powinny łączyć się z powstawaniem nowych mieszkań. Miasto ma możliwości rozwojowe, posiada tereny pod budownictwo mieszkaniowe, a 42 procent miasta stanowią lasy i rezerwy, które służą będą rekreacji. W pierwszej kolejności podejmujemy działania w kierunku uzbrajania terenów pod budownictwo mieszkaniowe. Mieszkania są jednym z głównych problemów miasta. Jak na razie, w zakresie budownictwa mamy do czynienia z inwestorami prywatnymi lub Towarzystwem Budownictwa Społecznego, ale są to mieszkania stosunkowo drogie. Zastanawiamy się nad innymi formami budownictwa, żeby mieszkania były osiągalne dla ludzi mniej zamożnych, dla ludzi młodych rozpoczynających dopiero życie zawodowe.

Już za niedługo faktem stanie się przebudowanie rzeki Rawy, z czym wiąże się przebudowa systemu kanalizacyjnego wzdłuż rzeki. Jestem przekonany, że Rawa na nowo stanie się rzeką czystą, co nie jest bez znaczenia dla nowego image'u Rynku. W chwili obecnej dzięki oczyszczalni Klimzowiec, do Rawy wpływa prawie czysta woda. Kosztem 25 mln złotych porządkujemy kanalizację w Załężu oraz przygotowujemy projekt przebudowy kanalizacji w ulicy Warszawskiej. Realne staje się całkowite oczyszczenie Rawy. Jestem o tym przekonany.

Borykamy się również z problemem tzw. niskiej emisji. Jest opracowywany plan energetyczny związany ze zmianą systemu ogrzewania w budownictwie mieszkaniowym.

— **Skoro w Katowicach pozostaną ludzie młodzi — jak zakłada polityka władz samorządowych miasta — stworzy się im możliwości nabycia mieszkania, także miejsca pracy, wówczas oni będą mieć i inne oczekiwania w stosunku do miasta: będą chcieli pójść do nowoczesnego teatru, do nowoczesnego kina, filharmonii. Wiadomo, że władze samorządowe Katowic włączyły się w budowę nowego Muzeum Śląskiego, ale także angażują się w wiele innych przedsięwzięć kulturalnych, ale oczekiwani jest bardzo wiele.**

— Mam świadomość, jakie środki pociąga za sobą podejmowanie pewnych decyzji, ilu trzeba wyrzeczeń w innych dziedzinach. Rozwój życia kulturalnego wpisany jest w strategię rozwoju miasta i będzie odbywał się w różnych płaszczyznach. Z kształcenia jestem technokratą, lecz nieobce jest mi uczestnictwo w przedsięwzięciach kulturalnych. Miasto w różnorodny sposób musi wspierać działania kulturalne. Ostatnimi czasy ważne jest łączenie działań kulturalnych z wydarzeniami w sferze biznesu. Bywanie w galeriach, w teatrze, filharmonii czy muzeum stało się ważnym elementem sposobu życia.

Musimy nauczyć się promować Katowice nie tylko poprzez gospodarkę, ale także poprzez działania kulturalne, także po to, aby przełamać zakorzeniony w Polsce mit o Katowicach jako mieście górników i kopalń. Niedawno zakończyła się kolejna edycja „Interpretacji“ czyli Festiwalu Sztuki Reżyserskiej, o którym głośno od chwili jego pojawienia się na mapie kulturalnej kraju. Zupełnie innym wydarzeniem będzie festiwal orkiestr wojsk NATO-wskich.

Naszym zadaniem jest finansowanie działań w zakresie upowszechniania kultury — jak domy kultury i biblioteki, przejmowanie obiektów, które dotąd należały do zakładów pracy — najczęściej do kopalń czy hut. Na pewno od tego kierunku nie odstąpimy, chociaż do realizacji tych przedsięwzięć potrzebne są duże pieniądze.

Włączyliśmy się aktywnie w renowację Teatru Śląskiego, w tym roku przeznaczaliśmy kwotę 200 tysięcy złotych na remont jego elewacji. Tego typu działania będziemy wspierać, chociaż nie jesteśmy — jako miasto — właścicielami tych instytucji kultury.

Musimy mieć świadomość, że miasto nie może żyć wyłącznie życiem komercyjnym, gospodarczym. Byłoby fatalnie, gdyby Katowice składały się z banków, biurów, stacji benzynowych, parkingów. Jeśli temu nie będzie towarzyszył rozwój obiektów kulturalnych i sportowych, to miasto umrze.

Sądzę, że z akceptacją Zarządu Miasta i Rady Miejskiej spotka się propozycja przeznaczenia terenu przy ulicy Górnośląskiej, na

którym wcześniej zaplanowano budowę miejskiego zespołu kąpieliskowego, pod budowę Muzeum Śląskiego. Wprawdzie jest to teren bardzo atrakcyjny pod względem inwestycyjnym, ale uważam, że w tym miejscu powinno powstać Muzeum Śląskie. Mamy już Bibliotekę Śląską, która znakomicie wkomponowała się w otaczające ją obiekty bankowe. Rozwój miasta musi być zrównoważony. Jestem przekonany, że przy dużym zaangażowaniu różnych instytucji, bez względu na poglądy polityczne, Muzeum Śląskie powstanie.

Marzyła by mi się wielka, wspaniała opera czy sale koncertowe, ale to są ogromne przedsięwzięcia. Nie sztuką jest ich wybudowanie, ale przede wszystkim umiejętne zarządzanie.

Jednym z podstawowych elementów w rozwoju miasta jest wykreowanie zapotrzebowania na wydarzenia kulturalne. Trzeba się zastanowić, co zrobić aby to zapotrzebowanie ciągle wzrastało. Nie może być tak, aby sceny były pełne artystów, a widownie puste. Dlatego trzeba położyć nacisk na upowszechnianie kultury, na edukację kulturalną najmłodszych odbiorców kultury.

Twierdzę, że w tym względzie obraz miasta się zmienia. Z samorządem Katowic związany jestem już od dziewięciu lat i widzę zachodzące zmiany. Powodzeniem cieszą się imprezy o charakterze masowym, festywnym, czyli rekreacyjno-kulturalnym, ale przyszedł czas na wykreowanie potrzeb wyższego rzędu. Oczywiście dostępność tych wydarzeń musi być duża, to znaczy ceny biletów nie mogą być zbyt wysokie, a oferta instytucji kultury atrakcyjna. Dlatego niezbędne jest sprzężenie działań twórców kultury, polityków i świata biznesu.

— **Jest Pan przewodniczącym Związku Miast Polskich. Jak Katowice postrzegane są przez inne miasta metropolitalne Polski?**

— Rozwój Katowic i kierunek w jakim zmierną, jest pozytywnie odbierany przez osoby, które często przyjeżdżają do naszego miasta. Sprzyja temu organizowanie różnorodnych spotkań, sympozjów, konferencji, w których uczestniczą przedstawiciele samorządów z innych rejonów kraju a także z innych krajów.

Abym szczegółowiej przyjrzeć się zmianom zachodzącym w Katowicach, powołałem w Urzędzie Miasta komórkę Analiz Ekonomicznych i na podstawie obiektywnych kryteriów chcę dokonać obiektywnej oceny tego miasta. Prowadzone są również różnego rodzaju analizy, m.in. nad gospodarką rynkową. Katowice oceniane są również przez inne, krajowe ośrodki analiz. Według jednych ośrodków, co opublikowane zostało swego czasu we „Wprost“, Katowice zajmują w rankingach nawet pierwsze miejsce, wg innych znajdują się w pierwszej dziesiątce.

Oceniając rozwój naszego miasta, trzeba brać pod uwagę jego uwarunkowania. W dalszym ciągu Katowice są miastem kopalń, co nie jest bez znaczenia. Mamy do pokonania zupełnie inne problemy, aniżeli miasta, w których nie jest prowadzona eksploatacja górnictwa. Jeśli likwiduje się kopalnię, to nie znaczy, że przestają istnieć problemy związane z jej dotychczasowym funkcjonowaniem, ze zniszczeniami ekologicznymi. W każde nowe przedsięwzięcie należy włożyć znacznie więcej pracy aniżeli w innych miastach w kraju. Proces przekształceń w górnictwie jest nieunikniony i musimy sprostać tym wymaganiom.

— **Czy ma Pan poczucie, że jako prezydent Katowic odniósł Pan jakieś sukcesy w dziedzinie działań samorządowych?**

— Uważam, że tak. Zresztą łatwo zweryfikować to co mówię. Na początku poprzedniej kadencji musiałem się zmierzyć z ogromnym problemem jakim była gospodarka odpadami w tym mieście. Został on rozwiązany przy współpracy z Zarządem Miasta i Radą Miejską, w sposób wzorcowy w skali kraju. Obecnie Katowice są jednym z czolowych miast w Polsce w zakresie gospodarowania odpadami, co nie znaczy, że w dalszym ciągu ten problem na Śląsku nie istnieje. Jeszcze w ubiegłej kadencji rozpoczęta została przebudowa układów komunikacyjnych, która przez wiele lat nie mogła doczekać się realizacji. Przystępujemy również do budowy tunelu pod torami kolejowymi w Piotrowicach. Kadencja, która rozpoczęła się w 1998 roku jest zdominowana przez kompleksową przebudowę układów komunikacyjnych, dróg i mostów oraz przebudowę Rawy. Nie można jednak zapomnieć o terenach rekreacyjnych i sportowych.

— **Czy przechadza się Pan czasem ulicami Katowic?**

— Był czas kiedy sam sprawdzałem czy w mieście świeca wszystkie latarnie, kontrolowałem stan nawierzchni ulic, z kilkoma specjalistami przeszliśmy przykryty odcinek Rawy pod Rynkiem. Obecnie natłok spraw nie pozwala na zbyt częste „wędrowki“ po mieście, ale kiedy tylko mam czas, przyglądam się z bliska wszelkim problemom, nawet tym najdrobniejszym.

Rozmawiała:

WIESŁAWA KONOPELSKA

RYSZARD
STELMASZCZYK

Kopalniane wieże wyciągowe od ponad stu lat wpisane są w krajobraz Katowic. Mimo zachodzących przemian wydobywanie węgla jest nadal jedną z najważniejszych dziedzin działalności gospodarczej na terenie miasta — stolicy znaczącego dla kraju województwa śląskiego. Władze Katowic chcą jednak zmienić wizerunek miasta. Nie chcą, aby było kojarzone jedynie z górnictwem. Katowice mają być „krajowym centrum finansów, nowoczesnej wytwórczości, usług oraz kultury i nauki”.



Foto: Stanisław Gadomski

Miasto i węgiel

Węgiel pod Katowicami wydobywa pięć kopalni: „Kleofas”, „Murcki”, „Staszic”, „Wieczorek” i „Wujek”. Częściową eksploatację górnictwem pod miastem prowadzą kolejne dwie: „Śląsk” i „Wesoła”. Kopalnie należą do powołanego w 1993 r. Katowickiego Holdingu Węglowego SA (KHW). W ciągu roku na powierzchnię wyjeżdża 18 mln ton węgla zalegającego pod miastem. Od kilku miesięcy — kiedy zamknięto kopalnię „Katowice” — nie jest on już wydobywany pod śródmieściem stolicy woj. śląskiego. Katowicki Holding Węglowy jest największym organizmem gospodarczym w mieście. Koncern zatrudnia 31 tys. osób. Prawie 18 tys. z nich, to mieszkańcy Katowic.

Monokultura techniczna

— *Jeżeli chodzi o genezę powstania miasta, tworzenia miejsc pracy, cywilizacji technicznej, to trudno zaprzeczyć faktowi, że węgiel sprzyjał rozwojowi Katowic — podkreśla wiceprezydent miasta, Wojciech Gosiewski. — Ale przez to ten rozwój poszedł w kierunku monokultury technicznej. Z tego powodu stolica dużego województwa śląskiego jest w dużym stopniu uzależniona od górnictwa. Na całe szczęście Katowice mają też inne atuty, które powodują, że inwestorzy zagraniczni, ludzie z zewnątrz, interesują się naszym miastem.*

Władze Katowic chcą zmienić wizerunek miasta kojarzonego przede wszystkim z przemysłem węglowym. Dowodzi tego przyjęte w 1996 r. „Studium uwarunkowań i kierunków

zagospodarowania przestrzennego miasta”. Jest ono bazą dla wszelkich poczynań planistycznych. W studium założono, że Katowice „będą krajowym centrum finansów, nowoczesnej wytwórczości, usług oraz kultury i nauki”. Są to na pewno poważne ambicje, ale nie całkiem nierealne. Jest wiele elementów, które sprzyjają takim założeniom. Między innymi to, że Katowice są poważnym ośrodkiem akademickim.

Negatywów jest więcej

Pytany o pozytywne fakty wynikające z tego, że na terenie miasta są kopalnie, Wojciech Gosiewski mówi przede wszystkim o pewnych miejscach pracy dla jego mieszkańców. Innym pozytywym jest to, że dzięki górnictwu Katowice są postrzegane przez inwestorów zagranicznych jako miejsce, gdzie są ludzie o dużej kulturze i cywilizacji technicznej. Jednak w jego ocenie, „negatywów, mówiąc obiektywnie, jest więcej”.

Katowicki Holding Węglowy i należące do niego kopalnie — jak całe górnictwo — są w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Pustki w kasie powodują, że nie regulują w pełni należnych miastu opłat. Prawie wszystkie kopalnie, za wyjątkiem jednej, mają zadłużenia wobec Katowic. To są dosyć duże kwoty. Tylko z tytułu opłaty eksploatacyjnej wynoszą ponad 20 mln zł. Problemem jest dochodzenie odszkodowań z tytułu szkód górniczych. Tutaj trudno mówić o cyfrach, bo trzeba by sięgnąć do prawomocnych wyroków sądowych. Natomiast odczucie spo-

leczne jest takie, że kopalnie uchylają się od płacenia za szkody górnicze. Często to odczucie ma potwierdzenie w nieudanych próbach dochodzenia należnych odszkodowań. Kopalnie nie wykonują nawet prawomocnych wyroków sądowych.

Władze miasta starają się być stanowcze i korzystać w kontaktach z górnictwem z praw, jakie przysługują w ramach obowiązującego porządku prawnego. Przejawia się to m.in. podczas ustalania koncesji na wydobywanie węgla przez kopalnie, przy opiniowaniu planów ruchu kopalni. Czasem powoduje to zatargi między władzami Katowic i Zarządem Katowickiego Holdingu Węglowego. — *Ostatnią taką sprawą jest konflikt jaki wywołały zabiegi o nową koncesję dla kopalni „Śląsk” — informuje Wojciech Gosiewski. — W tym przypadku miasto twardo stawia sprawę: kopalnia nie powinna jej uzyskać. Dlatego nie uzgadniamy warunków koncesyjnych. Plan zagospodarowania przestrzennego Katowic i plany lokalne, nie pozwalają na dalszy rozwój przemysłu wydobywczego. Kopalnia „Śląsk” chce wydobywać węgiel pod Panewnikami. A to jest ostatni fragment Katowic, który jeszcze nie jest tknięty eksploatacją górnictwem.*

Mimo sprzeciwu władz miasta kopalnia „Śląsk” otrzymała jednak od Ministerstwa Ochrony Środowiska koncesję na wydobywanie węgla pod Panewnikami. Stało się tak dlatego, że wydane przez zarząd Katowic postanowienie zostało uchylone przez Kolegium Odwoławcze. Miasto jednak złożyło wnioski o wznowieniu postępo-

wania koncesyjnego. Kolegium Odwoławcze się na to zgodziło i unieważniło swoją poprzednią decyzję.

W tej chwili sytuacja jest taka, że nie ma uzgodnienia tej koncesji. Według nas jest ona nieważna. Spór prawny trwa. Nasza argumentacja wynikająca z planu zagospodarowania przestrzennego jest na tyle mocna i zasadna, że przy niej trwamy. Nie jest to zła wola wobec kopalni, ani jej pracowników. Władze Katowic obawiają się, że w wyniku eksploatacji górniczej, jaką planuje kopalnia „Śląsk”, może dojść do zakłócenia swobodnego spływu rzeki, funkcjonowania oczyszczalni ścieków w tamtym rejonie. Martwią się także o budynki.

— Dzisiaj nie ma tam eksploatacji, ale odczuwane przez mieszkańców wstrząsy powodują, że nastroje społeczne wobec kopalni „Śląsk”, są bardzo nieprzychylnie — wyjaśnia wiceprezydent Wojciech Gosiewski. Dlatego nie godzą się na to, żeby wydobywała węgiel pod Panewnikami. Tym bardziej, że ma to być eksploatacja na zawal, która jest niszcząca. Kopalnia tamte tereny traktuje jak pustkowia, a tak nie jest, bo nawet las nie jest pustkowiem.

Męskie rozmowy

Kontakty władz miasta z szefami holdingu wiceprezydent Gosiewski komentuje słowami: *— To są takie trudne, męskie rozmowy. Na pewno jest ewidentna rozbieżność interesów. To nie ulega wątpliwości. Ale staramy się drogą negocjacji dochodzić do rozwiązań kompromisowych.*

Obecnie trwają długie i żmudne rozmowy władz Katowic z zarządem holdingu na temat rekompensowania długów kopalń wobec miasta poprzez przejmowanie ich mienia. *— Ja rozumiem rozbieżność interesów w tym przypadku, bo kopalnie chcące ratować swoją egzystencję, wolałyby ten majątek korzystnie sprzedać, a nie oddawać miastu za długi — mówi Gosiewski.*

Osiągnięciem miasta w sporach z kopalniami o majątek jest przejęcie szpitala w Murckach i Janowie. Na początku 1999 r. doszło w tej sprawie do poważnego konfliktu. Polegał on na tym, że w wyniku reformy służby zdrowia szpitale zostały przypisane miastu, jako organowi założycielskiemu, ale bez możliwości władania ich majątkiem. *— Znaleźliśmy się w takiej sytuacji — relacjonuje konflikt wiceprezydent Gosiewski — że aby szpitale mogły pełnić funkcje medyczne miasto musiałoby odkupić ten majątek. To było niemożliwe. W końcu udało się wynegocjować pewien tryb zatratwienia tej sprawy. Przejęliśmy ten majątek za zobowiązania kopalni wobec skarbu państwa.*

Nadal trwają dyskusje między obiema stronami na temat obiektów sportowych i takich terenów należących do kopalni, które są interesujące dla mia-

sta. Władze miasta były stanowcze w trakcie trudnych i długich rozmów dotyczących uzgodnienia planu ruchu likwidowanej kopalni „Katowice” — *Udało się doprowadzić do tego, że nasze wymagania związane z pozytywnym opiniowaniem likwidacji kopalni, aby zabezpieczyć interes miasta po zakończeniu wydobywania, zostały przyjęte. W ten sposób mamy zagwarantowaną odpowiedzialność kopalni za szkody górnicze, które mogą wystąpić w przyszłości. Jest to zapisane w umowie zawartej między miastem i KHW — zaznacza z satysfakcją Gosiewski, dodając: — Jesteśmy partnerem trudnym, stanowczym i wymagającym, ale wydaje mi się, że rozumiejącym również drugą stronę.*

Górnice racje

Szefowie Katowickiego Holdingu Węglowego przyznają, że eksploatacja górnicza może powodować uciążliwości dla miasta. *— Trudno uniknąć negatywnych wpływów na powierzchnię spowodowanych wydobywaniem węgla — mówi wiceprezes zarządu holdingu, Stanisław Gajos.*

Jego zdaniem szkody górnicze jakie są w mieście, to „zaszłości”. Obecnie projektując eksploatację bierze się pod uwagę to, jaki będzie miała wpływ na powierzchnię. *— Z tego powodu często rezygnujemy z części pokładów — zauważa Stanisław Gajos.*

Opóźnienia w usuwaniu szkód górniczych tłumaczy „mocno sformalizowanymi procedurami”. Jedną z nich jest konieczność wylonienia poprzez przetargi wykonawcy robót. Wiceprezes Gajos podkreśla, że problemy finansowe KHW, też nie są bez wpływu na to, że likwidacja szkód górniczych trwa czasem bardzo długo.

Mieszkańcy Katowic skarżą się na powodowane przez kopalnie wstrząsy, czasem bardzo silne. Wiceprezes Stanisław Gajos przyznaje, że jest to „największy problem”. Zwraca jednak uwagę, że nie powodują one szkód na powierzchni. *— Wstrząsy, to przede wszystkim psychologia — komentuje.*

Odpowiedzialny za finanse KHW wiceprezes Maksymilian Klank przyznaje, że holding ma długi wobec Katowic. Wymienia jednak kwoty, które wpłacił w 1999 r. do kasy miejskiej: 6,5 mln zł — opłata eksploatacyjna (2,5 mln zł w formie przekazanego majątku), 10 mln zł — podatek od nieruchomości, 695 tys. zł — opłata za użytkowanie gruntów.

— Liczymy na pozytywne skutki reformy górnictwa. Pozwoli nam to w pełni wywiązywać się z zobowiązaniami finansowymi wobec miasta. Symptomy poprawy już się pokazują — podkreśla wiceprezes Klank.

Nie mają złych zamiarów

Komentując sprawę koncesji dla kopalni „Śląsk” na wydobywanie węgla w polu panewnickim wiceprezes

Stanisław Gajos mówi: *— Jest to być albo nie być tej kopalni! Jeżeli nie otrzyma koncesji, trzeba będzie ją zamknąć, a to oznacza utratę pracy dla około 3000 górników i kilkunastu tysięcy osób z firm współpracujących z „Śląskiem”. Dodaje, że będzie to również problem dla miasta. Eksploatowane obecnie przez kopalnię złoża wystarczą jeszcze na 2-3 lata. Jeżeli otrzyma koncesję, to przedłuży swój żywot o 6 do 8 lat. Inne gminy: Mikołów i Ruda Śląska, już się zgodziły.*

— Pole panewnickie powinno uczynić z kopalni „Śląsk” jedną z efektywniejszych ekonomicznie — podkreśla wiceprezes Gajos. — Jego eksploatacja będzie w bardzo małym stopniu odczuwalna na powierzchni. Budynkom prawie nic nie grozi. Zarząd KHW zapewnia, że teren pod którym planuje wydobywanie węgla kopalnia „Śląsk” nie straci „swojego pierwotnego znaczenia”. — Jesteśmy przekonani, że w wyniku dyskusji obawy władz miasta znikną i dojdziemy do porozumienia. Nie mamy złych zamiarów, przecież też mieszkamy w Katowicach — stwierdza wicepres Maksymilian Klank. W ocenie zarządu KHW stosunki z władzami Katowic są „bardzo poprawne”. — Mamy zbyt wiele wspólnego z miastem, żeby nie współpracować. Ta współpraca, szczególnie teraz, w okresie reformy górnictwa, jest nieodzowna — podkreśla wiceprezes Klank.

Jest inaczej?

Szefowie katowickiego holdingu bardzo często wychodzą naprzeciw ich problemom. Tak było w przypadku zagospodarowania terenów po likwidowanej kopalni „Katowice”. Po 9 miesiącach negocjacji program został uzgodniony. Dzięki temu holding nie stracił pieniędzy z budżetu państwa na likwidację kopalni.

— Prawo ustawia nas w charakterze partnerów — mówi o układach między władzami Katowic i zarządem KHW wiceprezes Maksymilian Klank. — Nie działamy z pozycji siły. Szukamy rozwiązań wzajemnie korzystnych, nie naruszających interesu stron.

W podobnym tonie wypowiada się wiceprezydent Wojciech Gosiewski. O wzajemnych relacjach między miastem a górnictwem mówi: *— Nastąpiło wzajemne poszanowanie partnerów. Nie chcę powiedzieć, że kiedyś kopalnie nie szanowały władz miejskich, ale było to takie dyktando, bo górnictwo było potęgą. Regulacje prawne — m.in. prawo górnicze i geologiczne — spowodowały, że jest inaczej. Na pewno, jestem o tym przekonany, będą występowały sytuacje sporne i konflikto-*

we, ale wierzę, że mądrość zwycięży i zawsze będziemy dochodzić do sensownych rozwiązań.

STANISŁAWA
WARMBRAND

Reprezentacja
rodu Skibów
oczekiwała mnie
w Urzędzie
Miasta, co
— wzięwszy
pod uwagę historię
— przydało
rozmowie
dodatkowego
smaku.
Spotkaliśmy się
we czwórkę:
Małgorzata Beblo,
Józef Kocurek
i Jan Jacek
Schreiber.



Na zdjęciu od lewej: Jan Jacek Schreiber, Małgorzata Beblo i wiceprezydent Katowic Józef Kocurek — potomkowie Kazimierza Skiby

Foto: Waldemar Bojarun

Dziedzictwo

Wedle rozbudowanego drzewa genealogicznego idzie to tak: Kazimierz Skiba miał dwóch synów — Marcina, zmarłego w wieku 5 lat, Jana oraz 5 córek: Marię, Franciszkę (po mężu Wróblową), Balbinę, Zuzannę, Filipinę. Z linii Jana, pierwszego dyrektora polskiego Banku Ludowego w Katowicach (zmarł w 1932 roku), i jego najstarszej córki Anastazji wywodzi się obecny historyk, autor pracy magisterskiej o Skibach — Jan Jacek Schreiber.

Małgorzata Beblo (z domu Jendrysik) i Józef Kocurek czyli wedle drzewa genealogicznego wnukowie Zofii Koniarkowej, zatem córki Franciszki Wróbel z domu Skibówny, córki Kazimierza. Pani Małgorzata jest córką Elżbiety z domu Kocurek zaś Józef synem Hermenegilda Kocurka. Żeby zażyłości rodowe zrozumieć trzeba wiedzieć, że wnuczka Kazimierza Skiby, Zofia, de domo Wróblówna, miała trzech mężów a więc za pierwszym małżonkiem Wilhelmem, górnikiem który zginął w kopalni była panią Kocurek (z potomstwa z tego małżeństwa wywodzą się właśnie Małgorzata i Józef — obecnie wiceprezydent Katowic), za drugim mężem była panią Hruszkową (Hruszka był z Moraw i zginął w I wojnie światowej) a tertio voto była Koniarkową i wedle tego ostatniego nazwiska jest patronką ulicy, przy której kiedyś mieszkała.

— Wasz antenat, Kazimierz Skiba doszedł do godności sołtysa we wsi

Katowice, leżącej podówczas w państwie pruskim. Wedle wyborców — a więc ich narodowości, czy też wedle reprezentatywności chłopskiego stanu?

Jan Jacek Schreiber: — No cóż, trzeba zrozumieć sytuację mieszkańców tej wioski — w państwie pruskim zniesienie pańszczyzny (również poprzez wykupywanie się chłopów) nastąpiło w 1848 roku. Tymczasem Kazimierz Skiba został wybrany sołtysem Katowic już w 1842 roku. Wiemy, że posługiwał się dwoma językami — polskim i niemieckim...

— Że w państwie pruskim jako sołtys musiał znać niemiecki, to oczywiste. Ale proszę mi udowodnić znajomość języka polskiego...

Jan Jacek Schreiber: — W notatkach biografów Katowic znalazłem opis następującego incydentu: otóż Kazimierz Skiba na swojej podsole wywiesił odezwę w języku polskim, jako że musiał coś tam zakomunikować, a ludność Katowic nie знаła języka niemieckiego. Nawiasem mówiąc, ktoś tę odezwę w nocy zerwał.

Małgorzata Beblo: — Moja babka, Zofia Koniarkowa opowiadała, że jej dziadek, Kazimierz Skiba, mówił po polsku...

Jan Jacek Schreiber: — Mam w spadku po naszym antenacie, Kazimierzowi Skibie, kilka polskich książek z jego podpisem. Jeżeli kupował książki napisane po polsku, to musiał ten język dobrze znać!

Małgorzata Beblo: — Wiem od swojej babki, że jeździł po te książki do Krakowa!

Jan Jacek Schreiber: — Widziałem część prywatnej biblioteki Kazimierza Skiby u nieżyjącego już pana Gruszki (spolszczone Hruszka — przyp. S.W.), który był naszym krewnym z linii Zofii Koniarkowej. Otóż zafrapował mnie w tym zbiorze słownik polsko-laciński z podpisem Kazimierza Skiby. Jest jeszcze jeden szalenie ważny dokument. Otóż jedyny syn Kazimierza Skiby, który dożył dorosłości, Jan, był „na wymowie”, czyli na dożywotnim utrzymaniu u swojej córki, a mojej babki, Anastazji, w Katowicach, przy ulicy Batorego 7. Po śmierci Jana Skiby, założyciela Katowickiego Banku Ludowego, ówczesny dyrektor banku, Antoni Kęsa, przesłał mojej babce list kondolencyjny, w którym podkreśla polskość założonej przez niego instytucji. List ten jest w moim posiadaniu. Jan Skiba przekazał mojej babce wszystkie wiadomości o swoim ojcu Kazimierzowi Skibie na piśmie, w formie pamiętnika. Wiedza w nim zawarta jest tak dokładna, że stała się jednym ze źródeł mojej pracy magisterskiej.

— Dysponuje pan zatem pamiętnikiem Jana Skiby. Chyba czas najwyższy wydać go — może zrobić reprint?

Jan Jacek Schreiber: — Jest jeszcze jedna spadkobierczyni, która musi wyrazić zgodę — obecnie 92-letnia profesor Elżbieta Schreiber; jest

wprawdzie sparaliżowana, ale umysł, drodzy państwo, pracuje jak u nastolatki...

— **Czy przedziwne enuncjacje prawse na temat narodowości Kazimierza Skiby nie są, wedle państwa, anachronizmem? Przecież my rozumiemy wedle kanonów wieku XX, a to był wiek XIX, zatem sprawy mogły być nieco płynne... Czy pokusiliby się państwo, wedle swojej, rodzinnej wiedzy, o zamknięcie tej dyskusji i określenie narodowości Kazimierza Skiby?**

Jan Jacek Schreiber: — Polak! I ta tradycja była w naszym rodzice przekazywana. Kiedy moja babka Anastazja, (po mężu Antonim — Schreiber), wychodziła za męża, na jej weselu w roku 1892 był ówczesny poseł do Reichstagu reprezentujący ludność polską w państwie pruskim — Wojciech Korfanty. Czy sądzi pani, że ten największy na Śląsku polski patriota przyszedłby na wesele do niemieckiej rodziny?

Józef Kocurek: — Czy trzeba pani jeszcze dowodów?!

Małgorzata Beblo: — Polak, na miły Bóg! I dodam jeszcze jedno, nasza, to jest Józka i moja babka — Zofia Koniarkowa, była zdeklarowaną Polką, brała udział w powstaniach, była przewodniczącą Towarzystwa Polek w Bogucicach i wiceprzewodniczącą Towarzystwa Polek w Katowicach, gdzie przewodniczącą była Elżbieta Korfantowa...

— **Czy z domu takie tradycje...?**

Józef Kocurek: - A skądby?! Czy pani rozumie, że nasza babka chodziła do szkoły w czasach pruskich?! Tam polskości na pewno nie uczyli...

Małgorzata Beblo: — Nasza babka opowiadała, że kiedyś do jej szkoły miał zjechać kurator. Więc pochwaliła się dziadkowi, że „bydzie godać wiersz” przed obliczem kuratora. „A po jakiemu? — zapytał ją krótko dziadek Kazimierz Skiba. „No, po niemiecku”... A dziadek jej na to „I ty się nie wstydzisz?!” To ją, widzi pani, spotkało w domu...

Józef Kocurek: — U naszej babki, nad drzwiami, był napis po polsku, to był cytat z Ewangelii wedle świętego Łukasza: *Panie zostań z nami, bo się ma ku wieczorowi, a dzień się już nachylił...*

Małgorzata Beblo: — I my ten napis odnowimy. Znow nas będzie strzegł. W czasie okupacji, kiedy Niemcom było potrzebne mięso armatnie, to i potomków Skiby wlec chcieli do Wehrmachtu. Brat mojej mamy, Józef Hruszka, uciekł. Kiedy gestapo go szukało, ktoś, kto przyniósł babce wezwanie, zauważył napis nad drzwiami i pyta ostro: to po polsku? A babka na to: Nie, to po łacinie... Dumni jesteśmy, że bywała u niej i pani Bronisława Szymkowiakówna, a z Instytutu Śląskiego pan Alojzy Targ!

Jan Jacek Schreiber: — To on mnie namówił do pisania pracy magisterskiej o Skibach, a u profesora Pa-

chońskiego, który był jej promotorem, zacząłem robić doktorat...

— **Drodzy państwo, spór Kazimierza Skiby z Grundmannem...**

Jan Jacek Schreiber: — Pomówmy o materiałach o Katowicach, bo to jest coś o czym chyba nikt nie wie... Otóż prof. Pachoński sądził, że są w Opolu, tymczasem profesor Anto-

nownie dotrzeć. Co się z nimi stało?...

— **Tragiczne dla Śląska, tragiczne dla każdego pogranicza lata 1939—1945...**

Małgorzata Beblo: — Z naszej linii Alojzy Kocurek uciekł przez Węgry na Bliski Wschód a potem z Wojskiem Polskim Tobruk, Monte Cassino... Do 1961 roku był w Anglii, a w 1962 wrócił do Katowic. Zmarł w 1964 roku. Jego przyrodni brat Antoni Hruszka uciekł do Jugosławii, potem do Francji, gdzie walczył w polskich oddziałach; internowany, lata całe, do 1993 roku przeżył w Szwajcarii jako bezpaństwo-wiec. W Szwajcarii skończył prawo, tam żył, ale obywatelstwa nie chciał, bo był Polakiem. Przyjechał do wolnej, jak marzył, Polski, w 1993 roku. Zmarł w 1996.

— **Emigracja do Niemiec nie jest u nas, myślę o całym kraju, niczym zdumiewającym w ostatnich, szczególnie 70. i 80. latach...**

Jan Jacek Schreiber: — W prostej linii ze Skibów, to w Niemczech przebywał nieżyjący już wnuk Kazimierza Skiby, Stanisław Skiba, ojciec Urszuli (Ursel Skiby).

— **Co było przyczyną emigracji?**

Jan Jacek Schreiber: — Żona. Po prostu Stanisław Skiba ożenił się z Niemką, a ta dzieci wychowała w duchu niemieckim. Do Niemiec wyemigrowali zaraz po wojnie. Następny to Bernard Skiba...

— **Chyba Bernd? Tak przynajmniej podpisał list do mnie...**

Jan Jacek Schreiber: — Droga pani, sprawdzaliśmy w Urzędzie Stanu Cywilnego w Lipinach, tam gdzie się urodził. Zapisany jest jako Bernard Skiba. Zresztą, z tymi imionami... W krajach arabskich nazywano mnie

now, główny archiwista w ówczesnej Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Katowicach, skierował mnie do... archiwum w Urzędzie Miasta we Wrocławiu. Istotnie, były tam całe wory katowickich dokumentów. Taki był stan w roku 1968, no, może 1969. Prawdopodobnie znalazły się tam w 1945 roku. Niestety, nie miałem potem okazji do tych materiałów po-



Ślub Franciszki Skibówny (pierwsza od lewej). Obok niej siedzą: Agnieszka Skiba, Jan Skiba i Anastazja — po mężu Schreiber. Stoją: (od prawej) Jan Skiba (junior), Ignacy Skiba, ks. Franciszek Skiba, Jadwiga Skiba, Elżbieta Skiba oraz Stanisław Skiba. Zdjęcie z roku 1907.

Ali, a Rosjanie — Iwan. Wujek mieszkający w Kanadzie pisze do mnie per John. A ja byłem i jestem Janem. O jeszcze jednym Skibie musimy pamiętać — o Karolu, synu Ignacego, który studiował teologię. W czasie wojny, jako alumn wziął udział w konspiracyjnych obchodach 3 Maja. Była, niestety wyspa i Karol Skiba został wcielony do karnej kompanii Wehrmachtu. Zginął na wschodnim froncie...

Józef Kocurek: — Od tematu nie uciekniemy, więc i ja muszę przypomnieć, że nasza babka miała 6 dzieci, 16 wnuków i wszyscy są w Polsce. Dopiero prawnukowie, a jest ich 40, zabrali się do emigracji i to w liczbie... trzech. Była to zresztą emigracja zarobkowa, młodych, niedoświadczonych, bo dwudziestokilkuletnich ludzi...

— **Czy poczucie polskości jest ważne? Jesteśmy Europejczykami, świat przed nami stoi otworem...**

Jan Jacek Schreiber: — To podstawa. Kiedyś napisałem, że my, Ślązacy, dzielimy się na trzy kategorie — polskich, proniemieckich i samych Ślązaków dla... Ślązaków. Ja kiedyś, przyznając to otwarcie, byłem za autonomią Śląska. Tylko, wie pani, nas Ślązaków jest do tego za mało... Więc pozostał wybór — propolski czy proniemiecki. Ja jestem Ślązak propolski.

Małgorzata Beblo: — Ja jestem taka jak babka — tak jak ona mówię i myślę po polsku. Tego się nie da wyrwać.

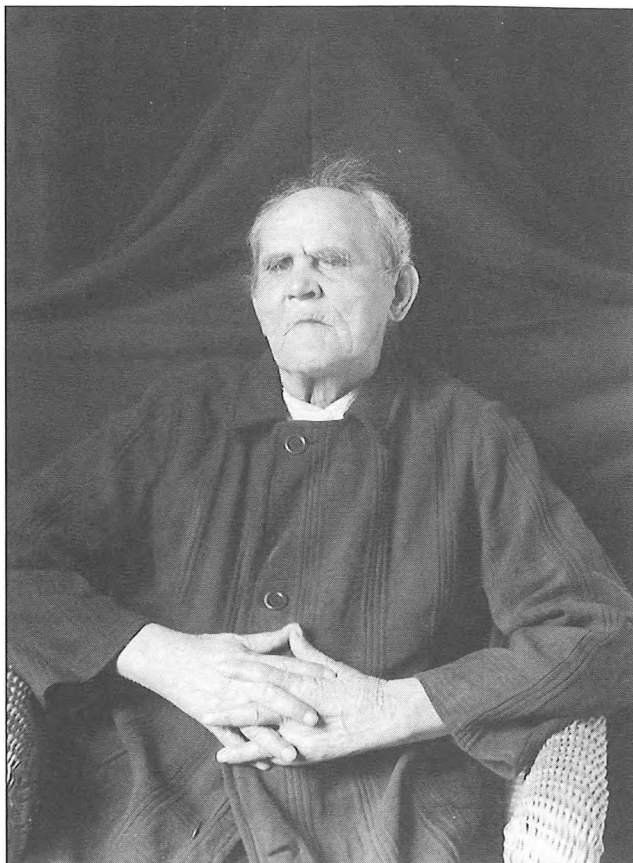
Józef Kocurek: — Poczucie polskości mam nawet w podświadomości. Z domu wynieśliśmy dwie podstawy — wiarę i polskość. W latach 80. byłem z żoną parę razy we Francji. Rzecz oczywista, że jechałem również przez Niemcy. Mogłem zostać w jednym i drugim kraju na zawsze, ale nawet mi to do głowy nie przyszło.

Małgorzata Beblo: — Wie pani, w domu, to my som tukej, w Katowicach, na Śląsku, w Polsce. Przypomnę, że to Śląsk chciał być w Polsce, a nie Polska mówiła — my chcemy Śląska. I o to walczył Korfanty, i nasza babka.

Józef Kocurek: — Skibowie są wszędzie. Brat naszej babki — ksiądz Jan Wróbel, był polskim misjonarzem w Brazylii. Takie widzi pani, mamy „niemieckie” ciągoty...

Małgorzata Beblo: — A siostra naszej babki Anna Wróbel, zakonne imię Eligia, była przełożoną w klasztorze Jadowizank w Odensee w Danii (zmarła w 1946 roku).

Jan Jacek Schreiber: - Brat mojej babki Anastazji (wnuk Kazimierza), ksiądz Franciszek Skiba miał polskie prymicje w Kościele Mariackim w Katowicach 24.06.1897 r. Mam obrazek prymicyjny. Po polsku.



Jan Skiba syn Kazimierza (1884-1932 r.) dyrektor polskiego Banku Ludowego w Katowicach

— **Ilu potomków rodu Skibów mieszka w Katowicach?**

Wszyscy rozmówcy, policzywszy z grubsza: — Chyba kilkuset!

— **A w Niemczech?**

— Kilku.

Małgorzata Beblo: — Najwyższy czas zrobić zjazd całego rodu!

— **Kiedy Kazimierz Skiba wszedł w konflikt z Grundmannem, Katowice były wioską wciśniętą między Rawę a... bagno, a przez obecny Rynek płynęło się tratwą!**

Józef Kocurek: — W roku 1873 pisano, że Rawa jest rzeką czystą, pełną

raków i ryb..., a już w roku 1893 Rawa była brudna.

— **Ta wioska jest jednak miastem, tak jak chciał Grundmann, po myśli Skiby zaś była polska wioska, więc spór jakby zakrzepił w pół drogi...**

Małgorzata Beblo: — Tak. Słusznie, I ja chcę przypomnieć, że Katowice były wioską polską, z polską ludnością, na terenie państwa pruskiego...

Jan Jacek Schreiber: — Nie trzeba być fachowcem, żeby wiedzieć, że katowiczanie czasów Kazimierza Skiby to przede wszystkim rodowici Ślązacy oraz przybysze z sąsiedniego Krakowskiego, Kieleckiego a w najmniejszym stopniu, jednostki, z głębi Niemiec. Zresztą, co tu dużo gadać, ojciec Kazimierza Skiby, Jakub Skiba pochodził właśnie albo z Krakowskiego, albo z Kieleckiego, a jego metryka chrztu znajduje się w Czeladzi!

— **Ja jednak uparcie chcę wrócić do sporu Skiby z Grundmannem. Bo chyba jest niezłym figlem historii, że wiceprezydent Katowic**

— wojewódzkiego miasta na polskim Śląsku jest Józef Kocurek, potomek upartego sołtysa walczącego o wioskę Katowice — Kazimierza Skiby?!

Małgorzata Beblo: — Dodam, że to nie jedyny żart historii, bo w okresie międzywojennym nasza babka, Zofia Koniarkowa, była radną w Katowicach — mieście! I w dodatku ostro występowała w obronie biedoty, także niemieckiej, mieszkającej na hałdach. To ona doprowadziła do tego, że tym ludziom dano dach nad głową. I ta niemiecka biedota obroniła naszą babkę przed wywózką do obozu koncentracyjnego.

— **Ciekawam, czy Józef Kocurek widzi czasem, idąc naszymi Katowicami, cień prapradziadka Kazimierza?**

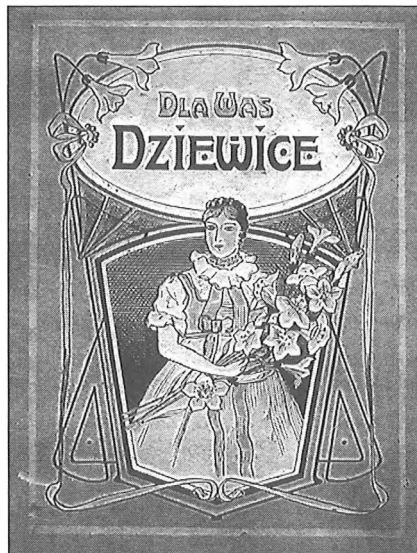
Józef Kocurek: - Im bardziej wnikiem w historię mojego rodu, który na dobre i złe tkwi w Katowicach — wiosce i mieście, tym większy czuję ciężar. Świadomość dziedziczenia losu i miejsca na ziemi po kimś, kto również próbował coś zrobić dla tej społeczności, nie jest łatwa.

— **Czy próbował pan kiedyś rozszyfrować sposób myślenia Kazimierza Skiby?**

Józef Kocurek: To nieporównywalne — mała wioska w stosunku do ogromnego miasta...

— **Co to się, proszę państwa, z Katowicami porobiło...? Nie dziwota, że nawet święty Jan, na rozstajnych drogach Katowic — i wioski, i miasta, tkwi w zadumie...**

Ilustracje ze zbiorów Jana Jacka Schreibera.



Tomik wierszy ks. Franciszka Skiby, wydany w drukarni Karola Miarki w Mikołowie w 1907 r.

Pierwsza

Zalepione postrzępionymi afiszami witryny. Dwa brzydactwa na pięknej ulicy. Zakurzony papier i szkło. Kiedyś leżały tu książki. Nawet dobre. Można było którąś przeczytać.

W jednej z wnęk siedzi biedak z pieskiem. Stary przy starym. Piją fioletowe z butelki. Człek od roku ten sam. W tym samym gałganie, z tą samą twarzą. Przy tej samej na pieniążki misce. Tylko psy się zmieniają. Tak co miesiąc. Może zjada skomlące białko? a może ten biedny zorganizował na 3 Maja pieskie Hospicjum? Przygarnia zdychającego psa i poi za użebране denaturatem. Widzą psy na żegnaj swoje życie w rozszczepionych fioletach. Niebieskie kości z czerwonym zapachem.

— Co mi pani daje jakieś pieniądze?! I to prosto do ręki! — obruszył się w tekturowym pudle. — To pies żebrze. Nie ja! — wyjechał z buzią, z pyskiem na litościwą paniusię. Chociaż gruba przewiercił ją wzrokiem na wylot. Zobaczył przez dziurę rynek. A na rynku teatr z „Rzeźnią” Mroźka. — Niech pani włoży forszę do tej plastikowej miski — rozebrał w myślach kobi(e)tę. Najpierw z naturalnego futra a potem ze złotych pierścionków. Strącił mięso z kości i odprowadził szkielet na Młyńską 1. Do dziennikarzy, na wieczorek szamański. Przecież środa dzisiaj. — Ja proszę pani jestem nieskończonym inżynierem. Pracowałem sześć lat w zjednoczeniu — zabeblał w mokrych papierosach. — Tak, inżynierem ze zjednoczenia. Niestety straciłem tam zdrowie pijąc ponad sity — znalazł w mokrych kingsajzach wilgotnego. Wsadził w usta królewską wielkość i potarł o szybę zapalką. — Teraz opiekuję się psami. Zbieram chore do koszy, koszyków. I karmię. A kiedy umrą zakopuję za miastem. Daleko od zgrzytających tramwai — zapalił papierosa z deszczem. — Chcę zachować resztę siebie, czegoś. Chociaż już nie wiem czego. Zapomniałem. Ale czuję, że to ważne — zaciągnął się głęboko.

Druga

Pomnik Powstańców Śląskich. Trzy sztandary miłości dla naszej ojczyzny, dla tej ciężkiej ziemi. Dla naszego Śląska. Stoi patos na wysokiej skarpie. Wielki z każdej strony.

A w środku wzniesłego — dziewczyna i chłopak. Jakby wycięci z innej przestrzeni. I czasu. Wyrzucone na spodnie koszule. Mnóstwo koszul o różnych długościach. Kolor na kolorze. Aż skrzypi pod powieką. Deskorolkowcy! Młodzież na dechach. Przytuleni do drugiego powstania ca-

SCENKI

JACEK DURSKI

lują się pod skrzydłem. dziewczyna chce też trochę pogadać, pooddychać troszkę.

— Zeszli się znowu i zaś się kłóca — zaczyna o kochanych rodzicach. — Od wczoraj nie mogę z nimi wytrzymać. Co za nowobogackie bankruty. Rozebraliby nawet ten pomnik. Po co komuś skrzydła? Można z nich odlać miliony wisiorków i otworzyć sklepik-biznesik. Najlepiej w kościele. A potem biznes! Wielki market za dużym miastem — odchyła usta, twarz od twarzy chłopaka. Jest zła, więc nie będzie przychyłać.

— Moi też się zwarli z powrotem — oderwał się chłopak od drugiego powstania. Pociągnął za sobą dziewczynę. I jadą ze skarpy trzymając się za ręce. Tacy kolorowi na szarym wzniesieniu. Teraz już na prostej. Pędzą chodnikiem potrącając pieszych. Jednej pańci spadł na twarde telefon komórkowy. A drugiej torba z jajami. Omlet z pocztą głosową.

— Zeszli się, żeby mnie... — zawołał do włosów dziewczyny. Puścił jej rękę i — skoczył. To znaczy skręcił kickflipa 360. W wielkim słońcu i w wielkich koszulach. Pełny przewrót pod niebem.

O! Potrafi „skejtować”. Dobrze wykorzystał rozpęd i wyczuł krawężnik. Stał mocne odbicie.

— Tak mnie wkurzają od rana. Każdą gadką. Nawet milczącą. A najwięcej tym „popatrz na siostrę, nie jeździ na rolnkach i nie goli głowy” — chwycił palcem palec dziewczęcia.

— A mnie wkurzają od obiadu — dodała mu jeszcze cztery z szybkim pocałunkiem.

— No to jedziemy pod rondo. W ten zakręcony tunel — zabrał jej drugą rękę i rozpiął pierwszą koszulę.

— Ekstra się z tobą rozmawia.

Przeskoczyli nad wystającym z wjazdu elektrykiem. Zniknął w dziurze szybciej niż szybko. I nad klombami bez kwiatów. I nad dziadkiem bez babci. Tu już przesadziłem.

Jadą powoli pod rondo bujając się w takt Hip-Hopa. Razem, powolutku w powracającym rytmie. Opowiadają Hipowi i Hopowi o swoich zgredach.

Trzecia

Chłopak sprowadza po stopniach staruszka. Sam się zapytał czy pomóc. I teraz ma dobrą robotę na dobrą godzinę. Ileż to pięter w „Skarbku”? Musi wysłuchać o dawnych latach, kiedy to dziadek był ho, ho. Najbardziej przy siatce. Grał w tenisa, w parze mieszanej. Londyn nie Londyn. Z samą Jędrzejowską. A potem latał za jej psem po Parku Kościuszki. Bo był w pannie Jadzi bardzo zakochany.

Patrzą ludziska na młodego, starego. „Tu ktoś komuś pomaga” szeptają wystraszeni. „Pomaga!” — krzyczą w przerażeniu.

— Jakaś demonstracja na schodach? — zasalutował policjant obywatelom z torbami.

— Zadźwońmy po telewizję. Niech sfilmują młodego i pokażą światu. Najlepiej w „Aktualnościach” albo w „To jest temat” — wrzeszczy taki gruby z wielkim kryształem.

— A po co telewizję. Trzeba postawić mu kilka pomników. Tu pod „Skarbkiem” i w rynku. Na przekór tramwajom. Mój kuzyn jest rzeźbiarzem. Może to wszystko wykuć albo odlać — woła taki chudy z dużą donicą.

Wreszcie są wszyscy na dole. Sprowadził młody starego. Uśmiechnął się do zgromadzonych „dziwna z was rasa”. I odszedł sobie zwyczajnie.

Ruszył też dziadek w kierunku Warszawskiej. Niestety, poplątały mu się nogi z rękami. Chciał ludziskom pokazać, tak na do widzenia, jak kiedyś smeczował. Podrzucił wysoko beret i zbił na granatowe dłonią na jeźdźnię. Wyskoczyła mu stopa do góry. Zbyt się podniosła na starość. Leży więc dziadek obok beretu. Siwy i siny przy granatowym.

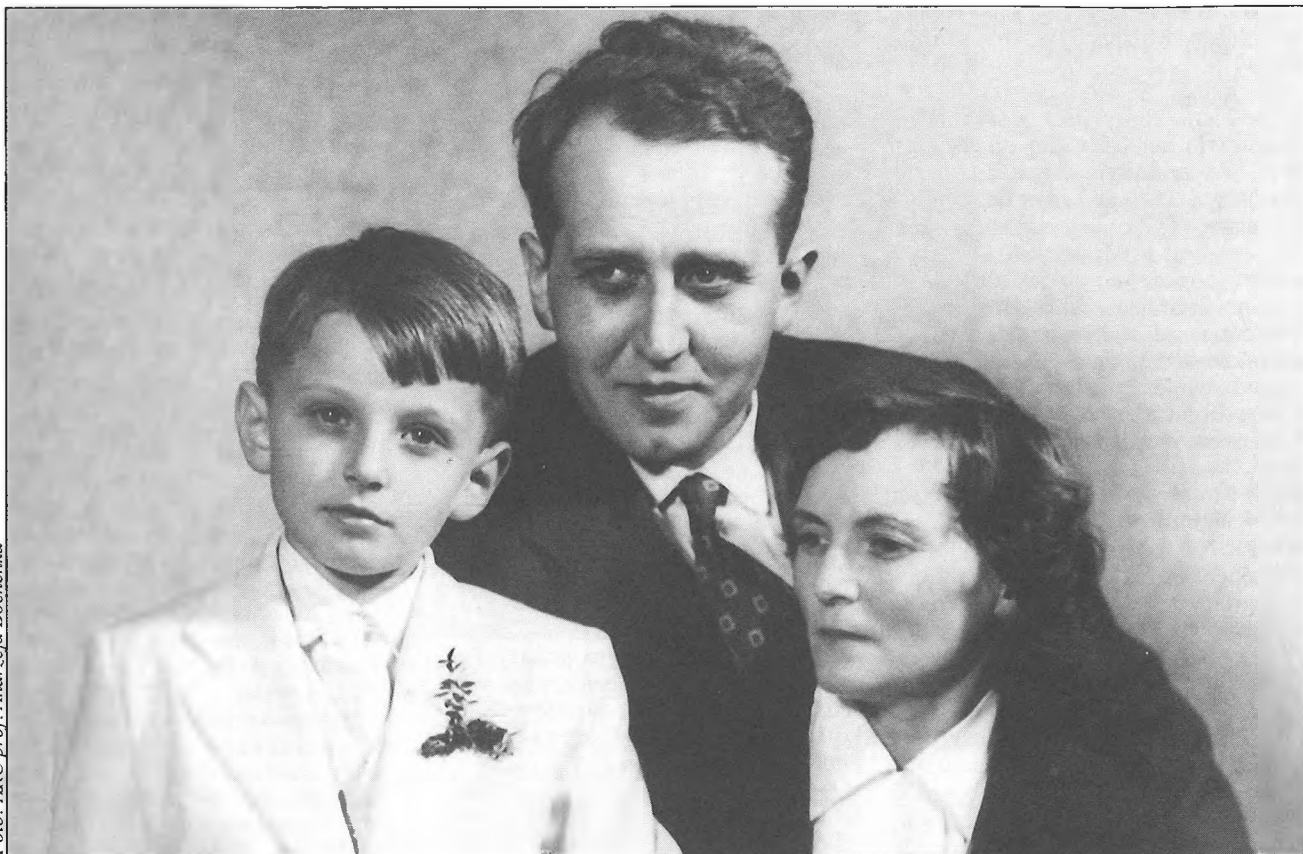
— I co teraz z tą leżącą sklerozą? — pyta paniusia z bagietkami. — Umrze se skleroty pod „Skarbkiem” a ja będę łązić po prokuratorach.

— A gdzie ten młody? — odezwał się grubas z kryształem. — Ten od pomagania. Musimy go znaleźć, żeby się zajął...

I pobiegli wszyscy szukać tego chłopaka.

Z prof. dr. n. med. **ANDRZEJEM BOCHENKIEM**
kierownikiem I Kliniki Kardiochirurgii Śląskiej Akademii Medycznej
w Katowicach-Ochojcu rozmawia **EWELINA PUCZEK**

Foto: ARC prof. Andrzej Bochenka



Andrzej Bochenek z rodzicami.

„Czuję się lekarzem spełnionym”

— Cieszy się pan opinią kardiochirurga najwyższego formatu, ale też opinią wspaniałego człowieka. Człowieczeństwa nie uczy się jednak na studiach, to kwestia wychowania. Zaczniemy zatem naszą rozmowę od rodzinnego domu. Jaki system wartości w nim obowiązywał?

— Myślę, że te wszystkie opinie, które pani wygłosiła w stosunku do mojej osoby nie są zasłużone, chętnie natomiast opowiem o swoim rodzinnym domu. Pochodzę ze śląskiej rodziny. Ślączką była matka i ojciec. Rodzice ciężko pracowali, aby mnie i mojemu bratu umożliwić studia. Zawsze zastanawiałem się kto mnie ukształtował....

Myślę, że pewne cechy odziedziczyłem po matce, inne po ojcu. Mama ma złote ręce, niezwykle zdolności manualne. Myślę, że tę zręczność rąk, tak ważną w profesji chirurga, po niej odziedziczyłem. Ojciec był niezwykle otwarty do ludzi. Z każdym chętnie rozmawiał, rozpytując o kłopoty i problemy. Ci którzy znali mojego tatę twierdzą, że te cechy czynią mnie do niego podobnym. W domu obowiązywała zasada, solidnej, dokładnej pracy, rodzice uczyli szacunku do niej, uważali, że podstawą sukcesu w życiu jest gruntowne wykształcenie.

— Szacunek do pracy to śląska cecha...

— Nie jestem o tym do końca przekonany. Znam wielu ludzi, którzy nie są Ślązami a powierzone zadania wykonują precyzyjnie i solidnie. I odwrotnie. Znam Ślązków, którzy tych cech nie mają. Nie wiązałbym tego z regionem a z atmosferą panującą w domu. Dobry przykład rodziców, był dla mnie i mojego brata wartością najwyższą.

— Trudno nie zapytać o motyw wyboru studiów medycznych, a potem kardiochirurgicznej specjalizacji. Kiedy kończył pan w 1973 roku studia, operacje serca były czymś w rodzaju sensacji, a śmiertelność pacjentów ogromna. Czy miał Pan Profesor jakieś przecucie, wewnętrzne szarpnięcie, że w tej dziwnej medycynie może zdarzyć się coś niezwykłego, że warto w to wejść?

— Znajomi i dziennikarze zwykle pytają o to, dlaczego zostałem lekarzem. Mimo upływu lat, nie udało mi się wymyślić jakiejś ciekawostkowej opowieści na ten temat... Nie byłem, przyznam, dobrym mate-

matykiem, interesowała mnie natomiast biologia, fizjologia. Wybrałem zatem studia medyczne i patrzak wstecz, muszę przyznać, że z roku na rok coraz bardziej mi się podobały. Tak więc, w moim przypadku nie było to jakieś szczególne powołanie, fascynacja zawodem lekarza tylko, można powiedzieć, szczęśliwy przypadek, który sprawił, że trafiłem w swoje zainteresowania i, jak sądzę, predyspozycje.

Zacząłem pracę w wojewódzkim ośrodku kardiologii, którego twórcą był prof. Wolański. Dzięki jego zapobiegliwości w tym ośrodku znalazło się sporo aparatury elektronicznej. Pamiętam, jak ogromnie się wtedy ucieszyłem, że medycyna to nie będzie już tylko łóżko, słuchawki, obserwacja pacjentów po zawałach, czekanie jak się on rozwinię w dobrą czy złą stronę. Ja rzeczywiście miałem jakieś przeczucie, że pewna medycyna fizykalna się skończy, że urządzenia i aparaty, będą nam dawały wiele diagnostycznych odpowiedzi. Szukając bardziej inwazyjnych sposobów leczenia trafiłem na wspaniałych chirurgów: doktora Kowalskiego, doktora Puzio. Za ich sprawą z kardiologii przeszedłem na chirurgię i tam zetknąłem się z wielką osobistością prof. Tadeuszem Paliwodą, który, co wówczas było rzadkością, był na Zachodzie, i widząc jaki się tam dokonuje postęp, zaczął przed nami, młodymi lekarzami, rozstracać wizje nowoczesnej medycyny. Ogromnie się wtedy zaangażowałem, polknąłem bakcyła i choć wiele rzeczy wówczas nam nie wychodziło, byłem absolutnie przekonany, że znajdujemy się na właściwej drodze i wkrótce będziemy w stanie poprawić wyniki chirurgiczne, które nie były najlepsze. Załuję, że w Polsce na Śląsku nie ma tendencji zbieractwa, że nie utworzyliśmy czegoś w rodzaju muzeum urządzeń kardiologicznych, po którym można by dziś oprowadzać młodych lekarzy pokazując jak to wszystko się rozwijało i postępowało. Było w nim miejsce i na wannę do hipotermii, czy ogromne płuco serce jak na owe czasy, lata 70-te, ogromnie nowoczesne. Skonstruował je, pracujący do dziś profesor Antoszewski. Gdyby wówczas były środki na kontynuowanie rozpoczętego dzieła, udoskonalanie prototypowego urządzenia, może dziś nie musielibyśmy kupować supernowoczesnego płucoserca w Stanach Zjednoczonych, Niemczech. Gdyby wtedy zainwestowano w tych wspaniałych ludzi, pozwolono im rozwijać twórczą myśl... Nie bez żalu myślę o tym ile straciliśmy, lekarze, pacjenci, cały śląski region.

— **Są obrazy, których nie zaciera czas. Pierwsza operacja w której Pan asystował. Czytałam o tym. Niesamowita scenaria. Czas akcji liczony w minutach. Co wtedy czuł młody z rocznym stażem lekarz?**

— To było rzeczywiście bardzo dziwne, wręcz niesamowite. Pierwsze operacje w krążeniu pozaustrojowym przygotowywało się nieraz przez kilka dni. Każda operacja miała bardo dokładny opis, brało w niej udział do 30 lekarzy. Wszyscy mieli przydzielone zadanie. Moje polegało na koordynowaniu pracą... pralni, bo jeżeli ona była czynna, na sali operacyjnej brakowało wody, której wówczas podczas zabiegu, dużo się zużywało. Byłem tak przejęty ciągłym zbieganiem do pralni, że przyznam, niewiele ze swoich pierwszych operacji pamiętam. Jako młody asystent marzyłem aby dojść do stołu operacyjnego, przy którym wówczas pracował profesor Paliwoda, i obecni profesorowie: Jolanta Dobosz i Stanisław Woś. Wówczas dla mnie nie było przy nim miejsca. Jednak na szczęście prof. Paliwoda szybko ocenił, że potrafię sobie radzić z bardziej odpowiedzialnymi zadaniami niż ko-

ordynowaniem pracą pralni i pozwolono mi asystować przy operacyjnym stole.

Pamiętam także operacje bez użycia krążenia pozaustrojowego, w głębokiej hipotermii. Żeby bezpiecznie zatrzymać serce, trzeba było ochłodzić organizm. Pacjenta oziębano w wannie z lodem do temperatury 29°C, następnie przenoszono go na stół operacyjny. Było tylko 9 minut na zaszcycie ubytku. Zatrzymanie krążenia w tej temperaturze nie powoduje uszkodzenia mózgu. Tylko profesor mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za perfekcyjne wykonanie zabiegu w tak ogromnym pośpiechu. Wszystko to było niezwykle i niepowtarzalne. Obecnie jest zupełnie inaczej. Dziś nie ma już zabiegów zastrzężonych tylko dla profesorów. Technika operacyjna jest dziś taka, aby zabieg mógł wykonać każdy kardiochirurg. Nie ma operacji dla nadludzi, są one dla wszystkich specjalistów z tej dziedziny i to jest wyzwanie dla tych, którzy szkolą kardiochirurgów.

— **Kiedy dla Pana Profesora zaczęła się prawdziwa, wielka kariochirurgia?**

Dla mnie w Szwecji w Instytucie Karolinska u profesora Björka, gdzie na dwa tygodnie zabrał mnie profesor Paliwoda. Było to tuż przed stanem wojennym. W Polsce czuło się już wyraźny niepokój, profesor był wyraźnie zdęgowany, stracił wiarę w to, że w Polsce będzie można coś zmienić. Zaproponował mi, ryzykując wówczas tak wiele, pozostanie na Zachodzie, gdzie uważał, że się nie zmarnuje i nauczę prawdziwej, nowoczesnej kardiologii. Ale ja nie zostałem, wróciłem i pamiętam, zrobiłem razem z profesorem i jego asystentami według nowoczesnej przywiezionej ze Szwecji technologii pierwszą operację bay-passów. Pacjent przeżył, był to mieszkaniec Zabrze, wkrótce wyemigrował jak wielu Ślązaków w tych trudnych latach do RFN. Słał potem do nas listy dziękczynne, pisał że bay-passy trzymają i w ogóle ma się dobrze. Wtedy zaczęła się dla mnie prawdziwa kardiochirurgia, ale niestety profesor Paliwoda zmarł. Nas, jego uczniów, ogarnął smutek, po utracie wielkiego nauczyciela i autorytetu. Pesymistycznie patrzyliśmy w przyszłość, wydawało się, że wszystko i na długo utknie w martwym punkcie. Wtedy to, jeszcze dzięki wcześniejszym staraniom profesora Paliwody, wyjechałem na szkolenie do Wielkiej Brytanii. Spotkałem tam wielu wspaniałych ludzi, doktora J. Bailley'a i doktora Andrzeja Sosnowskiego, który, jako działacz Solidarności, był zmuszony emigrować z Polski i na obczyźnie wyszkolił wielu pracujących obecnie na Śląsku kardiochirurgów. Tymczasem na Śląsk przyjechał profesor Zbigniew Religa. Niewiele się zastanawiając zgłosiłem się do niego. Przyjął mnie w swoim skromnym gabinecie niezwykle ciepło i serdecznie. Z entuzjazmem jednym tchem wyliczył: Będziemy tutaj w Zabrzu wszczepiać bay-passy, wszczepiać zastawki, przeszczepiać serca, wszczepiać sztuczne serce. Zapytałem kiedy? Już za pół roku, no może za rok... Pomyślałem: To jakiś wizjoner, fantasta, ale lepiej pracować z takim, który ma jakąś wizję, niż z kimś który nie ma jej wcale. Profesor dotrzymał słowa. Po roku zaczęło się. Jedną transplantacja za drugą... Pracowaliśmy jak w transie. Dla nikogo nie było ulgowiej taryfy, zadnego; „profesorze zmiłuj się, zona jest w ciąży, już rodzi”. Jako młody lekarz nie bardzo wiedziałem, byłem w rozterce: zostać w klinice, czy jechać do domu... Profesor nadał ostre tempo, wysoko podniósł poprzeczkę, wszystko podporządkował temu co działo się w klinice. Potrafił nas, młodych 30-letnich lekarzy, maksymalnie zmobilizować, wskrzesić entuzjazm, poczucie uczestniczenia w czymś niezwykle, pionierskim

Profesor ANDRZEJ BOCHENEK to nie tylko wysokiej, światowej klasy lekarz, kardiolog, naukowiec i nauczyciel akademicki, ale także wspaniały człowiek, kolega i przyjaciel. Obok niewątpliwie niezwykłego dary intelektu i wiedzy oraz kardiologicznych zdolności manualnych, Profesor Bochenek jest ogólnie ceniony za cechy swego charakteru takie, jak serdeczność dla otoczenia, troska o każdego powierzony jego opiece, dyspozycyjność dla chorego i personelu przez całą dobę, pracowitość i rzetelność. Profesor Bochenek nie boi się podjąć leczenia operacyjnego u chorego z istotnym ryzykiem operacyjnym o ile jest przekonany, że jest to najlepsza i często jedyna skuteczna metoda postępowania dla poprawy komfortu i wydłużenia życia chorego, lub wręcz ratowania jego życia. Dzięki ogromnej wiedzy medycznej i intuicji lekarza — naukowca, wychyła z wyprzedzeniem trendy nowoczesnej terapii kardiologicznej i wdraża je z powodzeniem do praktyki. Kierowaną przez niego I Klinikę Kardiologii ŚL.A.M. przoduje w kraju nie tylko pod względem liczby chorych z chorobą wieńcową leczonych „bay-passami”, ale także imponuje skutecznością nowoczesnych metod operacyjnych. W ciągu 10 lat znajomości i współpracy, utwierdziłem się w przekonaniu że podjęta przeze mnie przed laty decyzja włączenia profesora Bochenka w działalność Górnośląskiego Ośrodka Kardiologii w Katowicach — Ochojcu była najbardziej słuszną. Nie może zatem nikogo dziwić fakt, że moja współpraca i przyjaźń z profesorem Andrzejem Bochenkiem jest dla mnie powodem satysfakcji i prawdziwej dumy.

prof.dr hab n.med LESZEK GIEC

Potrafię, jak sądzę, obiektywnie ocenić profesora Andrzeja Bochenka, bo znam go od ponad 15 lat i to na różnych etapach zawodowej kariery. Prof. Bochenek jest niezwykle uczciwym, rzetelnym i lojalnym człowiekiem. Uczciwość rozumie jako stosunek zarówno do bliskich, jak współpracowników a przede wszystkim pacjentów. Każdy chory objęty jego opieką może się czuć w pełni bezpieczny i pewny, że zapewni maksimum starań i medycznej wiedzy. Rzetelność profesora polega na mówieniu prawdy w oczy, pacjent otrzyma rzetelną ocenę stanu swojej osoby. Jest i był lojalny wobec szefa czyli mojej osoby, ale myślę, że taki sam byłby w stosunku do każdego zwierzchnika. Nie unika mówienia prawdy nawet wtedy, kiedy jest ona niewygodna dla przełożonego lub sprzeczna z jego decyzjami. Podobnie lojalny jest wobec kolegów, współpracowników i co jest szczególnie ważne — wobec swoich podwładnych. Nie blokuje im drogi do awansu, przeciwnie, otwiera szeroko drzwi do zawodowych karier. Jednocześnie, jeśli zachodzi taka potrzeba, nie stroni od krytycznych, surowych ocen. Profesor Bochenek to człowiek ciężkiej pracy, dokładający starań, aby jego wiedza dorównywała, światowemu medycznym osiągnięciom. Kierując się takim celem wprowadza do polskiej kardiologii autentyczną nowoczesność. Poznanie profesora, współpraca z nim i przez pewien czas możliwość kierowania jego poczynaniami oceniam jako szczęśliwe zdarzenie losu. Przyjaźń z profesorem jest dla mnie osobliwie powodem do dumy i nieustającej satysfakcji.

prof.dr n.med. ZBIGNIEW RELIGA

i przełomowym. Przyjeżdżali profesorowie z Moskwy, Czech. Na Śląsku, gdzie wydawało się, że nic nie jest możliwe, w Zabrze dotąd znanym jedynie z piłkarskiego klubu, nagle się okazało, że dzieją się rzeczy niezwykłe, o których dotąd wiedzieliśmy jedynie z zagranicznych agencji prasowych. Wyobraża sobie pani, jak byliśmy wtedy dumni! Szkoda tylko, że dzień po dniu nikt wtedy tego nie notował, nie zapisał dla pokoleń.

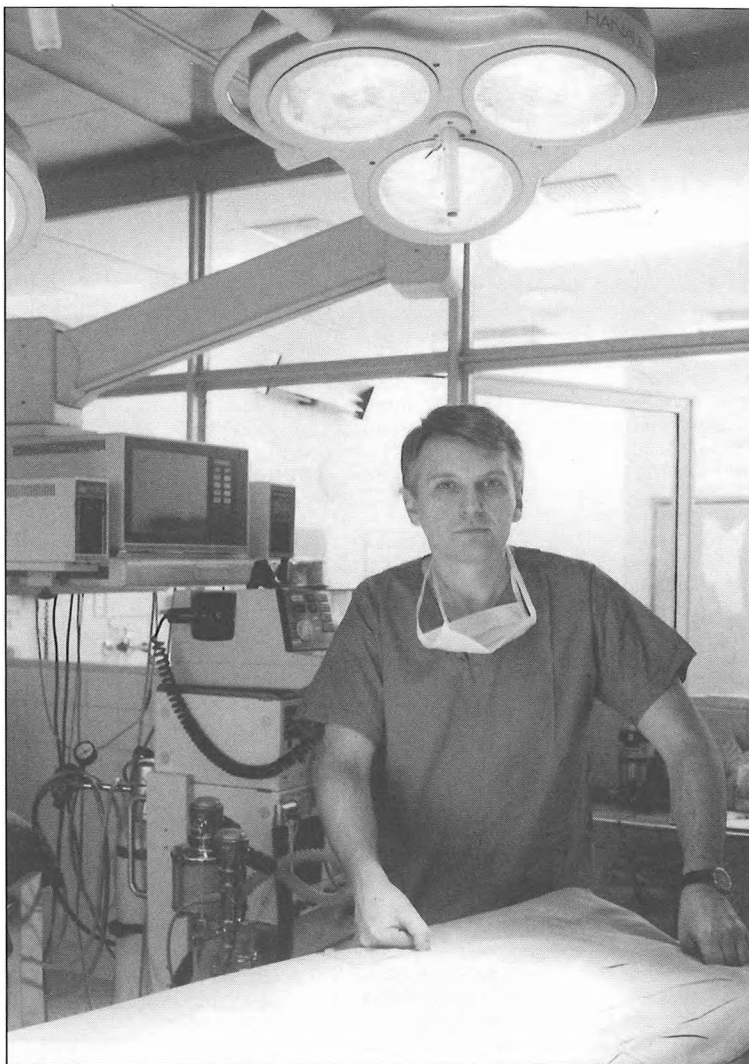
— **Dziennikarze mieli też swoje emocje związane z tym, co działo się w zabrzańskiej klinice. Jednego dnia podawaliśmy informacje o przeprowadzonej transplantacji, w napięciu czekaliśmy co zdarzy się jutro. Niestety pacjent umierał...**

— Można by zapytać dlaczego prasa była o tym informowana? Dlaczego nie tailiśmy porażek? Dlaczego z informacjami o tym co dzieje się w klinice nie czekaliśmy na pierwszy sukces? Profesor Religa, tym co robił, otwierał zamknięte dotąd drzwi. Uczciwie i od początku informował o wszystkim, wierzył że się uda, chciał pozyskać społeczną akceptację dla tego rodzaju przedsięwzięć. Właśnie dzięki mediom, prasie, radiu, telewizji, mimo pierwszych niepowodzeń, na Śląsku

powstał klimat bardzo przychylny dla pionierskich poczynań Religi. My także czytaliśmy o sobie. Operacja się udała a pacjent zmarł. Proszę sobie wyobrazić z jakim obciążeniem pracowaliśmy, pod jakże ogromną presją opinii publicznej. Ale media nam bardzo pomogły, tak samo jak my, czekały na tę najlepszą wiadomość. Wreszcie trzecia próba i przełom. Pacjent przeżył! Następne transplantacje też były udane. Cieszyłem się ogromnie ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, że największe stresy i emocje są dopiero przede mną. Profesor Religa zaplanował wyjazd za granicę. Zapytaliśmy: A jeżeli zgłosi się biorca i będzie dawca to co wtedy? Oczywiście będziecie operować, odpowiedział nasz profesor. Wyobraża sobie pani brzemie odpowiedzialności... Z dr. Zembala byliśmy w teame Religi, asystowaliśmy przy operacjach, ale wiadomość, że możemy sami operować, wbiła nas w ziemię. Dla nas młodych lekarzy, kredyt zaufania profesora był czymś zupełnie niesłychanym. W czasie jego nieobecności zdarzyły się dwa przeszczepy. Jeden zrobiliśmy ja, drugi Marian Zembala. Wszystko się udało, wrócił profesor i pochwalił. Pytała się pani, kiedy dla mnie zaczęła się wielka kardiologia. Ot i ma pani odpowiedź.

— **Opowiadał mi profesor Religa, że w tym czasie do kliniki w Zabrze przyjechała jego żona. Poznała zespół młodych lekarzy i powiedziała do męża: Ty postaw na Bochenka, to będzie ktoś!**

— Profesor postawił na wielu ludzi i zawsze był to dobry wybór. Obecnie prawie



Na sali operacyjnej w katowickiej Klinice Kardiologii Śl.A.M.

Foto: Z archiwum prof. A. Bochenka

wyreczą i będą potrafili leczyć miażdżycę i jej następstwa. Mam taką wiarę i wizję.

— **Tak więc kardiologia i kardiologia to dwie różne techniki medyczne. Czy można mówić o rywalizacji pomiędzy tymi dwoma medycznymi specjalizacjami?**

— Zawsze, jak pani wie, istnieje antagonizm pomiędzy internistami a chirurgami. Pierwsi twierdzą, że wiedzą wszystko, drudzy że mniej wiedzą, ale wiele potrafią. Zawsze pacjent będzie wolał kardiologa niż kardiologa. Co jest w stanie zaproponować choremu kardiologowi? Przecięcie mostka i zrobienie operacji. Na samą myśl o czymś takim chory jest przerażony. Wiemy, że tysiące osób w ten sposób jest operowanych, po drugim czy trzecim dniu chodzą po oddziale i są zadowoleni, że operację mają już za sobą. Stworzenie jednak przez kardiologa perspektywy, że można rozszerzyć naczyniem bez przecinania klatki piersiowej, lub podać tabletkę, która zlikwiduje chorobę nie daje alternatywy. Zawsze chory wybierze mniej inwazyjną metodę. Postęp kardiologii i kardiologii będzie w przyszłości opierał się na ścisłej współpracy. I kardiolog i kardiolog

wszyscy są samodzielnymi pracownikami. Ja zawsze miałem szczęście u kobiet, także u żony profesora, ale proszę mi wierzyć on nie ulega żadnym podszeptom. W tej klinice nie było protekcjonalizmu. Jeśli chodzi o żonę, panią docent, to muszę powiedzieć że ma wiele cech, które pozwoliły profesorowi tak działać i pracować. Jest ogromnie wyrozumiała i tolerancyjna, dobra partnerka dla naukowca, człowieka pochłoniętego pracą.

— **Panie Profesorze, odnoszę wrażenie, że kardiologia ratuje od śmierci, odsuwa ją, ale nie leczy choroby podstawowej. Czy to jest właściwy medyczny cel?**

— Tak to bardzo słuszne stwierdzenie. Kardiologowie przez wiele lat zachlęsnęli się metodą protezowania, wszczepiania tzw. by passów — pomostów do naczyń wieńcowych jak gdyby nie dostrzegając tego, że jest to dopiero początek leczenia choroby. Kardiologowie powoli zaczęli nam na to otwierać oczy a pomostowanie to tylko protezowanie naczyń wieńcowych, ale nie jest chorobą wieńcową, miażdżycą postępującą. Po pewnym czasie te pomosty ulegają zamknięciu. Często pacjenci pytają: na ile wystarczą mi te bay-passy? Odpowiadam — nie wiem. Statystyki podają, że powinno to być od dziesięciu do piętnastu lat. Wszystko zależy od postępu choroby. Ale dla pacjenta dziesięć lat to bardzo dużo. Operacja uwalnia go od bólu, który przy ostrej chorobie wieńcowej jest ogromny, uniemożliwia często przejście nawet kilku kroków. Przyznaję, że bay-passy to zabieg łagodzący a nie leczący chorobę. Ale już wkrótce kardiologowie nas

chirurg, może nawet specjalista zajmujący się genetyką, staną obok siebie. To jest moja wizja przyszłości tej dziedziny zajmującej się chorobami serca. W Polsce jest jeszcze zbyt wiele zaniedbań w dostępności do nowoczesnej kardiologii i kardiologii — powinniśmy budować sale operacyjne nowe pracownie hemodynamiczne — wspólne warsztaty pracy i badań.

— **Teraz dopiero rozumiem dlaczego wybitny autorytet, kardiolog profesor Leszek Giec powiedział: kardiologowie to jednak chirurg, często trudno jest się z nim porozumieć. Inaczej się ma sprawa z profesorem Bochenkiem. On patrzy szerzej, ogarnia te dwie specjalizacje...**

A wie pani dlaczego? Ja wyrosłem z kardiologii. Mnie podstaw tej specjalizacji uczyli koledzy, jak obecny profesor Tendera. Może dlatego mam z nimi dobry kontakt. Nigdy i nikt nie był w stanie zastąpić mnie w opozycji do kardiologów i internistów. Ich wiedza nam chirurgom pozwala lepiej wykonywać pracę. Moim asystentem powtarzam, że od nich mogą się wiele nauczyć. Skończyły się czasy, gdy chirurg mógł ufać tylko swoim umiejętnościom manualnym.

— **Czy pan profesor ma czas na rozmowę z pacjentem przed operacją? Jeżeli tak, to co się mówi człowiekowi, którego się otwiera, aby dotrzeć do jego serca? Czy jest to opis zabiegu, czy też słowa wsparcia, których w przedoperacyjnym stresie pacjent potrzebuje?**

— To bardzo trudne pytanie. Często mam wyrzuty sumienia, że na skutek nieustannego zabiegania nie mam na to wiele czasu. Bardzo się martwię, kiedy czasu nie znajdują moi asystenci. Szczególnie przed operacją pacjent potrzebuje osobistego kontaktu z lekarzem. Co należy mówić? Czy całą prawdę, że operacja jest niezwykle ryzykowna, że jest jedyną szansą, że jeżeli się od niej odstąpi będą same nieszczęścia, że życie pacjenta jest w moich rękach?... Niezwykle trudno odpowiedzieć na to pytanie.... Zazwyczaj staram się w sposób bardzo uczciwy powiedzieć pacjentowi, jaki jest stan wiedzy na temat jego choroby. Co ja uważam, że trzeba zrobić. Jednak zawsze pozostawiam choremu decyzję czy poddać się operacji, czy też nie. Przestrzegam, aby rodzina nie wywieriała na niego presji, bo są to decyzje bardzo trudne i głęboko osobiste. Pacjentom przeważnie mówię prawdę, nie staram się umniejszać ryzyka. Nie naprawiamy przecież zegarków, operujemy człowieka, którego biologiczny organizm jest bardzo zmienny. Z błahych rzeczy mogą powstać poważne powikłania, nie ukrywam tego przed chorym i rodziną, mówię co wiem i co czuję.

— **Czy ma pan profesor intuicję. Spojrzy na pacjenta i wie, że będzie żył, lub zarzy bo w jego oczach widzi śmierć?**

— Oczywiście że tak, takich wrażeń doznaję w osobistym kontakcie z pacjentem. Medycyna została także zmatematyzowana, jest skala ryzyka. Na podstawie choroby można dość dokładnie określić stopień wystąpienia ryzyka w danej operacji. Zdarza się, że podejmuję decyzje, które nie odpowiadają tej skali, tak jakbym to ja ryzykował życiem chorego. Współpracownicy są zaskoczeni, bo pacjent przeżywa. Myślę, że mam intuicję, co nie jest rzeczą nadludzką. Każdy lekarz po pewnym czasie wykonywania zawodu ma pewien rodzaj intuicji. Tego się nie uczy na studiach, to przychodzi z czasem. Tym różni się starszy lekarz od młodego, czasem bardziej sprawnego manualnie chirurga.

— **Nasłuchałam się niezwykłych opinii o rękach pana profesora. Chodzi nie tylko o ich operacyjną zręczność, ale też odczuwanie dotyku. Podręczniki biznesmena ostrzegają, nie dotykaj partnera. A w medycynie?...**

— Nie tylko dotykam chorego, ale też przytulę pacjentkę jak widzę, że tego chce i potrzebuje, bo jest zestresowana stanem swego zdrowia. Choroba przecież przychodzi w najmniej oczekiwanych momentach. Cały świat się wali, niweczy kariery, życiowe plany nawet rodzinne szczęście. Wcale to nieszczęście wkraczają lekarze, chirurdzy. Ich odpowiedzialność jest ogromna a praca mało doceniana. Zostaliśmy sprowadzeni do poziomu robotnika chirurgicznego, który powinien wykonać zaplanowane przez dyrekcję normy. Pani pytała o pacjentów ja kieruję rozmowę na sytuację i samopoczucie lekarzy, bo od dłuższego czasu te sprawy są moją troską i niepokojem.

— **Często lubi pan profesor podkreślać: w każdej chwili mogę opuścić klinikę i wyjechać. Wszystko będzie się toczyć normalnym torem. Profesor Religa mówi: „Sala operacyjna to dla mnie za mało. Fascynuje mnie tworzenie zespołu, nowego sposobu myślenia, atmosfery”. A pan profesor jaki ma zespół?**

— Bardzo różny. Nie są to same anioły ale przez to zespół jest dobry i ciekawy. Pracuję z kolegami, którzy są niezwykle manualnie uzdolnieni, pracuję też z takimi którzy chorym poświęcają dużo czasu i troski. Zespół tworzy różnorodność. Nie w każdym muszą być malarze artyści. Ważne jest, aby dla każdego znaleźć odpowiednie miejsce, optymalnie wykorzystać jego umiejętności i predyspozycje, uczynić przydatnym i potrzebnym. Profesor Bailey, u którego pracowałem, mawiał: Zespoły chirurgiczne są to osobowości A. Pani sobie wyobraza — jedenastu lekarzy, jedenaście osobowości A, które muszą ze sobą współpracować. W takiej sytuacji musi znaleźć się osobowość A *prim*, która jest w stanie zapanować nad całością. Ja rzeczywiście w każdej chwili mogę wyjechać a w klinice wszystko będzie się toczyć normalnym torem. Mam dobrego zastępcę, doktora Jacka Skibę, mam kilku młodych, doskonale wyszkolonych chirurgów, dziewięciu specjalistów z których większość była szkolona w najlepszych klinikach zachodniej Europy. Ten zespół da sobie radę z każdym, nawet najbardziej skomplikowanym, przypadkiem. Od prof. Religi nauczyłem się, że młodym należy dawać szansę i możliwości wykazania się. Odpowiedzialne zadania mobilizują ich do pracy, dobrze wykonana jest źródłem satysfakcji. O cóż więcej może zwierzcchnikowi chodzić!

— **Ezop był legendarnym starożytnym bajkopisarzem. Myślę, że nazwanie robota do operacji serca ludzkiego jego imieniem podkreśla, że to co jeszcze do niedawna można było między bajki włożyć, dziś jest w kardiologii nową, wirtualną rzeczywistością. Pierwsza operacja robotem odbyła się we wrześniu ubiegłego roku. Jak do niej doszło?**

— Wielkie sprawy i przedsięwzięcia zwykle zaczynają się bardzo prozaicznie. Parę lat temu pojechałem do Paryża na zjazd kardiologów. Tam na wystawie sprzętu medycznego zatrzymałem się przy stoisku, na którym prezentowano maszynę, która reagowała na ludzki głos. W przeszłości, poinformowano mnie takie urządzenie zastąpi rękę człowieka. Po jakimś czasie spotkałem moją znajomą Małgorzatę Iwanową, która jak się okazało, jest przedstawicielem firmy, w Kalifornii, produkującą urządzenie pomagające chirurgom. Znalazłem się w rozterce, czułem przemożną chęć sprowadzenia nowej technologii do Polski, ale już widziałem tysiące przeciwników tego zamysłu, którzy zgodnym chórem będą oponować, że w Polsce jest tyle rzeczy zaniedbanych, niedoinwestowanych a tu robot! Przyzna pani, że my czujemy się permanentnie winni, że chcemy coś nowego wprowadzić... Jedenaście lat temu kiedy obejmowałem Klinikę Kardiologii w Kato-

wicach Ochojcu, była ona super nowoczesna, utrzymanie jej na takim poziomie uważam za swoją powinność. Jak zwykle z pomocą pospieszył profesor Religa, który poparł pomysł, ogromnie tym mnie podbudowując. Już wcześniej zaczęliśmy badania z endowizją, czyli wykorzystaniem w kardiologii endoskopu. Potrzebna nam była trzecia ręka bardzo precyzyjnego asystenta, który potrafi stworzyć mapę pewnego środowiska wewnętrznego. Sprawy zaczęły się finalizować, spotkałem się z szefem Computer Motion, który zgodził się wypożyczyć w celach próbnych Ezopa. We wrześniu ubiegłego roku wykonaliśmy pięć operacji. Do Katowic przyleciał sam prezes Computer Motion, uściślił nam dłoni, gratulując udanych operacji. Był to miły gest, mniej przyjemne było to, że musieliśmy maszynę oddać. Decyzja zakupu Ezopa była niezwykle trudna. Szczególnie w okresie reformy służby zdrowia, kiedy na wszystko brakuje pieniędzy, trudno znaleźć sprzymierzeńców takiego pomysłu. Jednak jest kilku ludzi z otwartą głową potrafiących myśleć perspektywicznie. Należy do nich rektor Śląskiej Akademii Medycznej prof. Tadeusz Wilczok. Gdy przyszedłem do niego, powiedział: To co mi pan przedstawił jest logiczne i powinno się znaleźć w naszej akademii. Dołożę wszelkich starań aby panu pomóc. Przyznam, że pierwszy raz z czymś takim się spotkałem. Jeżeli tak będziemy traktowani przez ludzi odpowiedzialnych za rozwój nauki to jestem pewien, że Śląska Akademia Medyczna utrzyma swoją wysoką pozycję naukową w kraju.

— **Jak operuje się Ezopem?**

— Ezop jest zarezerwowany dla wąskiej grupy chorych, u których doszło do zwężenia tylko jednego naczynia wieńcowego, kiedy kardiologzy nie mają możliwości wykonania koronaroplastyki. My, jak gdyby wstrzeliliśmy się w tę lukę, daliśmy nadzieję na operację bez okaleczenia - przecięcia mostka. Chirurg operuje przez niewielki otwór. Dobry wgląd do wnętrza umożliwia kamera, powiększająca na monitorze obraz. Wydawane głosem polecenia powodują przesuwanie kamery, która co jest cenne, potrafi zapamiętać poprzednią pozycję. Ezop jest pierwszym urządzeniem tego typu, bardzo prymitywnym a zarazem super nowoczesnym. Tym kolegom, którzy powątpiewają w to, czy ta technologia będzie kształtowała przyszłość, przypominam scenę jazdy pierwszym samochodem, kiedy to przed pojazdem biegł człowiek i machał chorągiewką. Szef firmy Computer Motion powiedział mi, że za dziesięć lat siła jednego procesora będzie równała się sile wszystkich komputerów osobistych na świecie. Jestem tego pewien, że już wkrótce, nowsze urządzenia

jeszcze bardziej będą pomagać chirurgowi, ale zawsze lekarz pozostanie mózgiem i motorem maszyny. Robot to nie jest technika dla nadludzi, tylko dla odważnych, dokładnych, upartych. Bycia odważnym nauczyłem się od prof. Religi, on wzbudził nas poczuciem wartości. Mówił: Przystańcie się nisko klaniać każdemu kto pracuje w zachodniej klinice. Przecież nie jesteście w niczym od nich gorsi, potraficie wiele zdziałać, jesteście doskonale wyszkoleni. Doprawdy dr Marek Cisowski, który operuje przy pomocy



Foto: Z archiwum prof. Andrzeja Bochenka

W studiu katowickiej TVP.

Ezopa mógłby już szkolić lekarzy z największych światowych ośrodków.

Gdyby moja klinika nie zakupała robota, z pewnością trafiliby gdzie indziej, może do Warszawy, na którą po raz kolejny patrzylibyśmy z uwielbieniem, że ma to, na co Śląska nie stać. Teraz, kiedy mam za sobą stres związany z zakupem, kiedy każdego tygodnia Ezop wykonuje od czterech do pięciu operacji, jestem absolutnie przekonany, że zrobiłem dobry ruch. Pamiętam oczywiście o tych, którzy mi pomogli — śląskich firmach i bankach.

— **Pan Profesor zajął się marketingiem, mimo, że do lekarza nie należy rozwiązywanie problemów ekonomicznych...**

— Jeżeli będę uważał, że do mnie to nie należy, otrzymam tyle finansowych środków co ten, który tego nie robi, czyli nic. Profesor Zbigniew Religa nie wstydził się prosić o pieniądze, ja podobnie. Na Śląsku jest bardzo dobry klimat dla kardiologii. Na stanowiskach menedżerskich jest wiele światłych ludzi, rozmowy z nimi są mile i owocne dla kliniki. Często prezesom banków mówię: mamy coraz okazalsze banki i coraz brzydsze szpitale. Tak jak pewnie się czujemy, kiedy bank, gdzie lokujemy pieniądze wygląda bogato i okazałe, tak lepiej by się leczyło i zdrowiało w szpitalu o wyglądzie, który nie uwłaczałby godności ludzkiej. Skierowanie człowieka do szpitala świadczy o tym, że wymaga on największej troski, tymczasem większość szpitali ma lazarętowe warunki, trzeba się ich wstydić a nie w nich leczyć. Moją największą troską jest wygląd mojego oddziału; staram się jak mogę, aby sale wyglądały przyzwoicie, były czyste i ciężko chore, operowany na serce człowiek, miał trochę komfortu. Ci, którzy mnie znają, twierdzą, że gdybym nie został chirurgiem byłbym budowlanem. Może się nie mylą. Lubię porządną, nie sfuszowaną robotę. Jak coś u siebie na oddziale remontuję, modernizuję, staram się wszystkie sam doglądać.

— **Jaką ma Pan Profesor wizję. Na jedenasty piętrze wre praca, remontuje się dwie sale operacyjne. Czy I Klinika Kardiologii Śląskiej Akademii Medycznej stanie się operacyjnym kombinatem?**

— To obecnie jesteśmy operacyjnym kombinatem, co staram się zmienić, nadać jej bardziej ludzkie oblicze. Ilość operacji przypadających na jedną salę dwukrotnie przekroczyło normy europejskie. Pracujemy na okrągło, operujemy w niedziele, w godzinach popołudniowych i wieczornych. Czy pani by chciała być operowana po godzinie dwudziestej? Kto myśli o tym jaka może być o tej porze kondycja chirurga? Dlatego dużym wysiłkiem budujemy dwie sale operacyjne, po to aby stworzyć nie kombinat operacyjny a ale warunki dla ludzkiego chorowania. Trzeba też myśleć o lekarzach, dać im większy komfort psychiczny, aby mieli czas na swoje rodziny i dokształcanie. Profesor Religa wskrzesił w nas zapał, nauczył korzystać z warsztatu pracy. Są tego efekty. Klinika ma dobre imię, przyjeżdżają tu na operacje chorzy z całej Polski, ale co my lekarze mamy w zamian, za pracę w niedziele i święta? Przemawia przede mną gorycz, bo gdybyśmy sami nie zdobywali fundusze, sprowadzono by klinię do roli pośredniego szpitala kardiologicznego.

— **Etyka lekarska to nie tylko stosunek lekarza do pacjenta, ale też odnoszenie się do lekarza nauczyciela, profesora emeryta. Wiemy jak to jest u nas. Kiedy profesor przechodzi na emeryturę odbiera mu się gabinet, katedrę, człowieka z ogromną wiedzą i doświadczeniem odstawia na boczny tor. Jak to wygląda na Zachodzie?**

— Kiedy wszedłem do Instytutu Karolinska w Szwecji na pierwszym miejscu był ga-

Niedziela godzina 11. Profesor Bochenek wjeżdża windą na X piętro swojej kliniki. Ostrzega pacjentów, aby nie wsiadali do niej, ponieważ ma zepsute oświetlenie. Wchodzi do sekretariatu i dzwoni po konserwatora.

xxx

Z młodszym lekarzem przegląda zdjęcia radiologiczne przywiezionego przed kilkoma godzinami pacjenta. Rany boskie! Potężne dwa zatory, on nie przeżyje. Będę operować decyduje. Telefon do domu: zostają w klinice, to potrwa jakieś jedenaście godzin, informuje.

xxx

60 letnia pacjentka po dwóch zawałach i ciężkiej operacji serca. Wróciłam z tamtego świata mówi. Jest obolała ale uśmiechnięta. Po rannej wizycie profesor Bochenek mówi do profesora Tendery: ona jest super i strzela palcami.

xxx

Sekretarka telefonuje do miasta w centralnej Polsce i prosi o odbiór zoperowanego pacjenta. Nie mamy transportu słychać na linii. Słuchawkę przejmuje profesor Bochenek. To my za 200 tysięcy wyleczyliśmy chorego, a wy nie możecie po niego przysłać transportu, wykrzykuje wzburzony.

xxx

W niedzielę po południu dzwonię do domu Bochenków. Żona Krystyna odradza - nie rozmawiaj teraz z Andrzejem. Wczoraj wezwano go do kliniki. Operował młodą kobietę, matkę dzieci. Rano dostał wiadomość o zgonie. Jest zdenerwowany, w kiepskim nastroju.

xxx

Wyznanie pacjenta. Profesor Bochenek położył rękę na moim ramieniu. Poczulem przemożną błogość, pocalowałem tę rękę.

xxx

Jedna z ośmiu separarek na oddziale I Kliniki w Ochojcu. Elegancki prysznic, obok toaleta. W pokoju telewizor, telefon, automatycznie sterowane łóżko, granatowe ściany, komplet naczyń i sztućców w tym samym kolorze. Dla kontrastu pościel w kolorze żółtym. Tak w wizji profesora powinien leżeć każdy pacjent informuje lekarz opiekujący się tą salą. Profesor Bochenek nie wstydzi się prosić o pieniądze, jemu się nie odmawia.

xxx

Podwarszawska miejscowość. Budowa jednorodzinnej domku w toku. Przebieg prac nadzoruje starszy pan. Mieszka w spartańskich warunkach w campingowej przyczepie. Nosi wodę, gotuje robotnikom. Dwa lata temu operował mnie, podkreśla z nakiśkiem i nie bez dumy, profesor Bochenek. Mam 70 lat, zaczynam życie na nowo.

xxx

Obok dyżurki pielęgniarskiej, na parapecie leży zeszyt oprawiony w kolorowy papier z naklejką: Książka skarg i zażaleń. No, myślę, teraz się czegoś dowiem. Wertuję strony, czytam podziękowania i laudacje pacjentów na temat profesora Bochenka i jego zespołu.

xxx

Pierwszy program Polskiego Radia, rozmowa z Andrzejem Wajdą. Dziennikarka: Spłynął na pana, w ostatnim czasie deszcz nagród, którą ceni sobie pan najbardziej? Reżyser: Największą nagrodą było dla mnie to, że operował mnie profesor Andrzej Bochenek.

binet profesora Craforda, który miał 82 lata, ale dla tego ośrodka był postacią niezwykle zasłużoną. Do jego gabinetu przychodzili młodzi lekarze, studenci, rozmawiali, korzystali z jego wiedzy i naukowych prac. Aktualny szef instytutu otaczał wielką czcią swojego poprzednika. Myślę, że powinniśmy czynić podobnie. Takim profesorem jak Giec, który tworzył klinię w Ochojcu, profesorem Petelencowi, Paliwodzie, Relidze należy się szacunek i wdzięczność za to, co zrobili dla leczenia chorób serca. Młodzi, tacy jak ja, profesorowie muszą na to zwracać uwagę, podkreślić zasługi tych autorytetów, które już tworzą pewną tradycję i historię. Przecież bez niej, bez sięgania do korzeni łatwo zatracić własną tożsamość.

— **Naszą rozmowę zaczęliśmy od spraw osobistych rodzinnych, pozwoli pan profesor, że jeszcze raz wrócę do tego tematu. Jest pan człowiekiem ciężkiej pracy. Co profesora wycisza, łagodzi napięcia?**

— Dom, rodzina i wszystkie sprawy z tym związane. W momencie, kiedy przekraczam próg domu, staram się zostawić za sobą wszystkie zawodowe stresi, kłopoty i niepokoje. Ale jako człowiek odpowiedzialny za pewną placówkę nie mogę wyłączyć telefonu, który bezustannie dzwoni, nie pozwalając, tak naprawdę, oderwać się od szpitalnych spraw. Odrpęłam się też myślą o wakacjach. Z dużym wyprzedzeniem planuję letni i zimowy wypoczynek, który rekompensuje mi ciężką codzienną pracę. Jak przystało na domatora oglądałam telewizję. Może to wydawać się dziwne, ale wygodny fotel i obraz na szklanym ekranie, to też dla mnie dobry relaks.

— **Wiem o, powiedzmy „wojnie domowej” w rodzinie Bochenków. Syn w ubiegłym roku po maturze zaplanował studia medyczne. Ojciec się sprzeciwił. Wakacje upłynęły na łagodnych perswazjach: wszystko tylko nie zawód lekarza. Dlaczego?**

— Faktycznie, mimo, że czuję się lekarzem spełnionym, odradzałem memu synowi wyboru tej profesji. Z goryczą patrzę na to, co się dzieje w medycynie. W Śląskiej Akademii Medycznej kształcimy zdolną młodzież, której po zakończeniu studiów nic nie jesteśmy w stanie zaproponować. Wielu absolwentów naszej akademii, trafia do firm farmaceutycznych, gdzie często są traktowani jak sprzedawcy. Praca nas, akademickich nauczycieli idzie na marne. Jestem tym doprawdy przerażony i załamany. Nie chciałem, aby mój syn po ukończeniu tych długich i ciężkich studiów usłyszał od urzędników, że nie ma dla niego pracy, a jeżeli nawet ją dostanie, to z niej się nie utrzyma. Lekarz to piękny zawód, można się w nim spełnić i wiele dobrego zrobić dla ludzi, ale przykro jest patrzeć jak jest obecnie traktowany, traci prestiż. Musimy to zmienić, ale jak? Nie wiem... Dlatego synowi odradzałem, perswadowałem, ale on jest zafascynowany medycyną, nie wyobrażał sobie studiów na innym, niż medyczny kierunku. Czas pokaże co z tego wyniknie...

— **Kiedy zwróciłam się z prośbą o rozmowę, odmówił mi pan, twierdząc, że na wywiady i artykuły o sobie, ma jeszcze czas, należy pisać o starszych, bardziej zasłużonych lekarzach. Ponieważ nalegałam, przy trzecim podejściu wyraził pan profesor zgodę za co bardzo dziękuję.**

W zakupie Ezopa pomogły firmy: Stalexport, Radio Katowice, Bank Śląski, Górnośląski Fundusz Gospodarczy, Elektrownia Łaziska, Cementownia Górażdże.

Wspominając Jana Wyplera (1890-1965) — nauczyciela gimnazjalnego, tłumacza wielu autorów polskich na język niemiecki, działacza plebiscytowego i patriotycznego w latach dwudziestych, autora m.in. ważkiej i jedynej w swoim rodzaju pracy heraldycznej i wreszcie sinologa, by ograniczyć się tylko do tych kilku wymienionych specjalności — pragnę zaraz na wstępie wyznać z pewną dumą, że nie ma chyba nikogo, kto by tyle czasu spędził w obcowaniu z tym niezwykłym człowiekiem, jak poczynając od lat trzydziestych po schyłkowe lata jego życia — właśnie ja, ongiś uczeń, potem zaprzyjaźniony z nim współpracownik i wreszcie jego biograf i propagator jego jakże różnicowanej twórczości.

Tym moim nader częstym kontaktem z Janem Wyplerem sprzyjały takie okoliczności, jak choćby to, że wracając z Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach, gdzie pracowałem, przechodziłem bardzo blisko jego mieszkania przy ul. Dąbrowskiego 3. No i prawie zawsze wstępowałem do niego. A że był on nadzwyczajnym gadułą (w najlepszym tego słowa znaczeniu), lubiliśmy ze sobą rozmawiać. Z tym że on, jako człowiek o 27 lat starszy ode mnie i absolwent czterech fakultetów na uczelniach niemieckich (filozofia, germanistyka, romanistyka i slawistyka) dzielił się ze mną swą wielce różnicowaną wiedzą, a ja chłonałem jego uczonne gadulstwo z wielkim dla siebie pożytkiem aż do czasu jego wyprowadzenia się z mieszkania przy ul. Dąbrowskiego na Koszutkę. Gdzie nota bene nigdy u niego nie byłem. Musiały mi wystarczyć dotychczasowe wizyty w oficynie przy Dąbrowskiego z widokiem na podwórze i przeciwnie okno z ciekawskimi dzieciakami i przegodnymi intruzami, od których odgradzał się usytuowanym na obszernym stole, otwartym parasolem (firanek nie miał). Ten rozległy stół był dla niego bardziej funkcjonalny niż byłoby biurko.

Jan Wypler urodził się 14 maja 1890 roku w Kochłowicach, zmarł w wigilię 1965 roku. 23 grudnia był u swoich krewnych w Katowicach-Ligocie. Tam zasłabł i został przewieziony do szpitala w Bogucicach, gdzie nazajutrz zmarł. Przemawiałem nad jego trumną w przeddzień pogrzebu w tamtejszej kostnicy. Spośród profesorów gimnazjum był tam — jak zapamiętałem — nasz nauczyciel fizyki, potem także i propedeutyki filozofii — Andrzej Tylek. Po pożegnaniu w kostnicy, kilku z nas udało się do kawiarni — nie pamiętam już gdzie — chyba gdzieś przy ul. Ligonia czy Wojewódzkiej, by o nim jeszcze trochę porozmawiać, rzewnie go powspominać. Z tych kilku osób, którzyśmy tam byli, zapamiętałem mecenasa Kleczkę. Mówiło się o tym, że krótko przed swą śmiercią J. Wypler został pobity przez chuliganów. Bodajże w barze. Podobno stanął w obronie jakiejś słusznej sprawy. Ale

Wspominając Jana Wyplera



Jan Wypler

dokładnie już nie pamiętam. Spełniając ostatnią wolę zmarłego pochowano go w Kochłowicach. 14 maja 1986 roku (czyli w 96 rocznicę jego urodzin) nadano jego imię Szkole Podstawowej nr 2 na Bykowninie.

Jednym z powodów do chluby jest dla Jana Wyplera jego działalność translatorska. Przekłady ze staropolskiej, klasycznej, romantycznej i modernistycznej literatury narodowej na niemiecki zamieszczane były głównie na łamach plebiscytowego czasopisma „Most - Die Brücke”, redagowanego w dwóch językach — polskim i niemieckim. Kiedy katowickiemu działaczowi niemieckopolskiego pojednania, panu Dietmarowi Brehmerowi, wspominałem kiedyś, że w latach dwudziestych wydawane było takie właśnie dwujęzyczne pismo, powiedział mi, że byłby swój periodyk także nazwał „Die Brücke - Most”, a nie „Hoffnung”.

Z późniejszych czasopism, które drukowały przekłady utworów poetów polskich na niemiecki, szczególne zasługi w tym względzie mają wydawane przez Hermanna Buddensiega w Heidelbergu „Mickiewicz - Blätter”. Warto tu przypomnieć drukowane w tym piśmie w latach po drugiej wojnie światowej przekłady polskiej poezji okupacyjnej, oraz przedruk z opublikowanego na tzw. „rola-princie” utworu Stanisława Wyspiańskiego „Sędziowie” — „Die Richter” (nr 27).

Pierwodruk przekładu „Die Richter” ukazał się w typowej także i w odniesieniu do innych tłumaczeń Wyplera szacie graficznej, wzorowanej na wydawnictwach chińskich (1937). Identycznie wydane zostało tłumaczenie „Hymnów”

Kasprowicza (1938, 1939). Z innych tłumaczeń wymieńmy jeszcze: powieść Władysława Orkana „Pomór” („Das grosse Sterben”), utwory Juliusza Słowackiego „Mnich” („Der Münch”) i „Anhelli” (opublikowane w roku 1923).

Wprzełomowym roku 1936, kiedy Jan Wypler pod wpływem Domana Wielucha zainteresował się literaturą chińską, nic potem w tym stopniu nie absorbowano tego niezwykłego kochłowiczana, co właśnie ona. I tak w roku 1937 nakładem dwutygodnika „Kuźnica” w Katowicach ukazały się „Myśli wybrane” filozofa chińskiego Czuang-dze (Czuang-Czu), opatrzone niemieckojęzyczną rozprawką krytyczną. W roku 1939 opublikował Wypler w miesięczniku „Fantanna” artykuł o słowniku Domana Wielucha oraz rozprawkę o paradoksalnie brzmiącym tytule „Jak można łatwo nauczyć się po chińsku”. Potem zjawilo się jeszcze zainteresowanie językiem i poezją japońską, przy równoległej pracy nad przekładami z chińskiego. Dramat Li Hsing Tao „Kolo kredowe” znany raczej z przeróbki Klabunda, aniżeli z oryginału, doczekał się np. wystawienia w Teatrze Młodego Widza w Krakowie (1950). Ukoronowaniem zaś działalności translatorskiej z języka chińskiego jest wydany w roku 1958 nakładem Wydawnictwa „Śląsk” zbiór pt. „Małżonek nikczemny i inne opowiadania chińskie”. Po drodze do tej koronnej edycji opublikował jednak Wypler sporo zbiorów poetyckich, przy których adaptacji poetyckiej współpracowali poeci katowiccy (A. Baumgarten), E. Imiela, W. Szewczyk, A. Widera).

A jaki był Jan Wypler jako pedagog? I tu trzeba stwierdzić, że praca tego wybitnego twórcy w gimnazjach katowickim i myslowickim to było dla niego poniekąd „zło konieczne”. Swoim ustawicznym zamyśleniem budził on często zabawę i kpiny młodzieży szkolnej. Pamiętam, że kiedyś uczestniczyłem w spotkaniu literackim w gimnazjum myslowickim, w którym prof. Wypler uczył. Byliśmy tam razem z kolegą Szewczykiem. Ja miałem zaszczyt — jako zresztą współautor niektórych przekładów Jana Wyplera — czytać czy recytować wiersze poetów chińskich, przy których tłumaczeniu jako poeta współpracowałem. Prof. Wypler był trochę dziwakiem i młodzież czasem płała mu różne figle. Jeden z utworów, które wówczas prezentowałem uczniom myslowickiego gimnazjum, nosił tytuł „Nucenie wiernej żony”. Tytuł ten podchwycił i powtórzył przekręcając jego brzmienie jakiś kawalarz, który półgłosem odezwał się do swego najbliższego otoczenia: „Młócenie wiernej żony”. Skora do dowcipów młodzież jęła ten przekręcony tytuł powtarzać i podawać sobie z ust do ust. Co oczywiście wywołało ogólną wesołość. Kiedy później Jan Wypler przekład tego wiersza opublikował, zatytułował go „Pieśń wiernej żony”.

ALEKSANDER WIDERA

Próżno świecisz

żarliwość na cenzurowanym
w odwrócenie histeria

nowe wytyczne —
wydłużyć telomery
osiatkować czas

więcej jarzyn
prawników
profilaktyki i prewencji

reszta jest milczeniem
bez dwóch zdań

27 X 99 r.

Uciekaj

dla spóźnionych
weteranów
rolki

nowy widok
na stare pocztówki
i piec.

żałuzje
na frontowym śnie

faworki (bez ograniczeń)
i bezpieczna śmierć

23 X 99 r.

★ ★ ★

nowe rzędy obrzędy
koafiury
immatrykulacje
nowe w przedpokoju
w aneksie
dodatku ilustrowanym
dla pań

nowym w oczy w pięty
z rozpędu na pięcie
nowym na oślepie
i po trafili szlag

3 XI 99 r.

Przepis

najpierw przegonić rym
potem rytm
podstarzałej zaloty
strofy

potem przedrostki
rozhuścić
zamienić miejscami
morfemy upić
rozebrać znaczenie
dodać trochę sarkazmu
i szczyptę ironii

zmiksować

wypadkową kłaść
ostrożnie bielą
na atrament
ament

23 X 99 r.

★ ★ ★

z braku poważniejszych
kwestii
roztrząsamy wczorajsze popołudnie
wyrazistość kawy
przydatność kobiety do dziecka

daleko tu do nas
wszystkim
ziewają centrale telefoniczne
cebule w poprzek
wyroście zamiarom

czas okazało się
po trepanacji
z wydrążonym środkiem
oddychamy głęboko
by sprostać istnieniu

28 I 2000

a Panu Bogu ogarek:

resztkę dnia ciemność spraw
narzekanie

krowie przywiązanie
i bohaterstwo niepokoju

skrzep zator
zasadzkę tchawicy

przypadkową awarię
w sieci

długie wiatru wianie
pokoi na wskroś

1.02.2000

chronicznie ironiczny

z rakiem straszakiem
pod poduszką

z nieistniejącym Bogiem
w nieistniejącej głowie

soczewka (i okular) wieku
jego głos jego szyk

hoduje glony oraz
niderlandzkie ćmy
wyostrzone o samotność
piękno

że nie sprosta nikt

23 X 99 r.

Życie i Śmierć

Życie i Śmierć
w jednym stali domu.

Śmierć w kącie, pod oknem
na małym gzymsiku...
siwe serce jabłoni wycina,
to lisa otruje.

Ogólnie: mało śpi, prawie
nie je lecz zawsze pracuje.

Życie — bujnością ląk, kobiet
raz na tydzień, co najmniej,
pijane. Wtedy to najczęściej
dobiera naganę: Wyrzuca Śmierci
że śmierdzi, że proceder uprawia
okrutny, że ma przestarzałe
poglądy na kwestie społeczne.
Nadto; pracoholizm, oziębłość
i turpizm.

Śmierć tego ścierpieć
nareszcie nie może.

Ustań ty w amorach, rzeczce,
a ja pracę złożę.

99 r.

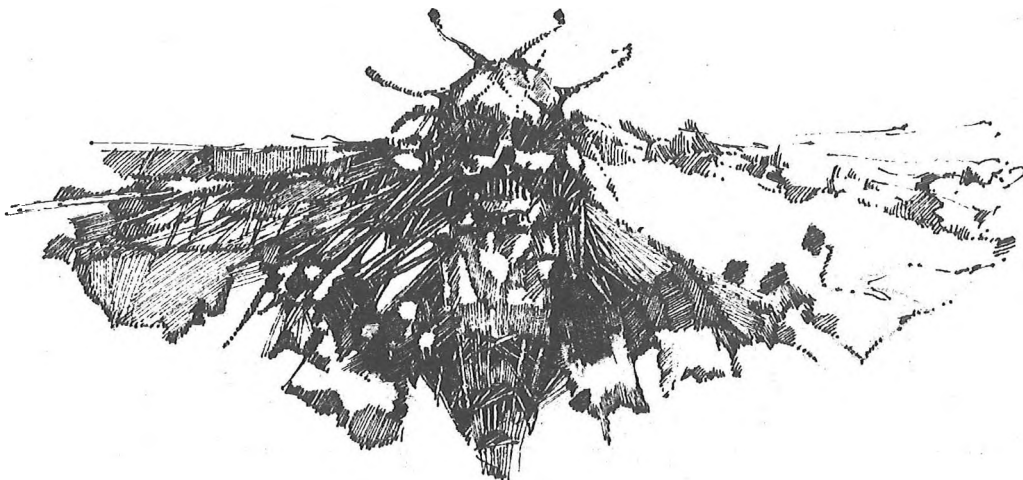
★ ★ ★

w kusej sukience
połamane ręce
kazali
ułożyć wzdłuż ciała

tak się szpital odplaca
gdy ubierze denata
i dzieciom odniesie

potem w uroczystej sieni
mogą palić w milczeniu
za papierosem papierosa

11 I 2000



Rys. Wojtek Łutka

BEATA ROKOSZ

21 SLASK

W odległości paru kilometrów od Opola leży Winów. Jak świadczy nazwa tej wsi, kiedyś było to miejsce słynące z upraw winnej latorośli. Tamte czasy należą jednak do zamierchłej przeszłości. Bliższy okres w dziejach Winowa to lata, w których trwała tu walka o prawa narodowe ludności polskiej, prowadzona przez kilka polskich chłopskich rodów.



Ks. Alojzy Liguda

Foto: Roman Kwabiniwski

ska jest bratanica księdza mieszkająca w Opolu. Emerytowana lekarka Bronisława Liguda-Kozak. Pani doktor do niedawna jeszcze dysponowała archiwum rodzinnym ocalałym z oparów ostatniej wojny. Lipcowa powódź stulecia okazała się jednak dla tegoż archiwum bardziej bezlitosna niż wojna.

Na winowskim cmentarzu znajduje się grób rodzinny Ligudów. Leży tu ksiądz Alojzy Liguda obok swego ojca Wojciecha, starszego brata Emanuela i matki Rozalii z Przybyłów. Urnę z jego prochami przywieziono do Winowa z obozu koncentracyjnego w Dachau.

Dzieje rodowego gniazda księdza Alojzego można więc dziś odtworzyć jedynie ze strzępów akt archiwalnych znajdujących się jeszcze w posiadaniu rodziny oraz fragmentów spisanych po wojnie publikacji, złożonych ze wspomnień tych, którzy pamiętali księdza Alojzego.

Ojciec

Protoplastą rodu Ligudów w Winowie był Wojciech. Rolnik, zamożny gospodarz i znany na całą okolicę starosta weselny. „Stary Wojciaszek”, jak nazywano Wojciecha Ligudę we wsi, był także organizatorem polskich „żniwnioków” oraz przewodnikiem pielgrzymek ludności polskiej na Jasną Górę, do Wambierzyc, na Górę Świętej Anny i do Piekar Śląskich.

Wojciech Liguda ukończył niemiecką szkołę podstawową. Czytać i pisać po polsku nauczył się natomiast na polskich modlitewnikach. Chętnie czytał i prenumerował polską prasę wychodzącą na Górnym Śląsku. Był współpracownikiem redaktora naczelnego „Gazety Opolskiej” Bronisława Koraszewskiego i kolporterem tejże „Gazety”.

Ligudowie mieli siedmioro dzieci. Czterech synów: Franciszka, Karola, Emanuela, Alojzego oraz trzy córki: Franciszkę, Łucję i Zofię. Stary Wojciaszek mądrze pokierował losami swoich dzieci. Najstarszy z synów, Franciszek, po ukończeniu gimnazjum studiował prawo na uniwersytecie. Karol zdobył zawód dyplomowanego mistrza drukarskiego i zaczął pracować w „Gazecie Opolskiej”. Z kolei Emanuela ojciec przeznaczył do objęcia ojcowskiej. Najmłodszy Alojzy miał zostać księdzem.

Wszyscy synowie a także córki byli wychowywani w świadomym poczuciu swej narodowej przyna-

Gniazdo

HENRYKA
WOLNA-
-VAN DAS

Dziejów owych rodów nie spisywali ani kronikarze ani historycy. Nie posiadały one ani drzew genealogicznych ani herbarzy. Lecz choć dzisiejszy Winów w niewielkim stopniu przypomina wieś, a życie jego mieszkańców uległo diametralnym przemianom, niezmiennie pozostały ich rodowe nazwiska. Jednym z rodów z przeszłością daleko sięgającą wstecz

w Winowie zamieszkałych, są Ligudowie. To właśnie z nich wywodzi się urodzony 23 stycznia 1898 roku ksiądz Alojzy Liguda, którego wyniósł na ołtarze błogostawionych papież-Polak, podczas swej pielgrzymki do Ojczyzny.

Rodowe gniazdo Ligudów jest dzisiaj puste. Dawno już opuścili je najbliżsi księdza Alojzego. Ostatnią spadkobierczynią rodowego nazwi-

leżności. Wszystkie dzieci biegle władały językiem polskim w mowie i piśmie.

Mądre plany Wojciecha Ligudy pokrzyżował wybuch I wojny światowej. Czterej synowie poszli na front. Wrócili dwaj, beznogi kaleka Emanuel i Alojzy. Franciszek i Karol polegli na froncie zachodnim. Emanuel także rychło zmarł. Jedyłą nadzieją ojca pozostał Alojzy.

Bracia

Tylko jeden z braci Alojzego zdążył założyć rodzinę. Karol Liguda, pracownik „Gazety Opolskiej” w roku 1912 ożenił się z Martą Krzywikówną, również pracującą w tej gazecie. Pani Marta była pierwszą kobietą pracującą w zawodzie dziennikarki na Śląsku Opolskim. W „Gazecie Opolskiej” publikowała materiały prasowe, robiła korektę, tłumaczyła z języka niemieckiego i nosiła materiały do drukarni. Na ślubie młodej pary świadczył sam Bronisław Koraszewski. W roku 1913 urodził się małżeństwu Ligudów syn Bolko, zaś córka Bronisława zjawiała się na świecie w sierpniu 1914 roku. W roku 1915 Marta Ligudowa została wdową. Gdy mąż poległ pod Lorette, musiała myśleć, jak utrzymać przy życiu siebie i dwójkę małych dzieci. Źródłem jej egzystencji była prowadzona przez nią pierwsza i jedyna w tym czasie w Opolu, polska księgarnia pod nazwą „Księgarnia Liguda”. W wychowywaniu dzieci pomagała Marcie rodzina męża z Winowa. Teść, szwagier Emanuel, siostry Karola i ksiądz Alojzy. Ten ostatni starał się zastąpić ojca, szczególnie bratankowi Bolkowi. Los zrządził, iż po latach losy stryja i bratanka spłoty się w dramatyczny węzeł.

Bratanek

Karol wybrał dla swojego pierworodnego piastowskie imię Bolko. Nie Bolesław, a właśnie Bolko, od Piastowicza spoczywającego w krypcie jednego z opolskich kościołów.

W dziejach rodu Ligudów Bolko pozostawił krótki, tragiczny zapis.

Idąc za radą stryja Alojzego, Bolko po ukończeniu gimnazjum wybrał prawo na uniwersytecie w Królewcu. Studiów nie ukończył. Przerwała mu je (jak kiedyś stryjowi) wojna. W niczym nieporównywalna jednak do tej wojny, w której brał

udział stryj Alojzy. Bolko zginął nie mając jeszcze trzydziestu lat. Nie zdążył założyć rodziny ani pozostawić następców.

Tuż po wybuchu wojny aresztowano go w Królewcu i skazano na trzy lata ciężkiego więzienia. Wyrok na Bolka Ligudę został wydany 27 marca 1940 roku. Oto obszerniejszy fragment tegoż wyroku, charakteryzujący bratanka księdza Alojzego, ostatniego „po mieczu” członka rodu Ligudów.

„Sąd Specjalny przy Sądzie Okręgowym w Królewcu, zebrany na posiedzeniu w dniu 27 marca 1940 roku stwierdza, iż oskarżony na podstawie prawa o zdradzie państwa, partii i ochronie mundurów partyjnego z dnia 30 XII 1934 roku, Bolko Liguda zostaje skazany na trzy lata więzienia i pokrycie kosztów postępowania sądowego.

Oskarżony jest obywatelem niemieckim narodowości polskiej. Urodzony w roku 1913 w Opolu ukończył tam szkołę podstawową a następnie gimnazjum. W roku 1933 zdał egzamin na prawo. Jego ojciec poległ jako znany Polak w roku 1915 w mundurze żołnierza niemieckiego. Matka oskarżonego wyszła powtórnie za mąż, za Polaka, który wydawał w Opolu polską gazetę i do wybuchu wojny działał w Związku Polaków w Niemczech. Od października roku 1933 oskarżony studiował w Królewcu prawo. Jego studia były finansowane przez ojczyma poprzez Centralę Banku Słowiańskiego w Berlinie. Na początku roku 1939 oskarżony zdał egzamin na aplikanta sądowego. Podczas studiów oskarżony utrzymywał ożywione kontakty z Polskim Konsulatem...

Po odsiedzeniu wyroku, pod koniec wojny władze hitlerowskie uznały, iż Bolko Liguda jest godny noszenia niemieckiego munduru. Wcielony do Wehrmachtu i wysłany na front wschodni Bolko Liguda zginął bez wieści. Rodzina nigdy nie otrzymała oficjalnego zawiadomienia o jego śmierci.

Zachował się odpis listu Bolka Ligudy do siostry. Bolko pisał go z więzienia w Królewcu. Oryginał listu niestety zabrała powódź. Oto treść tego listu świadcząca bez komentarza o tym, kim czuł się i kim był najmłodszy z rodu Ligudów, nim dopełnił się jego tragiczny los.

Moja Kochana Siostro!

Jak wynika z miejsca mego pobytu, ponownie znajduję się w Królewcu i powodu takiego stanu rzeczy nie muszę Ci wyjaśniać. Wiem, że czeka mnie ponowny proces. Rozprawa ma się odbyć przed Sądem Doraźnym i bardzo możliwą jest rzeczą, że otrzymam wyrok śmierci. Jestem na wszystko przygotowany.

Siostrzyczko Kochana! Cóż może znaczyć życie jednostki wobec życia całego narodu! Teodor Köerner pisze w jednym ze swych listów do Ojca, tłumacząc czemu to on głośny i sławny pisarz dramatyczny swoich czasów porzuca wszystko i wstępuje do wojska. — Nikt z ludzi nie jest za dobry na to, aby życie swoje ofiarować ojczyźnie, ale niewielu się do tego nadaje.

Dziś w samotności celi więziennej pytam sam siebie, dlaczego mi los mój nie pozwolił walczyć o mój naród i za niego oddać życie? Czy nie byłem tego godny? Czy miałem szansę a nie potrafiłem jej poważnie potraktować? Czy też nie miałem wcale żadnej szansy? Wiem



Foto: Roman Kwaśniewski

jednak, że kiedy dojdzie do ostateczności, ona właśnie będzie moją ostatnią szansą. Wierzę, że Bóg pozwoli mi znieść wszystko po meku..."

Potem gdzieś na froncie wschodnim, u schyłku wojny, w roku 1944 dopełnił się los ostatniego z rodu Ligudów „po mieczu”. Matka czekała na jego powrót do domu aż do końca swego życia.

Alojzy

Alojzy Liguda rozpoczął swoją życiową drogę, która w końcowym etapie miała się okazać Golgotą, w gimnazjum prowadzonym przez księży misjonarzy w Nysie. Był rok 1913. Najmłodszy syn Wojciecha Ligudy miał piętnaście lat. Naukę przerwała mu wojna. W ostatnim roku jej trwania został zaciągnięty w szeregi armii niemieckiej. Walczył jako artylerzysta na froncie francuskim. Tym samym, na którym poległ jego dwaj starsi bracia. Wojna oszczędziła go. W roku 1920 znalazł się w Austrii. W Mödlingen pod Wiedniem w Domu Zakonnym noszącym imię świętego Gabriela. W tym domu spędził dalsze siedem lat życia. Studiował teologię, lecz interesował się również i innymi przedmiotami. Pasjonowała go etnologia i lingwistyka. Jak twierdził światowej sławy lingwista, profesor uniwersytetu wiedeńskiego Wilhelm Schmidt, student Alojzy Liguda miał wszelkie szanse, aby zostać kiedyś dużej klasy naukowcem w zakresie lingwistyki. Pozostał jednak wierny obranej już drodze życiowej.

Święcenia kapłańskie przyjął 26 maja 1927 roku w Opolu. W kościele Świętego Krzyża. Swoją decyzją sprawił kłopot ówczesnemu proboszczowi kościoła księdzu Kubisowi, który niezbyt chętnym okiem patrzył na swoich parafian narodowości polskiej. Nie wypadło mu więc uczestniczyć w prymicjach. Z drugiej zaś strony nie wypadło także odmówić, by odprawiły się one w opolskim kościele. Prałat Kubis znalazł więc iście salomonowe wyjście z sytuacji. Wyjechał na rzekomo dawno już zaplanowaną kurację do Kudowy i stamtąd wysłał list z przeprosinami i życzeniami.

Nie zmieniło to faktu, iż podczas nieobecności proboszcza prymicjant był zmuszony do skorzystania jedynie z zakrystii, skąd wychodził odprawiać swoją pierwszą w życiu Mszę Świętą. Zwyczajowo, każdy

prymicjant odbywał tę drogę z budynku probostwa.

Księdzu Alojzemu marzyły się misje w jakimś dalekim, egzotycznym kraju. W Chinach, w Nowej Gwincei, Nowej Zelandii. Otrzymał od przełożonych nakaz wyjazdu do Polski. Do Domu Prowincjonalnego w Górnej Grupie pod Grudziądzem, na Pomorzu. Miał objąć obowiązki nauczyciela w niższym Seminarium Duchownym, warunkiem jednak podjęcia zajęć było uzupełnienie studiów o maturę w języku polskim. Ksiądz Alojzy maturę tę zdał i rozpoczął studia na wydziale filologii polskiej Uniwersytetu Poznańskiego. Aby móc kontynuować studia zamieszkał u siostr Urszulanek w Poznaniu i przyjął obowiązki katechety w gimnazjum żeńskim prowadzonym przez siostry.

Studia ukończył z bardzo dobrym wynikiem i wrócił do Górnej Grupy, gdzie został nauczycielem języka polskiego i historii w seminarium. Pełnił też funkcję kapelana w jednostce wojskowej stacjonującej w Górnej Grupie.

Cieszący się opinią człowieka światłego i wykształconego humanisty, ksiądz Alojzy zawarł kilka interesujących znajomości. Zaprzyjaźnił się między innymi z generałem Józefem Hallerem, w którego posiadłości bywał częstym gościem oraz z ojcem Maksymilianem Kolbe. Tocząc z ojcem Maksymilianem długie dyskusje i prowadząc ożywioną korespondencję, ksiądz profesor Liguda na pewno nie przeczuwał, że obaj podobnie zakończą życie. Jako więźniowie hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Ojciec Kolbe w Oświęcimiu, ksiądz Alojzy Liguda w Dachau.

Wybuch wojny we wrześniu 1939 roku zastał księdza Alojzego w Górnej Grupie w Domu Zakonnym. Pełnił wtedy funkcję rektora tegoż Domu oraz funkcję wykładowcy w Seminarium Duchownym prowadzonym przez Ojców Werbiistów.

Już od pierwszych dni wojny hitlerowcy przeznaczili dom na miejsce dla polskich księży internowanych z terenu Pomorza. Jedenastego września znajdowało się tu 96 księży polskich z diecezji pomorskiej. Piętnastu z nich zaraz po przywiezieniu zostało rozstrzelanych. Księdza Ligudę ocaliło od natychmiastowej śmierci wstawiennictwo niemieckiego pastora. Ponieważ jednak nie skorzystał z propozycji zadeklarowania niemieckiej narodowości, jego los został przypięczętowany.

Kolejne etapy Golgoty, które ksiądz profesor Alojzy Liguda przeżywa wraz z innymi księżmi polskimi to obozy w Stuthofie, Grenzdorfie, Sachsenhausen. Ostatnim etapem drogi jest obóz w Dachau.

Przed wywózką do Dachau ksiądz profesor Liguda raz jeszcze ma szansę ocalenia życia. O jego zwolnienie z obozu rozpoczyna starania generał Zakonu poprzez nuncjaturę w Berlinie. Znany jest fragment pisma będącego odpowiedzią na te starania. Gestapo informuje w nim co następuje:

— Ksiądz Liguda nie może być zwolniony z obozu, gdyż sam oświadcza, iż jest Polakiem i w przyszłości chce pracować w Polsce. Wiadomo zaś, że jako osoba należąca do polskiej inteligencji musi być w czasie wojny odizolowany od społeczeństwa.

Ksiądz Alojzy Liguda miał wszelkie szanse na zwolnienie z obozu. Aż do roku 1936 był obywatelem niemieckim. Urodził się na terenie niemieckiego Śląska, w czasie zaś I wojny światowej walczył w mundurze niemieckiego żołnierza. Chodziło więc tylko o „formalność”, zadeklarowanie narodowości niemieckiej. Na taką propozycję ksiądz Liguda miał tylko jedną odpowiedź.

— Nie mogę być raz Polakiem a raz Niemcem w zależności od tego, jak mi jest wygodnie. Urodziłem się Polakiem. Takiej narodowości byli moi rodzice i dziadkowie. Tego nie mogę zmienić. Zresztą, nawet gdybym był Niemcem, teraz na pewno bym nie opuścił moich braci w potrzebie. Bóg da, że dotrąm do końca.

Koniec nastąpił 9 grudnia 1942 roku. Śmierć księdza profesora Alojzego Ligudy nastąpiła w szczególnie dramatycznych okolicznościach. Został ofiarą medycznych eksperymentów, prowadzonych w Dachau w słynnym bloku piątym. Celem eksperymentu było ustalenie proggu wytrzymałości organizmu ludzkiego na działanie niskich temperatur. Ksiądz Liguda został utopiony w lodowatej wodzie, w specjalnie w tym celu skonstruowanym basenie.

Jego prochy pochowano w rodzinnym grobie na cmentarzu w Winowie. Obok ojca Wojciecha, matki Rozalii i brata Emanuela.

W taki oto sposób ostatni z rodu Ligudów powrócił do rodzinnego Winowa, stając się ponownie częścią ziemi, która go wydała.

Dokonał się kolejny w polskich dziejach literackich „najazd”. Pierwszy, jak pamiętamy, polegał na najejchaniu Warszawy przez futurystów w progę lat dwudziestych. Ostatni, o którym pragnę niniejszym donieść, zdarzył się w Katowicach 23 lutego 2000 roku. Wydział Filologiczny Uniwersytetu Śląskiego najechali badacze i znawcy awangardy (i nie tylko) z Krakowa, Lublina, Łodzi, Wrocławia i Szczecina.

Przybyli m.in.: nestorka polskiej humanistyki — prof. Irena Sławińska oraz prof. Maria Jasińska-Wojtkowska, prof. Danuta Zamącińska-Paluchowska, dyr. Andrzej Paluchowski i prof. Stanisław Fita z KUL-u; prof. Stefan Nieznanowski z UMCS-u; prof. Jacek Łukasiewicz, prof. Wiesław Paweł Szymański, prof. Tadeusz Bujnicki, prof. Stanisław Gawliński i prof. Wojciech Lięga z Uniwersytetu Jagiellońskiego; prof. Grzegorz Gazda z Uniwersytetu Łódzkiego; prof. Jacek Łukasiewicz z Uniwersytetu Łódzkiego oraz dr Robert Cieślak z Uniwersytetu Szczecińskiego.

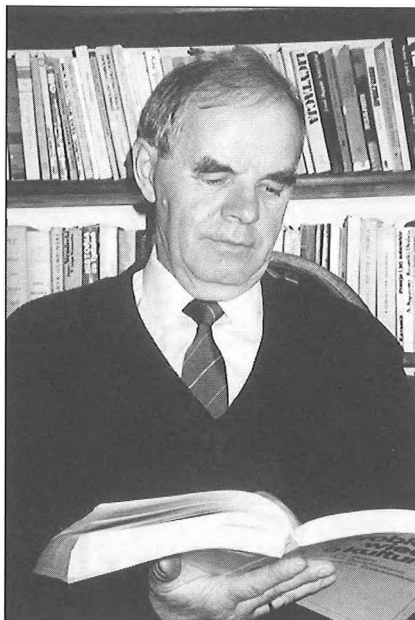
Znakomitych gości podejmowali dyskusją i jadłem katowiccy gospodarze czyli profesura i młodszy pracownicy naukowi Wydziału Filologicznego. W sali Rady Wydziału nie zabrakło również przedstawicieli wydawnictwa „Śląsk”, w tym redaktor Krystyny Donabidowicz i lokalnej telewizji ze Stanisławem Piskorem na czele. A wszystko to za sprawą nie lada wydarzenia.

Otóż Instytut Nauk o Kulturze UŚ świętował 40-lecie pracy naukowej prof. zw. dra hab. Tadeusza Kłaka — historyka literatury polskiej, krytyka i edytora w jednej osobie, którego imponujący dorobek wyraża się liczbą 400 publikacji, z czego 10 stanowią poważne, autorskie książki.

Uroczystość otworzył dyrektor Instytutu — prof. Tadeusz Miczka, a po nim zabierali głos, witając zebranych i składając gratulacje bohaterowi dnia JM Rektor oraz Dziekan Wydziału. Oficjalne przemowy nie mogły zastąpić gruntownego przypomnienia wszystkim zebranych sylwetki Jubilata. Podjął się tego zadania inicjator całego przedsięwzięcia — kierownik Zakładu Kultury Literackiej — prof. Stefan Zabierowski.

W biografii Tadeusza Kłaka mieści się wiele dat, wiele funkcji i wiele nazw miejscowych, bowiem jego droga do katowickiego jubileuszu wcale nie była prosta, ani „jednowektorowa”. Studiował polonistykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Uczęszczał wtedy, m.in., na zajęcia prowadzone przez obecną na uroczystości, Marię Jasińską oraz na seminarium Ireny Sławińskiej. Jego pierwsze publikacje prasowe ukazały się już w czasie studiów — w roku 1953, a dotyczyły motywu Bożego Narodzenia w poezji polskiej oraz wierszy poświęconych Stefanowi Żeromskiemu. Także podczas studiów redagował czasopismo „Teatr Akademicki” oraz był dziennikarzem we „Wrocławskim Tygodniku Katolików”. Ukoronowaniem pierwszego etapu polonistycznej drogi Tadeusza Kłaka było magisterium traktujące o twórczości Hanny Małewskiej, napisane pod kierunkiem prof. Ireny Sławińskiej i obronione w roku 1956. Po nim, wbrew temu, co mogłoby się wydawać, nie został etatowym naukowcem na żadnej uczelni, ale trafił do innych zajęć.

Pozostając w Lublinie do 1960 roku, pracował zrazu w Bibliotece KUL-u, a później w Wojewódzkim Domu Kultury, poniechał obowiązków instruktora, by



Jubileusz profesora Kłaka

przenieść się do Nałęczowa i tam objąć stanowisko kierownika Muzeum im. Bolesława Prusa. Nałęczów chętnie odwiedzali szukający wytchnienia ludzie pióra i nauki. Tadeusz Kłak skrzętnie wykorzystywał kontakty z nimi. Gromadził materiały przydatne nie tylko do zbiorów muzeum, nie tylko też dotyczące współczesnego życia literackiego, ale również te, które dotyczyły dziejów międzywojennej awangardy literackiej. To one dopomogły mu w stworzeniu scenariusza do otwartego w 1968 roku w Lublinie Muzeum Józefa Czechowicza. Systematycznie współpracował wtedy z lubelską „Kameną”, pisywał także do innych pism literackich oraz współtworzył hasła „Polskiego Słownika Biograficznego”.

Zwrotny moment w naukowej biografii Tadeusza Kłaka nastąpił w roku 1970. Wówczas bowiem obronił na Uniwersytecie Jagiellońskim rozprawę doktorską pt. „Poezja Józefa Czechowicza”, znaną w wersji książkowej jako „Czechowicz — mity i magia”. Jego promotorem był Kazimierz Wyka. To z rekomendacji Wyki trafił Kłak do Katowic, do utworzonego dwa lata wcześniej Uniwersytetu Śląskiego. Jest zatem Profesor związany z naszą uczelnią niemal od początku jej istnienia!

Prezentujący curriculum vitae Jubilata prof. Stefan Zabierowski nie mieszkał podkreślić, że jako nowo mianowany adiunkt, Tadeusz Kłak legitymował się ponad dwustoma publikacjami. W tym momencie wśród całkiem współczesnych adiunktów (choć nie tylko!) przebiegł szmer swoistego zaniepokojenia... Wróćmy jednak do osoby Jubilata. W 1979 roku habilitował

się na Uniwersytecie Jagiellońskim, na podstawie dwutomowych „Czasopism awangardy”. W 1987 roku uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a w 1999 — zwyczajnego. Pisał, redagował, nauczał. I tak jest do dziś.

Oficjalne fakty z prezentowanej podczas uroczystości biografii Profesora rychło zaczęły obrastać osobistymi szczegółami i anegdotami. Działo się to za sprawą wystąpień gości i replik głównego bohatera. A trzeba zaznaczyć, że o Jubileacie mówiło wiele osób i na różne sposoby — począwszy od solidnego referatu Marii Jasińskiej-Wojtkowskiej, syntetyzującego naukowe i edytorskie dokonania T. Kłaka, a skończywszy na urokliwym, wziętym panegiriku, opartym na rymach męskich, który napisał i odczytał Tadeusz Sławek.

Można było zatem usłyszeć, iż student Kłak zrazu dzielił pokój z 15 innymi żakami, choć przed magisterium warunki zdecydowanie się poprawiły: mógł zamieszkać w pokoju, co prawda nadal z piętrowymi łózkami, ale za to „jedynie” dziesięcioosobowym. Padło z ust Marii Jasińskiej retoryczno-humorystyczne pytanie, że nie wiadomo kto komu więcej zawdzięcza: czy Kłak Czechowiczowi, czy Czechowicz Kłakowi? Danuta Zamącińska stwierdziła natomiast, że odkąd zabrakło Kłaka (z którym, nie może sobie przypomnieć, by kiedykolwiek o cokolwiek się posprzeczała) w Lublinie, nie może kupić żadnego tomiku wierszy autora „Ballady z tamtej strony”.

Współpracownicy i uczniowie przygotowali dla Profesora jeszcze jedną niespodziankę. Wręczyli mu mianowicie książkę zatytułowaną „Z problemów literatury i kultury XX wieku”, będącą zbiorem prac ofiarowanych Tadeuszowi Kłakowi, a wydaną przez wydawnictwo „Śląsk”. Zaprezentował książkę, rekomendując ją wcześniej do druku, prof. Stanisław Jaworski.

Zawiera ona bibliografię prac Jubilata oraz 18 rozpraw różnych autorów, z czego pierwsze 9 koncentruje się w „W kręgu awangardy”, a 9 następnym obraca się „W kręgu innych zagadnień”. Czytelnik odszuka wśród nich teksty poświęcone Julianowi Przybosiowi i Czesławowi Miłoszowi, awangardzie słoweńskiej i „drugiej” awangardzie polskiej oraz związkom z prądami awangardowymi literatury pisanej w jidysz. Znalazły swe miejsce w tomie wieloaspektowe rozważania o twórczości Tadeusza Różewicza, fenomenologii kolei żelaznej i Teatrze Gardzienice. Tajemniczo brzmiąca zaś nazwa drugiej części książki wyjaśni się, gdy dopowiemy, że owe „inne zagadnienia” obejmują studia dotyczące „XX-wiecznej poezji (J. Tuwima i S. Stabry), prozy fabularnej (J.J. Szczepańskiego), diarystyki (Z. Nałkowskiej i M. Dąbrowskiej), krytyki literackiej (K. Wyki), socrealistycznego scenariopisarstwa, intelektualnego kina K. Zanussiiego oraz folklorystyki słowiańskiej. Całość zamyka nad wyraz interesująca analiza stylu samego Tadeusza Kłaka.

Potem były jeszcze kwiaty, gratulacje i podziękowania. Niezwykle serdeczną atmosferę wyzwała osoba samego Jubilata — człowieka wielkiego intelektu, ale też równie wielkiej życzliwości.

Powtórzę więc raz jeszcze za Władzami Uczelni — ad multos annos, Panie Profesorze!

Prof. UŚ dr hab. HELENA SYNOWIEC, profesor Uniwersytetu Śląskiego, kierownik Zakładu Dydaktyki Języka Polskiego; autorka i współautorka wielu publikacji z zakresu kompetencji językowej dzieci i młodzieży, a także edukacji regionalnej, m.in. *Sprawność językowa uczniów w śląskim środowisku gwarowym; Kształcenie sprawności językowej (ćwiczenia dla uczniów środowiska śląskiego), Polszczyzna w szkole śląskiej (cz. I i II)* - współautorsko z Bożeną Cząstką-Szymon oraz *Małego słownika gwary Górnego Śląska* (współautorzy: B. Cząstka-Szymon, J. Ludwig).

Gwara śląska – język żywy

— Rozmawiamy w poczuciu wspólnoty — nie tylko zawodowej, ale i etnicznej. Oboje jesteśmy pracownikami Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego, uczymy o języku i literaturze. Oboje wychowaliśmy się w środowisku gwarowym; gwara była naszym pierwszym językiem, którym pytaliśmy o świat i opisywaliśmy go...

— Tak, zarówno dla Pana, jak i dla mnie pierwszą przyswojoną w dzieciństwie odmianą językową była gwara pogranicza śląsko-małopolskiego (Mysłowic, Chelmu Śląskiego). Polszczyznę ogólną poznawaliśmy w szkole, lecz na co dzień mówiliśmy gwara (*godalimy*). Wbrew opiniom, które często słyszę o sytuacji gwary śląskiej w szkole lat 50. i późniejszych, w mojej szkole nie tępieno gwary ani jej nie wyśmiewano. Może miałam szczęście... Spotykam się z opiniami ludzi, że za ich szkolnych czasów gwara wyszydzano, a nawet karano za mówienie po śląsku.

— Tak było w mojej szkole podstawowej, choć łatwo to wyjaśnić — nauczyciele w większości pochodzili z innych regionów Polski, nie znali kultury tej ziemi, a gwara uznawali za język gorszy, niepoprawny.

— Sądzę, że wynikało to ze słabej świadomości językowej, nieznanomości różnicowania odmian polszczyzny, a ponadto — z nieznanomości form pracy nad sprawnością językową dzieci w środowisku gwarowym. Nauczyciele uważali, że umiejętności mówienia standardową polszczyzną można wykształcić, jeśli się w szkole nie

dopusi do użytkowania gwary. Przynosiło to wręcz odwrotne skutki. Myślę, że obecnie takie separatystyczne traktowanie gwary w szkole nie może mieć miejsca. Skoro najważniejsza jest troska o rozwój dziecka (także o jego rozwój językowy), trzeba uwzględnić przede wszystkim pozaszkolne (domowe) językowe doświadczenia ucznia. Kształci się więc sprawne posługiwanie się polszczyzną ogólną, biorąc pod uwagę to, że uczeń zna już rodzimą gwara. Nie degraduje się wartości gwary, ale pokazuje podobieństwa i różnice między tą odmianą a językiem ogólnopolskim. Pokazują się sytuacje, w których jej używanie jest celowe lub wręcz konieczne oraz takie, w których trzeba używać odmiany ogólnopolskiej. Ponadto większość nauczycieli, również przybyłych spoza Śląska zasymilowało się w tym środowisku kulturowo albo przynajmniej stara się poznać słownictwo gwarowe i obyczaje regionalne.

Sądzę, że nieraz przesadzamy mówiąc o ignorowaniu śląskości w szkole w poprzednich okresach. Specyfikę kulturowo-językową regionu zauważano już w dwudziestoleciu międzywojennym. Warto tu wspomnieć o pracy dydaktycznej Stanisława Bąka (pochodzącego z Małopolski, później profesora Uniwersytetu Wrocławskiego) w gimnazjum w Mikołowie, podczas której gromadził bogaty materiał gwary z wypowiedzi swoich uczniów. Przygotowane przez niego przed II wojną i ukrywane w latach okupacji opracowanie pt. *Polszczyzna górnośląska w przedwojennej szkole śred-*

niej, ukazało się dopiero w 1983 r. Z myślą o nauczycielach regionu śląskiego Eugeniusz Trzaska opublikował opracowanie *Gwara i wpływ obce w języku uczniów śląskich* (1937 r.).

Z kolei w latach 60. wydawano serię *Czytanki śląskie*, przybliżającą uczniom szkół województw: katowickiego, opolskiego i wrocławskiego przeszłość i literaturę regionu (m.in. utwory Damrota, Bonczyka, Kossak-Szczuckiej). Dobrze uzupełniał tę serię podręcznik Janiny Żlabowej *Mówimy poprawnie po polsku* (co nie oznaczało: nie mówimy dialektem). Autorka zwracała w nim uwagę na formy gramatyczne podatne na oddziaływanie gwary, a w poradniku dla nauczycieli wskazywała na uwarunkowania używania odmiany gwarowej.

— Jest Pani współautorką *Małego słownika gwary Górnego Śląska*. Przyznam się, że czytając ten słownik odkryłem, iż moja znajomość mowy śląskiej jest raczej bierna. Rozumiem znaczenie zwrotów, ale nie potrafiłbym chyba przypomnieć ich sobie w odpowiedniej sytuacji.

— Przesada. Mówi Pan — jak nieraz słyszałam — niezłe gwara. Wiadomo, że frazeologizmy przyswaja się w gotowej postaci i przywołuje się je z pamięci w odpowiednich sytuacjach. Zapomina się je, kiedy nie zdarza się okazja, by ich używać (np. *mosz ptoka* — zwrot do kogoś z kręgu znajomych, kto akurat zachowuje się niepoważnie). Obojgu nam nie sprawia trudności „przełączenie kodów“, tzn. „przedstawienie się“ z polszczyzny ogólnej na gwara (*i na odwrot*). Nawet teraz moglibyśmy rozmawiać gwara, ale sytuacja oficjalna (wywiad) sprawia, że posługujemy się językiem ogólnym. Mamy też naleciałości intonacyjne, które ujawniają się natychmiast, gdy wypowiadamy się spontanicznie, gdy nie kontrolujemy swojej wymowy.

— Nie zaprzeczam, że „śląskość“ pozostała w mojej mowie, np. w postaci błędów językowych. Dowiedziałem się z części wstępnej *Słownika...*, że wyrażenie *ogród od ciotki* (zamiast: *ogród ciotki*) jest gwara. A ja go używam mówiąc polszczyzną ogólną. Jakie są „pomysły“ na uczenie języka polskiego śląskich dzieci?

— Rzeczywiście, przytoczona konstrukcja świadczy o wpływie gwary (nadmiernie, że ten sposób wyrażenia przynależności ma genezę niemiecką). Częste są jeszcze w wypowiedziach uczniów gwaraowe konstrukcje wyrażające przeznaczenie z przymnikiem *do*, np. *zupa do dziadka*, *filmy do dzieci* (zamiast: *dla dziadka*, ... *dla dzieci*). Najsilniej oddziaływanie gwary zaznacza się w wymowie. O tym, jak rozwijać sprawność językową uczniów śląskich pisałyśmy wspólnie z koleżanką dr Bożeną Cząstką-Szymon w artykułach i publikacjach

książkowych, m.in. w wydanym w 1996 r. dwuczęściowym opracowaniu *Polszczyzna w szkole śląskiej* (cz. I: *Ćwiczenia dla uczniów*; cz. II: *Poradnik dla nauczycieli*). Nauczyciel powinien się wykazać dobrym przygotowaniem językoznawczym, dużym taktem pedagogicznym i wrażliwością, poznać język środowiska, w którym pracuje i przyczyny trudności językowych swoich uczniów. Nie może być purystą, który tropi i trzebi w wypowiedziach mówionych uczniów wszystko, co nie jest zgodne z normą ogólnonarodową. Dziecko upominane stale: *złe powiedziałeś, mów poprawnie*, szybko się zniechęci, onieśmieli i zamilknie. Na zajęciach z dydaktyki uwrażliwiamy przyszłych polonistów na to, jak rozwijać sprawność językową w szkołach śląskich. Ponadto kształcimy pod tym kątem nauczycieli Podyplomowego Studium Wiedzy o Regionie (przy Instytucie Socjologii UŚ) i w ramach Studium Podyplomowego dla absolwentów kierunków polonistyki (na Wydziale Filologicznym). Przygotowujemy do prowadzenia edukacji regionalnej. Dowartościowanie gwary obserwujemy obecnie m.in. w licznych konkursach, festiwalach piosenek, w organizowaniu lekcji poświęconych problematyce lokalnej. Tematyka lekcji (np. legendy, podania, baśnie) i formy wypowiedziania się (np. opowiadanie z dialogiem, wywiad) sprzyja celowemu posługiwaniu się gwarą. A lekcje z fonetyki lub słowotwórstwa pozwalają porównywać gwarowe sposoby mówienia, lub budowy wyrazów, z ogólnopolskimi. Ponieważ w szkołach na nowych osiedlach uczą się uczniowie z rodzin rdzennie śląskich i nieśląskich, ważna jest tam troska nauczycieli o wzajemną tolerancję, zwracanie uwagi na odrębność regionalną, ale i na wspólne elementy kulturowe. Wbrew zasadzie tolerancji pozostaje np. robienie sprawdzianów (testów) ze znajomości słownictwa śląskiego. Najistotniejsze jest budzenie pozytywnej motywacji do dalszego opanowania polszczyzny ogólnej, ponadregionalnej, a równocześnie wykazywanie, że gwarą jest również swoistym bogactwem tych ludzi, którzy nią się posługują.

— **Czy praca nad Małym słownikiem gwary Górnego Śląska była dla Pani i współautorów powrotem do przeszłości?**

— Owszem. Przeszłość uobecnia się w naszym słowniku — jest w nim wiele wyrazów i wyrażeń, które słyszeliśmy w dzieciństwie, a których dziś używa już tylko najstarsze pokolenie Ślązaków, np. forma powitania: *Witejcie!* — *I jo wos tyż witóm tóm / takom samóm witaczkóm!* Poznikały przedmioty, sprzęty, nazywane gwarowymi wyrazami. Już w niewielu domach spotkać można *bifyj / byfyj* 'kredens', *wertiko* 'szafę na bieliznę',

kachlok 'piec kaflowy', *róma*, *na ker-ryj wisiały szolki*.

Ale praca nad słownikiem to nie tylko powrót do przeszłości. W środowisku śląskim — w miejscowościach, gdzie gwarą była zjawiskiem żywym — wzrastali wszyscy autorzy słownika: koleżanka Bożena Czastka-Szymon od dzieciństwa przez wiele lat mieszkała w Bielszowicach, Jerzy Ludwig (dziś już górnik-emeryt) mieszkał w różnych śląskich miastach i pracował w kopalni, mówi gwarą na co dzień; ja wychowałam się i stale mieszkam w środowisku wiejskim, nie tracę kontaktu z gwarą — używam jej w rozmowach rodzinnych i sąsiedzkich (a czasem lokalnych). Byłoby czymś niestosownym rozmawiać polszczyzną ogólną z osobami, które wyłącznie posługują się znaną nam gwarą. I to ułatwiało gromadzenie materiału do słownika. Nasi współromownicy nie czuli bariery językowej, wiele osób pomogło nam w zbieraniu słownictwa i jego weryfikowaniu w różnych częściach Śląska. Dziękujemy im za to, bo bez ich pomocy słownik by nie mógł powstać.

— **Jaki był — najogólniej — pierwotny cel stworzenia Małego słownika gwary śląskiej?**

— Chodziło przede wszystkim o wypełnienie luki w tym zakresie. Mamy wiele profesjonalnych opracowań dialektu śląskiego: wielotomowy atlas językowy Śląska prof. A. Zaręby, wybory śląskich tekstów gwarowych, publikacje dotyczące przeszłości dialektu śląskiego (m.in. autorstwa Stefana Rosponda, Aliny Kowalskiej) i onomasty. Brakowało dotąd popularno-naukowego słownika gwarowego. Częściowo już zapełniał tę lukę słownik popularny, wydany przed kilku laty przez nieprofesjonalistów. Wyrósł on z pewnością z poczucia silnej więzi emocjonalnej z regionem.

Może to zabrzmieć zbyt górnolotnie, ale podejmując pracę na słownikiem, kierowaliśmy się tym, że ziemi śląskiej i ludziom mieszkającym tu od pokoleń jesteśmy coś dłużni. Chcieliśmy zachować jak najwięcej ze słownictwa gwarowego, utrwalić przynajmniej część bogatego zasobu słownikowego (nasz słownik ma 3800 haseł). Chcieliśmy również, by słownik wzbogacił kompetencję językową czytelników oraz wiedzę o kulturze śląskiej, odzwierciedlającej się w słownictwie i frazeologii. Dlatego zachęcamy, by lekturę słownika rozpoczynać od części wstępnej. Pozwoli ona poznać historię słownictwa i badań gwaroznawczych na Śląsku oraz cechy dialektu śląskiego.

— **Jak przeprowadzaliście badania? Skąd czerpaliście materiał?**

— Materiały zbieraliśmy przez kilka lat i w różny sposób — spisywaliśmy, cośmy usłyszeli w różnych sytuacjach i kontekstach; rozmawialiśmy z ludźmi w różnym wieku, w różnych

rejonach Śląska. Wykorzystaliśmy też materiały wcześniej zgromadzone, np. koleżanka — współautorka opublikowała już słowniczkę do zbiorów folklorystycznych Aleksandra Widery. Przy redagowaniu słownika spożytkowaliśmy także nasze doświadczenia badawcze: dialektologiczne i leksykologiczne, m.in. z okresu pracy w zespole nad językiem mówionym mieszkańców miast śląskich, kierowanych przez prof. Władysława Lubasia. Chodziło o wykazanie różnicowania językowego w regionie śląskim i utrwalenie zakotwiczonych w wyrażeniach językowych sposobów myślenia, oceniania, obyczajowości, przeszłości...

— **Pobieżna nawet lektura słownika pozwala nam dostrzec charakterystyczne właściwości słownictwa gwarowego.**

— To przede wszystkim: konkretność tego słownictwa (w gwarze nie brakuje też wyrazów abstrakcyjnych typu: *cliwośa* 'tęsknota', *starość* 'staranie, troska o coś', *gańba* 'wstyd', *ostuda* 'zgorzenie, nieporozumienie'), ekspresywność, nawet dosadność wyrażen, kondensacja treści. Dużo jest takich słów, które w języku ogólnym nie mają jednowyrazowego odpowiednika, np. *zećmić się* 'nie zdążyć czegoś zrobić przed zapadnięciem zmroku', *zachciwony* 'taki, który ma na coś ochotę'. Kondensowanie znaczeń współbrzmi z cechami osobowości mówiących nią ludzi: każdy wie, że Ślązak woli mniej powiedzieć, więcej zrobić, jest oszczędny w słowach.

Słownik zaprzecza też temu, że gwarą śląską jest zgermanizowana. Germanizmy z dużym nasileniem pojawiają się np. w tekstach kabaretowych i anegdotach — ich autorzy chcą odbiorcę zaszokować obcym brzmieniem słów. Co prawda, w gwarze śląskiej są wyrazy pochodzenia niemieckiego — ich obecność jest tu uzasadniona historycznie i politycznie (wielowiekowa przynależność Śląska do Prus, potem do Niemiec, germanizacja, lata okupacji...). W naszym słowniku pokazujemy, jak te wyrazy przystosowywano do gwarowego modelu odmiany, jak urabiano od nich nowe słowa za pomocą rodzimych przyrostków (np. *farorz*, *grubiorz*, *holcok*, *frechowny*, *szporobliwy*) — jak gwarą oswajała obce wyrazy. Wertując słownik, każdy dostrzeże, że zapożyczenia niemieckie dotyczą kilku grup znaczeniowych — są m.in. związane z przemysłem, budownictwem (np. *gipsdeka*, *glajcha*).

— **A wulgaryzmy? Zdaje się, że słownik jest ich pozbawiony.**

— Są one w dialekcie śląskim swoiście łagodne. Jest wyraz *pierón* (rzadziej jego żeński odpowiednik (ta) *pieróna*), używany w kilku znaczeniach, np. *Tyn pierón ale to poradzi zrobić!* (o sprytnym człowieku); powiedzenie: *Ale ś niego pierón!* (zależ-

nie od sytuacji i stosunku do osoby (tak ocenianej) wyrażać może dezaprobatę, złość na kogoś albo podziw dla czyichś umiejętności. Przekleństwa *pietrona!* ludzie starsi nie używali w obecności dzieci; zastępowali je eufemizmami, modyfikacjami tego wyrażenia, np. *piernika, piernika kandego, pierzina, pierucha, faróna, jeróna*. Występują w gwarze śląskiej wyrażenia obelżywe, głównie określające kobiety, które źle się prowadzą. Obserwujemy jednak coraz częściej w rozmowach młodzieży mówiącej gwarą wiele wulgaryzmów, ale nie mają one rodowodu gwarowego — są przejmowane z kolokwialnej odmiany polszczyzny.

— **Dzięki temu, że w słowniku ilustrujecie znaczenia wyrazów przykładami ich użycia w kontekstach — co chwalił recenzenci — gwara w nim zostaje ożywiona.**

— Bo jest ona wciąż zjawiskiem żywym — dobrze służy porozumiewaniu się Ślązaków, wyrażaniu emocji, a nie tylko celom ludycznym (np. opowiadanie wiców w scenerii krupnioka i kufla piwa).

— **Czy nie sądzi Pani, że *Mały słownik gwary...* nie mógłby powstać wcześniej? Trzeba było zainteresowania tym regionem, dowartościowania „małych ojczyzn”, upadku centralnych ideologii. Sama liczba sponsorów słownika wskazuje na sprzyjający gwarze klimat.**

— Ze sponsorami bywało różnie. Wbrew pozorom niełatwo było ich pozyskać. Tylko dwa banki wsparły naszą inicjatywę, mimo że zwracaliśmy się do kilkunastu. Bardziej zainteresowały się sfinansowaniem wydania słownika urzędy miast i gmin, instytucje, a nawet osoby prywatne. Zainteresowanie problemami „małych ojczyzn” ma odzwierciedlenie w edukacji, w wydarzeniach kulturalnych. Zauważmy od razu, że ludzie zafascynowani kulturą regionalną spontanicznie, nie czekając na ministerialny program edukacyjny „Dziedzictwo kulturowe w regionie”, wprowadzali w różnych formach (np. na zajęciach pozalekcyjnych, w pisemkach szkolnych, konferencjach popularnonaukowych) treści związane ze środowiskiem lokalnym.

— **Tematyka śląska przestała być zatem peryferyjna, stała się jedną z najważniejszych. W Uniwersytecie Śląskim co roku odbywa się sesja, podczas której z jednakową powagą traktuje się gwarę, kulturę śląską, światopogląd..., poszukuje się w śląskości żywych treści.**

— Przed kilkunastu laty studenci polonistyki niechętnie przyznawali się do znajomości gwary. Mimo że zdradzała ich intonacja lub inne cechy dialektałne w mowie, stwierdzali, że od dzieciństwa rozmawiano z nimi potoczną polszczyzną. Dziś jest inaczej, przyznają się do gwary, biorą udział w sesjach śląskoznawczych.

— **Przyпускаjąc jednak, że przyszłość gwary będzie ponura. Mówiący gwarą coraz częściej używają słownictwa ogólnopolskiego, nie pamiętają lokalnych wyrażeń, więc najprawdopodobniej śląska mowa się rozplynie, roztopi się w polszczyźnie.**

— Nie do końca się z Panem zgadzam. Z pewnością w dużych aglomeracjach, na nowych osiedlach gwarę śląską słyszy się rzadko. Tam dominuje potoczna polszczyzna z wpływami językowymi różnych dialektów. Nadal natomiast gwara śląska jest żywa w miasteczkach i wsiach. Oczywiście, niektóre wyrazy zanikają, np. gdy wychodzą z użycia rzeczy, które one oznaczały (mówiliśmy o tym wcześniej). Wystarczy posłuchać jak rozmawiają ze sobą młodzi mieszkańcy podrybnickich miejscowości (zresztą młodzież szkół średnich Rybnika, Wodzisławia, Bierunia zdobywa pierwsze miejsca w konkursach gwarowych). Wiele zależy od atmosfery, jaką wytwarza wokół gwary dom rodzinny i szkoła. W wielopokoleniowych rodzinach śląskich (np. w Piekarach, Chorzowie, Radzionkowie) pielęgnuje się gwarę i przekazuje się ją dzieciom tak jak tradycje religijne i obyczajowość. I to jest wielką wartością, jaką dzieci z tych domów wynoszą. Ale znam też rodziny (inteligencja w pierwszym pokoleniu), które przestrzegają gwarę jedynie jako przeszkodę w dobrym opanowaniu przez dzieci polszczyzny ogólnej, dlatego starają się dzieci wobec tej „gorszej” odmiany języka dystansować (choć i tak przekazują im odmianę regionalną — język ogólny z licznymi naleciałościami gwarowymi, których nie są świadomi).

— **Obserwuję, że powszechnie miesza się ogólnopolskie z gwarowymi, np. *jo ci mówił, mówitech* (nie: *jo ci godoł, godotech*) wyraz ogólnopolski, lecz końcówka gwarowa. Jaka jest kompetencja gwarowa użytkowników śląskiej mowy?**

— Uważam, że jest różnicowana. To nieprawda, że Ślązak mówi tak jak mówi i się nie zastanawia. Ślązak wie: *u nos sie godo tak, a kaj indzi inaczy*, cechuje go poczucie odrębności gwarowej i na ogół tolerancja wobec inności. Szuka wyjaśnień obyczajowych, kulturowych obserwowanych różnic. Przekonałam się o tym w rozmowach ze słuchaczami audycji radiowych. Zauważyli oni m.in., że słowa garderoba nie ma w śląszczyźnie — nie ma, bo takiego sprzętu kiedyś w śląskich mieszkaniach nie było. Był tylko kładesztynder — stojak na ubrania; nie umieszczano go jednak w przedpokoju (w antryju), lecz w rogu pokoju (*izby*) i tam zawieszano *ibercyjery, mantle, kapelusze*. Ślązacy są szczególnie wyczuleni na wszelkie niekonsekwencje w używaniu gwary, np. gdy spiker w audycji regionalnej mó-

wi: *my tu teraz bydymy realizować nasza audycja po ślónsku* (formy grammatyczne — śląskie, ale wyraz realizować z oficjalnej odmiany polszczyzny). Powszechnie dostrzega się także odrębność mowy śląskiej w zestawieniu ze słownictwem ogólnopolskim, np. wyrazów *wieczerza, wieczerczać* używa się w gwarze na oznaczenie kolacji ('jeść kolację'), podczas gdy w polszczyźnie ogólnej używa się ich jedynie w odniesieniu do kolacji wigilijnej. Słowo ubrudzić się, zbrudzić się ma w gwarze kilka odpowiedników (zależnie od tego, czym i w jakim stopniu ktoś się ubrudził), np. *zmaraścić się* (ubrudzić się błotem), *zabrać się, sfifrać się* (lekko się ubrudzić), *ściorać się* (mocno się ubrudzić), *pokidać się* (pobrudzić się jakąś potrawą). Zróżnicowanie wykazuje też słownictwo określające człowieka, jego wygląd zewnętrzny, zachowanie. Ostatnio np. dowiedziałam się, że wyraz *ochyntol* (*tochyntol, lochantol*) w jednej miejscowości ma znaczenie 'nicpoń' w innej 'człowiek niechlujny (nieochędożony)'.

— **Zapewne te różnice znaczeniowe prowadzą czasem do sytuacji komicznych.**

— Częste są nieporozumienia językowe, niekiedy zabawne, które wynikają z nieprzystawalności znaczeń jednakowo brzmiących wyrazów w języku ogólnym i gwarze. Przykładowo: w jednej ze szkół w Siemianowicach nauczycielka poleciła uczniom, by na następne zajęcia przynieśli odpowiednie produkty bo będą piec placki. Ślązacy znają tylko *placki kartoflane* (ziemniaczane), w innych regionach placek oznacza ciasto drożdżowe (odpowiednik śląskiego *kolocza*). Dziewczyny — Ślązaczki przyniosły więc ziemniaki, bo dla nich placek to coś, coś co smaży się „na tygliku”. Nauczycielka dopiero wtedy zorientowała się iż jej niewystarczająca kompetencja kulturowo-językowa była powodem braku porozumienia. Inny przykład — rozmowy polonistki nie-Ślązaczki z uczennicami, które proszą o wcześniejsze zwolnienie z lekcji: — *Niech nas pani zwolni, bo sie zećmimy* (gwarowe *zećmić się* 'nie zdążyć przed zmrokiem, przyjść o zmroku'). — No dobrze, już idźcie, jak mi tu macie coś brzydkiego zrobić!

— **Myślę, że *Mały słownik gwary Górnego Śląska* pozwoli zapobiec takim gafom lingwistycznym. Ukazuje przecież związek między słownictwem gwarowym a kulturą regionalną, ukazuje jej specyfikę, po prostu — uczy o dialekcie śląskim, oswaja z gwarą także nie-Ślązaków. Czekamy więc na drugą ogólnopolsko-gwarową część słownika, potrzebną w edukacji regionalnej. Gratuluję wszystkim Autorom. Dziękuję za rozmowę.**

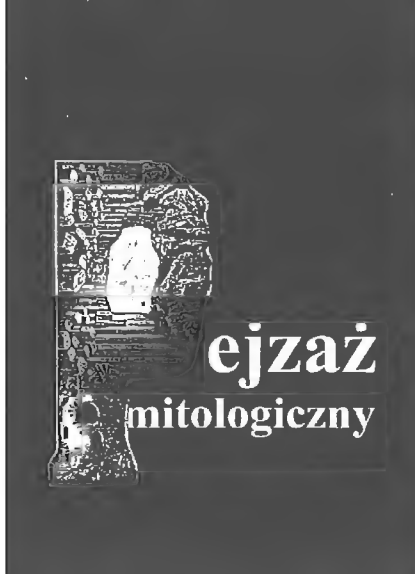
Kaprysy mechanizmów naszej wspólnej pamięci wciąż od nowa budzą podziw nie tylko niżej podpisanego. W nieodległej epoce przedtelewizyjnej w zdumiewający sposób, na co niedawno zwróciliśmy uwagę, potrafiły w przysłowiowej „magicznej skrzyni naszych przodków” magazynować materiał potrzebny do konstrukcji mitycznych przekazów bez pomocy dokumentów pisanych i akt. Nawet z „niewyobrażalnie dla naszych dziadków odległych” epok. Zaczęliśmy od echa wojny 30-letniej.

Na okrutne owe lata przypada zmiana statusu własności tzw. państwa bytomskiego („Dynastia Bythomiensis”), ważna dla dalszych losów tej ziemi i późniejszego rozwoju wypadków. Jak miłośnicy historii Śląska zapewne pamiętają, po śmierci ostatniego opolskiego Piasta, Jana Dobrego (†1526), Habsburgowie oddali Górny Śląsk w zastaw Hohenzollernom (personalnie margrabiemu Jerzemu z Brandenburga). Opowiadanie się Brandenburczyków po stronie protestanckiej spowodowało pozabawienie ich wszelkich nabytych tu praw. Ziemię bytomską i państwo stanowe Oderberg (dziś Stary Bohumin w Republice Czeskiej) cesarz oddał w zastaw, a potem sprzedał Hencklom von Donnersmarck, w zamian za pożyczone od nich znaczne sumy. Stało się to w maju 1629 roku. Dług, jak notuje skrupulatny dziejopis bytomski Gramer, wyniósł 367.765 guldenów i 27 krajcarów bez odsetek, nie licząc wcześniejszych pożyczek na sumę 80.000 guldenów.

Łazarz II Henckel wielokrotnie zwracał się (bezsukcesyjnie zresztą) do cesarza w delikatnej tej materii. I tak 20 X 1639 roku pismem, w którym skarży się, że suma należności znacznie przekracza wartość otrzymanej i kupionej ziemi. I to, jak powiada, nie licząc kosztów podróży, korespondencji i utrzymania zajmujących się tym kontraktem komisji. A co gorsza, nie wszystkie wymienione w umowie tereny zostały mu przekazane rzeczywiście, okazało się bowiem, że część z nich należy do Rzeczypospolitej. I chyba faktycznie w tym punkcie Łazarz nie przeszedł.

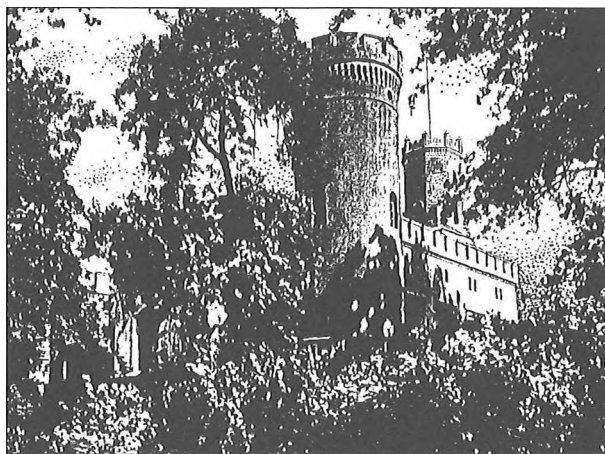
Świadcstwo tej „szkody” do dziś można zobaczyć na planie miast Siemianowic Śląskich i Czeladzi.

— Nieszczęścia jakie przyniosła ze sobą długa wojna 1608—1648, rzecz jasna dotknęły również Hencklów, choć z pewnością nie tak dotkliwie jak ich poddanych. Nowi panowie na Świerkłańcu, Bytomiu, a niebawem i Siemianowicach, zaczęli wtedy właśnie gospodarzyć na świeżo nabytej ziemi bytomskiej. Jeden z XIX-wiecznych historyków Górnego Śląska, Stenzel, tak o tym pisze: „*Jak smutne były przypadki, których doświadczyła rodzina (Hencklów, u.m.) wynika z pisma wolnego pana stanowego Jerzego Fryderyka (syna Łazarza II, u.m.), wysłanego w 1643 roku z Zabkowic w Polsce (tak, tak, tych koło współczesnej huty „Katowice”, i tam mieli swe posiadłości, u.m.), gdzie szukał schro-*



Szwedzi na Górnym Śląsku

ANTONI HALOR



W 1643 r. Szwedzi szturmowali zamek w Świerkłańcu

nienia wraz ze wszystkimi swymi dziećmi i znosi udrękę i biedę, nie mogąc zapłacić (komorze cesarskiej, u.m.) 600 florenów podatku solnego, podczas gdy przecież jego rodowi należy się znacznie więcej od cesarza”.

W 1642 roku Górny Śląsk został zajęty przez wojska szwedzkie dowodzone przez feldmarszałka Leonarda Torstensa (Torstensena?). Feldmarszałka dręczono straszliwą podagrą, niesiono w lektyce, co jednak w niczym nie umniejszało szybkości operacji jego armii. Szwedzi, nie natrafiając na żaden poważniejszy opór, dotarli aż do Ołomuńca, budząc lęk we Wiedniu (Gramera). Wojska arcyksięcia i Piccolomiergo wypchnęły ich wprawdzie z Moraw i Śląska, ale po bitwie pod Breitenfeld i zajęciu Lipska przez Torstensa, wojska zwycięskiego Gustawa II Adolfa

wrócili na Górny Śląsk i mimo śmierci szwedzkiego króla w bitwie pod Lützen pozostali tam już do końca wojny (1648).

Obecność Szwedów nader dotkliwie odczuł zwłaszcza Bytom. Dnia 7 września 1643 roku napadli na miasto i zajęli je szturmem. I jak wcześniej mansfeldczycy, spłądrowali doszczętnie, obrabowali farę, klasztor i ratusz. Wzięli do niewoli komendanta, pana von Zierotina i wraz z jego żoną, dziećmi i czeladzią, a także z panem burmistrzem powlekli do Opola. Rozstrzelali dowódcę obrony (kapitana Ohma, wg Gramera), rozsiekali, postrzelili i zranili wielu obywateli miasta, zgwałcili kobiety. W Rozbarku powiesili dla postrachu kilku chłopów. Zamierzali podpalić miasto, ponieważ nie znaleźli cesarskiego poborcy podatkowego, Johanna Gniazdko, który uciekł w samej koszuli do leżących już w Rzeczypospolitej Bobrownik. Błagania rajców i solenne przysięgi, że Gniazdko absolutnie nie ma w mieście, a przede wszystkim nieodzowna kontrybucja sprawiły, że Szwedzi poniechali dalszych gwałtów i pociągnęli z powrotem do Opola, skąd przyszli.

W kolejnym (dziś już nie wiadomo którym z rządu) piśmie z 1651 roku Łazarz II skarży się, że jego dobra na ziemi bytomskiej zostały spłądrowane pięć razy i to zarówno przez wrogów, jak i swoich, a jego zamek został spalony. Zapewne chodzi tu o Świerklańiec, choć być może, mowa o piastowskim jeszcze

bytomskim zamku miejskim, o którego lokalizację spiera się już kilka pokoleń historyków (do dziś bowiem nie odkryto nawet jego fundamentów). Zostało też hrabiemu zarabowane całe bydło, a on z braku pieniędzy nie jest w stanie ruszyć się z aktualnego miejsca pobytu. A był nim Innsbruck w Alpach (aż tam zawiązał odwadnego hrabiego). Cesarz niestety nie miał pieniędzy, ale jako władca sprawiedliwy podniósł pana stanowego Łazarza do godności hrabiego. Lecz, że, jak to często w życiu bywa, za łaską majestatu nie była w stanie nadążyć cesarska administracja, jeszcze 9 XI 1660 roku syn zmarłego w międzyczasie Łazarza, wspomniany Jerzy Fryderyk wzywany był przez Oberamt i urząd fiskalny, by stawił się i wytłumaczył na okoliczność nieuprawnionego posługiwania się tytułem hrabiowskim, co skrupulatnie odnotował dziejopis.

Te doprawdy wrywkowe obrazy z kronik wzięte, chyba dostatecznie ukazują mizerię trzydziestoletnich zmagania i lat, które po nich nastąpiły. Ledwo bowiem fale wojny uspokoiły się nieco i ludzie zaczęli leczyć rany, odbudowywać domy, gdy tuż za miedzą rozpoczęła się wojna sukcesyjna rodziny Wazów, zwana w podręcznikach historii Wojną Północną, dzięki Sienkiewiczowi znana bardziej jako „potop szwedzki”. Górny Śląsk zbyt był blisko Rzeczypospolitej i zbyt bliskie z nią łączyły go więzi, by również nie odczuł grozy tego czasu.

Fot. Antoni Halor

EDWARD SZOPA

W przypadku
tego
wydawnictwa
posłannictwo
bierze się
z patronatu,
znaku
firmowego,
funkcji
oraz
ludzi
powoływanych
do jego
spełniania.

© Copyright by: Księgarnia św. Jacka Sp. z o.o. Katowice | Telewizja Polska S.A. Oddział Katowice

VHS NA PIEŁGRZYMIM SZLAKU

SANKTUARIA ŚLĄSKIEJ ZIEMI

SANKTUARIA ŚLĄSKIEJ ZIEMI

PIEKARY ŚLĄSKIE Sanktuarium M. B. Sprawiedliwej i Miłostej Księżniczki
LUBECKO Sanktuarium M. B. Lubeczki
PSZÓW Sanktuarium M. B. Umiędlonej
TURZA ŚLĄSKA Sanktuarium M. B. Fatimskiej
GÓRA ŚW. ANNY Sanktuarium św. Anny Samotniczki

90 min

Scenariusz i realizacja: Adam Krawczyk
© Copyright by: Księgarnia św. Jacka Sp. z o.o. Katowice | Telewizja Polska S.A. Oddział Katowice

PIK produkcja 1990

KSIĘGARNIA ŚW. JACKA KATOWICE

TVP TELEWIZJA POLSKA S.A. KATOWICE

VHS

HIFI STEREO

PIEKARY ŚLĄSKIE
LUBECKO
PSZÓW
TURZA ŚLĄSKA
GÓRA ŚW. ANNY

Apostolstwo książki

Pozycja, jaką obecnie zajmuje, obchodząca właśnie jubileusz 75-lecia Księgarnia św. Jacka, potwierdza, jak szczęśliwym okazał się ów „kwartet”. Rzadko która oficyna może się bowiem poszczycić tak znakomitą, zapisaną wyraziście w duchowości Śląska tradycją, mnogością i różnorodnością wydanych pozycji, pokoleniami czytelników, zawsze bardzo licznymi i wiernymi swemu edytorowi.

Patron zobowiązuje

Te relację wypadnie oczywiście zacząć od przysparzającego tyle pomyślności i dzielnie wspierającego w ciężkich chwilach patrona wydawnictwa. Misjonarz, Jacek Odrowąż (1183—1257), nazywany „apostolem Północy”, wywodzi się z Opolszczyzny (Łąka, nie opodal Kamienia). Nic więc dziwnego zatem, że stał się głównym patronem diecezji katowickiej i opolskiej, a po wojnie wyłącznym wydawnictwa. Trzeba przyznać, iż powołano go w najtrudniejszych dla oficyny czasach. No i spełnił pokładane w nim nadzieje. Uzasadnione o tyle, że sły-

nał wszak z dokonywanych za swego żywota cudów. I nadal — czego dowodów aż nadto — doskonale sprawdza się w tej roli. I tak będzie zapewne po jubileuszu 2000... Czego może dowodzić następująca informacja — półki biblioteki wydawniczej pod zakładkami lat 1951—1969 ujmują zaledwie po parę pozycji, gdy już karteluszek z datą 1989 oddziela jedenaście książek, zaś oferty przedstawione w dziesięć lat później wypelniają ponad czterdzieściosronnicowy informator wydawniczy.

Znak firmowy, czyli — jak się współcześnie mówi — logo, co zresztą znajduje uzasadnienie, ponieważ Księgarnia św. Jacka otwiera się aktualnie na wszelkie nowości i reguły rynkowe, został zaczerpnięty z herbu Odrowążów. Ponieważ logo nie jest tożsame z herbem, wyjęto z jego tarczy zawiasę kotłową, z której wyprowadzana jest strzała (ten element, to nieodzowna część rycerskiego ekwipunku). Znacznie zmodyfikowany znak, występujący w paru wersjach graficznych, pieczętuje poszczególne książki. Emblemat, zwany inaczej też sygnetem jest symbolem tyle skromnym, co

i zagadkowym. I czytelnik łatwo się z nim oswaja. I nierzadko — utożsamia...

Wyjątkowość Księgarni św. Jacka polega jednak nie wyłącznie na estetyce, co jest poza wszystkim niezwykle ważnym elementem każdego dzieła, lecz na upowszechnianiu treści religijnych. Także na tym, że poza edytorstwem wydawnictwo instytucjonalizowało życie duchowe, ogniskowało przednie umysły i niebagatelne talenty, i te pryncypialne i te polemiczne... A najważniejsze, że szacowna firma nadal, mimo trudności związanych z wolnym rynkiem, który ruguje co rusz kolejnego wydawcę, utrzymuje się w doskonałej kondycji.

Wreszcie najważniejszy segment założonego na początku tego „kwartetu” — ludzie.

Czytelnicze hity

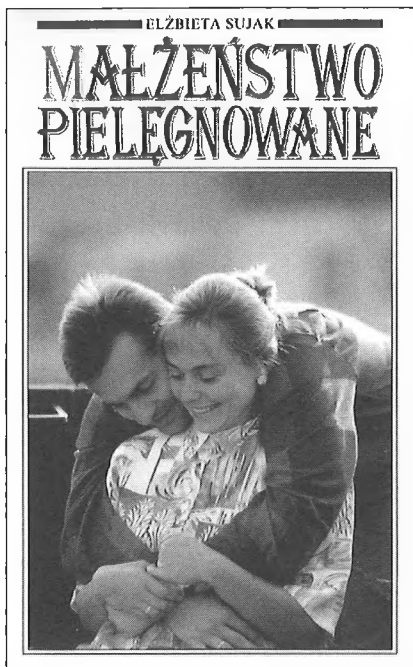
Dorozmowy doszło w siedzibie Wydawnictwa przy ul. Wita Stwosza. Ks. dyrektor, Józef Krawkowski, poprosił do stołu także swych najbliższych współpracowników w osobach: ks. dr. Grzegorza

Kuczka, dr Irenę Mierzwę (długoletniego kierownika wydawnictwa) oraz redaktora naczelnego — Piotra Pindura. Skład szacownego gremium potwierdził, iż do publicznego wizerunku Księgarni św. Jacka przywiązuje się wagę szczególną. Bo i też — przy okazji — było się czym pochwalić, zarówno stanem obecnym, jak i oczekującymi wyzwaniami. Oraz, żeby... Nie, narzekania i wymówek nie usłyszałem pod adresem niezbyt przecież łaskawych ostatnich dziesiątków lat. Pewnie, były utrudnienia, czasem nawet bardzo dokuczliwe, ale ważne, iż udało się przetrwać, podczas gdy forowane wówczas oficyny popadły w niebyt...

Największym zatem kapitałem Księgarni św. Jacka jest oczywiście tradycja, wydawnictwo jest bowiem tak „stare”, jak diecezja. Z tym — o czym należy przypomnieć — że w lutym 1925 roku powstała „Księgarnia Katolicka...”, która w parę miesięcy później przyjęła nazwę „Księgarnia i Drukarnia Katolicka. Spółka z o.o.” Trzecią i ostateczną nazwę: Księgarnia św. Jacka ustalono w 21 lat później, w roku 1946. I pod tym szyldem już na stałe i w sposób widoczny zajęła miejsce w pejzażu wydawniczym Katowic. I całego Śląska, a nawet Polski, co zresztą stało się wcześniej bo w 1927 roku, kiedy to wydawnictwo otrzymało wyłączność Konferencji Episkopatu Polski na redagowanie „Rytułu Rzymskiego” (obrzędy wszystkich sakramentów). Podobną pozycję na rynku zajęł również „Mszał” (mały format), chętnie używany przez księży w czasie wolnym, przy wizytach u chorych, podczas odprawiania mszy w różnych grupach rekolekcyjnych i w podróży...

To, o czym tu się mówi, dotyczy wydawnictw liturgicznych, bo jakżeby inaczej, skoro tego rodzaju tomy stanowią specyfikę wydawnictwa. Obok tego typu piśmiennictwa ukazują się pozycje zarówno popularne jak i naukowe. Także i historyczne, żeby wymienić choćby „Naród, Państwo, Kościół” — wybór publicystyki Wojciecha Korfatego oraz „Słownik biograficzny katowickiego duchowieństwa śląskiego XIX i XX wieku” — pod redakcją Mieczysława Patera (500 biogramów duchownych katolickich).

Z naukowych natomiast podobnie warto wymienić przekład znanego teologa niemieckiego, Hansa Waldenfelsa „O Bogu, Jezusie Chrystusie i Kościele dzisiaj”. Godzi się też tu wymienić „Słownik teologiczny” (II wydanie rozszerzone)



pod redakcją ks. Andrzeja Zuberbiera.

Z popularnych publikacji polecić zaś wypadnie także encyklopedię katolicką „Bóg, Człowiek, Świat” (obecnie ukazuje się II wydanie dla szerszego kręgu czytelników). Do przedziału lektur z popularną teologią należy praca ks. Jerzego Szymika „Kocham teologię! Dlaczego?” W tymże zestawie także tego samego autora „Być dla, czyli myśleć sercem” - zbiór rozmów przeprowadzonych z biskupem Nossolem. Dodać trzeba, iż ta właśnie książka znalazła się na pierwszym miejscu w rankingu „Gościa Niedzielnego” za rok 1999. Zanim z tym eseistą i poetą spotkamy się w dziale poezji i literatury, wpierw jeszcze należałoby się zapoznać z kolejną jego książką — wyborem esejów

i rozmów „Zapachy, obrazy i dźwięki”.

Poczytnym autorem popularyzującym teologię jest także ks. Roman Rogowski. Rozgłos uzyskały zwłaszcza jego „Bóg na moich drogach”, „Każdy zmierza do swej Galilei”, „Światłość i tajemnica” oraz „Wicher i myśl”.

Do tego „zaciągu” lektur należą także „Czarne karty Kościoła” Vittorio Messoriego, które na V Targach Wydawnictw Katolickich w Warszawie w ubiegłym roku otrzymały „Feniksa” — nagrodę wydawców katolickich za najlepszą książkę autora zagranicznego (rozeszło się już 30 tys. nakładu, który niebawem powiększy się znacznie, gdyż stale trwają dodruki). Nadmienić także trzeba, iż pozycja ta zajęła I miejsce w rankingu „Gościa Niedzielnego” za rok 1998.

Niewątpliwie bardzo również ciekawą propozycją jest książka wydana wspólnie ze Stowarzyszeniem Kulturalnym „Frona” z Warszawy autorstwa Eugenio Zollegio pt. „Przed świtem. Naczelny rabin Rzymu: dlaczego zostałem katolikiem?”...

Tego rodzaju pozycji jest wiele i o każdej należałoby coś powiedzieć, a najwięcej bodaj o książce redaktorki „Rzeczpospolitej” — Ewy Czaczkowskiej „Kościół w XX wieku”. Jest to zapis rozmów z dwunastu postaciami związanymi z rzeczywistością współczesnego Kościoła, zwłaszcza polskiego (m.in. bp Pieronek, ks. Chrostowski, Wnuk-Lipiński, Hall, o. Ziemia, o. Salij).

Dzieci i młodzież też, ma się rozumieć, otrzymały adresowane do nich propozycje, na przykład bardzo dobrą opinią cieszyła się książeczka pt. „Radykalni” — świadectwa życia i nawrócenia znanych muzyków polskiej sceny rockowej. Jeśli zaś chodzi o rodzinę, to w pierwszym rzędzie należy wymienić „Małżeństwo pielęgnowane” Elżbiety Sujak.

Tak, oczywiście, sporo miejsca poświęca się również literaturze. Od lat ciągnie się cykl poetycki, promujący głównie autorów śląskich. A wśród nich nie mogło przecież zabraknąć wspomnianego już ks. Jerzego Szymika z jego wyborem poezji „102 wiersze”. Tu, dla uzupełnienia tej ciekawej osobowości twórczej — Księgarnia św. Jacka jest prawie wyłącznym wydawcą niezawodnego w odbiorze autora (około 10 pozycji)... Dalej jest więc o. Madej OMJ (misjonarz, obecnie pracuje na Ukrainie). W wydawnictwie znalazła oparcie grupa poetycka „Słowo”, której pomaga współor-

ELŻBIETA SUJAK

MAŁŻENSTWO PIELEGNOWANE

KSZTAŁTNIK
STYCZEŃ
MAREC
KOS III
NR 11(6)/1999

TRZECIE TYSIĄCLECIE

WYBITYŃ POWŚWIECONY PRZYGOTOWANIAM DO ORCHODÓW
WIELKIEGO JUBILEUSZU ROKU PAŃSKIEGO 2000

W NUMERZE MIĘDZY INNYMI

- Biblia „Incertus Mysticism”
- Alpy Henry’ego Masłowski i Beata Jana Tyska II
- Mistrzowie i poezja trzeciego tysiąclecia
- Katedra Poselskiego Kościoła w Katowicach - przekład z roku 1999
- Rozmowa z bp Stanisławem Gładkiem o dialogu międzyreligijnym
- Rozmowa z bp T. Pieszkem o zachowaniu wzmianki bpa Kościła
- Ks. H. Nowaczyński „Jak mówić o Kościele dzisiaj?”

KRAJOWY KOMITET ORCHODÓW WIELKIEGO JUBILEUSZU R.P. 2000
W WYDAWNIWIE KSIĘGARNI ŚW. JACKA KATOWICE

ganizować konkursy poezji. Laureaci turnieju w nagrodę uzyskują druk we wspólnym tomiku. Ostatni nosi tytuł „Potrzebujemy jednego” (te poczynania twórcze skupiają 65 młodych ludzi).

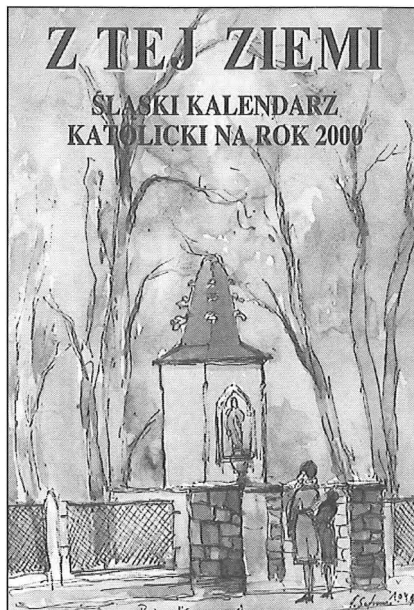
Proza... Promowanie literatury pięknej jest jedną z tradycji Wydawnictwa, żeby spośród autorów wymienić choćby Kossak-Szczucką czy Sienkiewicza. Obecnie ten gatunek twórczości otwiera antologia „Księga Krzyża” (pierwszy w Polsce wybór tekstów o krzyżu wybitnych uczonych, poetów, pisarzy, publicystów). Pojawił się także przejmujący w lekturze, jak to u tej pisarki bywa, zbiór opowieści Barbary Poremby-Wolkowej „Rozsypany uśmiech”. W tym nurcie mięści się również ciekawostka na polu beletrystyczna „W Masywie Chontales” — o. Józef Nieborowski w Boaco. Czyta się tę opowieść znakomicie, gdyż posiada wartką (niemal kryminalną) fabułę, w którą wplecione są niebywałe przygody i osiągnięcia tego księdza.

Wydawnicze serie

Poczesne miejsce w katalogach wydawniczych zajmują serie, żeby wymienić „Śląskie Studia Historyczno-Teologiczne”, których, począwszy od 1968 roku, ukazało się 31 tomów. W związku z otwarciem Instytutu Teologiczno-Pastoralnego uruchomiono cykl publikacji naukowych pt. „Rozprawy”. Pierwsza z nich, autorstwa ks. Jerzego Cudy, nosi tytuł „Praktyczno-społeczne kryterium wiarygodności objawionego sensu historii”.

Wierni tradycjom

Wreszcie, zapewne najpopularniejsza seria Wydawnictwa: „Z tej ziemi — Śląski Kalendarz Katolicki na rok 2000”. To rzecz, która na dobre osadziła się w tutejszym czytelnictwie, ale także i poza granicami Śląska. Tu chyba należy oddać głos cenionemu publiczności i pisarzowi, Krzysztofowi Karwatowi („Dziennik Zachodni”, grudzień 99), który najcelniej odniósł się do Kalendarza: „... O ile w XIX i w pierwszych dekadach XX wieku podstawową intencją redaktorów i piszących o historii była misja dydaktyczna i poznawcza (bo to wtedy były często jedyne polskie „obowiązkowe lektury”, skoro w szkołach w ogóle ich nie było), o tyle dzisiaj — sens i cel się zmienił. Teraz chodzi przede wszystkim o pogłębienie samoświadomości regio-



nalnej. To oczywiście — bo przecież dziś nie jest już potrzebna „praca u podstaw”, a w każdym razie tak rozumiana, jak z czasów Miarki.

Czasy się zmieniają, techniki drukarsko-edytorskie rewolucjonizują, a jednak „Z tej ziemi” może powstać tylko na ‘tej ziemi’, właśnie w Katowicach. I w obrębie tych tradycji, o których mowa była wyżej. Nic dziwnego więc, że podobnych kalendarzy-książek w innych regionach Polski raczej się nie drukuje. Ma to zapewne swoje znaczenie i wartość dla wydawców, redaktorów i licznych autorów współpracujących z Księgarnią św. Jacka. Ci ludzie mają prawo nazywać się ‘Strażnikami tradycji’, i wcale nie musi to brzmieć patetycznie. Nawet w roku 2000, dla ludzi ze ‘św. Jacka’ — podwójnie jubileuszowym...”

Do takich wydawnictw należy również kwartalnik „Trzecie Tysiąclecie”. Jest to biuletyn poświęcony przygotowaniom do obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000.

Kasety, CD-ROM-y

Wiele miejsca zajęłoby omówienie śpiewników (w przygotowaniu jest diecezjalny śpiewnik pieśni kościelnych obejmujący bogatą tradycję regionu) i modlitewników, ale trzeba też trochę miejsca poświęcić prowadzonemu już parę lat działaniu kaset (audio i video). Oto niektóre tytuły: „Sanktuarium Maryjne Europy”, „Beskidzkie Madonny”, „Najpiękniejsze kościołki drewniane Małopolski”, „Moje Tatrzy” — Jan Paweł II na Podhalu, z muzyką Wojciecha Kilara (rozeszło się już 18 tys., nadal zgłaszają

się nabywcy tego prawdziwego bestsellera).

Czym wytłumaczyć nieobecność wielkich wydawnictw w Katowicach? Pewnie specyfiką regionu. Otóż już od połowy XIX wieku na Śląsku powstawały małe ośrodki wydawnicze, w Bytomiu, Piekarach, Królewskiej Hucie, Mikołowie (na ówczesne warunki to była duża oficyna, miała nawet sklep w Warszawie i swoje przedstawicielstwo w Ameryce Północnej). W dwudziestoleciu ośrodki te osłabły, nawet poupadały. Po wojnie, wiadomo, powstały i rozpierały się państwowe molochy. Teraz, w gospodarce rynkowej kolosy runęły, bo jak mogą egzystować duże wydawnictwa bez pieniędzy?! Gwałtownie przy tym spadły nakłady, a nie ma „lokomotyw”, które pozwalają na byt czytelniczy pozycjom ambitnym. Nie ma także mocnego środowiska muzyczne wydawnictwa jakoś tam egzystują, bo środowisko stabilne. Literackie natomiast nader anemiczne, w dodatku podzielone. Nie ma też debiutów, bo kto kupi nierozpoznanego autora. Na takie ryzyko nie może sobie pozwolić zwłaszcza mała oficyna... Natomiast środowisko duchowne tutaj jest silne. I posiada ideę — ewangelizacji poprzez słowo drukowane, a przy okazji staje się mecenasem promującym także i literaturę...

Zyski? Jeśli i są, to idą na cele statutowe (charytatywne, społeczno-kulturalne). A poza tym wydawnictwo przeżywa takie same kłopoty, jak inne oficyny — wszak kurczy się rynek księgarski. Nadchodzą dla książki niedobre czasy, a więc i coraz trudniej ustalać plan wydawniczy...

Zamierzenia? W roku jubileuszowym, nie tylko 2000, ale 75-lecia diecezji oraz Księgarni św. Jacka należy oczekiwać II wydania encyklopedii katolickiej „Bóg, Człowiek, Świat”, kontynuacji dotychczasowych serii. Pojawi się znów intrygujący Vittorio Messori z książką pod tytułem „Cud” oraz Pierre Blet, „Pius XII i Druga Wojna światowa w tajnych archiwach Watykanu”. Oczywiście, będzie kontynuowany cykl dla dzieci i młodzieży, i dla rodziny...

No i właśnie, przyjdzie podjąć się tego co nieuniknione — trzeba otworzyć się szerzej na środki multimedialne, które coraz bardziej zaczynają zawłaszczać rynek. A więc po kasetach — CD-ROM-y.

Książka i tak jednak nie przypadnie, między innymi choćby dlatego, że komputera nie weźmie się do poduszki... Na szczęście!

Jesień w Łambinowicach

Drogim Stanisławie i Zdzisławowi BORZEMSKIM

Skoro już tańczysz ze mną
Mundzio
w szpalerach cieni ponad grobem
niech liść na brzozie się zapali
w smutnym wymiarze
Anioł już wiezie na tym wózku
czas co zbyt wolno krążył

Nie śpiesz się Mundku
bo chcę zdążyć
w tym krajobrazie
Niech pora gwiazdę nam rozjaśni —
jeszcze kolejny płomień
wspomnień
Tańcz jeszcze ze mną kawał czasu

Już psy przecucia biegną aleją
dziadek ogląda ten obraz z nami
z żywych ogrodów
poprzez jesienie
gorycz pamięta chyba najdłużej

Patrz — idzie Harry — mojry go niosą
w szerokim rondzie, w kapeluszu
czarnym jak dziura
w środku kosmosu

Łambinowice, 7 XI 1999 r.

Koloryt

Przeptyw wiatru podnosi krzyk wron
na samym poddaszu nieba
W tęsknocie tkwi jeszcze drzazga
kształtu

Szarość przedwcześnie tłumaczy przechodniom
brak dosadnej miary uczuć,
jest słyszalne tylko wzdychanie
barw
kruche widoki nie schodzą z tapety
wszystkie żywioły w tym samym momencie
wyszły ci naprzeciw

Co z takim pejzażem na rynku natchnienia?
Niewidoczny malarz miesza wodę z ogniem
kładzie powietrze na ziemi

Jesteś za bardzo spięta nawykami
mija mnie paleta i sama ręka sztukmistrza
zwisa z obłoków jak ochłap nieba

Zakazany widok

Rytm szerokiego rozmachu
wyszedł z ciała świtu
garbatego krawiec zszywa
koniec z początkiem
jasną nitką

Gdzieś ponad groniem krwawi dzień
Co z tą doliną Olzy począć?
Przechodzi chylkiem nagi sen
Krawiec obrywa kłapy marynarki
bez głowy wrócił syn na tarczy
a halny pędzi ponad przełęczą
z Tatr gardzielą na Mostach
i wieje tak uparcie
Na Kozubowej słaba nadzieja
całą wrażliwość kryje
w schronisku którego już nie ma
I przyjdzie nam patrzeć
na ten zakazany widok

Bystrzyca nad Olzą, 1.1.2000 r.

Zjawy

Noc rośnie w sobie na wyrost
Nad ranem śpiewy udawane
a księżyc zmalował do symbolu
Ze splotu cieni w środku sceny
Anioł wypadł z roli
Rzępoli muzyka gdzieś z boku
a z gwiazdy zrodził się prostokąt

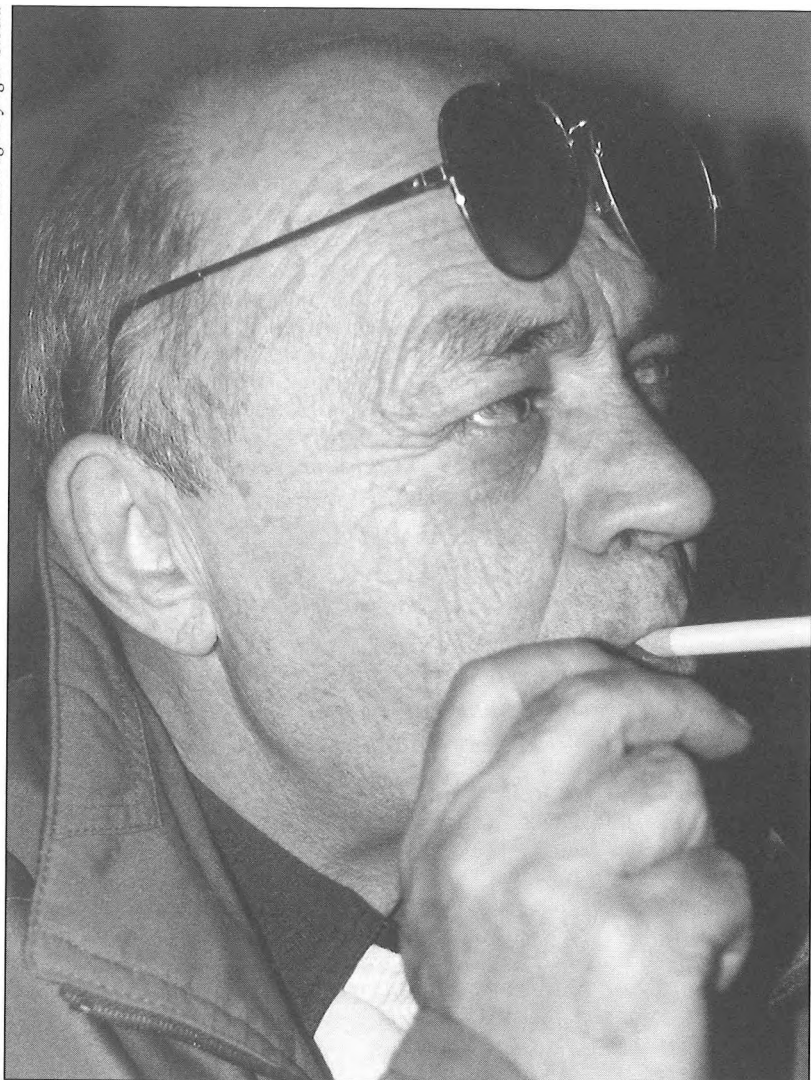
Co to za przemyt niejasnych spraw?

Skąd zjawy zjawisk i szczęk kostek
Idzie po moście
przyjaźń wymuszona
konać

styczeń 2000 r.



Rys. Wojtek Łuka



Wilhelm Przewczek

„Wywoływanie WILKA z lasu...”

MARTA FOX

Jadąc pociągiem z Bystrzycy nad Olzą do Czeskiego Cieszyna, w drodze powrotnej z domu Wilhelma Przewczka, odliczałam stacje. Na piątej powinnam wysiąść, by nie zapędzić się do Karwiny. Wilhelm jakby przeczuwał, że mogę się zamyślić, zagapić, znaleźć niespodziewanie na bynajmniej nie cudnych manowcach. Chciał mnie odwieźć, ale przekonałam go, że do pięciu uda mi się policzyć i że nie jestem dzisiaj taką gapą, jaką czasami bywam. Kłębiła się we mnie nasza rozmowa, prowadzona od południa, pojawiały się osoby, o których rozmawialiśmy, znane mi osobiście i znane tylko z literatury. Powracały strzępy zapamiętanych obrazów.

Pisać o Wilhelmie Przewczku? - pytałam samą siebie. Przecież to niekończąca się opowieść, to zadanie prawie niewykonalne, by na kilkunastu stronach zmieścić historię człowieka o wyjątkowo bogatej osobowości, historię poety, prozaika, tłumacza, męża, ojca, dziadka, przyjaciela, pisarza, który jeszcze niejednym tekstem nas zaskoczy. Jak pisać, by choć w części oddać to, co „mu w duszy gra” od czterdziestu lat twórczej pracy, która jest i harówką, i radością, i przygodą? Jak pisać, skoro Wilhelm, tak naprawdę, mało mówi o sobie, a jeśli nawet mówi, to w sposób pośredni, opowiadając o innych, zawsze życzliwie i ze zrozumieniem, jakby chciał podkreślić wyjątkowość każdego, z kim się spotkał, choć niekoniecznie zaprzyjaźnił. Jak pisać, by opowieść była ciekawa nie tylko dla ludzi pióra, ale także dla innych, nie pracujących w słowie, którym problemy nadwrażliwców są dalekie, a nawet obce?

„Opowiadam to (...) tym wszystkim, którzy mieli już kiedyś uczucie, że fruują, ale także tym, którzy kiedyś dostąpią tego uczucia” - pomyślałam słowami narratora z „Kazinkowego grania” i ucieszyłam się, że ten właśnie fragment Przewczkowego pisania do mnie w pociągu „przyfrunął”.

Kiedy zwróciłam się do Wilhelma Przewczka z propozycją rozmowy, która ułatwiłaby mi pisanie o nim, odpowiedział szybko, długim listem: „Jak tylko mogłem, uciekałem przed dziennikarskim penetrowaniem prywatności. Rzadko godziłem się na wywiady i rozmowy, które pragnęły rozwiązać supelki i węzły gordyjskie. Po doświadczeniu z Panią, przy pracy nad Szymborską, jestem jednak otwarty na taki materiał, pod warunkiem, że to Pani go robi. Sam jestem teraz w rozterce, bo siedzę nad tekstem, który nazywa się „Dziennik osoby towarzyszącej”. Mocuję się z wszystkim cholernie i jedynym uczuciem wszechwładnym jest teraz rozdrażnienie. (...) Nie lubię takich obnażeń. Jeśli już się decydujemy na swoisty ekshibicjonizm w poezji - to musi to wystarczyć. Chyba, że są jakieś inne powody...”

Nie będę dociekać powodów. Chcę tym tekstem „wywołać wilka z lasu znieczulenia”... Wilhelma, Wilka, jak zwracają się do niego ci bliscy, którym na to pozwala i jak sam pisze w wierszu „Zwierzenia wilka”, mając świadomość swojej łagodności i drogi, którą podąża, wychodząc z „lasu znieczulenia” i zmierzając ku słowom nasyconym dobrem, dotykającym życia najpełniej, najjaśniej. Baranek

w konfrontacji z wilkiem pozostanie cały, a nawet „obsypany mialkim cukrem”. Sytuacja prawie niemożliwa, tak, jak niemożliwe jest całkowite opowiedzenie siebie lub opowiedzenie kogoś. Powstaną słowa, być może dobre w swoim zamierzeniu, być może coś nazywające, jakiś kawałek wrażenia, fascynacji, ale tylko kawałek. Chciałabym dzięki mojemu „kawałkowi” trochę pofruwać w Przeczkowej aurze, trochę się „rozwilhelmic”, wyciszyć, doświadczyć jego wrażliwości, otrzeć się o jego podświadomość, poczuć coś jego czuciem.

Wilhelm zaczyna swoją opowieść od słów: „urodziłem się...”, a brzmi to tak, jakby mówił: „byłem raz sobie”. Ma wyjątkowy talent gawędziarski. Można go słuchać bez końca, a kiedy się zamyśla, to można się wsłuchiwać i w to zamyślenie, bo ono jest również pełne znaczeń. Wierzę i słowom, i milczeniu. Bohater „Kazinkowego grania” mówi: „*Zawsze podziwiałem ludzi wierzących w to, co mówią. Wypowiadam się w słowie i wierzę w ważność mojej wypowiedzi. (...) Dla poety istnieje tylko to, co zostało nazwane*”. Nie mogę uciec od wyobrażeń, że w tej powieści autor opowiada w jakimś stopniu siebie, i to zarówno poprzez kreację głównego bohatera, Kazinka, jak i narratora.

W swoim biogramie Wilhelm podaje zawsze dwa miasta urodzenia. **Jako człowiek urodził się w górniczej Karwinie**, na Zaolziu (kiedyś Czechosłowacja, teraz Czeska Republika), a **jako poeta urodził się w Opolu**.

Nie chce ustosunkowywać się do Zaolzia, jako do miejsca, z którego wyszedł. Mówi, że czasami nie może żyć na tej ziemi, a czasami nie potrafi żyć bez niej. W którymś z wierszy pyta: „Przywiązałem się do tej ziemi, czy mnie przywiązano?” Udało mu się przecież wyrazić w twórczości własną wrażliwość i to jest najważniejsze. W miejscu, w którym się żyje, nigdy się nie bywa prorokiem. W Polsce jest grupa ludzi, która Przeczkową twórczość dostrzegła i doceniła. Poeta „szanuje zdanie tych ludzi, których szanuje”. Ma świadomość tego, że świat jest koteryjny, podzielony (tzw. środowisko literackie także), że winduje jakieś jednostki, nie bardzo patrząc na to, co kto napisał, zapominając o uniwersalnych wartościach, bo ważniejszy bywa tzw. image. **A prawdy, zdaniem poety, nie można głosić w imię jakiegoś makijażu.**

W tomiku „Dym za paznokciami” dużo jest Karwiny, jej umarłych krajobrazów, pozbawionych drzew i ptaków bez gniazd, pełnych natomiast „rosnących liszajów stawów”, dymu, kamieni, węgla, hałd. Pojawiają się kopalnie: „W starej Karwinie głośno / rozmawia Barbara z Gabriellą / koła na wieżach dymy mielą”. Bohaterami wierszy stają się górnicy, którzy „patrzają spokojnie w doliny twardych dłoni jakby miał się tam objawić los schowany w bruździe”.

Lubię wiersze Przeczka o tej tematyce, ponieważ poeta doskonale łączy w nich realizm szczegółów, koloryt lokalny z refleksją egzystencjalną, mającą wymiar uniwersalny, ponadregionalny. Kiedy Przeczek mówi: „hałda zbliżyła mnie do gwiazd”, to ja mu wierzę, bo czuję, że w ten sposób wyraża swoje „wewnętrzne granie”. Nic, co na zewnątrz, nie uchodzi jego uwadze, ale jednocześnie przefiltrowane jest przez symboliczno-oniryczną muzykę, tkwiącą w poecie. W ten sposób poezja dotyka metafizyki, eksponując wrażliwość, jedyny prawdziwy skarb po-

ety. Potrafi zresztą Przeczek świetnie przejść od szczegółów wpisanych w codzienność, żywioł ziemi, do refleksji wyrażających sens istnienia i wiru świata, potrafi „pisać prawdę do upadłego”, poszukiwać człowieka mieszkającego w nim, „wilka zbaraniałego, zwilczającego baranka”. Potrafi bronić swojej wewnętrznej prawdziwości, ciągle „zdumiony, nie dumny”, ciągle ciekawy, bo „ciekawość jest uczuciem wszechwładnym”, ciągle przekonany, że „wszystko odzyska swoją własną wartość”.

„Poetyckie granie” istniało w Wilhelmie Przeczkę wprawdzie od zawsze, ale Opolo w 1978 stało się miejscem, gdzie poeta poczuł swoją osobność i jedyność, nie jako ciężar utrudniający mu życie, nie jako „garb zaolziański”, wypełniony po brzegi bagażem kompleksów, ale jako wartość, która pozwoli mu mierzyć się ze światem na innym pułapie i w innych wymiarach.

Do Opolo w 1978 roku przyjechał Wilhelm Przeczek na zjazd pisarzy, odbywający się pod hasłem-sloganem „Pisarz a ziemia”. Miał wówczas w dorobku zaledwie kilka druków w ogólnopolskich pismach literackich. Był po debiucie książkowym: w 1959 roku, w Ostrawie, ukazał się „Pierwszy lot”, zbiór wierszy kilku poetów, a w 1978 indywidualny arkusz poetycki, zawierający 14 wierszy, wydany w Katowicach, pod tytułem „Czarna calizna”. W Opolu spotkał Przeczek twórców: Henryka Berezę, Tadeusza Nowaka, Ryszarda Bruno-Milczewskiego, Wiesława Myślińskiego, Adama Ziemię, Zygmunta Trziszkę, Zbigniewa Żakiewicza, Jalu Kurka, Zbyszko Bednorza, Jana Bolesława Ożoga, Bogusława Żurakowskiego, Wiesława Kazaneckiego, Stanisława Srokowskiego (tę trójkę pisarzy poznał już wcześniej), Mariana Pilota, Jana Marię Gisę, Michała Sprusińskiego, Juliana Kawalca, Zbigniewa Zielonkę, Annę Markową, Jana Koprowskiego. Z niektórymi połączyła go przyjaźń, wspierana wieloletnią korespondencją. Szczególne listy wymieniał z Żurakowskim, Śliwiakiem, Kazaneckim.

Wilhelm Przeczek bywał w Opolu jeszcze przed wspomnianą imprezą: jako kierownik literacki Teatru Lalek „Bajka”, czy też z różnymi zespołami albo na spotkaniach autorskich. Miasto i środowisko urzekło go do tego stopnia, że wiele swoich tekstów poetyckich dedykował Opolu i ludziom z Opolo. Teraz wspomina, że Opolskie zrobiło dla Zaolzia więcej, niż oni mogli dać Opolu. Z tego powodu także podkreśla, że miejscem urodzin jego pisarstwa jest to właśnie miasto. Przez długi czas współpracował z miesięcznikiem „Opole”. Prowadził intensywną korespondencję z Markiem Jodłowskim, który przyjechał później na Zaolzie, by napisać reportaż „Wypad na Zaolzie”. Swój tekst zakończył słowami: „A Wilk stoi na dworcu, macha do mnie, jeszcze jest...”

Wilhelm Przeczek znany jest ze swojej pasji epistolarnej. Jego listy pełne są życzliwości, serdeczności, ciepła. Przeglądałam swoją korespondencję. Codziennosc poety przeplata się w nich z uwagami na temat literatury, z informacjami o innych twórcach, z cytatami z listów, które ostatnio otrzymałam. Zanim odwiedziłam poetę w jego zaolziańskim domu, wiedziałam, że pisze ręką lub na maszynie, a komputer ma tylko po to, by z nim grać w szachy. Wiedziałam, że „Slimok” to knajpka piwna w Bystrzycy, gdzie poeta nigdy sam nie chodzi na piwo (do tej knajpki właśnie). Wilhelm Przeczek pisał do mnie:

„Kiedy odwiedzają mnie kumple z Polski, zawsze tam wpadamy. To u „Ślimoka” robiliśmy z Harrym Dudą wybór moich wierszy „Dym za paznokciami”, tu chodziłem kiedyś z Tadkiem Nowakiem (choć już mu wtedy nie wolno było pić piwka, jak określała złocisty płyn jego Zosia), tu chodzimy z Jindrichem Zogatą - wybitnym czeskim poetą, urodzonym w Jaworzynce - kiedy przyjeżdża do mnie z Brna, gdzie obecnie jest kustoszem zamku Szpilberk.”

Z Wilhelmem wypiliśmy u „Ślimoka” piwo Gambrius, specyfik tego regionu. Stąd poszliśmy do domu poety, mieszkania w 2-piętrowym bloku, z czyściutką klatką schodową, budowanym wysiłkiem wszystkich lokatorów. Wiedziałam z listów, że z okna zobaczę Czantorię. W pracowni poety tylko z pozoru panował artystyczny nieład, czułam bowiem, że w tym nieładzie poeta świetnie odnajduje to, co mu w danym momencie jest potrzebne. Komputer był wyłączony. W jednym z listów Wilhelm pisał: „Komputer chyba się na mnie wczoraj obraził! Musiałem go wyłączyć w momencie, kiedy przyszedł Franciszek Nastulczyk (nazywany Felkiem... i teraz nie wiem, czy nie jest to spowodowane tym, iż rymuje się Felek z tym, co oznacza Kufelek?), a komputer miał bardzo dobrze rozegraną partię szachową. Może dziś zechce się na mnie zemścić...”

Maszyna do pisania służył pocie dzielnie od wielu lat. Stoi na biurku, nad którym wisi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, kopia, pamiątka rodzinna po prababce z Wieliczki. Dla poety ten obraz ma magiczną siłę. Wilhelm potrafi pisać tylko przy tym biurku, we własnym kącie. Nigdy nie napisał niczego w podróży.

Kiedyś, gdy dzieci były małe, potrzebował do pisania przede wszystkim ciszy, ale ponieważ trudno mu było o nią, więc wypracował sobie metodę, w której teraz funkcjonuje dobrze. Poznałam ją w jednym z listów do mnie: „Żona wyjechała do Czeskiego Cieszyna, żeby pilnować wnuków, a ja właśnie skończyłem korektę tomiku „Smak wyciszenia”, włączyłem komputer i gram z nim w szachy. Stopień trudności 4, co znaczy, że „myśli” ta cholera stosunkowo długo i po wykonaniu ruchu przywołuje mnie do ekranu cieniutkim popiskiwaniami. Mam ugotować sobie ziemniaki na obiad, więc nastawiłem je na gaz i równocześnie piszę ten list. Taka podzielność uwagi i to równoczesne wykonywanie kilku czynności naraz jest już moim odroczym nabytkiem, bo trenuję ten system od lat. Lubię nawet te przejawy zwielokrotnionej schizofrenii...”

Jedną z przypadkowych szaf chowa korespondencję, około pięć tysięcy listów w oprawach introligatorskich. Część tej korespondencji, z Wiesławem Kazaneckim, ukaże się niebawem w wydaniu Biblioteki Wojewódzkiej w Białymstoku. Kazanecki był przyjacielem Przeczka. Mieszkał na ulicy Kosmicznej. Zastanawiam się po cichu, czy to o nim pisał poeta w wierszu „Użytkowa kosmogonia”, zaczynającym się od słów: „Na ulicy Kosmicznej mieszka przyjaciel białych stoków, na jego stole rozłożystym kwitnie to noc kamień po Sebyle...” Nie pytam jednak o to, bo przeskakujemy w rozmowie z tematu na temat, mając świadomość, że czasu mało, a do domu (mojego) daleko. Potem, po powrocie, czytam wiersz dedykowany Tadeuszowi Nowakowi „List bielszy niż śnieg”, który rozpoczyna się słowami: „Poeci wybierają odpowiednie ulice/ przeprowadzka ze Sło-

mianej na Violinową...” Myślę sobie, że Wilhelm mieszka na ulicy Družstevni i że to jakiś znak.

Osobisty kontakt z twórcami nieraz Wilhelma Przeczka rozczarowywał. Dopytywałam o to, mając na uwadze swoje doświadczenia. Zdarzyło mi się bowiem, że bliższa znajomość z pisarzem, którego uwielbiałam za jego twórczość, rozczarowywała mnie. Twórca nie przystawał do moich o nim wyobrażeń, okazywał się innym człowiekiem, niewiele mającym w codzienności wspólnego z tym, co znajdowałam w jego pisaniu. Zapewne „wina” tkwiła w mojej wyobraźni.

- To prawda - pocieszał mnie Wilhelm - i ja nieraz czułem się rozczarowany osobistą znajomością. Ale poznawałem, dzięki tej znajomości, atmosferę ducha i przestrzeń twórcy, doświadczałem spotkania w sensie filozoficznym i to było ważniejsze niż rozczarowanie. „Człowiek w oczach drugich jest taki, jakim go chcą widzieć” - cytuje Wilhelm Anthony de Mello i uśmiecha się porozumiewawczo, gdy wpadam na trop tego cytatu, bo oto i my się spotkaliśmy w słowach nie naszych książek.

Z zawodu jest Wilhelm Przeczek nauczycielem. Studiował pedagogikę na Zaolziu i politologię w Pradze. Pracował w tym zawodzie w latach 1956 - 1963. Jako pisarzowi ta praca dawała mu niewiele. Trudno mu było godzić zawodowe obowiązki, nauczycielską systematyczność z „napadami” pisania. Dzięki szkole jednak i kontaktom z młodymi ludźmi znajdował w sobie energię, by trwać w różnych przestrzeniach i w każdej znajdować innego rodzaju spełnienie. Pracował później jako inspektor d/s kultury w Powiatowej Radzie Narodowej. W zasięgu jego kuratelali były biblioteki, kina, muzea. Owo urzędowanie przynosiło innego rodzaju ograniczenia. Pewną satysfakcję przyniosła mu praca dziennikarza i redaktora w „Głosie Ludu”. W sierpniu 1968 roku na łamach tejże gazety zaprotestował, wraz z kilkoma innymi redaktorami, przeciwko agresji wojsk Układu Warszawskiego. Po roku stracił pracę i przez dziesięć następnych lat, aż do 1989 roku miał zakaz druku książek w Czechosłowacji. Przez rok pracował dorywczo, próbując podratować budżet domowy, którego główną podstawą przez ten okres była nauczycielska pensja żony, Jadwigi. Czasami „przemycano” mu jakiś wiersz. Pisał pod różnymi pseudonimami, także dla dzieci i młodzieży. Dopiero w 1970 roku przyjęto go do Teatru Lalek „Bajka” w Czeskim Cieszynie w charakterze aktora, reżysera i kierownika literackiego. - Widocznie władze uznały - wspomina Wilhelm - że na tej posadzie, nawet z łatką prawnicowego oportunisty, nie mogę niczego popsuć. Nauczyciele traktowali mnie jako zdegradowanego... To paradoksalne, że do szkolnictwa nie mogłem wrócić, bo mógłbym dzieciom zaszkodzić, a w teatrze lalkowym, przeznaczonym dla dzieci, mogłem pracować.

W latach 1977-1981 pracował Wilhelm Przeczek jako instruktor d/s teatru amatorskiego i bibliotek w Zarządzie Głównym PZKO. Być może wtedy właśnie miał już pewność, że jednak najlepiej czuł się w szkole, gdzie miał największy wpływ na to, co nazywa się „otwieraniem dziecka na świat”. Do szkoły udało mu się wrócić w 1982 roku. Przeprowadził w niej dziesięć lat, aż do czasu choroby i jej konsekwencji - renty.

Za oknem śnieg. Dopiero spadł, więc jeszcze biało. Nie cierpię zimy, to nie moja pora roku. Wolę la-

to i jesień, jak Wilhelm, który w wierszu „Astry” mówi: „Jesień jest porą mojego sumienia / Jesień jest porą mojej duszy / Jesień mnie zawsze obezwładnia / nawet jeśli słońce robi ostatni wysiłek / i babie lato wiąże / koniec z końcem”. Kiedy wracałam z Bystrzycy (tydzień... może dwa tygodnie temu), było słonecznie i jak na obrazach Tycjana... W tym roku nie było w moim domu astrów - myślę - i powtarzam sobie po cichu zakończenie wiersza Wilhelma o tym tytule: „Szukam rabatki osadzonej we mnie / kwiatami bez zapachu / Szukam mgły jesiennej która mnie otuli / tak zachłannie jakby w jej ukołysaniu / miał się odbyć ostatni akt / łaski”.

- Nie jestem autorem piszącym po polsku, jak kiedyś, w Czechosłowacji mnie określano. Jestem poetą, pisarzem rdzennie polskim - mówi Wilhelm Przeczek. Mam nadzieję, że udało mi się włączyć swoją twórczość do obiegu kulturalnego w Polsce i w Czechach, a tym samym nie godzić się na sentymentalne i pseudopatriotyczne traktowanie mojego pisania. Literatura twórców Zaolzia doznała bowiem, jak to spostrzegł Kazimierz Kaszper w swoim eseju, ogromnej jakościowej zmiany, doświadczyła epokowych awansów: wpięty na szczybel autonomicznej literatury zaolziańskiej, a później stała się składnikiem współdecydującym o obliczu współczesnej literatury polskiej.

- Poeta czeka na odpowiedni moment, by wydobyć z siebie to, co najwartościowsze, co kosmiczne... Zachłystywałem się kiedyś sobą - zwierza się Wilhelm nieśmiało. Ale życie nauczyło mnie pokory wobec Absolutu. Podporządkowałem część swojego życia literaturze, wierzę w mus pisania, zbieram to ciśnienie świata miesiącami, a potem nagle muszę uisnąć i pisać. Ów „mus” podpowiada mi kosmos, spełniam tylko funkcję sekretarza literatury. Obrazy nadlatują, przybierają kształt słowa, układają się w wiersze, w opowiadania... Jest to i ciężka praca, i radość, i przygoda. Do tego, co napisałem, mam stosunek ambiwalentny. Czasami mam ochotę zniszczyć tekst, który czytam. Ze złości, że go czytam. Obawiam się, że ktoś mógłby spostrzec w moim czytaniu uwielbienie dla tego, co napisałem. A przecież moje pisanie jest tylko propozycją dla czytelnika. Tekst napisany żyje swoim życiem. Chciałbym jednak poruszyć te nuty w człowieku, które on umie w sobie odnaleźć.

Wilhelm Przeczek jest autorem kilkunastu tomików wierszy. W tomiku „Na ubitej ziemi” są zebrane wiersze uhonorowane I nagrodami w Ogólnopolskich Turniejach Poetyckich w latach 1975-85. Tematyka ich jest różna, od sportu do miłości. Przeczek podkreśla, że nigdy nie pisał „pod konkurs”, ale wybierał już gotowe utwory, które mogły się zmieścić w formule danego konkursu. Była to swego rodzaju zabawa, ale także sprawdzian i po części antidotum na ówczesny zakaz druku w Czechosłowacji. Wśród nagrodzonych wierszy jest także poemat „Pisane dymem”, który zdobył Złotą Lampkę Górniczą oraz wiersz nagrodzony Laurem Miedzianego Amora w Ogólnopolskim Konkursie Literatury Miłosnej. Za tomik wierszy pod tytułem „Smak wyciszenia”, będący wyborem z lat 1971-1998 i swoistym świadectwem artystycznego dojrzewania otrzymał Wilhelm Przeczek Nagrodę im. Juliusza Słowackiego na tegorocznej Warszawskiej Jesieni Poezji. W ten sposób uhonorowano 40-lecie jego twórczości.

Nie ukrywam: lubię wiersze Wilhelma Przeczka. Poddaję im się i „czytam je plecami”, jak mówił

Eliot. Jeżeli poczuję dreszcz, oznacza to, że wiersz jest także mój, bo poruszył we mnie nutę, w której się odnalazłam, że jakies „Przeczkowe granie” stało się również moim. W chwilach wyciszenia myślę jak Przeczek: „podliczyłem wszystkie szczęśliwości / Podliczyłem wszystkie przemilczenia / Suma równa się sumieniu”.

Bardzo także lubię (i cenię) prozę Przeczka, jego „Kazinkowe granie” i opowiadania zawarte w „Bluszczu”. Bardzo specyficzny bowiem z Przeczka prozaik. Zarówno w powieści, jak i w opowiadaniach kontynuuje to, co sygnalizował w poezji, a na co pozwala mu pojemniejsza forma prozy. W ten sposób powstała niekonwencjonalna proza, która swoje korzenie ma w poezji, proza, w której Przeczek potrafi sytuacje najzwyczajniejsze otulić wizyjnością, liryzmem, oniryzmem, tajemniczością. Zamazuje się tutaj granica pomiędzy realnością a sennym marzeniem, wydarzenia niemożliwe stają się możliwe i na odwrót. W „Kazinkowym graniu” bohater jest uosobieniem tych wartości, które współczesny człowiek doprowadził do dewaluacji, a bez których życie staje się koszmarem. Jeśli ktoś chce poznać poglądy Przeczka na temat poezji, sztuki, a także sztuki życia, powinien tę właśnie powieść przeczytać. Nie jestem odosobniona w swoim podziwie, ponieważ „Kazinkowe granie” docenili między innymi Adriana Szymańska, Tadeusz Konwicki, Bogusław Żurkowski, Józef Hen, Jan Pieszczachowicz.

Wilhelm Przeczek urodził się 7 kwietnia 1936 roku, jest więc zodiakalnym Baranem. Ludzi spod tego znaku porażki ponoć nie załamują, a sukcesy nie oszalamiają. Kiedy pytam, co dla Wilhelma jest sukcesem życiowym, wrusza ramionami. W sekundę potem już wiem, że zadałam najbardziej banalne pytanie i że fakt poddania się tzw. medialnym wzorcom jest w tej rozmowie nie do wybaczenia. Wilhelm się jednak uśmiecha, zapala kolejnego papierosa, spogląda na swoją żonę, Jadwigę.

- Moja żona wytrzymała ze mną tyle lat w małżeństwie - mówi - była dla mnie podporą w życiowych zawirowaniach. Nasza córka, Lucynka, jest autorką 4 tomików poetyckich, jest tłumaczką, pracuje jako kierowniczką świetlicy szkolnej. Nasz syn, Leszek, z zawodu ekonomista, jest także poetą i autorem opowiadań science-fiction. Żyję sobie zwyczajnie, wśród przyzwyczajęń, cieszę się z wnukami, listami, które do mnie przychodzą z różnych zakątków Polski i Europy, wyjeżdżam na spotkania autorskie, czasami tylko po to, by spotkać się po latach z jedną bliską mi osobą. Cieszy mnie to, gdy mogę wzbudzać swoim pisaniem w innych radość lub smutek, gdy mogę jakoś poruszyć czytelnika.

- Mąż rozmawia z dziećmi o literaturze, poezji - wtrąca pani Jadwiga z uśmiechem - i tylko ja jestem przy ziemi, bo ktoś musi.

Myślę o obiedzie, który ugotowała pani Jadwiga, a który był poematem. Patrzę na Jadwigę i Wilhelma Przeczków i zazdroszczę im najlepszą zazdrością, jaką mogę w sobie znaleźć, zazdroszczę im tego, że odnajdowali się we „wspólnym graniu” przez tyle lat. W ich źródle jest żądza widzenia świata najbardziej jasnego, prostego, parafrazuję w sobie słowa Kazinka, bo tylko ze źródła jasności wychodzą rzeczy proste, a demon wszystko komplikuje.

O co się rozchodzi?

Słowotwórstwo to jeden z najpowszechniejszych sposobów wzbogacania języka. W różnych językach procesy słowotwórcze dokonują się w różny sposób (np. język niemiecki tworzy przeogromną liczbę złożzeń). W języku polskim najczęściej nowe słowa tworzy się poprzez dodawanie odpowiednich przyrostków lub przedrostków.

Tworzenie słów za pomocą przyrostków, czyli części dodawanych z tyłu (jakby przyrastaly) dotyczy w największej mierze rzeczowników. Natomiast za pomocą przedrostków (czyli części dodawanych przed) tworzone są przede wszystkim czasowniki. Oczywiście zdazają się i pochodne rzeczowniki tworzone za pomocą przedrostków. Takim rzeczownikiem jest np. *nadciśnienie*. To wyraz oznaczający 'ciśnienie wyższe niż normalne'. Został utworzony przedrostkiem *nad-* od wyrazu podstawowego *ciśnienie*. Typowymi rzeczownikowymi przedrostkami są: *wice-* (*wicedyrektor, wicekonsul, wiceminister*), *eks-* (*eksmąż, ekspremier*), *pra-* (*prababcia, pradziadek*). Wiele jest takich przedrostków, które tworzą masowo nowe wyrazy od różnych części mowy, nie tylko od rzeczowników, takich jak *arcy-* (*arcyksiążę*, ale także *arcyciekawy*), *hiper-* (*hipertekst*, ale i *hiperodjazdowy*), *super-* (*superfacet*, ale też *superelegancki*). Zresztą co do tych ostatnich wyrazów należałoby się zastanowić, czy są to formacje przedrostkowe, czy jednak złożenia dwóch odrębnych wyrazów. Dziś bowiem, w naszym codziennym mówionym języku *super* się uwolniło i stało się osobnym wyrazem. Często spotykamy się ze stwierdzeniem: *To jest super!* albo *Tam było super!*

Jednak najczęściej, jak już wspominałam przedrostki są wykorzystywane do tworzenia nowych czasowników, a przede wszystkim do tworzenia czasowników od innych czasowników.

Długo nie było żadnego na ten temat opracowania. W końcu podjęły się tego dwie osoby, obie – co należy podkreślić – z Uniwersytetu Śląskiego. Profesor Henryk Wróbel opracował czasowniki istniejące współcześnie, doktor Aleksandra Janowska zbadała czasowniki z przedrostkami w całej historii języka polskiego.

Chcę tu pokazać cztery polskie czasownikowe przedrostki: *o-*, *u-*, *po-* i *roz-*. Dlaczego właśnie te cztery? Ponieważ są one istotne dla słowotwórstwa czasownikowego w gwarze śląskiej. Trochę inaczej są w niej używane niż w języku ogólnopolskim. Zaczniemy od języka ogólnopolskiego (wedle charakterystyki zaproponowanej przez prof. H. Wróbla):

o- – jego najczęstsza funkcja to nazywanie czynności, które dzieją się wokół czegoś (np. *opłynąć*) oraz wskazanie, że czynność została (lub zostanie) wykonana dokładnie i całkowicie (np. *omówić, oprac, opracować*); rzadziej natomiast może oznaczać objęcie czynnością wszystkich możliwych elementów, których ta czynność dotyczy;

u- – rzadko przyjmuje funkcję wskazania momentu początkowego jakiejś czynności czy stanu (np. *uwiaryczyć*); jest też

używany w znaczeniu wskazania na to, że jest się w stanie wykonać jakąś czynność (np. *umieść, udźwignąć, usiedzieć, ustać*) oraz w znaczeniu oddalenia w jakimś niesprecyzowanym kierunku (np. *ulecieć, ujsć*);

oba powyższe przedrostki mają też znaczenie bardzo wielkiej intensywności, występują wtedy jakby zamiast słówka bardzo: ubawić (= *bardzo kogoś bawić*), *uśmiać się* (= *bardzo, bardzo się śmiać*), *umęczyć* (= *bardzo kogoś męczyć*), *opoić* (= *bardzo kogoś poić*) itd.

po- – znaczy, że coś się dzieje tylko przez pewien czas (np. *postać, posiedzieć, pospać* – trochę, chwilę); dalej, że coś dotyczy wielu elementów (np. *pożenić, powynosić*) i że zbliża się do jakiegoś wyznaczonego celu (np. *pojechać, polecieć*);

roz- – które znaczy oddalić się od siebie, co dotyczy i całych przedmiotów (*rozejść się* – o ludziach, *roznieść* – listy), i ich części (stad np. *rozbić* – dzbanek, *rozebrać* – dom).

Jedną z rzeczy, którą przy takim nawet pobieżnym przeglądzie da się stwierdzić jest fakt, że przedrostki te – o czym właśnie wspominałam już na początku – są nie do końca precyzyjne, każdy z nich może oznaczać bardzo wiele sytuacji w zależności od podstawowego czasownika, do którego został dołączony, a poza tym zachodzą one na siebie.

Przyjrzyjmy się teraz kilku czasownikom z gwary śląskiej, używanym często, które mają przedrostki inne niż w polszczyźnie ogólnej. Czy przedrostki te spełniają takie same funkcje, czy też gwara wykształciła dla nich inne funkcje? Zaczniemy od czasowników na *o-*: *o-kompać, o-błykać się, o-świecić, o-balić*. Każdy z nich ma w języku ogólnopolskim inny przedrostek niż w gwarze: *wy-kąpać, u-bierać się, za-świecić, prze-wrócić*. Czy śląskie *o-* ma takie samo znaczenie? Wydaje się, że częściowo tak. W przypadku pierwszych dwóch czasowników chodziłoby bowiem o wskazanie zupełności, kompletności wykonanej czynności. *Okompać „się”* czy „kogoś” to wszak nie poplukać się w wodzie, czy też z lekka obmyć twarz i ręce, *okompać* to wymyć dokładnie i całkowicie. Oczywiście tę samą funkcję może spełniać przedrostek *wy-*, który wybrała polszczyzna ogólna, przy takim czasowniku znaczą one to samo. Podobnie jest z *obłykać* (tym razem *o-* zamiast *u-*). Natomiast pozostałe dwa przykłady zdają się sugerować, że śląskie *o-* wykształciło także swoje własne funkcje, odmienne od tych przejętych z języka ogólnego: w *oświecić* bowiem *o-* występuje w funkcji, która w polszczyźnie jest zarezerwowana dla *za-* (*zaświecić, zakwitnąć, zamieszkać, zachorować*), czyli w funkcji

oznaczania momentu początkowego jakiejś czynności. W ostatnim przykładzie z kolei *o-* przejęło funkcję wyraźnie spełnianą w polszczyźnie przez *prze-*, czyli oznaczania zmiany położenia.

Weźmy teraz czasowniki z przedrostkiem *u-*: *u-dać* (pieńiądze), *u-szporować, u-widzieć, u-stać* (*ustón już!*). To

ogólnopolskie: *wy-dać, na-zbierać* (*zaoszczędzić, czy raczej na-oszczędzać*), *zobaczyć, prze-stać*. Gdybyśmy chcieli przypasować te czasowniki do funkcji ogólnopolskich przedrostków, to w pierwszych dwóch moglibyśmy wskazać na wielką intensywność czynności, choć w pierwszym: *udać* jest raczej ściślejsze znaczenie kompletności, zupełności, jak przy *o-* (*jo udół fszyskie piniondze*). W trzecim przykładzie sytuacja jest zupełnie specyficzna, bo w polszczyźnie ogólnej czasownika *zobaczyć* w ogóle nie traktujemy dziś jako przedrostkowego, w takim znaczeniu – początku czynności nie używamy czasownika *widzieć* z jakimś przedrostkiem, tak dzieje się w gwarze i do tego celu został wykorzystany przedrostek *u-*, który jest nośnikiem znaczenia początku. Natomiast ostatni wskazuje znów na funkcję w tym wypadku typową tylko dla gwary, w nim *u-* przejmując funkcję znaku końca czynności, rozszerzył więc swą funkcjonalność w gwarze.

I podobnie jest z pozostałymi czasownikami i przedrostkami. Przedrostek *po-* częściowo spełnia takie funkcje, jak w polszczyźnie ogólnej: *po-chytać, po-maszkycić, po-garniyyować*, ale są też takie sytuacje, gdzie *po-* nabiera nowych, specyficznych tylko dla gwary funkcji. Takimi wyrazami są *po-jeść* i *po-krojcować*. Sam wyraz *po-jeść* też występuje w języku ogólnym, ale zgodnie z jednym ze wskazanych znaczeń przedrostka *po-* znaczy *jeść* trochę, podobnie jak *podjeść* sobie. Natomiast w gwarze znaczy to dokładnie coś odwrotnego: *po-jeść* to jeść tak dużo, że jest się sytym (czyli jak w polszczyźnie ogólnej *na-jeść się*). Znaczenie to lepiej nawet ujawnia się w imiesłowiu: *pojedzony: pojedzony* człowiek to syty człowiek, jeśli gość wstał od stołu *pojedzony* to gospodyni może być naprawdę zadowolona. A odpowiednikiem śląskiego *pokrojcować* byłby ogólnopolski wyraz *s-krzyżować*. Jest wprawdzie w polszczyźnie ogólnej przedrostkowy czasownik *pokrzyżować*, ale on znaczy zupełnie co innego, ma znaczenie raczej tylko przenośne. *Pokrzyżować* można na przykład komuś plany.

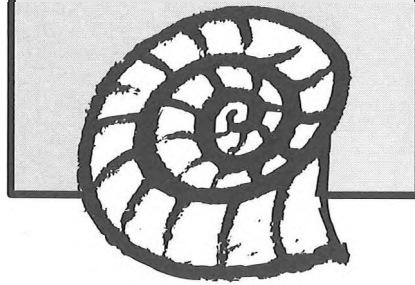
I wreszcie ostatni ze wspomnianych przedrostków: *roz-* w wyrazie *rozchodzi się*. Ten przedrostek w polszczyźnie oznacza oddalenie się elementów. W ogólnopolskim *roz-chodzić* tak jest: to znaczy, że ludzie stojący razem, blisko siebie, w grupie oddalają się od siebie na tyle, że grupa przestaje istnieć. W śląskim czasowniku „nie o to sie rozchodzi”. W nim „rozchodzi się o to”, że trzeba wyciągnąć jądro, żeby wiedzieć „o co naprawdę chodzi”. **No i o to sie rozchodzi.**

Wiosna sprzyja sadzeniu drzewek, iglaków, przesadzaniu roślin doniczkowych. Warto więc, aby w tym czasie każdy z nas zastanowił się, czy może posadzić zieleni w swoim otoczeniu i poprzez to zrobić coś dla siebie i dla innych. Wielokrotnie postulowałem, aby każdy mieszkaniec Śląska posadził co roku przynajmniej jedno drzewko, jednego iglaka.

Kiedyś, w dawnym ustroju, modne były czyny społeczne. Zapędzano młodzież, pracowników państwowych zakładów pracy do prac ogrodniczych. Zmuszano do sadzenia drzewek, nie licząc się z siedliskiem, porą roku, ani nawet z tym ile z sadzonek się przyjmie. Ważny był jedynie sam fakt wykonywania planu, meldunku do centrali. Rzadko kto później dbał o te sadzonki, wiele z nich usychało, część zniszczyły dzieci. Oczywiście nie o takie „czyny społeczne“ mi chodzi. Tamten świat bezpowrotnie minął. Dzisiaj wiele osób sadzi drzewka lub iglaki z przekonania, bez przymusu, dla dobra wspólnego, często z chęci posiadania w swoim najbliższym otoczeniu (na balkonie, na klatce schodowej, przed domem) wspólnie zieleni. Niektórzy, co majątniejsi, stawiają sobie za punkt honoru posiadanie cudownego ogrodu - szczególnie z iglakami i skalniakami. Odbывают się też akcje sadzenia drzewek organizowane już inaczej - profesjonalnie - przez różne organizacje ekologiczne, fundacje, samorządy, nadleśnictwa. Nowoczesna zautomatyzowana produkcja powoduje, że materiału sadzeniowego jest dużo i dlatego jest on stosunkowo tani. Sadzenie drzewek, iglaków, a właściwie każdej zieleni komunalnej może być dotowane z różnych funduszy ekologicznych. Sam też zachęcałem do posiadania własnego iglaka na balkonie czy przed blokiem. W kampanii wyborczej do Sejmu w 1997 rozdałem na Rynku w Katowicach sporo tych drzewek i wiem jaką popularnością (niewiele brakowało a zadeptano by mnie) cieszyła się ta akcja.

Zastanówmy się po co nam nowe drzewa w województwie śląskim? Po co nam hasło - „każdy posadzi swojego iglaka na wiosnę“? Jakie korzyści mamy z zieleni czy to indywidualnej czy to parkowej?

Po pierwsze - drzewa, a szczególnie drzewa iglaste, w okresie grzewczym zdecydowanie poprawiają jakość powietrza w naszym otoczeniu. Z jednej strony produkują tlen, tak potrzebny nam w aglomeracji katowickiej, z drugiej strony pochłaniają dwutlenek węgla, czyli przeciwdziałają negatywnemu efektowi cieplarnianemu i zmianom klimatycznym. Jeden dorodny buk produkuje dziennie tyle tlenu, ile stanowi zapotrzebowanie licznej rodziny w ciągu dnia. Jedna duża sosna zaspokaja dobowe potrzeby tlenowe trzech osób. Gdyby w laboratorium produkowano tlen, to jego produkcja odpowiadająca 50 letniej pracy średniego drzewa kosztowałaby ponad 30 tys. USD. Drzewa absor-



Posadź swoje drzewko

bują różnego rodzaju pyły i pyłki oraz w mniejszym stopniu inne zanieczyszczenia powietrza, takie jak tlenek węgla, ozon, dwutlenek siarki. Pochłaniają nieprzyjemne wyziewy, a dają w zamian naturalne zapachy. Iglaki, takie jak cyprysiki, jałowce, a także sosny produkują szczególnie intensywne żywiczne aromaty. Gęsta kształtowana zieleni (np. żywopłoty) stanowi też doskonały bufor przed uciążliwościami transportu (hałasem, spalinami, a nawet pyłem). Dzięki tym własnościom drzew i krzewów nie musimy wiele razy w tygodniu wycierać kurzu w mieszkaniu i możemy zmniejszyć ilość kupowanych środków czystości do naszych gospodarstw domowych.

Po drugie - otoczenie zieleni, szczególnie iglaków, ma pozytywny wpływ na nasz nastrój i emocje. Grupy drzew i krzewów budują korzystny, łagodny mikroklimat wokół domów, a nawet bloków. Patrząc na ścianę kształtowanej zieleni pozwalamy odpocząć oczom. Taki widok łagodzi stres i zmęczenie. Drzewa upiększają architekturę budynków, ciągów komunikacyjnych. Stanowią naturalne otoczenie człowieka, miejsc rekreacji, sportu i wypoczynku. Drzewa stwarzają atmosferę intymności i rodzinności.

Po trzecie - drzewa są ważne ze względów ekologicznych. Gęsta zieleni jest miejscem gniazdowania dzikich ptaków śpiewających. Pasy zieleni zmniejszają erozję wodną i zwiększają małą retencję, chroniąc przed powodziami i niekorzystnymi zmianami jakości wód powierzchniowych.

Po czwarte - drzewa pozwalają nam oszczędzać energię. Cień dużych drzew obniża w lecie temperaturę ściany domu o około 6-9 stopni Celsjusza zmniejszając przez to koszty chłodzenia domu. Drzewa działają jak klimatyzatory transpirując kilkaset litrów dziennie powietrza i obniżając w lecie temperaturę otoczenia o około 3-7 stopni Celsjusza. Zimą zasłona szpalerowa zieleni chroni przez zimnym wiatrem pozwalając oszczędzić ciepło ogrzewania budynku o 20-30%. Drzewa mogą także być źródłem dochodu. Domy zlokalizowane w dzielnicach zielonych mają większą cenę rynkową.

Korzyści, jakie daje zieleni, jest jeszcze wiele. Warto pamiętać, że niektórzy ludzie potrafią nawiązać więź uczuciową z roślinami czy drzewami. Niektórzy czerpią specyficzną energię życiową przez dotyk dorodnych pni dębów czy buków. Wspólne sadzenie drzew integruje grupę. Znam zwyczaj zakładania gajów maturalnych. Posadzone przez klasę w dniu matury drzewa zaopatruje się w metryczkę - nazwę botaniczną, datę i nazwisko osoby, która będzie się sadzonką opiekować. Spotkania rocznicowe klas mogą dzięki takiemu zwyczajowi przez wiele lat odbywać się w tym samym miejscu, a dbanie o powstały tak lasek w znaczącym stopniu przyczynia się do utrzymania kontaktu.

Oczywiście sadzić trzeba zgodnie ze sztuką ogrodniczą, uzyskując zgodę administracji gminnej, dobierając gatunek do siedliska, przygotowując wcześniej teren, pilnując terminu sadzenia. Zawsze warto zasięgnąć informacji u specjalistów. Planując zakup sadzonki należy przewidzieć funkcję i docelową wielkość drzewa. Pamiętajmy, że mała roślinka może nas zaskoczyć i urosnąć tak, że np. zasłoni okna domu. Dlatego preferujemy w otoczeniu mieszkań rośliny karłowe czy półkarłowe. Materiał do sadzenia powinien być dobrej jakości i odpowiednio dobrany do warunków, w jakich przyjdzie mu rosnąć. Nie wszystkie gatunki nadają się do miast o zanieczyszczonym powietrzu.

Warto zadbać o już nabytą roślinkę: dobrze ułożyć korzenie, obsypać urodzajną ziemią, po posadzeniu przez kilka dni podlewać, zabezpieczyć palikami i linką przed złamaniem oraz szczekającymi czworonogami, które lubią młode drzewka traktować jak przydrożną toaletę. Posadzony w miejscu publicznym, a nawet na własnej działce iglak może budzić zainteresowanie złodzieja, warto więc przywiązać jego korzenie do zakopanej poziomo w ziemi sporej żerdzi drewnianej.

Pamiętajmy - warto zainwestować w zieleni, bo ona nam się odwzajemni.

JAN RZYMEŁKA

** Dr Jan Rzymelka, od pierwszego marca 2000 roku po raz trzeci jest posłem na Sejm RP specjalizującym się w problematyce ekologicznej.

Na wieczna, pięcioramienna gwiazda wykonana z rubinu, a więc czerwona, ale przecież nie tak jak czerwony sztandar. Z tą gwiazdą jest trochę tak jak z mumią Lenina. Wydaje się, że nie ma już tego, co jedno i drugie symbolizuje, ale symbole osiągnęły byt, poniekąd, niezależny. Nie wydaje się, by, w przewidywalnej przyszłości, te dwa symbole zostały zlikwidowane, ale do niedawna poza granicami wyobraźni sytuowało się coś takiego, jak wyłączenie, choćby na chwilę, dopływu prądu do kremłowskiej gwiazdy! O ile mumię Lenina poddawano (i pewnie poddaje się nadal), co jakiś czas, zabiegom, jakby to rzec? - kosmetycznym, o tyle rubinowa gwiazda była niczym słońce, które nigdy nie zachodziło nad Brytyjską Koroną. Aż raptem zgasła! I to nie dlatego, że rozpadł się Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, bo mimo, iż się rozpadł, gwiazda nie przestała świecić. A jednak zgasła. Na kilka godzin. Zgasła, ponieważ przeszkadzała reżyserowi Nikicie Michalkowowi w nakręceniu kremłowskiej sekwencji do filmu „Cyrułik syberyjski“. Prezydent Jelcyn, poproszony przez Nikitę Michalkowa, wydał rozkaz wstrzymania dopływu prądu do rubinowej gwiazdy, którą oglądały - w dzień i w nocy - oczy Lenina i Stalina.

Czy to jest miarą zmian, jakie zaszły w byłym ZSRR, a dzisiejszej Rosji? Bo ja wiem... Sergiusz Bondarczuk był w dobrych stosunkach z Chruszczowem i Breżniewem, lecz nawet wtedy, gdy kręcił „Krasnyje kołokoła“ (Czerwone dzwony) - film hagiograficzny o Johnie Reedzie i dziesięciu dniach, które wstrząsnęły światem, nie ośmieliłby się poprosić cara-genseka o zgaszenie kremłowskiej gwiazdy?!

Znaczy to, że zaszły pewne zmiany w ludziach. Oczywiście, nie w zwykłych ludziach, ponieważ Nikita Michalkow nie należy do zwykłych Rosjan. Aristokrata, bodaj czy nie z carskimi koneksjami, stawia siebie znacznie powyżej średniej krajowej. Dopóki nie pojawił się Władimir Putin, nie ukrywał, iż chce zostać prezydentem. Czyli carem. Co więcej, w godzinach puczu Janajewa, Nikita Michalkow poparł Borysa Jelcyna - co oglądałem w programie telewizyjnym moskiewskiej. Poparł go natychmiast, bez wahania, choć powiedział też - cytuję z pamięci - „My mamy swoje porachunki z Borysem Niokolajewiczem.“ Nie wiem, co Nikita Michalkow miał na myśli, lecz poparł Jelcyna, to fakt. I oto na planie filmu „Cyrułik syberyjski“, w przytomności zagranicznych gwiazd, z telefonu komórkowego zadzwonił do prezydenta Rosji i poprosił go, o przerwanie dopływu prądu do kremłowskiej gwiazdy.

Nie mam zaufania do reżyserów, którzy w takich sprawach dzwonią do prezydentów. Wolałbym - nawiasem powiem, że film kręcono m.in. w czasie pierwszej wojny w Czeczenii - wolałbym, aby reżyser Nikita Michalkow zadzwonił do prezydenta Rosji z prośbą o przerwanie bratobójczej wojny, skoro - jak ich uczono - „wsie ljudi bratja“. Niestety, szło tylko o film.

Czy warto było zgasić kremłowską gwiazdę? To jest pytanie.

„Cyrułik syberyjski“ Nikity Michalkowa - jest superprodukcją rosyjsko-fran-



POZA KADREM

Balwierz i barbarzyńcy

cusko-włosko-czeską, z Julią Ormond w roli głównej. Inna gwiazda - Richard Harris - w roli szalonego wynalazcy, który pracuje nad gigantyczną piłą mechaniczną wielkości lokomotywy, z zamiarem wycięcia lasów syberyjskich, tak precyzyjnie, jak cyrułik strzyże, a nawet goli. Stąd nazwa tej maszyny, a też oryginalny tytuł angielski filmu The Barber of Siberia - słowo barber (balwierz, cyrułik, fryzjer) ewokuje fonetycznie podobne słowo barbarian (barbarzyńca) Uwaga: jesteśmy na tropie metafory, kluczowej w tym melodramatycznym eposie: ta straszliwa machina wdziera się w syberyjski las, ścina drzewa, rzeczywiście, niczym cyrułik, ale oto ujęcie panoramiczne: gigantyczny las syberyjski, i proszę: ta machina piekielna, ten diabełski obcy wynalazek, zginęła w nim jak igła w stogu siana! Co znaczy: nigdy nie wytniecie „rosyjskiego lasu“, nie wdrzećcie się w głąb duszy Rosji. Ona może was polknąć.

Co podkreślam, ponieważ Nikita Michalkow wierzy w tajemniczą rosyjską duszę; powtarza niejako za poetą Tiutczewem: Rassisji umom nie pajmiosz.

Car Aleksander III - w tej roli, ma się rozumieć Nikita Michalkow, zwracając się do kadetów w dniu ich promocji na oficerów, wygłasza kilka słów, lecz mają one charakter osobistego przesłania. Car Michalkowa (czy też car Michalkow), mówiąc do kadetów, zwraca się jednak do całego narodu: kochajcie swoich żołnierzy, mówi, strzeżcie ich, troszczcie się o nich, są bowiem tym najlepszym, co Rosja ma. Mówił to wtedy, gdy armia rosyjska poniosła klęskę w Czeczenii, i Ro-

sjanie pomstowali na armię. Zamiarem Michalkowa było dowartościowanie rosyjskiego samopoczucia narodowego.

„Cyrułik syberyjski“ to melodramat: Amerykanka (kobieta piękna, acz po tak zwanych przejściach) trafia do Rosji - jest przedostatnia dekada XIX wieku. Romans z dwudziestoletnim kadetem (w tej roli, niestety, czterdziestoletni (rocznik 1960!) Oleg Mienszikow) owocuje synem, o którego istnieniu ów kadet, już nawet oficer, nigdy się nie dowie, ponieważ zostaje zesłany na syberyjską katorżę. Oficjalnie: za próbę zamachu na Wielkiego Księcia, a w rzeczywisto-

ści za pobicie smyczką generała, który zalecał się do pięknej Amerykanki. I oto jest rok 1905, Ameryka, baza wojskowa, ćwiczenia. Podoficerowi podpada dwudziestoletni kadet, syn owej pięknej Amerykanki. Upiera się, że Mozart jest wielkim kompozytorem, czym doprowadza do szału podoficera, dla którego Mozart jest zerem. Kadet za karę nawet śpi w masce przeciwgazowej, lecz cierpliwie znosi przesładowania, niezłomie wierny swojemu przekonaniu, że Mozart jest wielkim kompozytorem. Swoją wiarą i uporem doprowadzi do tego, że zdruzgotany amerykański podoficer wykrzyczy na cały świat, iż Mozart jest wielkim kompozytorem.

Uwaga: to znów metafora i potężne przesłanie Nikity Michalkowa: przecież w tym amerykańskim kadecie żyje rosyjska dusza jego ojca. Stąd ta niezłomność! Z ekranu padają nadto deklaracje takie jak ta: może w Rosji kradnie się i oszukuje, ale dane tam słowo znaczy więcej, niż papier z pieczęcią. Cóż, kto chce, niech wierzy.

Film jest rozwlekły, wygrany na wyczuwanej przez Polaka na odległość, wielkoruskiej strunie, ale to przecież Nikita Michalkow, i rozmach inscenizacyjny budzi podziw: bal, parada wojskowa, czy ludowy jarmark, zwany świętem naleśnika - to sekwencje wykonane brawurowo, z dbałością o szczegóły, w twórczym uniesieniu. Ale i to jest pochwałą dobrej, kochanej Rosji. Oczywiście, był Sybir, byli katorżnicy, Michalkow nie zamierza tego ukrywać: oglądamy - a jakie to malownicze, a jaka w tym dynamika! - sekwencję pędzenia katorżników ulicami Moskwy w drodze na Sybir. Wśród nich jest ów nieszczęsny kadet. W tym momencie serce uderza nam żywej. W tej masie zesłańców, jest rok 1885, mógł być na przykład młodzieńcy Józef Piłsudski, lub jego brat Bronisław. Ale kiedy w dziesięć lat później, w schludnej i zasobnej syberyjskiej chacie zesłańca-kadeta widzę na poczesnym miejscu portret cara, ręce mi opadają i powtarzam za Nikitą Michalkowem, acz w innej intencji: Rassisji umom nie pajmiosz. No dobrze, ale, jeżeli nie rozumem, to czym?

- Czy nie sądzisz, że do najnowszego programu zatytułowanego „Dwie skały” powinienś dołączyć jeszcze jedną piosenkę: „Obronę umarłych poetów”? Tych, których czynisz bohaterami swoich utworów, wkładając im w usta własne, mocno trącające publicystyką, sądy i poglądy.

- To u mnie nic nowego. Od lat piszę pastisze, odwołując się do języka poetów dla mnie ważnych - przypomnę Jasińskiego, Wierzyńskiego, Norwida, Owidiusza, Mandelsztama, Wysockiego. Jest to forma rozmowy z cieniami, które mają nam wciąż wiele do powiedzenia pomimo odrębności epok i stylów. Nie relacjonuję ich poglądów własną mową, ale odtwarzając ich formę, czyli sposób określania myśli; staram się uświadomić odbiorcy ich współczesność. Lub uniwersalność.

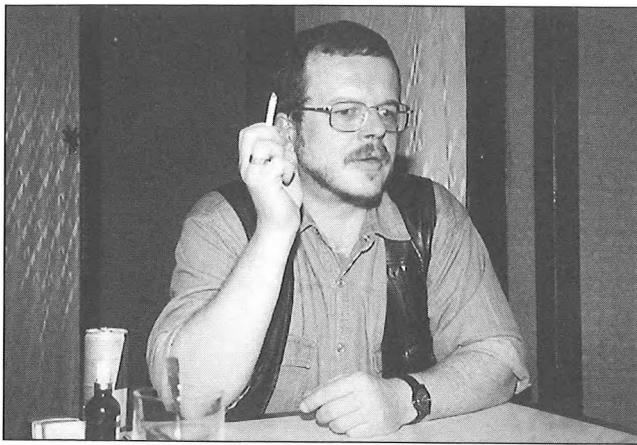
- Mam wrażenie, że wcześniej interesowała Cię przede wszystkim ich, użyjmy takiego sformułowania, sytuacja metafizyczna. Dzisiaj, kiedy słucham „Rechotu Słowackiego” mam wrażenie, że czytam komentarz z „Gazety Wyborczej”.

- Trudno mi się z tym zgodzić. Kiedy czyta się poematy dygresyjne Słowackiego w kontekście czasu, w którym powstały, pełno w nich publicystyki. Podobnie z Norwidem, czy Mickiewiczem, żeby pozostać przy naszych Wieszczech. Dopiero czas weryfikuje jakość tej publicystyki, a zmiana kontekstu może z niej uczynić belkot albo element metafizycznego pojmowania świata. Komentarze „Gazety Wyborczej” raczej się tym nie zajmują. Ja, z moim podejściem do sztuki i historii jestem dla jej publicystów czymś w rodzaju Dinozaura. Wkurza mnie, ogólnie rzecz biorąc, „nowoczesność” polityki kulturalnej „Gazety”, nastawienie na swoistą propagandę sukcesu nowej świadomości, która dla mnie jest po prostu postmodernistycznym zonglowaniem pojęciami, pędem za zachodnim nowinkarstwem, niewiele mającym wspólnego z polską rzeczywistością. Mam wielu przyjaciół w „Gazecie Wyborczej”, ale to nie znaczy, że identyfikuję się z zamieszczanymi w niej poglądami na temat sztuki i kultury, zarówno wysokiej, jak i masowej.

- Wróćmy do umarłych poetów. Dla Słowackiego polski etos narodowy był, przepraszam, że pozostają na poziomie szkolnych cytatów, „duszą anielską”. U Ciebie w „Rechocie Słowackiego” Polak skundlony, jest niepoprawny politycznie, więc dla siebie „bywa niebezpieczny”.

- To parafraza słów samego Jula. Powtarzam, moja piosenka to nie wykład o poglądach Słowackiego na wszystko. To sygnał, że jest on współczesny nam w myśleniu na temat naszych problemów, które nie zmieniły się wiele od 150 lat. Pomiąłem zresztą, czego żałuję, bardzo drastycznie artykułowany przezeń stosunek do Stolicy Piotrowej.

- Ale też i stosunek ówczesnego papieżstwa do polskich dążeń ku wolności był zupełnie inny od sytuacji z ostatnich dwudziestu dwóch lat. Dzisiaj drastycznie artykułowanie stosunku do Stolicy Piotrowej pozostaje domeną Urbana. Równie łatwo, jak poradziłeś sobie ze Słowackim, skleiłeś kilka kalek z Herberta, aby skonstruować, że „Tak się zbroimny Twoim arsenalem/ Przeciwko sobie i przeciwko



Jacek Kaczmarski

Rozmowa z JACKIEM KACZMARSKIM

Dwie skały Polaka

- Póki co prowadzę ten drapieżniejszy rodzaj polemiki, czyniąc zarzuty autorowi. U Ciebie w Odysa jest „jebus, rabuś, zabijaka”. Przepraszam, ale nie odnajduję Herberta w Odysie schlapanym spermą i alkoholem.

- Dyskutowałbym o alkoholu. Na gorąco przechodzi mi na myśl proza poetycka o pijakach, którzy mogli być astronomami... Co do spermy - jest obecna w poezji od jej zarania. Iliada i Odysja ociekają nią, podobnie jak krwią. W końcu to elementarne płyny człowieka. Pot i łzy są wobec nich wtórne. Można to prześledzić w tradycji polskiej od Kochanowskiego do Grochowiaka, który z kolei czerpał garściami z baroku.

- Nie uznajesz podziału na sacrum i profanum?

- W człowieku jedno z drugim jest dokładnie wymieszane. To stały problem i temat sztuki.

- Krew przenosi do rajy bohaterów. Sperma to droga do zupełnie innego rajy. Może nawet przyjemniejszego, ale pozabawionego etosu. Zmieńmy jednak temat: tytuł „Dwie skały” odnosi się do Twojego australijskiego kawałka ziemi.

- Mieszkam w miejscowości o nazwie Two Rocks. Stąd tytuł - te dwie skały są dla mnie symbolem kondycji człowieka skazanego na egzystencję pomiędzy nadzieją a rozpaczą, grozą a zachwytem, rozsądkiem a szaleństwem... choć w istocie te pozornie przeciwstawne zjawiska wyrastają z jednego korzenia - tajemnicy, jaką jest energia istnienia, świadomego istnienia.

- Czy z australijskiej perspektywy łatwo jest oceniać polską współczesność? I czy taka ocena nie wynika nade wszystko z gazetowej wiedzy?

- Od czterech i pół roku mieszkam w Australii, ale w Polsce bywam regularnie po trzy, cztery miesiące w roku. Jeżdżę z koncertami po całym kraju, rozmawiam z ludźmi i w Warszawie i w małych miejscowościach, o których istnieniu nie wie większość Polaków. Tak, że to chyba nie tylko gazety. A poza tym polska współczesność to polskie problemy z własną świadomością, a te, niestety, nie zmieniły się wiele przez ostatnie trzysta lat. Dlatego o tym piszę i śpiewam, i myślę, że dlatego jestem od ćwierć wieku słuchany. Przez kolejne pokolenia młodych ludzi, którym chce się o tym myśleć i dyskutować.

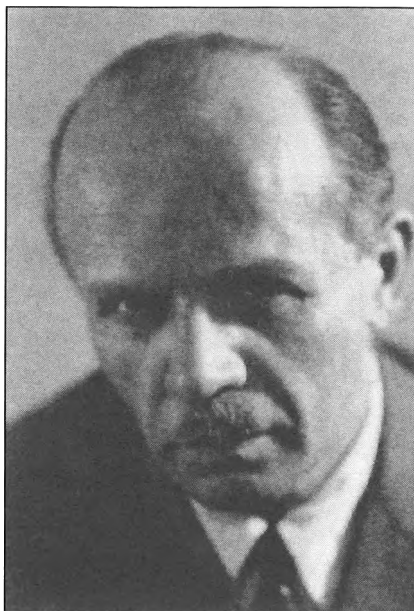
Rozmawiał: MARCIN HAŁAŚ

Tekst, który prezentujemy w obszer-nych fragmentach na kolejnych stronach, dotyczy w wielu przypadkach zagadnień równie ważnych w czasach obecnych, jak wtedy, gdy powstawał. Odbudowa, czy — by użyć bliższego nam określenia — przebudowa kulturalna Śląska, mimo zmienionych warunków i zasięgu terytorialnego, nadal w naszym regionie jest jednym z naczelných i — nie ma co ukrywać — zaniedbanych zagadnień. Mimo starań czynionych od wielu lat przez ludzi kultury i nauki.

Broszura *Odbudowa kulturalna odzyskanego Śląska*, która ukazała się w Katowicach w 1946 r., stanowiła podsumowanie dyskusji, którą wywołał opublikowany rok wcześniej na łamach „Odry” artykuł *Program kulturalny dla Ziemi Odzyskanych*, również napisany przez Zdzisława Hierowskiego. W prezentowanym obok podsumowaniu (bo tak należy traktować ten tekst), zawarł analizę potrzeb i priorytetów oraz założeń organizacyjnych dla realizacji programu rozwoju i upowszechniania kultury na Śląsku. Sytuacja tego obszaru, pojmnowanego przez Hierowskiego bardzo szeroko — od Wrocławia (czyli Dolny Śląsk) przez Opole i Katowice (czyli Górny Śląsk) — została przedstawiona w tej syntezie bardzo szczegółowo. I, co dla tego badacza i krytyka charakterystyczne, bardzo pryncypialnie, o czym świadczy pojęcie Wielkiego Śląska.

Jest też to okazja do przypomnienia osoby autora, Zdzisława Hierowskiego, człowieka niepoślednich zasług dla Górnego Śląska i jego kultury. Urodzony w Stubienku w powiecie przemyskim w 1911 r., przybył z rodziną do stolicy autonomicznego województwa w połowie lat trzydziestych i osiadł tu na stałe po ukończeniu studiów do wybuchu II wojny światowej. Absolwent polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, związał się wtedy z grupą młodych działaczy, skupionych wokół Pawła Musiōła, inicjatora i wydawcy czasopisma „Kuźnica”. Ukazywało się ono w l. 1935—1939 i — jak wspominał później sam Hierowski — było „trybuną młodej inteligencji śląskiej”, związany był też z tutejszą rozgłośnią Polskiego Radia oraz utworzoną z inicjatywy „kuźniczan”, „Fantaną”, miesięcznikiem grupy młodych pisarzy (W. Szewczyk, J. Bacerowicz, J.K. Zaremba, E. Osmańczyk, Z. Hierowski). Powróciwszy więc na Górny Śląsk po zakończeniu wojny, był osobą dobrze znającą tutejszą specyfikę, środowisko artystyczne i naukowe. To, jak i jego zainteresowania krytycznoliterackie spowodowało, że włączył się natychmiast w odbudowę życia kulturalnego. Wynikiem zebranych przy tym doświadczeń jest właśnie prezentowana obok publikacja. A także publikacje w „Odrze”, „Arkuszu Śląskim” oraz ponowne związki z katowicką rozgłośnią. Pełnił także Hierowski rozliczne funkcje w katowickim Oddziale Związku Zawodowego Literatów Polskich. Zawsze wierny tezie o konieczności scalenia kultury regionalnej ze śląską.

Te zainteresowania dziennikarskie, zawsze bliskie tworzonej tu literaturze ui teatrówi, przerodziły się po wojnie w pasję badawczą. Jak twierdzi w swym szkicu wspomnieniowym Mirosław Fazan, zapew-



Zdzisław Hierowski

Wizja „Wielkiego Śląska” w kulturze

ODCZYTYWANIE ŚLĄSKA ODCZYTYWANIE

ne pod wpływem Wincentego Ogrodzińskiego, swego uniwersyteckiego mentora, powstała pierwsza synteza *25 lat literatury na Śląsku, 1920—1945*. Prócz niej wiele innych, mniejszych, ale także znaczących publikacji historyczno-literackich i krytycznych. Przy tym Hierowski nie zarzucił swej działalności dziennikarskiej, współpracując z „Trybuną Robotniczą”, „Panoramą” czy krakowskim „Życiem Literackim”. Związał się też z tutejszym Instytutem Śląskim, mającym swą tradycję jeszcze przedwojenną. Po likwidacji tej instytucji w latach stalinowskich zajął się przekładami literatury czeskiej i słowackiej.

Ale na pewno dla dorobku naukowego, jaki po sobie pozostawił, wielkie znaczenie miał powrót do redakcji „Zarania Śląskiego” i związane z tym stałe z reaktywowanym po odwilży Śląskim Instytutem Naukowym. Efektem wieloletnich prac badawczych była kolejna synteza *Życie literackie na Śląsku w latach 1922—1939*. Prócz tej pracy, wydanej już niestety po niespodziewanym zgonie Zdzisława Hierowskiego w 1967 r., pozostawił jeszcze wiele innych, będących konsekwencją badań prowadzonych w kierowanej przez niego Pracowni Historycznoliterackiej. Nie brakło tam i tych, które wyraźnie wykraczały poza „śląski zaścianek”.

Myślą przewodnią, która w sposób szczególny jest podkreślona w publikacji o odbudowie śląskiej kultury, jest konieczność integracji kultury i nauki Wielkiego Śląska z nurtem ogólnopolskim. O takim

stanowisku zdecydowały doświadczenia przedwojenne autora. W pierwszym roczniku tego czasopisma opublikował autor szkic krytyczny, zatytułowany *Życie kulturalne Śląska*. Bardzo zdecydowanie polemizował w nim z krytykami miejscowymi, usatysfakcjonowanymi istniejącym stanem rzeczy i osiągnięciami tutejszych twórców. Nie tylko zresztą w tej sprawie przeciwstawił się obowiązującym trendom ówczesnej polityki kulturalnej. Wśród nich największe zagrożenie upatrywał w konsekwentnie realizowanym przez władze poparciu dla regionalizmu, jako źródła i kierunku rozwoju tutejszej kultury. Zarzucał temu nurtowi, obowiązującemu wydaniu konserwatywnym, hamowanie dalszego rozwoju kultury i narzucanie ograniczeń prowadzących aż do separatyzmu. I przed tym przestrzegał także w pomieszczonej obok publikacji, pisane jedenaście lat później. Wskazywał przy tym na uwarunkowania społeczne, panujące na Górnym Śląsku, konserwyzm i przywiązanie do tradycji, które to cechy miały plebejski charakter, podobnie jak cała kultura, która rozwinęła się tutaj od czasów przebudzenia narodowego w XIX wieku.

Stąd nieukrywana satysfakcja Hierowskiego, który w krótkim czasie po zakończeniu wojny, odnotowuje powstanie na Wielkim Śląsku kilku poważnych ośrodków rozwoju kultury i nauki. Na Dolnym Śląsku funkcje te spełniały wówczas dwa miasta: Wrocław i Jelenia Góra. Górny Śląsk stworzył dwa główne centra — Opole i Katowice. Przy stolicy ówczesnego województwa rozwijały się także pod tym względem Gliwice i Bytom. Ale już wówczas zwracał autor uwagę na odrębność kierunków, w jakich dążyły te dwa regiony, tworzące Wielki Śląsk.

Tak więc Wrocław stawał się na Ziemiach Odzyskanych ośrodkiem humanistycznym, zaś miasta GOP technicznym zapleczem zdobywania wiedzy przydatnej w przemyśle. Chociaż ówczesne Katowice, zdaniem autora, przewyższały znacznie poziomem integracji środowisk twórczych i dorobkiem artystycznym dolnośląskie centra naukowo-kulturalne. Natomiast w obydwu przypadkach katastrofalnie przedstawiała się sytuacja oświaty, której normalnemu i koniecznemu funkcjonowaniu przeszkadzały nie tylko zniszczenia wojenne, ale i brak kadry z prawdziwego zdarzenia. Podobną przeszkodę widział Hierowski w braku inicjatyw wydawniczych w tych regionach, na większą niż dotychczas skalę. A przecież od tego uzależniona była repolonizacja tego obszaru. Temu zadaniu, według autora, powinna być też podporządkowana działalność kościoła. I, co warto podkreślić, artystyczne przedsięwzięcia teatralne — zawodowe i amatorskie — oraz rozrywka, niosące żywe słowo polskie.

Jak więc widać integracja Ziemi Odzyskanych — nie tylko zresztą zdaniem Zdzisława Hierowskiego — była możliwa dzięki i przez kulturę. Taką, którą na tych obszarach wspierać miało państwo, podejmujące i realizujące funkcję mecenatu w tej dziedzinie. Niewątpliwie jeszcze po 54 latach problem scalenia życia kulturalnego Górnego Śląska z pozostałymi centrami kulturalnymi kraju ciągle jest otwarty.

KAROLINA DRWAŁ

Odbudowa kulturalna odzyskanego Śląska

ZDZISŁAW HIEROWSKI

ODCZYTYWANIE

ŚLĄSKA

ODCZYTYWANIE

Naczelne zagadnienie

Zagadnienie, które mam poruszyć, było dotychczas i pozostaje nadal zagadnieniem naczelnym dla pracowników kultury i dla poczynań kulturalnych na naszym terenie.

Waga tego problemu wystąpi jeszcze wyraźniej, gdy stwierdzimy, że przyćmił on i odsunął na plan drugi inne kapitalne zagadnienie naszego środowiska kulturalnego, zagadnienie upowszechnienia kultury, które narzuca się tutaj z niepowstrzymaną logiczną siłą i ze względu na układ sił społecznych rośnie z dnia na dzień w sposób coraz mocniej absorbujący umysły ludzi, czujących wewnętrzną odpowiedzialność, choćby w ograniczonym tylko zakresie, za przyszłe drogi kultury polskiej na ziemiach Wielkiego Śląska. [...]

Zyjemy w okresie, w którym zagadnienia polityczne muszą się wysuwać na plan pierwszy i przed wszystkimi innymi muszą być poddawane próbie realizacji. **Drugim aspektem tego układu jest ten fakt, że problem upowszechnienia dóbr kulturalnych tkwi już częściowo w zakresie programu kulturalnego przewidzianego dla ziem odzyskanego Śląska, że w programie tym Śląsk traktowany jest jako całość, bez podziału na ziemie dawne i nowe, że w końcu kulturalna odbudowa Śląska pomyślana być może tylko jako dzieło powszechne, obejmujące wszystkie elementy społeczne tu zgrupowane za specjalnym uprzywilejowaniem tych, które ziemi tej nadają oblicze i decydują o jej charakterze socjalnym. Ponadto sprawę powszechnego udośćnienia narodowych wartości kulturalnych, jako pewien program specjalny w kompleksie całego dzieła przebudowy, które podjęliśmy po**

wojnie, rozłożyć możemy i rozkładamy na lata systematycznej, planowo rozwijającej się pracy. [...]

Konkretnie mówiąc, mamy przed sobą po pierwsze problem organizacji ośrodków pracy naukowej z całym jej aparatem technicznym i osobowym i ośrodków twórczej pracy artystycznej, a po drugie staje przed nami konieczność jak najszybszego objęcia akcją kulturalną tej wielkiej masy ludzkiej, która tworzy tu rzeczywistość społeczną, konieczność wprzęgnięcia kultury jako elementu czynnego w proces wiązania tych ziem z całością kraju i przyspieszającego ten proces zarówno w kręgu Polaków miejscowych, jak i w kręgu Polaków świeżo tu osiadłych, jednych i drugich obarczonych systemem starych i nowych kompleksów psychicznych, wymagających jak najszybszego rozładowania lub przynajmniej doraźnego osłabienia ich ostrza.

Tutaj nie mamy dylematu, który z tych kierunków jest ważniejszy i który z nich ma prawo do pierwszeństwa. Obydwa postawione są na jednym poziomie i rozwój ich musi następować równorzędnie. [...]

Wrocław i Katowice

Tworzenie się ośrodków produkujących wartości kulturalne nabrało w ciągu okresu, jaki dzieli nas od przejścia poszczególnych regionów Wielkiego Śląska, konkretnych zarysów. Sprawy te znalazły już swój bieg, a dzisiaj domagają się szybkiej i celowej koordynacji w formie przerzucenia mostu pomiędzy górnośląskim a dolnośląskim ogniskiem ruchu kulturalnego.

Bo te dwa ogniska są już faktem. Wrocław widzimy już jako coraz jaśniejszą konkretyzującą się środowisko

pracy uniwersytecko-naukowej, środowisko o wielkiej sile przyciągania, skupiające stopniowo coraz więcej ludzi, za którymi idą i instytucje. **Patrzmy, jak powstaje tam centrum nauk humanistycznych, tak niesłychanie ważne do utrzymania równowagi pomiędzy tą dziedziną kultury a wysokim poziomem kultury technicznej, której rozwój jest naturalną funkcją przemysłowego charakteru i gospodarczych wartości Śląska.** Nie ulega wątpliwości, że Wrocław urasta do znaczenia uniwersyteckiej stolicy ziem śląskich, i tego prymatu wydrzeć sobie nie pozwoli. Ma w tym kierunku nie tylko ambicje, ma nie tylko ludzi, którzy chcą i potrafią tego dokonać, ale ma przede wszystkim tradycję, w której elementy rodzime, polskie, grają rolę niepoślednią, stanowiąc o pewnej ciągłości rozwoju i tworząc przynajmniej moralną, uczuciową podbudowę dla nowych form. W ogromie dokonanych tam zniszczeń znajduje się mimo wszystko większa niż gdziekolwiek indziej na Śląsku ilość realnych punktów oparcia dla tego rodzaju poczynań w postaci jako tako ocalałych placówek i warsztatów pracy naukowej. [...]

Mniej konkretnie zarysowuje się tam środowisko artystyczno-literackie. Napływ ludzi spod tego znaku jest na Dolnym Śląsku słabszy, bo przeważnie wynikający z dobrowolnej decyzji, hamowanej ciężeniem ludzi sztuki ku liczny i bogatym ogniskom kultury artystycznej w starym kraju, że użyję tego określenia przez analogię dla znanego tu na Śląsku terminu „Stara Polska“. Przy małej liczebności środowiska literacko-artystycznego na Dolnym Śląsku obserwujemy tam pewne terenne jego rozstrzelenie się pomiędzy Wrocław i Jelenią Górę, co może tylko przejściowo mieć znaczenie osłabiające dla jego dynamiki. [...]

Układ sił w środowisku górnośląskim przedstawia się nieco inaczej. Ogniskami tutaj stają się trzy miasta: Katowice, Bytom i Gliwice. Kierunek pracy twórczej jest odmienny, nie humanistyczny a raczej politechniczny. Na czoło wysuwa się bowiem Politechnika Gliwicka, Technikum Bytomskie, katowickie Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych, Naukowe Instytuty Górniczo i Hutniczo. Wszystkie te placówki nastawione są na kształcenie fachowców w różnych dziedzinach, potrzebnych najbogatszemu i najgęściej zaludnionemu okręgowi przemysłowemu w Polsce. Niemniej są w tym środowisku i dążenia inne, zamierzone w innej skali, poważne zamierzenia naukowe, znajdujące swe oparcie w Instytucie Śląskim, Towarzystwie Przyjaciół Nauk, w takich placówkach, jak Muzeum Śląskie w Bytomiu i Muzeum Gliwickie, czy Śląska Biblioteka Publiczna. Obok tego Katowice są jeszcze nadal znacznie żywszym środowiskiem kulturalnym niż Wrocław ze względu na skupionych tu literatów, plastyków, muzyków i ich działalność. Pod tym względem Katowice silniej promieniują niż Wrocław, i tak będzie jeszcze przez jakiś czas.

Wzrost znaczenia Wrocławia jako środowiska kulturalnego jest wynikiem całorocznej przeszło pracy, ale zaznaczył się dopiero wyraźniej w ostatnich miesiącach. Mówi się już, że kulturalny Wrocław przeszedł swój okres pionierski i zaczyna pracować i rozwijać się normalnie. Jest to zjawisko naturalne i dążeniem naszym musi być przywrócenie temu miastu dawnej świetności pod tym względem, uczynienie go bastionem kultury polskiej na zachodzie, tak jak dla Niemców był bastionem ich kultury najdalej wysuniętym na wschód. [...]

Sprawa inteligencji

Jesli przyjrzelibyśmy się programom roboty kulturalnej, które zostały dotychczas ogłoszone, stwierdzilibyśmy, że realizacja tych programów zaczyna się od końca. Ale to jest tylko pozorne. Dotychczas bowiem we wszelkich rozważaniach na temat planu wielkiej akcji kulturalnej dla ziem odzyskanych na jednym z końcowych miejsc stawiano postulat wykształcenia rodzimej inteligencji wywodzącej się z warstw ludności miejscowej i ludności napływowej, na terenach tych osiadłej drogą repatriacji. Postulat ten stawiano na końcu nie dlatego, by nie zdawano sobie sprawy z jego ważności, lecz z tego względu, że jego wykonanie ma przed sobą perspektywę wielu lat, że na tym odcinku nie możemy oczekiwać doraźnych i szybkich rezultatów. Niemniej postulat ten musi być i jest uważany za zasadniczy. Nie ma on w najmniejszym stopniu odcienia regionalizmu czy separatyzmu. Znaczenie jego wywodzi się zarówno stąd, że inteligencja polska poniosła w tej wojnie największe straty i istnieje ko-

nieczność ich intensywnego wyrównywania, jak i z tego, że tereny odzyskane muszą stopniowo przechodzić pod kierownictwo ludzi, którzy będą z nimi najsilniej bezpośrednio związani i najlepiej ogarną ich potrzeby, najwierniej równocześnie służąc ich interesom. Bez wątplenia z inteligencji polskiej, która ruszyła na odzyskany zachód, znaczna część zżyje się ze swoją nową bliższą ojczyzną, z nowym terenem swej pracy zwiąże się trwale. Obserwowałam takie zjawisko w okresie siedemnastu lat niepodległości międzywojennej województwa śląskiego. Ale jednocześnie wielka część tej inteligencji nie zapuści głębokich korzeni w nową glebę, będzie tylko tym nalożem, który zdmuchną i uniosą z tej ziemi lada okoliczności. Pamiętamy dobrze exodus części inteligencji mieszkającej na Śląsku w okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch wojny w roku 1939. Wyjeżdżali nie tylko dyrektorowie i dygnitarze, uwożąc lary i penaty, małżonki, dzieci i pieski, wyjeżdżali także nauczyciele, urzędnicy, kupcy i rzemieślnicy. Nie zapominajmy, że u wielu ludzi działają dziś przy osiedlaniu się na ziemiach odzyskanych te same momenty, które działały w roku 1922 i w latach następnych przy napływie Polaków z głębi kraju na odzyskany skrawek Górnego Śląska. Chodzi o 50-procentowy dodatek do pensji, o mieszkania, meble, inne warunki życia, o możliwości łatwej i cennej zdobyczy. Te motywy są dzisiaj silniejsze jeszcze niż były przed dwudziestu kilku laty. Ludzie, którzy poszli na zachód z tych pobudek, odpływać będą stamtąd przy najbliższej okazji falami. Weźmy pod uwagę choćby samych warszawian, którzy odejdą niemal bez wyjątków w miarę podnoszenia się stolicy z gruzów.

Stąd też jak najszybsze wykształcenie warstwy inteligencji pochodzącej z tych terenów - jest kwestią bardzo ważną, której poświęcić trzeba maksimum wysiłku. Tu chodzi nie tylko o przyszłość polityczną i gospodarczą tych ziem, która zależeć będzie w dużym stopniu od udziału elementu miejscowego w aparacie kierowniczym, ale chodzi także o ich przyszłość kulturalną, o dopływ nowych sił z warstw robotniczo-chłopskich nie tylko ludności śląskiej, która na skutek polityki germanizacyjnej własnej inteligencji niemal nie posiadała, lecz i z ludności napływowej, która inteligencji tej również nie miała na skutek naszych zaniedbań kulturalnych wobec ziem wschodnich. Chodzi także o to, że nikt lepiej i pełniej nie będzie pielęgnował i rozwijał elementów zachowanej tutaj od wieków kultury rodzimej, jak inteligencja, która w atmosferze kultury tej wzrastała. Chodzi tu nie tylko o kulturę ludu śląskiego, ale i o te wartości kulturalne, które są właściwością elementu napływowego, chodzi o racjonalne i twórcze zespolenie tych dwóch odcieni kultury ludowej.

Wyliczenie zakładów wyższego nauczania w środowiskach kulturalnych Wrocławia i Górnego Śląska wskazuje,

że w tym kierunku stworzono już podstawy. Są to podstawy odgórne. Bo droga do szkół uniwersyteckich wiedzie poprzez dobrze postawioną szkołę powszechną i jeszcze lepiej postawioną szkołę średnią. A z tego odcinka są wiadomości raczej niepokojące. Przede wszystkim brak sił nauczycielskich, które to zjawisko występuje nie tylko na ziemiach odzyskanych. Następnie brak podręczników, pomocy naukowych i poważne braki w zniszczonych wojną budynkach szkolnych, w ich urządzeniu, wyposażeniu i zaopatrzeniu. Jeśli w okręgach szkolnych Warszawy i Łodzi nie można uruchomić szeregu szkół z powodu braku nauczycieli, można sobie wyobrazić, jak sytuacja pod tym względem wygląda na Śląsku odzyskanym. Dlatego opieka nad szkolnictwem wszelkich typów jest tutaj postulatem najbardziej palącym i jednym z najważniejszych. [...]

Jako przykład pracy w tym kierunku można wymienić fakt zakupu z funduszków ministerialnych 25 000 podręczników do nauki języka polskiego za kwotę 1 250 000 zł do rozdania bezpłatnego wśród młodzieży szkolnej na ziemiach odzyskanych ze specjalnym uwzględnieniem Opolszczyzny. Widzieliśmy też różne próby zaopatrywania szkół w księgozbiory, przybory szkolne i pomoce naukowe. Czytaliśmy o kursach i konferencjach metodologicznych z zakresu nauczania języka polskiego i historii dla nauczycieli zatrudnionych na Śląsku Opolskim. Wiemy nawet o przeprowadzonym w Krakowie i Rabce kursie dla pochodzących z Opolszczyzny wychowawczyń przedszkoli, czytaliśmy o jego pięknych rezultatach.

I tu właśnie pojawia się jeszcze jeden aspekt tego zagadnienia. Ten kurs przeprowadzono w Krakowie. Obok tego wiemy o akcji kierowania przy pomocy stypendiów absolwentów liceów z ziem odzyskanych na uniwersytety w Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Lublinie i Warszawie. Tak właśnie być powinno. Młodzież z głębi Polski powinna studiować w Gliwicach, Wrocławiu i Gdańsku, by uczyć się tam znajomości spraw polskiego zachodu. Młodzież z terenów odzyskanych, autochtoniczna i repatriacyjna winna być przede wszystkim kierowana do najstarszych ognisk kultury polskiej, by, tam zbliżyć się do niej i kształcić się w jej atmosferze, by tam zacierać różnice psychiczne pomiędzy Polakami z różnych części kraju, poznać Polskę z bliska i bezpośrednio. Granice zaborów muszą przestać być granicami uprzedzeń i antagonizmów.

Ślązaka cechuje niezwykle silne przywiązanie do regionu, rozmiłowanie w jego sprawach i żywy kult dla tego wszystkiego, co region ten charakteryzuje i reprezentuje. Jego regionalizm rysuje się ostro, często zdradza cechy, które można by określić jako pewnego rodzaju separatyzm, wywodzący się z wyraźnie zarysowanego poczucia odrębności i silnie zakorzenionego przekonania o specjalnych i wybitnych wartościach tkwiących w samym regionie i w typie psychicz-

nym Ślązaka. Fakt ten ma swoje historyczne uzasadnienie. Długie wieki odcięcia politycznego od Polski, niewykształcone poczucie wspólnoty narodowej, luźne związki kulturalne z krajem macierzystym - wszystko to sprzyjało tworzeniu się podłoża, na którym wyrastało poczucie osamotnienia, konieczności liczenia na własne siły, zasklepienia się w kręgu własnych, najbliższych spraw. W tej sytuacji i w tej atmosferze wytworzył Śląsk i zachował własną kulturę ludową, ukształtował swój typ psychiczny. I dziś jeszcze obserwujemy na terenach odzyskanych grube nawarstwienia tej skorupy ochronnej, w której zamykał się Śląsk i jego człowiek przez lata niewoli, którą podmywał i osłabiał powoli prąd odrodzenia narodowego, dziś jeszcze nie zakończony. Podstawy pod zespolenie duchowe tego typu psychicznego zarówno z krajem jak i z elementem ludzkim napływowym stworzyć może tylko szeroko pomyślana praca kulturalna, rozbijająca systematycznie te naturalne, narosłe w niewoli opory psychiczne.

Z drugiej strony u ludzi nowych na tych ziemiach mamy do czynienia z niechęcią do miejsc, na których osiedli zrządzeniem historii. Ta niechęć ma uzasadnienie po pierwsze w tęsknocie za opuszczonymi siedzibami, a po drugie w przekonaniu, że jest to ziemia niemiecka i przez Niemców zamieszkała. Odwlekająca się konferencja pokojowa, która przyniesie ostateczne zatwierdzenie naszych granic zachodnich, oczekiwanie na jej decyzję pod obstrzałem propagandy niemieckiej i różnych wynurzeń anglosaskich mężów stanu nie ułatwia nowym ludziom życia się z objętym przez nich we władanie terenem.

Awangarda nowej inteligencji, która wyjdzie z tych ziem, będzie przede wszystkim łamać te różnorodne opory wewnętrzne, zaciera różnice, głosić nowe prawdy o Polsce, która zbyt często zapominała o swoich ludziach zarówno na zachodnich jak i na wschodnich krańcach obszaru etnicznego, a dziś ma ich już skupionych na wspólnym terenie i ma sposobność wyrównania tych zapomnień.

Podstawy akcji kulturalnej

Wszelka akcja kulturalna, jaka dla ziem odzyskanego Śląska jest podejmowana, musi brać za podstawę historyczne fundamenty polskości tych ziem, musi wiązać dzień dzisiejszy z linią naszej tradycji dziejowej na tych terenach, musi zarówno w zabyt-



kach przeszłości, jak i w człowieku tej ziemi ukazać w pełni to wszystko, co świadczy o związkach z narodem.

Pełna wewnętrzna repolonizacja elementu miejscowego będzie również tym czynnikiem, który zespoli z odzyskaną ziemią ludzi nowych. Podstawą repolonizacji i jej pierwszym krokiem musi być język. Poniewieraną tu przez wieki mowę polską musi podnieść do właściwej godności szeroko krzewione żywe i drukowane słowo polskie, docierające wszędzie przez kościoły, prasę, książkę, szkołę, świetlicę, domy kultury, radio, teatr, przez wszystkie środki, jakie stoją do dyspozycji. Akcja ta została już zapoczątkowana. Nie w takich jeszcze rozmiarach, jakbyśmy tego pragnęli, ale już istnieje, rozwija się i wydaje dobre i nadszpodziewanie szybkie rezultaty.

Rezultaty te widać przede wszystkim w okręgach wiejskich i to głównie w najmłodszym pokoleniu. Biedna, borykająca się z trudnościami szkoła polska działała już wiele, a młodzież na podłożu tej znajomości języka, jaką wyniosła z domu, pomimo dotychczasowej najczęściej niemieckiej nauki, przyswaja sobie wiadomości językowe szybko i trwale. Wśród pokolenia starszego pracują specjalne kursy repolonizacyjne dla dorosłych. Są potrzebne i są pożyteczne. Mowa polska była tu poniewieraną mową potoczną codziennego życia. Stąd często same za-soby leksykalne, samo słownictwo utrudnia porozumiewanie się z Polakiem Opolskim, który nie rozumie

w pewnej mierze naszego języka literackiego [...]. A więc i tutaj czeka nas robota z ludźmi mówiącymi po polsku. Na szczęście, jest to robota na krótką metę i dająca szybkie rezultaty. Wyniki przyspiesza tu wpływ młodego pokolenia, przechodzącego szkołę polską.

Rola kościoła

Jednym z niezwykle ważnych czynników integralnej repolonizacji a zatem i czynnikiem o znaczeniu kulturalnym jest kościół. Nie chcę tu powtarzać utartego sloganu o nierozdzielności pojęć „polski“ i „katolicki, nie chcę powtarzać tym więcej, że w rejonie Kluczborka i Olesna musimy repolonizować poprzez Kościół ewangelicki, że ten kościół na odzyskanym Śląsku musimy unarodowić tak, jak stało się to na Cieszyńskim, jak do tego dążył męczennik niemieckich obozów koncentracyjnych, ks. biskup Juliusz Bursche, głowa Kościoła ewangelickiego w Polsce. Nie ludźmy się, że Kościół

katolicki wraz ze swym aparatem stał na Śląsku zawsze na wysokości zadania. Raczej nie. Nie na skutek działalności duszpasterzy lud śląski stawał znak równania pomiędzy pojęciami „katolicki“ i „polski“, ale na skutek swej wewnętrznej świadomości, na skutek tego, że w życiu religijnym człowiek używa tego języka, który jest mu wrodzony i najbliższy, na skutek tych samych uczuć, które kazaly Kopernikowi na czele jednego ze swoich rękopisów położyć słowa „Bóg pomagay“. My na Śląsku mieliśmy księży, którzy w sposób godny kapłanów, duszpasterzy, ale drażniący nas jako Polaków stawiali dobro wiary ponad dobro polskości, którzy byli zasługującymi może na podziw, równie dobrymi duszpasterzami dla swoich wiernych narodowości niemieckiej, jak i polskiej. Nie raziłoby nas może to wysoce chrześcijańskie stanowisko, gdybyśmy takich samych księży widzieli wśród kleru niemieckiego na Śląsku. Tutaj ksiądz niemiecki był zawsze naprzód Niemcem a potem dopiero kapłanem i o interesach swego narodu nigdy nie zapominał, nigdy nie pozwolił im zejść w cień przed interesami religii.

Ze względu na powszechność form kultu religijnego wśród ludności śląskiej, ze względu na jej przywiązanie do tych form, na aparacie kościelnym spoczywa poważny obowiązek i poważna odpowiedzialność za zacieśnianie związków duchowych tej ludności z polskością. Dlatego życie kościelne musi tu być gruntownie spolszczane i dokładnie nasycone muszą być polskością wszystkie jego formy, począw-

szy od samych świątyni, obrzędów, obchodów aż po organizacje religijne i stowarzyszenia i prasę religijną, która jest tu bardzo popularna i która dziś jeszcze nie ma groźnej konkurencji. Nie możemy też zapominać, że kościół i jego sprawy są tym terenem, na którym dziś jeszcze najczęściej może spotyka się Polak miejscowy z Polakiem napływowym i że wskutek tego i to jest jeden z czynników jednoczenia tych dwóch elementów, które muszą żyć i działać razem a nie obok siebie.

Książka i prasa

W ofensywie kulturalnej na ziemi odzyskane pierwszorzędną rolę odgrywa książka i prasa. Raczej powiemy, że odegra, bo dotychczas nie osiągnęła tego znaczenia, jakie mieć powinna.

Na brak książki cierpi cały kraj, tym dotkliwiej cierpią tereny odzyskane, tym więcej, że znaczna większość krajowej produkcji wydawniczej nie odpowiada zapotrzebowaniu ludności tych terenów. Brak ten odczuwa również i inteligencja tu osiadła z powodu trudności, można powiedzieć, czysto technicznych. Co dopiero rzec o czytelniku prostym, potrzebującym lektury, dostosowanej do jego potrzeb i zainteresowań, lektury stopniowo wciągającej go w krąg coraz donioślejszych i głębszych zagadnień i lektury liczącej się z jego nierozwiniętymi zbytnio możliwościami percepcyjnymi. Lekturą jedyną niemal Polaka śląskiego a także i w dużej mierze repatrianta była dotychczas książka do nabożeństwa, kalendarz, sprzedawana na odpuszcie powieść o Meluzynie lub pustelnicy Petroneli a w niedzielę gazeta kościelna, jeżeli taka po polsku jest ukazywała. Ten czytelnik nie przeskoczy od razu do czytania pisanych publicystycznym żargonem broszur, skoro jego zainteresowaniom czytelniczym odpowiadały powiastki Lompy, Miarki, Koraszewskiego czy Kowalczyka lub *Bery i bojki śląskie*. Dopiero w miarę pogłębiania się znajomości języka udana nam się tu wprowadzać inny typ lektury. [...]

Dlatego dla ziem odzyskanych trzeba swoiście postawionej i specjalnie planowanej akcji wydawniczej. Na zachodzie musi powstać sieć czy system specjalnych placówek wydawniczych opartych o dobrze przemysłany program produkcji, eliminujący wszelką tandetę a uwzględniający potrzeby i zainteresowania tego nowego czytelnika i równocześnie leżące ściśle w ramach planu odbudowy kultury polskiej na tych ziemiach. [...]

Mamy dowody, że i o tych sprawach się już u nas myśli, że i w tym kierunku podjęto już pewne prace. Widzimy to w działalności właściwych ministerstw a także i w działalności Śląskiej Rady Kultury, która stwarza tzw. Fundusz Taniej Książki. Uruchomiono

już środki finansowe, podejmowane są specjalnego typu wydawnictwa, tysiące egzemplarzy niektórych książek, odpowiadających choć w części potrzebom terenu, idzie już do oczekujących na nie czytelników [...].

Żywe słowo

Obok problemu słowa drukowanego mamy w akcji kulturalnej dla ziem odzyskanych jeszcze problem słowa żywego. Problem niesłuchanie ważny w epoce radia, w czasie, gdy taką wagę nadajemy w pracy nad upowszechnieniem kultury teatrowi, świetlicy, akcji społeczno-oświatowej.

Weźmy pod uwagę naprzód teatr i świetlicę. Trzonem pracy teatralnej są zawsze sceny stałe, nieamatorskie. W zasięgu odzyskanego Śląska mamy takich scen cztery. Wypadami swoimi obejmuje skrawek tych terenów Teatr Katowicki, w sercu Opolszczyzny działa Teatr Opolski, potrzebom samego Wrocławia służy tamtejszy Teatr Miejski, szerszy zasięg ma dolnośląski Teatr Wojewódzki w Jeleniej Górze, pracujący metodą zbliżoną do metody teatru katowickiego. Wydaje się, że więcej stałych placówek teatralnych ziemie śląskie nie utrzymają, choć kto wie, czy nie potrzebowałyby jeszcze specjalnego niedużego teatru objazdowego o charakterze popularnym, pracującego wyłącznie w terenie i latającego luki, do których nie dociera żaden z teatrów obecnie istniejących i docierać chyba nie będzie. Teatry te, jak wszystkie teatry w Polsce, walczą z trudnościami repertuarowymi, a tak na dobrą sprawę potrzeba by im było dla celów, o których tu myślimy, kilku dobrze pracujących Anczyców czy Rydlów, przydałby się nawet taki poczciwy śląski Piotr Kołodziej w trochę lepszym stylu. Dziś wszystkie te teatry usiłują godzić potrzeby środowisk inteligencjonalnych z potrzebami warstwy robotniczej i po części wsi, planują robotę kulturalną z wymaganiami kasy, a cały program pracy z posiadanymi możliwościami technicznymi i personalnymi. [...]

W zakresie teatru stworzone zostały już poważne zręby, problem zarysował się już mniej więcej w całości. Pozostaje tylko podtrzymanie dotychczasowych osiągnięć i stopniowy rozwój poszczególnych scen. I pozostaje rzecz jedna: rozwój teatrów amatorskich. Nazwijmy je może teatrami ludowymi. Mają one na Śląsku swoją kilkudziesięcioletnią tradycję i poważne zasługi. Są tutaj formą życia kulturalnego przyjętą i chętnie widzianą. Rozwój ich po wojnie jest jeszcze słaby. Składa się na to nie tylko mała liczba zespołów, brak często warunków do pracy i ludzi do pokierowania nią. [...]. O pozytywnych rezultatach, zdaje się, możemy tylko mówić z racji sześciomiesięcznego kursu dla reżyserów teatrów ochotniczych, przeprowadzonego niedawno przez Wydział Kultury i Sztuki. Fakt ten zanotować warto choćby tylko dlatego, że stanowi dobry

początek pozytywnej, koniecznej i pilnej pracy. [...]

Hierarchia potrzeb

Roztoczyłem tu tak szeroki i nawet szczegółowy obraz potrzeb i planów, że obudzić on może wątpliwości i sprzeczności. Znam ich gatunek i sens. Pojawiały się już niejednokrotnie i tłumaczono je przy okazji zapoczątkowanej przeze mnie dyskusji na temat programu kulturalnego dla ziem odzyskanych. Wątpliwości te i sprzeczności wywodzą się z pojęcia o tak zwanej hierarchii potrzeb. Mówi się w takim wypadku, że postulaty kulturalne, że książka, teatr, świetlica to nadbudowa, na którą jeszcze czas, że naprzód zaadministrowanie objętych terenów, zagospodarowanie, zaludnienie, uporządkowanie itd. A potem pomyślimy o robotę kulturalnej.

Tak pojęta hierarchia potrzeb sprawia, że dzisiaj na odcinku kulturalnej odbudowy odzyskanego Śląska patrzymy dopiero na początki pracy, że notujemy więcej braków niż osiągnięć, że w niektórych wypadkach nie obserwujemy nawet przejawów większej inicjatywy i żadnych poważniejszych zamierzeń. A tam, gdzie nie liczone są z tą hierarchią i przystąpiono do roboty od razu, mamy już konkretne rezultaty i widzimy sięganie po coraz dalsze. Pracownicy kultury nie mogą iść jak tren za postępującą armią i czekać, kiedy pierwsze szeregi zrobią im miejsce. Sprawy kultury są równie ważnym składnikiem życia społecznego jak sprawy gospodarcze, administracyjne i polityczne. Nasze ogólnonarodowe zaniedbania kulturalne mają swoją przyczynę właśnie w tym ciągłym usuwaniu potrzeb i zagadnień kultury duchowej na plan dalszy. A zwolennicy tej hierarchii zadań nie zdają sobie nawet sprawy że ściśle współzależności rozwoju gospodarczego i społecznego od rozwoju kulturalnego. Może udział tego czynnika nie był potrzebny ludziom idącym na ten prawdziwy Dzik Zachód po złoto i majątek. Ale był on i jest potrzebny ludziom, którzy idą na polski zachód. Bo obok dzieła zagospodarowania i uporządkowania nowych terenów dokonuje się tutaj równocześnie akt wielkiej przemiany wewnętrznej w ludziach, którzy do tej pracy stanęli, akt, który jeśli się nie dokona w sposób właściwy, to brak jego podkopie i osłabi tamto dzieło praktyczne i realne. Kultura polska jest na ziemiach odzyskanych w wysiłku zespolenia tych ziem z całością kraju i narodem, elementem równie ważnym i równie konkretnym w skutkach, jak czynnik administracyjny, gospodarczy i polityczny. O tyle jest w stosunku do tych czynników nadbudową, że je wszystkie powinna przenikać, ogarniać i zespalać w całość. Bez niej pozbawione one będą treści i bez niej nie będą trwałe. [...]

Tekst zamieszczamy ze skrótami. Wyluszczenia dokonane przez redakcję.

Daliśmy się przekonać historykom,
że dzieje kontynentu, państwa,
regionu, miasta
— to przede wszystkim
wielka polityka, wojny, traktaty,
rozejmy, kataklizmy,
zyciorysy monarchów, książąt,
działaczy, społeczników.
A także rewolucje,
irredenty, spiski,
przedsięwzięcia gospodarcze.

Marynowane śledzie Lompy

Historia to jednak życie codzienne. Mozolne trwanie. Wszystko to, co umyka uwadze kronikarzy. W zasobach archiwów tkwi nieskończenie wiele informacji o codzienności. Konkrety. Ślady jakichś transakcji, sporów, taryfy, spisy inwentarza, księgi rachunkowe, testamenty, zapiski na marginesach ksiąg i kalendarzy, a przede wszystkim przeogromny zasób danych dotyczących lokalnych społeczności, na który składają się spisy ludności, metryki, akta zaślubionych i zmarłych.

Dla badacza kultury i antropologa rarytasem mogą stać się te dokumenty, obok których historyk przechodzi obojętnie. To przede wszystkim zipski i wzmianki wszelkiej maści pasjonatów pióra. Ludzi, którzy mieli świadomość, że jesteśmy tylko małym ogniwem w łańcuchu pokoleń. Notowali fakty, ratowali dla potomnych wiedzę o swojej epoce. Codziennosc we wszelkich jej przejawach. Szczegóły dotyczące zachowania się w konkretnych sytuacjach, drobne zdarzenia, detale. Z życia szkolnego, rodzinnego, towarzyskiego. Z kuchni, salonu, kościoła, urzędu, sypialni.

Mamy to szczęście, że pośród prekursorów antropologii codzienności mamy Górnoślązaka Józefa Lompę. Dla większości Polaków kompletnie zapomniany, dla innych uosobienie naiwności, poczciwości i anachronizmu, miał Lompa niezwykle nowoczesną koncepcję uczestnictwa człowieka w kulturze. Upominają się o nią w naszej dobie antropolodzy. Wiejski nauczyciel nie był co prawda teoretykiem kultury, ale z jego praktycznej działalności i pism wypreparować można najistotniejsze tezy. Przede wszystkim tożsamość kulturowa w ujęciu Lompy jest komplementarna: region, w którym się wzrasta, jest obiektywną rzeczywistością społeczno-lokalną. Region to pojęcie dynamiczne. Obszar kulturowy („culture area” we współczesnej myśli anglosaskiej) to ciągłość dziedzictwa danego terytorium.

Dopiero we współczesnej Europie zaczynamy traktować (na no-

wo!) regionalizm nie jako relikw przeszłości i zacofania (tak traktowało Lompę kilka pokoleń Polaków), a historyczno-geograficzną przestrzeń. Śląsk był problemem zarówno dla Polski, jak i Niemiec. Ów problem próbowano mierzyć kryteriami biologicznymi, etnicznymi, narodowymi, językowymi, politycznymi. A istota odrębności ma charakter kulturowy. Nie jest to, jak chcą niektórzy, jedynie delimitacja administracyjna. Kryteria narodowe są niedoskonałe. Zazwyczaj służą antagonizacji. Siłą Śląska jest jego wielokulturowość. Różnic między ludźmi nie da się zlikwidować ideologicznie. Zderzenie kultur wcale nie oznacza ustawicznej walki. Powszechniki i wyróżniki kultury spotykają się we wzajemnej tolerancji. Zaś tolerancję można uznać za powszechnik. Na zafałszowania polityczne najlepszym sposobem jest podróż w stronę kultury. Poznanie tożsamości kulturowej — po odrzuceniu wszelkich mistyfikacji ideologicznych czy polityczno-ekonomicznych — stwarza możliwość porozumienia i współdziałania.

Porozumienie winno dokonywać się w różnych wymiarach. Najłatwiej o nie w codzienności. Degustacja potrawy podanej nam jako przysmak regionalny obliguje nas niejako do uniwersalności doznań smakowych, do tolerancji. To istotna w dziele przełamania barier zamiana ról; wyjście poza megalomanię, jednostronność ocen, uprzedzenia, nieufność, zacietrzewienie. Pozytywna moc degustacji, budowanie pomostów ponad różnicami, szacunek dla odmierności i różnorodności — to program wspólnej Europy.

Czas, by realizować idee nauczyciela z Lubszy. Odnaleźć się w kulturze. Uczestniczyć w niej. Jak to zrobić? Zgodnie z zaleceniami samego Lompy. Oto w Lesznie w 1852 roku ukazała się „Złota rodzina książka czyli najobszerniejszy skarb domowy dla wszelkich stanów służący i zewsząd za skuteczny uznany”. Pod tym barokowym tytułem ukrył się autor o ini-

cjałach J.L. Nie ma wątpliwości, że to Lompa, rodem z Olesna, wówczas obywatel przygranicznych Woźnik na Śląsku. Autor dzieli się z czytelnikami swą wiedzą z zakresu medycyny, rozmaitych rzemiosł, prac gospodarskich, sztuki kulinarnej. Znajdziemy tu przepisy na sporządzenie dobrej glazury na naczynia gliniane, na wyprodukowanie domowym sposobem atramentu, rady, w jaki sposób pozbyć się wózków zbożowych i wszy, jak leczyć czkawkę (regionalnie: zgutaczkę), zgaę, jakich ziół używać na ból żołądka, jak zrobić wino z jeżyn zwanych na Śląsku ostręgami lub dziadami.

To prawdziwa antropologia codzienności. Wyjmuję z niej rzecz najbardziej uniwersalną. Mikrokosmos smaku, który może stać się kosmosem kulinarnych doznań. Oto przepis Lompy na marynowane śledzie. Oby stał się natchnieniem dla restauratorów i pań domu. Tak w Rzeczypospolitej, Europie i w świecie. Oddajmy głos autorowi:

Moczy się śledzie przez dwa dni, każdego dnia w świeżej wodzie. Zawieszzone ogonami u kija schną jeden dzień na słońcu. Potem muszą być na rondlu w maśle pieczone. Na dno dosyć wysokiego garnka kładzie się liście bobkowe, rozmaryn, goździki, całe ziarenka pieprzu, talerzyki z cytryny i skórki cytrynowe, a kto chce i cokolwiek czosnku. Założwszy te warstwy pieczonymi śledziami, przekłada się zaś mianowane przyprawy itd. aż garnek będzie napełniony. Na koniec nalewa się winnego octu, a po kilku dniach można mieć nader smaczne śledzie.

Polecam wszystkim smakoszom.

ANDRZEJ KUŚNIERCZYK

P. S. Nie wszystko wiemy o genealogii Lompy. Sygnalizuję potrzebę przebadania ponownego archiwów. Ród Lompów vel Lompów rozrodzony był po obu stronach ówczesnej granicy małopolsko-śląskiej. Natknąłem się niedawno na akt ślubu Daniela Lompy („miejskiego synka z Olesna”) z panną Wiktoria Skowronkówną z Kłobucka. Kilku Lompów chodziło do kłobuckiej szkoły na początku XIX w. Lompowie z Olesna byli skoligaceni z tymi z Kłobucka. Czy to nie o antenatach Józefa wspomina Walerian Nekanda Trepka, pisząc o Wawrzyńcu Lompie, synu szewca z Wielunia i jego bracie Wojciechu, bakalarzu, na początku XVII wieku?

POTWÓR

MAGDA FRĘŚ

debiut

Panie Boże, daj mi siłę na przetrwanie tego dnia - modliłam się całą drogę do pracy, kopiąc wszystkie gazety na chodniku. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz prosiłam Boga o cokolwiek, ale tym razem byłam na granicy wytrzymałości. Już cały poprzedni wieczór miałam zepsuty, wiedząc, że następnego ranka znów zobaczę Monstera. Snułam się z kąta w kąt i zapychałam babeczkami z dżemem, starając się zignorować poczucie winy, jakie we mnie wywoływały. Poszłam spać zła i obudziłam się bliska płaczu.

Miałam piękne mieszkanie w północnym Londynie. Pracowałam przez 24 godziny, a potem 48 godzin miałam wolne. Byłam finansowo niezależna i żyłam samotnie, co było źródłem mojej wielkiej radości. Ostatnio coraz mniejszej, bo od pewnego czasu cena, jaką płaciłam za tę niezależność, zrobiła się za wysoka. Tą ceną była Monstera.

Jak tylko podeszłam do drzwi, usłyszałam wycie. Długi jęk zakończony krzykiem i przeciągłym wołaniem. Stefanie otworzyła drzwi w pośpiechu, była bardzo blada, oczy zaszyły jej łzami. Rzuciłam torbę w kąt i chwyciłam ją za ramię.

- Ja to zatąwię, ty idź już do domu - powiedziałam rzeczowo. - Wyglądasz jak śmierć na wakacjach. Już jest dziewiąta, ja przejmuję, teraz moja kolej na to piekło.

Stefanie spojrzała na mnie z zaskoczeniem i wdzięcznością. Wycie nie ustawało, przerywane jedynie charczeniem. Zdjęłam szybko kurtkę i zauważyłam, że Steffi nie zdążyła nawet założyć skarpetek. Monstera zaczęła kaszleć. Miałam ochotę pozwolić jej rzynąć przez następne pół godziny, gdyby tylko hałas był odrobinę mniej nieznośny. Otworzyłam drzwi do jej sypialni i natychmiast ogarnął mnie zgniły zapach z jej ust.

- Cześć - powiedziałam, odsłaniając okno.

- Muszę iść do kibla - wykrztusiła Monstera mrużąc oczy od światła. - Szybko! Szybko! Kibel! - zaczęła krzyczeć i bić mnie po ramionach. - Szybko! Szybko!

Odsunęłam się na krok od łóżka.

- Nie jestem maszyną - powiedziałam, siląc się na spokój i czując gorącą krew w uszach. - Dobrze wiesz, że ten dźwig działa powoli i że nie mogę zrobić nic, co by go przyspieszyło.

Mocowałam się z pasami dźwigu. Odkryłam Monstera. Uderzył mnie silny zapach moczu i potu. Założyłam jej pasy, mimo jej krzyków i opierania się.

- Jak mam cię zawieźć do kibla, skoro mi na to nie pozwalasz? - wybuchnęłam.

- Ja nie pozwalam?! Ja nie pozwalam! - trzęsła się Monstera. Unikałam jej ciosów, starając się nie dostać w głowę. Policzek rozorany jej pazurami właśnie się zagoił. - To ty jesteś za wolna! - krzyczała dalej. Znów zaczęła wyc.

Zemdlilo mnie od smrodu, jaki wydawało jej ciało. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale panowałam nad dźwiękiem, który powoli transportował Monstera z jej łóżka na krzesło łazienkowe. Zauważyłam, że znów zmoczyła łóżko, prześcieradło było zabrudzone żółtawo-brązową substancją nieustannie wydostającą się z jej wystającego na zewnątrz odbytu. Zrobiło mi się niedobrze. Wzięłam głęboki oddech, żeby nie zwymiotować, ale wciąż gnęłam tylko więcej smrodu wydobywającego się z ust Monstera.

Usłyszałam wrzask. Monstera wyla się z bólu, wymachując sinymi, spuchniętymi nogami. Jej lewa dłoń utknęła boleśnie pomiędzy pasami dźwigu, ale udawałam, że tego nie widzę.

- Co się stało? - zapytałam, zatrzymując dźwig.

Monstera krzyczała, nie będąc w stanie mi odpowiedzieć. Postanowiłam dać jej pocierpieć przez chwilę, ale już po pół minucie jej płacz stał się dla mnie nie do zniesienia. Było mi gorąco, drżałam na całym ciele i płytko oddychałam. Chciałam uciec i zostawić ją tak, w bólu, wiedząc, że cierpiałyby tak przez wiele godzin, czekając na pomoc. Mogłam to zrobić.

Zostawić ją, wiszącą nad krzesłem łazienkowym. Mogłam wyprostować się, zwymiotować na jej łóżko i wyjść. To poczucie wyboru dodało mi siły. Uwolniłam jej rękę, najpierw przez chwilę udając, że szukam przyczyny jej bólu. Wypchnęłam Monstera z krzesłem z pokoju.

- Sram! Sram! Szybko! Szybko! - krzyczała.

Nie zdążyłam. Monstera siedziała na ubikacji, wstrząsała złością i szlochem.

- Przepraszam cię - powiedziała, uśmiechając się do mnie.

- Nic nie szkodzi - wykrzywiłam usta w uśmiechu.

- Będziesz musiała posprzątać - dodała.

- Po to tu jestem.

Zebrałam strużkę moczu i luźnego kału do wiadra, zużywając całą rolkę papieru toaletowego, po czym zwymiotowałam do zlewomywaka. Wróciłam do Monstera, umyłam ją i ubrałam, kręcąc się w ciasnej łazience i ocierając czoło z potu. Monstera nie znosiła zimna, więc zawsze tam, gdzie przebywała, panował tropikalny upał. Dla mnie trudny do zniesienia.

- Żle mi założyłaś majtki, jest mi niewygodnie - powiedziała Monstera, uderzając pięścią w stół, jak tylko przyniosłam jej kubek kawy.

- Dobrze ci założyłam majtki. Jest ci niewygodnie, bo masz wszystkie o dwa numery za małe. Kup większe, to poczujesz zmianę - powiedziałam, wycierając jej ślinę z koszulki.



Rys. Wojtek Łuka

- Większe nie są seksowne - powiedziała Monstera z przekąsem i uśmiechnęła się, ukazując kilka szerniawych, krzywych zębów. - Mówię ci, krzywo je założyłaś, zrób to jeszcze raz! - zażądała.

Przyniosłam pasy, podniosłam ją dźwigiem, zdjęłam spodnie, majtki i założyłam od nowa. Zajął mi to dłuższą chwilę, której towarzyszyło nieustanne pojękiwanie i sapanie Monstery. Miała tak wykrzywiony kręgosłup, że jej pośladki znajdowały się dosłownie o b o k ramion. Mimo używania różnorodnych maści, zacerwieniona skóra schodziła z jej boków płatami. Wygładziłam wszystkie możliwe zmarszczki spodni na pośladkach, posadziłam Monstere z powrotem przy stole, pozamiatiałam podłogę z płatków opadłej skóry.

W ciągu całego dnia pracy udało mi się kilka razy schować w pokoju przeznaczonym dla pielęgniarzy. Siadałam w fotelu, piłam kawę i fantazjowałam. Moją ulubioną fantazją było trzęsienie ziemi, które burzy dom i przykrywa ruinami Monstere. Ja zdołam się uratować przy pomocy sąsiada Monstery, przystojnego, młodego Murzyna, który mnie zawsze na końcu całuje w czoło.

Wróciłam rano do mieszkania, zebrałam listy wrzucone przez listonosza przez szparę w drzwiach i napuściłam pełną wannę wody. Po godzinie spędzonej w kąpieli poczułam, że powoli wracam do życia. W nocy spałam trzy godziny, budzona nieustannie przez Monstere. Rozpuściłam mokre włosy i zjadłam jajko na miękko na śniadanie. Deszcz padał cały dzień. Kiedy usiadłam z kawą i książką na mojej ulubionej sofie, zadzwonił telefon.

- Piękna, zbierz swój tyłeczek i pofatyguj się do nas - usłyszałam głos Laury. - Zapomnij na chwilę o tej kobiecie-potworze, dla której pracujesz. Aha, bądź tak dobra i kup mi po drodze fajki - dodała.

Laura mieszkała w dużym domu z dwiema innymi dziewczynami. Wszystkie, na zmianę, opiekowały się niepełnosprawnym Tomem, który stał się jednym z moich najlepszych znajomych. Wszyscy siedzieli przy kominku w salonie Toma. Dom Laury był zawsze pełen ludzi i ciepła. George siedział z boku i robił skręty. Za chwilę już leżałam na dywanie, paliłam haszysz, było mi dobrze i wszystko jedno.

- Idziemy dziś do klubu nocnego „Metro“ na tańce i podryw. Jak się czujesz na siłach, chodź z nami. Możesz pożyczyć jakieś moje ciuchy i malowidła do twarzy, jak chcesz - zaproponowała Laura.

- Upij się i tańcz - powiedział George, sięgając po ostatniego papierosa. - To ci na pewno pomoże zapomnieć. Ja nie idę, bo już jestem pijany.

Z czasem miałam coraz mniejszą ochotę iść, ale wiedziałam już, że często, jak się do czegoś zmusiłam, to dobrze się to dla mnie kończyło. Jak wychodziłyśmy, Laura była już nieźle wstawiona. Wsiadłyśmy do złego autobusu i potem musiałyśmy iść wzdłuż Tamizy, spory kawałek. Po drodze nie napotkałyśmy żywej duszy. Umierałam ze strachu, ale Laura głośno śpiewała i nic sobie z tego nie robiła. Jak tylko weszłyśmy do klubu i zamówiłam pierwszą wódkę, znalazłam się w świecie wypełnionym przez muzykę i rytm tańczących ciał. Laura natychmiast znalazła adoratora. Nie minęła chwila, a i przy mnie usiadł mały, chudy chłopak z akcentem ze wschodniego Londynu.

- O tym klubie można powiedzieć dobre i złe rzeczy - powiedział, patrząc na mnie. - Złe jest to, że wszyscy ci ludzie to idioci. A dobre jest to, że ty tu jesteś - dodał.

- Tak, tak, oczywiście - powiedziałam zimno, strząsając jego rękę z mojego ramienia. Byłam wpatrzona w wysokiego, pięknie zbudowanego blondyna. Poruszał się z pasją, naturalnie, jego taniec chłonał w siebie pulsujące światło. Wstałam i kręciłam się koło niego przez resztę nocy, ale nawet się do mnie nie uśmiechnął. Laura nad ranem wciąż była pijana. Kiedy zamknęłam już bar i klub opustoszał, zauważyłam, że piękny blondyn siedział na schodach wpatrując się we mnie. Podeszłam do niego.

- Idziesz już do domu? - zapytałam.

- Nie chcę jeszcze iść do domu - powiedział i oparł głowę o ścianę.

- To może wpadniesz do mnie na kawę? - zaproponowałam, sama zaskoczona własną odwagą i ryzykiem, na jakie się decydowałam.

- Gdzie mieszkasz? - zapytał.

Odetchnęłam. Rozejrzałam się za Laurą, ale nigdzie jej nie było. Po chwili usłyszałam jej wołanie z drugiej strony ulicy. Miała torbę pełną kanapek.

- Piękna, patrz! - darła się Laura, wskazując na dwóch długowłosych chłopaków. - To są ostatni porządni ludzie na ziemi, kupili nam kanapki!

- Gdzie twój adorator? - zapytałam, grzebiąc w torbie.

- Boże, co za goryl, pozbyłam się go. A ten co? - wskazała Laura na stojącego za mną blondyna. Zupełnie o nim zapomniałam.

- Zabieram go do domu - powiedziałam.

- Masz jakieś imię? - zapytała go Laura.

- Klemens - odpowiedział. - Jestem Austriakiem - dodał, uprzedzając jej kolejne pytanie.

Wzięłam Laurę pod ramię i wsiadłyśmy do autobusu.

- Ma niezły tyłek - stwierdziła, patrząc na Klemensa. - Musisz mi potem wszystko opowiedzieć.

Po kilku minutach jazdy Klemens stwierdził, że już nie może wytrzymać, że musi wysiąść i iść do ubicacji. Powiedziałam twardo, że ja nigdzie nie wysiadam, więc cierpiał przez następne piętnaście minut, by w końcu użyć sobie przy płocie na przystanku niedaleko domu Laury.

- Nie przejmuj się tym - powiedziała Laura, poklepując mnie po ramieniu. - Miejmy nadzieję, że jest dobry w łóżku.

Szliśmy powoli. Ogarnęły mnie wątpliwości. Zaczęłam się bać.

- Byłeś kiedyś w więzieniu? - zapytałam Klemensa.

- Nie.

- A zamordowałeś kiedyś kogoś?

- Tak, oczywiście.

- A zgwałciłeś?

- Tak, zanim zamordowałem.

Zdałam sobie sprawę z bezsensowności moich pytań, ale Klemens był zbyt piękny na zwykłego, uczciwego chłopaka. Bałam się, że był seryjnym zabójcą albo złodziejem, albo wyjątkowo wypaczonym zbrodniarzem. Stałam tak, przed drzwiami mieszkania, i wahałam się, czy go wpuścić do środka.

- Nie chcę żadnej kawy - powiedział Klemens. - Jestem zmęczony. Wezmę szybki prysznic i pójdę spać.

Byłam zaskoczona. Jak tylko zniknął w łazience, schowałam pieniądze i karty kredytowe pod materac. Zamknęłam drzwi, a klucz włożyłam do kieszeni dzinsów. Klemens wyszedł spod prysznicza kompletnie nagi. Spojrzałam na niego i zapytał, gdzie może się położyć. Byłam zdruzgotana.

- Jesteś gejem? - zapytałam.

- Nie. A czemu pytasz?

- Rozumiesz chyba, że nie przyprowadziłam cię do domu na kawę, której zresztą nie chcesz.

Klemens zamrugał oczami. Jak do tej pory, nie zrobił na mnie wrażenia kogoś szczególnie inteligentnego, czy też wykazującego odrobinę doświadczenia z kobietami.

Zamknęłam się w łazience, zła. - Może nie jestem dla niego atrakcyjna - pomyślałam, patrząc na swoje wąskie biodra i zbyt szczupłe nogi. Wskoczyłam w dzinsy i sweter. Położyłam się na materacu obok. Wściekła. - Cały mój strach na nic - pomyślałam.

Klemens poprosił, bym mu pomasaowała plecy i już po chwili znalazłam się w jego ramionach. Jego ciało było obce, odległe i nie znajdowałam w nim żadnej radości, ale pozwoliłam mu się kochać, aż w końcu zasnął, przyciągając mnie do siebie. Było mi strasznie niewygodnie, ale za każdym razem, jak starałam się od niego odsunąć, Klemens prosił, żebym się do niego przytulila. Leżałam tak, czując jak mi cierpię ramię i słuchając jego oddechu. Rano wstałam, ubrałam się i poczytałam chwilę w kuchni.

W końcu zdecydowałam, że chcę być sama. Obudziłam Klemensa i poprosiłam, żeby poszedł do domu. Nie prosił o mój numer telefonu.

Spakowałam prześcieradła i poszłam do pralni. Jak tak siedziałam, wpatrując się w wirujący bęben jak w telewizor, zdałam sobie sprawę z tego, że byłam szczęśliwa i spokojna. Mój pierwszy jednonocny romans miałam za sobą. Klemens był miły i przystojny, i nie zobaczę go już więcej. Pralka zatrzymała się, a ja dalej siedziałam, z nieobecnym wyrazem twarzy.

Zadzwoiłam do Laury. Właśnie wstała.

- Przyjdź dzisiaj, poznasz mojego brata - powiedziała.

Otworzył mi wysoki, nieogolony chłopak, z uśmiechem od ucha do ucha. Laura przeszła mu pod ramieniem i rzuciła mi się na szyję.

- Jak tam Klemens? - zapytała.

Uśmiechnęłam się.

- Zamierzasz się z nim jeszcze kiedyś spotkać? - pytała dalej Laura.

- Nie - powiedziałam krótko.

Wysoki, który okazał się bratem Laury o imieniu Richard, poprosił o lusterko. Wysypał na nie biały proszek, który następnie układał w trzy równe rzędkie za pomocą karty kredytowej American Express. Zwinął banknot dwudziestofuntowy w rulonik, przez który wciągnął jeden rząddek proszku do nosa. Laura krzątała się wokół, szczebiocząc i trzaskając kubkami. Richard spojrzął na mnie, podając mi lusterko.

- Co to jest? - zapytałam.

- Charlie - odpowiedział - czyli kokaina.

Starając się wyglądać tak, jakbym to robiła po raz kolejny w życiu, wciągnęłam mocno kolejny rząddek. Następny był dla Laury.

- To ci poprawi humor przed kolejnym dniem pracy z tym potworem - stwierdziła Laura.

- Ja już sama powoli zamieniam się w potwora - powiedziałam gorzko.

- Grzech nie zamienia cię w potwora.

- Kto mówi o grzechu?

- Nie udawaj - Laura pokiywała palcem. - Nie udawaj, że nie dzielisz świata na grzeszny i bezgrzeszny. Jesteś katolickim dzieckiem, tak jak ja, i dlatego grzech nie jest ci obcy. Jeżeli chodzi o grzeszenie, to katolickie dziewczyny są w tym najlepsze. I nie pieprz głupot, że zamieniasz się w potwora.

- To Monstera, a raczej pragnienie oderwania się od myśli o niej, zamieniają mnie w chciwego wrażeń i nowych doświadczeń potwora. Moje autobusowe i kolejkowe fantazje pełne są krwi i wytatuowanych facetów, którzy wbijają w nią setki noży.

- Nie pieprz.

To był ostatni komentarz Laury. Już po chwili wzięłam udział w konkursie na największą ilość wulgaryzmów, według alfabetu. Chichrałam się cały wieczór. Oglądaliśmy wiadomości wieczorne, które okazały się być najlepszym kabaretem na świecie. Laura śpiewała, Richard tańczył, a ja chodziłam po parapecie udając Sebastiana, kota Toma. Koło północy zdecydowałam się wrócić do domu. Po drodze wstąpiłam do McDonalda i zamówiłam dwa zestawy dla dzieci, bo mi się podobały plastikowe żyrafki, jakie do nich załączali. Nie byłam głodna i wciąż nie czułam tylniej ściany gardła. Wróciłam do domu i oglądałam telewizję do czwartej nad ranem, tańcząc do reklam. W końcu padłam na łóżko i przeleżałam tak do świtu, rozpatrując różnorodne metody torturowania Monstery.

Moje niespożyte zapasy energii pozwoliły mi uporać się z poranną toaletą Monstery szybko i bez problemów. Namówiłam ją na zakupy i pozwoliłam kupić więcej za małych majtek. Potem ugotowałam jej skomplikowane chińskie danie w ilości wystarczającej do nakarmienia całego pułku żołnierzy. Pół nocy oglądaliśmy krykiet i wrestling, który zresztą wydawał mi się niesłychanie interesujący.

Zaraz po położeniu Monstery do łóżka usiadłam w fotelu i natychmiast zasnęłam. Obudziła mnie dopiero Juliana,

która przyszła o dziewiątej. Leżałam na podłodze w samej koszulce, zmarznięta na kość. Nie słyszałam w nocy wołania Monstery, która zmoczyła i zabrudziła całe łóżko.

Wróciłam do domu, wzięłam prysznic, zjadłam babeczkę z dżemem, położyłam się i natychmiast zasnęłam. Obudził mnie telefon.

- Piękna, żyjesz? - usłyszałam głos Laury.

- Która jest godzina?

- Piąta.

- Po południu?

- Tak.

- Śpię. Obudziłaś mnie.

- Bo mam doła. A ty?

- Jeszcze nie wiem.

- Jak się dowiesz, przyjdź po antidotum.

- Charlie?

- Klin klinem.

- Dobra - odłożyłam słuchawkę.

Włączyłam radio i przeszłam do łazienki. Miałam spuchniętą twarz. Zmusiłam się do zjedzenia następnej babeczki z dżemem i usiadłam na kanapie z kubkiem mocnej kawy. Nie miałam żadnego pomysłu na ten dzień. Nie mogłam się skupić nad książką. Było mi zimno. Wysłałam po papierosy i wypaliłam pół paczki gapiąc się przez okno. Wypiłam herbatę i poszłam spać.

Kiedy się obudziłam, było już jasno. Wskoczyłam w ubranie i pobiegłam do najbliższego kościoła. Usiadłam w ławce z mocnym postanowieniem odmiany. Nie wiedziałam, czego chcę, a kościół nie był miejscem przynoszącym ulgę. Pomyślałam, że ktokolwiek mnie tam zobaczy, pomyśli, że żałuję za grzechy.

A ja nie żałowałam.

Wróciłam do domu, podciąłam sobie włosy i zafarbowałam na rudo. Od razu poczułam się lepiej. - To taki mały sekret kobiet, pomocny w każdej sytuacji - pomyślałam. Zmiana fryzury oznaczała nowe życie. Spojrzałam w lustro i zorientowałam się, że nie myślałam o Monsterze cały dzień, a w dodatku przestałam ją nienawidzić. Zobaczyłam chorą, brzydka kobietę, godną współczucia i opieki. Nagle wszystkie moje mordercze fantazje przestały być potrzebne.

Rano szłam do pracy powoli, spokojnie, niemal radośnie. Stefanie długo nie otwierała. W domu było cicho. Monstera wciąż spała. Włączyłam piecyk w pokoju, zaparzyłam kawę, zamiotłam podłogę. Słońce wpadało przez okno, ogrzewając moje stopy. Pomyślałam, że jeżeli nie będzie wiało, będę mogła zabrać Monstera do parku i karmić gołębiami.

Koło południa zaczęłam się niepokoić. Zajrzałam do sypialni i natychmiast cofnęłam się, uderzona przez znajomy, obcy zapach. Monstera leżała na łóżku. Podeszłam bliżej i dotknęłam jej ręki, chcąc ją delikatnie obudzić. Ręka była zimna i sztywna, paznokcie granatowe. Odkroczyłam. Zaczęłam szybko oddychać, chociaż szybko po pokoju i machać rękami. Po chwili znów podeszłam do Monstery, żeby sprawdzić jej puls na szyi. Skóra na jej szyi była zimna i martwa, jak drewno.

Wysłałam z sypialni, umyłam ręce i zrobiłam sobie herbaty. Po chwili znów zajrzałam do Monstery, ale ona wciąż była martwa.

Zadzwoiłam na policję, pogotowie i do biura opieki społecznej. W przeciągu kwadransa dom wypełnił się ludźmi. Laura przybiegła, jak tylko się dowiedziała.

- Jak to się stało? - zapytała, chwytając mnie mocno za ramię.

- Widzisz, dzisiaj już nie trzeba nawet robić lalek voodoo, żeby kogoś zabić na odległość - powiedziałam. - Mówiłam ci, że jestem potworem.

Laura spojrzała na mnie przerażona. Uśmiechnęłam się i przeszłam do kuchni. Słońce ogrzało podłogę, zdjęłam skarpetki, żeby poczuć ciepło na stopach. Zjadłam babeczkę z dżemem.

Zbliżamy się do finału jednej z najważniejszych edycji literackich ostatniego trzydziestolecia — druku dzienników osobistych Zofii Nałkowskiej. Dzieło to, rozpoczęte *Dziennikami czasu wojny* w roku 1970 (i później jeszcze dwukrotnie wznawianymi), pięć lat później przybrało kształt edycji ciągłej. Kompetentnie i drobiazgowo opracowane przez Hannę Kirchner, ukazywało się w rwanym odstępach czasu, teraz jednak, w ćwierć wieku po tomie pierwszym, domyka się jak interesująco otwarta powieść.

Po ukazaniu się *Dzienników czasu wojny*, Ryszard Matuszewski pisał na łamach „Polityki” (1970, nr 51-52): „książka ta jest rewelacją. Daje się czytać jak najlepiej skomponowana powieść, atrakcyjna nawet dla kogoś, kto by nie znał występujących w niej postaci: powieść o kilku wątkach, z dużym psychologiczno-dramatycznym napięciem”. Podobnie Hanna Kirchner w zakończeniu wstępu do tomu drugiego *Dzienników* (1976): „Dziennik ten wypełniony jest po brzegi treściami, które cieszyć będą dziejopisę, kronikarza kultury i obyczajów, varsavianistę, historyka literatury. (...) Ale ta faktografia dopiero w naszym historycznym odbiorze gra rolę samodzielną. W dzienniku jest materiałem literatury, układa się bowiem zawsze po linii oglądu, myśli i przeżycia bohaterki, składa w konstrukcję jej losu. Niejasny więc i wielowartościowy jest status tych wyznań, w każdej chwili bogatszy od wybranej przez czytelnika płaszczyzny odbioru: czy bowiem poznajemy prawdziwy życiorys pisarki, Zofii Nałkowskiej, czy też czytamy początek powieści, jakiej w naszej literaturze nie było? Kobięcie obdarzonej niepospolitą inteligencją, talentem i urokiem osobistym, żyjącej w samym centrum polskiej kultury, polskich dziejów? Powieści, która zasadniczo modyfikuje tradycyjny literacki stereotyp kobiety polskiej, powieści o historii i polityce, powieści o miłości i o losie człowieka widzianych oczyma takiej właśnie kobiety?”

Dziennik jak powieść. O dziewczęcych marzeniach, namiętnościach, fantazjach i mirażach; o kobiecości pragnącej spełnienia, odnajdującej je i przeżywającej dramat odtrącenia; o starości, która nie chce się zgodzić na miarę i ograniczenia upływającego czasu. O lekturach, czytanych w ogromnej ilości, przyjmowanych z entuzjazmem, drażniących i odrzucanych z niesmakiem; o swoim pisarstwie, wciąż doma-

POWROTY

Diariusze Nałkowskiej

gającym się dopełnienia, lecz umykającym sensom, do których chciałoby się precyzyjnie dotrzeć. O najbliższych, których się kocha, o których się boi, którym nie może się pomóc mimo najlepszych chęci i o których pomyślność się zabiega. O życiu towarzyskim tak często dającym siłę i pozwalającym uciec od przykrych myśli: o wyjazdach, podróżach, zwiedzaniu muzeów, przeżywaniu odmiennego pejzażu i o powrotach, skupieniu na sobie, zachwycie nad zmianami rodzimej przyrody. O czasie pokoju, który tętni życiem i o dwóch wojnach, smutnym czasie wypełnionym szarością i niepokojem o życie bliższych...

Subtelność stylu i szczerość wypowiedzi, przenikliwa ocena sytuacji zewnętrznych i ciągle falowanie nastrojów, uleganie złudzeniom, gdy chodzi o siebie. Uprzejmość wobec tych, których się nie lubi i niemożność zdobycia się na dystans wobec tych, którzy odeszli, zdradzili lub zranili. Życie jako kłębek emocji i jako bezustanna praca myśli; związane nierozdzielnie z literaturą i puste bez miłości. Te dwie relacje: życie-literatura i życie-miłość urastają do naczelnych w zapiskach Nałkowskiej, rozpadając się na drobniejsze alternatywy i składając na por-

tret całości, podobny do mozaiki. Portret nie tylko jednego niecodziennego życia, lecz kilku okresów historycznych, z których każdy miał swoją specyfikę, swoje iluzje i rozterki, swoją wzniosłość i klęskę.

W *Dziennikach* Nałkowskiej jest o tym wszystkim (i jeszcze wiele więcej). Ich lektura wciąga, porywa, unosi i zachwyca. A przecież nie jest to powieść *sensu stricto* — fikcyjna kreacja fikcyjnej postaci, gdzie wszystko jest na niby, gdzie świat powołany został do istnienia mocą inteligentnego umysłu. Tutaj wszystko zdarzyło się naprawdę, każda radość i troska, myśl i działanie miały swoje miejsce, wyzwolone zostały przez konkretną sytuację, osobę, szczegół. Gdyby nie wydarzyło się naprawdę, mielibyśmy do czynienia z niebawale atrakcyjnym życiem, poznawanym przez nas dzień po dniu przez ponad półwiecze.

4 lipca 1914 roku pisarka napisała: „raczej nie martwić się, że minęło, tylko radować się bez miary, że było”. Potem będzie do tej myśli wracać, w coraz to innej formie, nigdy już jednak w takiej tonacji. To zdanie wydobywam teraz po latach, przypisując mu kluczową rolę w zrozumieniu sensu diarycznego dzieła Zofii Nałkowskiej. Jej dziennik-powieść jest romansem życia spełnionego, *opus magnum* jej pisarstwa, a przy tym niebawale konsekwentnym świadectwem wspólnoty ducha i obecności z innymi ludźmi. 25 maja 1946 roku zapisała: „Żyję nieustannie cudzym życiem. W wysokim stopniu. Ale moje wciąż trwa jak kiedyś”. W tym zapętleniu siebie z innymi — domaga się prawa dla siebie, uznania własnej osobniczości. I wie, jak trudno czasami to prawo nabyć.

Czytajmy Nałkowską. W dziewięciu woluminach zapisków (dwa ostatnie są już w druku) zawarte zostało świadectwo niezwykłego życia, prywatny i porywający diariusz pierwszego półwiecza XX wieku, czasu przeszłego, lecz sportretowanego tak, jakby nigdy nie dotknęła go sepia. A zaczynał się ten dziennik całkiem niewinnie, 8 września 1899 roku w Górkach koło Warszawy. Przywiozłam Hani Marylkę Lauer, sama też pozostałam tu parę dni. Marylka jest dzieckiem bardzo inteligentnym — ale inną inteligencją niż ja w jej wieku”. Tak oceniała piętnastolatka jedenastolatkę, późniejszy zapiski nabrały innej intensywności.

MARIAN KISIEL

Jakoś tak się kiedyś złożyło, że na stadion Ruchu szedłem od dworca pieszko. Po drodze minąłem kilku, a może kilkunastu mocno posiwiałych, ale dobrze ubranych panów, liczących sobie z pewnością coś koło siedemdziesiątki. Niektórzy z nich poruszali się bardzo wolniutko, pomagali sobie laseczką, inni kroczyli jeszcze dość zwawo. Potem spotkałem ich ponownie. Na Ruchu. Przyszli na zebranie sprawozdawcze swego ukochanego klubu, dyskutowali o jego finansach i codziennych problemach.

Dla nich czas jakby się zatrzymał. Cieszyli się widocznym szacunkiem pozostałych gości, ludzi zdecydowanie młodszych. A dlaczego tak nie dzieje się gdzie indziej? Dlaczego gdzie indziej tradycje nie są tak szanowane, jak w Chorzowie? To pytanie pozostanie bez odpowiedzi, bo w nim tkwi cała magia, czy jak kto woli — fenomen „niebieskich”.

Osiemdziesiąt niebieskich lat

JOACHIM WALOSZEK



Gerard Cieślak z drużyną „niebieskich”. Przez całe dziesięciolecia piłkarzy Ruchu łączyła prawdziwa rodzinna więź – nie zawsze wynikająca z autentycznego pokrewieństwa.

Dlaczego „niebiescy”? Bo białe i niebieskie to barwy Śląska. A o ten Śląsk, polski Śląsk sportowcy tego klubu walczyli nawet w powstaniach. Klubowe kroniki przekazują, że jeden z piłkarzy, bramkarz Franciszek Broll został ciężko ranny, broniąc dworca kolejowego w Hajdukach. Zamiast pewnej niewoli wołał zostawić ostatni nabój dla siebie. Ta ostatni informacja nie pochodzi jednak z kronik — może wydała się komuś niezbyt chwalebna? Ja dowiedziałem się o tym szczególnie od jednego z nieżyjących już klubowych działaczy. Jak doszło do powstania Ruchu? Oczywiście — z inicjatywy Polskiego Komisarjatu Plebiscytowego. Zgromadzeni tam niepodległościowi działacze mieli świadomość roli sportu w utożsamianiu się prostych ludzi, biednych robotników czy bezrobotnych z „polską sprawą na Śląsku”.

A zaczęło się od tego, że już wcześniej działały tu kluby sportowe. Oczywiście śląskie. Ale ich nazwy były niemieckie. I inne być nie mogły, skoro Polska nie istniała, zaś Polacy pod niemieckim zaborem nie mieli — podobnie działo

się zresztą pod zaborem rosyjskim — jakichkolwiek praw autonomicznych. Są dokumenty, z których jasno wynika, że w niektórych klubach o nazwach niemieckich nawet najważniejsze zebrania prowadzono w języku polskim. Przez dłuższy czas nikomu to nie przeszkadzało, ale w okresie plebiscytowo-powstańczym rozgorzała między Polską a Niemcami nie wypowiedziana wojna o Śląsk. W efekcie doszło pośród Ślązaków do silnej polaryzacji pod względem narodowościowym. Walka o „rząd dusz” toczyła się wówczas w każdej dziedzinie życia. Również w sporcie. Co do prostych, mało wykształconych ludzi mogło przemówić wyraźniej niż sukces polskiego towarzystwa, czy klubu nad towarzystwem, albo klubem niemieckim?

I właśnie po to powstawały masowo w poszczególnych gminach polskie kluby sportowe — Polonia Bytom, Naprzód Lipiny, Pogoń Katowice, Śląsk Świętochłowice, Strzała Ruda i wiele, wiele innych. Wśród nich również Ruch. Czy w klubie tym zebrali się od początku zawodnicy

dużo zdolniejsi niż gdzie indziej? Chyba nie, świadczą o tym zresztą nie tylko wyniki, ale również składy reprezentacji Śląska, gdzie piłkarze z Wielkich Hajduków wcale nie byli tak licznie reprezentowani... Tymczasem to Ruch właśnie okazał się najlepszą drużyną w rozgrywkach na Śląsku w 1922 i 1926 roku, reprezentował region w finałowych grach o mistrzostwo Polski, zdobywał prestiżowy Puchar Fliegera. Na pewno trzeba było odrobiny szczęścia, boiskowego fartu, na pewno niezbędna była utalentowana młodzież, dla której sport był szansą życiowego awansu. Ale trzeba też było mieć charakter, trzeba było być takim „niebieskim z krwi i kości”. A przecież los piłkarzy Ruchu nie pieścił. Nie było ich przez wiele lat, nawet jeszcze w I lidze, stać na trenera. O ulgach w pracy też nie było mowy. Na mecze przychodzili bezpośrednio po ciężkiej, fizycznej pracy, toteż często lepsze wyniki osiągnęli na wyjazdach, bo zdążyli wypocząć w pociągach.

Taki właśnie klub — chyba nigdy nikt nie nazwał go bogatym — dorobił się czterem tytułom mistrza Polski, odnosił wspaniałe sukcesy na arenie międzynarodowej, jego piłkarze brylowali na największych arenach sportowych świata. Przypadek? Zbieg okoliczności? Moim zdaniem — nie.

Rodzina niebieskich

Kilka lat temu „Trybuna Śląska” pokusiła się o przeanalizowanie składów naszych ligowców. Okazało się wówczas, że w śląskich klubach wcale nie grają sami Ślązacy, bywało, że stanowili oni mniejszość w klubowych kadrach. O wychowankach żał nawet wspominać. Nie dotyczyło to jedynie Ruchu — tam, tak jak zawsze, grają niemal „sami swoi”. I tak jest od lat. Kiedyś bramki strzegł Ryszard „Pingol” Wyrobek, reprezentant Polski. Jego syn Jerzy doczekał się takiego wyróżnienia kilkanaście lat później. Szwagrem Ryszarda Wyrobka był Gerard Cieślik, najlepszy zawodnik w klubowej historii. Bratanek tegoż Cieślika — Ryszard Cieślik próbował swych sił w Ruchu jeszcze przed wojną, natomiast kuzyn Zdzisław Cieślik — w 1945 roku. Szwagrem Pana Gerarda był również zawodnik Ruchu z lat 40. Roman Rurański, niezły piłkarz, a potem poseł na Sejm.

Inny klubowy as Gerard Wodarz ożeniony był z siostrą boiskowego kolegi Franciszka Zorzyckiego, a spokrewniony z Buchwaldami i Dziwiszami. Tych Dziwiszów było aż siedmiu, kilku próbowało swych sił w wielkim futbolu, choć reprezentacyjny poziom osiągnął tylko pomocnik Karol Dziwisz. W latach 30. z powodzeniem grał w Ruchu prawy łącznik Paweł Buchwald, potem klubowy działacz. Z klubem związany był też — jako działacz — jego brat Oskar. Wnuk Oskara Guido Buchwald został w 1990 roku mistrzem świata w barwach RFN! Młodszy kibice doskonale znają olimpijczyka z Barcelony, występującego dziś w łódzkim Widzewie Dariusza Gęsiora. Brat jego dziadka, Wincenty Gensior był silnym punktem klubowego zespołu w latach 20. A ożenił się on z wdową po Franciszku Bartoszkuz, jednym z współzałożycieli klubu. A babcia Antoniego Piechniczka była z domu Bartoszkówną, z tych Bartoszków...

Rozmawiałem kiedyś z byłym trenerem naszej reprezentacji o fenomenie chorzowskiej dzielnicy Batory. Opowiadał: Jak tak dziś pomyśleć, to wierzyć się nie chce, że tylu zawodników międzynarodowej nawet klasy mieszkało tu w obrębie kilku ulic. Dom moich rodziców dzieliło od domu Wodarza tylko kilka kamienic. A w okolicy — inne wielkie nazwiska. Niech pan pokaże drugie takie miejsce. Ale pewnie tak być musiało, skoro wszyscy tu, w Hajdukach, po całych dniach kopali piłkę...

Nic dziwnego, że przez całe dziesięciolecie piłkarzy Ruchu łączyła prawdziwie rodzinna więź — nie zawsze wynikająca z autentycznego pokrewieństwa. Jej ślady łatwo dostrzec nawet dziś. W Górniku, czy w katowickim GKS piłkarze przyjeżdżają na trening, po zajęciach kąpią się, wychodzą z szatni i rozchodzą do domów. A w Chorzowie jest inaczej. Często widzi się, że zawodnicy po treningu znajdują czas na wizytę w klubowej kawiarni. Posiedzą przy ma-

łym piwku, pogadają, pożartują, czasem zdarzy się, że ktoś podejdzie do któregoś z posiwiatych nestorów „niebieskich”, których w tejże kawiarni nie brakuje, żeby o coś spytać. W Ruchu czuje się pokoleniową więź. A władze klubu te tradycje hołubią, czego najlepszym przykładem choćby coroczne opłatki. Ale nie tylko. Troszczą się tam o ludzi zasłużonych. Gdzie wysłałoby się na koszt klubu do sanatorium kogoś, kto zakończył karierę ponad 40 lat temu? Obawiam się, że nigdzie. Tymczasem Gerard Cieślik wrócił właśnie niedawno z takiej wyprawy. Dla podratowania zdrowia.

Trzej królowie

Kiedyś w mojej obecności ktoś wykształcony, trzeba uczciwie powiedzieć — gruntownie, dopominał się głośno o zmiany w polskiej piłce. — Przecież to niemożliwe, żeby spośród 40-milionowego narodu nie dało się wybrać jedenastu ludzi potrafiących kopnąć piłkę — tyle mniej więcej wiedział mój „ekspert”. I co miałem powiedzieć? Że w Liberii też nie ma rozsądnego systemu naboru do futbolu utalentowanej młodzieży, tymczasem George Weah z tego właśnie kraju wybrany został całkiem niedawno najlepszym piłkarzem świata? Wzloty i upadki wielu klubów wiążą się nie tylko z finansami, ale również z piłkarskimi gwiazdami. Tak naprawdę nie byłoby „wielkiego Ajaksu” bez Johanna Crujffa, madryckiego Realu bez Alfreda di Stefano, Santosu bez Pelego czy Bayernu bez Franza Beckenbauera, Gerda Müllera czy Seppa Maiera. I ta uwaga jest niezbędna, żeby zrozumieć tajemnicę sukcesów Ruchu. Tu też sportowe sukcesy nieodłącznie związane były z wybitnymi indywidualnościami, piłkarzami, którzy przeszli do legend.

Już w latach 30. był to klub europejskiego formatu. Przypomnijmy, nie było wtedy rozgrywek pucharowych, a jedyną możliwością porównania sił klubów europejskiej czołówki dawały oficjalne mecze międzynarodowe. Towarzyskie, ale przecież niebywale prestiżowe. Ruch grał takie mecze. I wygrywał. Z Bayernem Monachium, Fortuną Duesseldorf czy VfB Stuttgart. A trzeba wiedzieć, że wymienione zespoły były wówczas ścisłą czołówką niemieckiego futbolu, który podobnie jak dziś notowany był znacznie wyżej od naszego.

Klubowe sukcesy, o których przed chwilą była mowa Ruch odnosił tak naprawdę dzięki „trzem królom”. Kto pierwszy tak nazwał trójkę napastników — Teodora Peterka, Gerarda Wodarza i Ernesta Wilimowskiego — nie udało mi się ustalić. Szkoda, ale przecież to określenie ma w sobie coś intrygującego. Zwłaszcza, gdy uświadomimy sobie, że ci trzej wielcy piłkarze nigdy za sobą nie przepadali. Zabawne było, gdy wspólnie znaleźli się w restauracji. Wodarz zamawiał sobie herbatę, siadał gdzieś daleko od reszty towarzystwa, „Ezi” Wilimowski kupował jakiś słodki, niskoprocentowy alkohol i rozglądał się dyskretnie w poszukiwaniu jakiejś urodzivej panny. Tymczasem „Teo” Peterek, ze względu na wysoki wzrost zwany „Mietlorzem” (od długiej miotły) był duszą towarzystwa, fundował alkohol innym i chętnie pił to czym go częstowano. Gawędził, ferował wyroki, był kimś naprawdę znaczącym. Ale na boisku — chcąc nie chcąc — musiał podporządkować się Wylimowskiemu. Bo też ustępował mu talentem, wizją gry, osobowością. Ale potrafił się z tym pogodzić, choć przecież przed przyjściem do Ruchu rudzielca z Katowic był autentycznym idolem kibiców, a od lewoskrzydłowego Wodarza żądał takich podań, po których piłka spadała nie tylko dokładnie na głowę, ale nawet z tej strony, co trzeba — nie od strony sznurowadła, jakim wówczas piłki skórzaną wiązano. Bo uderzenie głową w takie poskręcane sznurki po prostu bolało...

Peterek przyszedł do Ruchu ze Śląska Świętochłowice. Tam był czołowym juniorem. Dlaczego działacze pozbyli się go? Jest anegdota, która to tłumaczy — miał ukraść w szatni buty komuś z klubowych kolegów i z drużyny tej został po prostu karnie usunięty. Czy tak było naprawdę — nie wiem. Dość, że sędziwi działacze traktują tę informację

jako „top secret” i proszą o nie powoływanie się na to wydarzenie. Peterek strzelił w I lidze grubo ponad sto bramek, gdyby nie wojna — miałby ich pewnie ponad 200. Na boisku był wolny, brakowało mu czasem kondycji, technicznie odstawał od kilku kolegów. Ale kiedy już dostał piłkę w pobliżu bramkarza to wszyscy mieli pewność, że go pokona. W ataku jego pierwszym głośnym partnerem był Wodarz. Wzór sportowych cnót. Zaliczano go do najlepszych lewoskrzydłowych kontynentu. Kiedyś napisem o nim coś mniej więcej takiego: „Oprócz Roberta Gadochy — najlepszy lewoskrzydłowy w historii polskiego futbolu”. Jeszcze tego dnia miałem w tej sprawie telefon od czytelnika. Bardzo krytyczny. — Widać, że pan nic nie wie i niczego pan nie widział. Jak można Gadochę porównywać z kimś takim jak Wodarz, z piłkarzem, który na swojej pozycji umiał wszystko? Wie pan, miałem do pana po dotychczasowych publikacjach więcej szacunku — i po chwili usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

I wreszcie „Ezi”. Rozmawiałem o nim kiedyś z przedwojennym reprezentantem Polski, Pawłem Cygankiem. Nie lubili się, może tolerowali, ale i tego nie byłem pewien. I w pewnym momencie ten Cyganek mówi mi tak: — Pyta mnie pan o tego „ryszoka”? No, jakżeśmy grali z Węgrami to przez pierwsze 20 minut piłki nie podał. Był chyba obrażony na trenera, że nie wystawił do składu jego kolegi klubowego, Wodarza. Jak już trener Kałuża go „opieprzył” to wszystko się zmieniło, miałem już od niego piłki. Jak grał? A to już coś zupełnie innego, bo powiedzmy sobie: taki Pele. Co umiał? W sumie niewiele, jak mu tę piłkę w polu karnym ktoś rzucił, to w końcu tę bramkę strzelił. A taki „Ezi” sam dorwał się do piłki gdzieś tak w środku pola, sam pociągnął akcję, a potem — tak było najczęściej — sam strzelił. I trafiał z każdej sytuacji. Tyle Cyganek. Przy nazwisku Wilimowskiego dodać warto, że jest jednym z kilku piłkarzy na świecie, którzy w swej karierze przekroczyli tysiąc strzelonych bramek, że dwukrotnie strzelał 10 bramek w oficjalnych meczach swoich drużyn. I nie chce mi się w tym miejscu polemizować z jego oponentami, którzy nazwali go kiedyś „renegatem”. Sam zainteresowany wyraźnie stwierdził, że gdyby nie wojna i jej następstwa — do końca kariery pozostałby na Śląsku. Prawdopodobnie w Ruchu.

Tuż po wojnie kibice „niebieskich” mieli kolejnego idola. Stał się nim Gerard Cieślik. Ktoś nazwał go „chorzowskim łącznikiem”. Niech tak zostanie. Był absolutnym objawieniem. W czasach, gdy nasz futbol znajdował się niewyobrażalnie daleko od światowej czołówki — znacznie dalej niż dziś — międzynarodową klasę piłkarza z Hajduków potwierdzali wszyscy obserwatorzy. Nie ulegało wątpliwości, że to zawodnik międzynarodowego formatu. Połapali się na tym Szkoci, którzy za Cieślika oferowali majątek — przynajmniej na tamte czasy, chcieli go kupić Belgowie, oferty składały czołowe kluby polskie. I nic. Cieślik trwał przy swoich, zbierając przy okazji setki pochwał. I pozostał wspaniały do końca kariery, przy okazji pokonując trzy razy najlepszego bramkarza świata, Lwa Jaszyna — dwukrotnie na Śląskim podczas pamiętnego meczu w 1957 roku, raz — dwa lata wcześniej. No i w klubie jest do dziś, od czasu do czasu pojawia się na przeróżnych „spędach” dawnych gwiazd. Niedawno był na imprezie „Gazety Wyborczej”, która podsumowywała konkurs na stu najwybitniejszych Ślązaków i Zagłębiaków XX wieku. Został sklasyfikowany najwyższej spośród wszystkich sportowców. — To najpiękniejszy dzień w moim życiu — zapewniał wszystkich solennie.

Już po zakończeniu kariery przez Cieślika Ruch zadebiutował w europejskich pucharach, za czasów prezesa Trzcionki i trenera Michała Vicana odnosił w nich spore sukcesy, starsi kibice do dziś z wypiekami gotowi są opowiadać o potyczce z Feyenoordem Rotterdam. Pracowali na nie przede wszystkim Eugeniusz Faber, Joachim Marx, Bronisław Bula czy Zygmunt Maszczyk. Ten ostatni został wybrany do jedenastki 80-lecia polskiej piłki.

Ostatnia znakomitość pojawiła się na stadionie przy ulicy Cichej w sezonie 1982/83. To Krzysztof „Gucio” Warzycha. Autentyczny super-snaiper. Nie ma ludzi niezastąpionych, ale do dziś jestem pewien, że bez niego Ruch w 1989

roku nie zostałby mistrzem Polski. Jak dotąd — po raz ostatni. Warzycha przeniósł się potem do greckiego Panathinaikosu, zdobył miano jednego z najlepszych snajperów w historii ligi greckiej. A przy okazji: jest jednym z trzech polskich piłkarzy — oprócz Włodzimierza Lubańskiego i Andrzeja Szarmacha — którzy w pierwszoligowych klubach europejskich zdobyli ponad 200 bramek. Szkoda tylko, że reprezentacja Polski nigdy jakoś nie skorzystała z jego umiejętności. A że te były niepoślednie zaświadczać choćby ci zwoleńnicy talentu „Gucia”, którzy widzieli, jak strzela on bramkę Ajaksowi w Amsterdamie, w czasach gdy drużyna rywali była najlepsza na świecie...

Kasa, Misiu, kasa

To powiedzenie byłego trenera reprezentacji Janusza Wójcika przejdzie zapewne do annałów prasy sportowej. Wspomniany szkoleniowiec reprezentuje tych wszystkich, którzy uważają, że sportowe sukcesy opierać można wyłącznie na pieniądzach. Gdyby tak rzeczywiście było — Ruch nigdy nie zdobyłby obecnego statusu. Jest przecież, obok Górnika Zabrze, najlepszym klubem w historii naszej piłki. Tymczasem z kasą zawsze było tam krucho, kiedy „niebiescy” sięgali po pierwszy mistrzowski tytuł nie mieli nawet trenera. W latach 30. klub wspierany był przez administrację wojewody Michała Grażyńskiego, piłkarze mieli etaty — czasem jakby trochę fikcyjne, w wielkim przemyśle. Ale przecież nawet wtedy nie zaliczali się do finansowych potentatów. Ernest Wilimowski powie po latach w jednym z wywiadów o ofercie z Pogoni Lwów — tam zapewniano mu znacznie lepsze warunki niż w Chorzowie. Ale piłkarz nie skusił się na zmianę barw. Podobnie postąpi po wojnie Gerard Cieślik. — Miałem kilka propozycji zmiany barw. Zachęcano mnie tym, że na mecze z nową drużyną będę mógł latać samolotem, zamiast objąć się w zdezelowanej ciężarówce, że dostanę dobre płatną pracę. W Łodzi obiecywano mi trzypokojowe mieszkanie. Ale się nie kusilem. Człowiek przez całe życie był taki głupi za tym Ruchem — opowiadał mi Cieślik. Swoją pierwszą samochód — francuską Ifę — kupił już po zakończeniu kariery. Jeszcze w pierwszej połowie lat 60. samochody miało dwóch dalszych zawodników — jeden z nich kupił „Berek” Bem, drugi — Eugeniusz Faber, wówczas klubowa znakomitość. „Ojga” był z klubem w Niemczech, potem pojechał do rodziny do Holandii i po dwóch dniach wrócił z Fordem Taunusem. Oczywiście używanym. Dopiero pod koniec lat 60. samochodów na klubowym parkingu trochę przybyło, choć — według oceny Edwarda Hermana — własne wozy miało wtedy 5-6 zawodników z podstawowego składu. W tym czasie inne ligowe parkingi były już znacznie bardziej zatłoczone... I do dziś sytuacja jest podobna. Tak gdzieś w połowie lat 90. przyjrzałem się samochodom, którymi piłkarze przyjechali na trening. Większość z nich to maluchy. I to wcale nie „nówki”... A wszystko to działo się przecież w czasach, gdy na innych stadionach mieliśmy do czynienia z prawdziwą motoryzacyjną rewią.

I tak jest do dzisiaj. Ruch przewodzi w ligowej tabeli, ale finansowo nie należy do potentatów. Byłem kiedyś na jednym z klubowych opłatków, poznałem tam kilku lokalnych biznesmenów. — Interesuję się sportem, a jak mam już coś rzucić na jakiś klub to wolę dać na Ruch — usłyszałem od jednego z rozmówców. Jego firma mieści się w Katowicach. To właśnie tacy jak on — jest ich co najmniej kilkudziesięciu, a szczególnie niech pozostaną klubową tajemnicą — są sponsorami Ruchu. I klub spokojnie egzystuje. Bez spektakularnych wzlotów i upadków.

A piłkarze grają. „Niebiescy” zakończyli jesienną rundę rozgrywek na pierwszym miejscu. Prowadzona przez Edwarda Lorensa drużyna w pełni zaśluzyla na ten sukces. Teoretycznie są słabsi od kilku rywali, nie ma w ich składzie tylu markowych zawodników. A na boisku tego nie widać. Czy mają szansę na mistrzowski tytuł? Znaką warsztat trenera Lorensa — uważam, że tak.

Po lewej stronie pisma,
na wysokości nadruku
informującego
o adresacie,
pozostał spinacz.
Już pokryty rdzą.
Polski Komitet
Olimpijski
wzywa do „zwrotu
pobraných na olimpiadę
ubiorów i sprzętu“.
Jeżeli się tego nie uczyni
w „nieprzekraczalnym
terminie do dnia
15 lutego 1953 r.“,
będzie to uznane za
„działalność szkodliwą“.
Pieczętka. Podpis.



Edward Cebula

Foto: Piotr Rębacz

w ostatnim meczu przed wojną wygraliśmy 4:2. Wilimowski strzelił trzy bramki. Panie, to był piłkarz... Grałem przeciwko niemu, gdy byliśmy jeszcze juniorami. On był wtedy graczem I FC Katowice. Teraz piłki są szyte. Dawniej obwiązane były sznurem. I kiedy Wilimowski strzelał wolnego, to jak dostałem tą piłkę w głowę, to na moment straciłem przytomność. Później graliśmy razem w reprezentacji Śląska. Drugiego takiego, jak Wilimowski, nie było, nie ma i nie będzie.

Po spotkaniu z Węgrami reprezentacja przygotowywała się do wyjazdu do Jugosławii. Wybuchła jednak wojna. Cebula kopał piłkę w Tus Schwientochłowit. Musiał to robić dobrze, gdyż zainteresował się nim Sepp Herberger i powołał na obóz kadry Niemiec do

Kronika sportowa

„Chciałem być pochowany w olimpijskim garniturze, kazali oddać, grozili sądem“, mówi Edward Cebula. Sięga po fotografię. Ze spokojnym żalem przygląda się młodemu mężczyźnie w białych spodniach i ciemnej marynarce, na której naszyto plaketę z orłem. Podczas olimpiady w Helsinkach miał trzydzieści pięć lat. Na igrzyska wyjechał w 1952 roku. Ale przysięgę olimpijską złożył już trzynaście lat wcześniej. W Katowicach, z innymi piłkarzami z Górnego Śląska, których zakwalifikowano do reprezentacji mającej wystartować na olimpiadzie w roku 1940, też w Helsinkach. Przed uroczystością zabawiał zebranych notabli i sportowców Stanisław Ligoń, „Karlik z Kocyndra“.

- Pamiętam jak dziś, że Ligoń zażartował: „muszę kończyć, bo zaraz przyjdą fusbalki, mogą mnie kopnąć i co wtedy...“

Edward Cebula miał jeszcze wówczas na imię Ewald. Grał w Śląsku Świętochłowice.

- Miałem siedemnaście lat, kiedy już grałem w pierwszej drużynie. A zacząłem, bo namówił mnie do treningów mój kolega z klasy, Maksymilian Przewdzink, mistrz Śląska w boksie. Dwa sezony Świętochłowice grały w I lidze. W pierwszym sezonie pokonaliśmy w ostatniej kolejce Pogon Lwów na jej boisku. Pogoni wystarczył wtedy remis do zdobycia mistrzostwa. Myśmy jednak wygrali 2:1 i dzięki temu w lidze najlepszy był Ruch.

Cebula wie, że teraz nie ma w Świętochłowicach drużyny nawet na poziomie IV ligi. Przypomina przedwojenne zespoły z Lipin (Naprzód) i Chropaczowa (Czarni). Wysoko notowane na Śląsku, a więc i w kraju.

- Kiedyś, w latach sześćdziesiątych, Okręgowy Związek Piłki Nożnej chciał zlikwidować małe kluby. Na któryś z zebrań pytam wtedy: „Panowie skąd się brali reprezentanci Polski?“. I rozpoczynam od Szymkowiaka. Nie zaczął ani w Ruchu, ani w Polonii Bytom, tylko w Dąbrowce. A Brychczy? Grał w II lidze, kiedy zaproponowałem go do kadry B. Trener mi mówi wtedy: „Jak on do Warszawy przyjedzie, to do spodni narobi.“ A ja do „Kiciego“ tylko: „Słuchaj, graj tak, jak u siebie w klubie“. A Ernest Pohl? Skąd był? Z Rudy Śląskiej. I na tym zebraniu dalej tłumaczę: „Panowie, gdzie dawniej prowadzono tylko dwie albo trzy drużyny w klubie?“ W Śląsku były dwa zespoły trampkarzy, dwa juniorów, drużyna rezerw i pierwsza. A wszystkie startowały w rozgrywkach.

- Ze Śląska Świętochłowice trafiłem do reprezentacji. Najpierw zagrałem ze Szwajcarami. A potem z Węgrami. Wtedy,

Berlina. Tam pojechał Cebula razem ze swoim szwagrem Reinholdem Gadem, też piłkarzem ze Świętochłowic. Reinhold zginął na wojnie jako żołnierz Werhmachtu. Wszedł na minę. Niemiecką... Cebula miał więcej szczęścia. Do niemieckiej armii poszedł z Edmundem Giemśą, piłkarzem Ruchu.

- Panie, co ja z nim przeżyłem... Stacjonowaliśmy we Francji, niedaleko niemieckiej granicy. Dowiedziano się, że przyjechało dwóch, co grali kiedyś w reprezentacji Polski. I zaczęto nas kaperować. Były tam trzy drużyny. Jedna na trzecim miejscu, inna na piątym i taka, co zajmowała przedostatnie miejsce w rozgrywkach. Żeby nas pozyskać, przynoszono nam tyle jedzenia, że wojskowego nawet nie ruszaliśmy. Żyliśmy jak pączki w maśle. W końcu pytam Giemśę: „Edmund, to do jakiej drużyny pójdziemy?“. Myślałem, że do tej, która była na trzecim miejscu. Usłyszałem: „Mnie to zostaw“. I podpisaliśmy zgłoszenie do... najstarszej. Giemśa mi wytłumaczył: „Przez mo sklep kolonialny i mleczarnio“. Nie zagrałiśmy ani jednego meczu, bo przyszła zima. A potem nas przenieśli. W końcu z niemieckiego wojska trafiliśmy do Andersa. Najpierw wzięli nas do niewoli. Kobiety nas wzięły, „pestki“.

- We Włoszech grałem w naszej drużynie wojskowej. Po meczu w Neapolu przyszli do mnie z Lazio Rzym. A ja? Taki dureń... Kto mi uwierzy, że Włosi chcieli mnie wcześniej niż Bonka... Mnie chcieli i Dybałę, lewoskrzydłowego. A ja mówię: „jadę do domu, mam żonę i dziecko“. Przyszedł do mnie Bułanow, który wtedy trenował reprezentację korpusu: „Słuchaj, jak zostaniesz, Anders ci ściągnie żonę i dziecko“. A ja dalej: „chcę do domu“.

- Kiedy wróciłem, to zacząłem grać w Śląsku, ale przyszli do mnie z drużyn chorzowskich - Ruchu i AKS-u. AKS był lepszy zaraz po wojnie. Ale mnie jakoś bardziej do Ruchu ciągnęło. Najtrudniej było w meczach kwalifikujących do ligi. Pojechaliśmy do Tarnowa. Było zimno, śnieg z deszczem. Mówię do kierownika drużyny: „Ryszard, potrzebuję halbę“. Zdobył. I przyniósł do szatni. Idę do Waltera Broma, który był wtedy naszym bramkarzem. A on pił chyba od urodzenia. I jemu leję pierwszemu. Przeszedłem całą drużynę. I podchodzę znowu do Broma, bo dla niego jeden to przecież nic. I nie wziął tego drugiego. Myśmy tam zremisowali. W całej mojej karierze zawodniczej i trenerskiej w Ruchu, najtrudniejsze było to dojście do I ligi. Później, wiadomo, w 1951 roku zdobyliśmy Puchar Polski i to wtedy dawało

mistrzostwo. Wróciłem też do reprezentacji. I z Czechosłowacją znowu poszło kolano. W Piekarach doktor Wąsik mnie pytał, czy nie chcę iść na rentę.

Edward Cebula jako jedyny w historii polskiej piłki nożnej był w jednym sezonie - w Ruchu - jednocześnie piłkarzem mistrzowskiej drużyny i jej trenerem.

- Graliśmy z Polonią Bytom. W nocy nie umiałem spać. Nie miałem nikogo na lewą pomoc, na Trampisza. Kombi-nowałem, kombinowałem. I sam siebie wystawiłem.

Pytam o mistrzowską drużynę. Jaka była?

- Ja panu zaśpiewam: Nas jedenastu, a was tysiące! Jedna tylko myśl! Podczas zabawy czy na boisku ta jedna tylko myśl! Niech żyje nam, niech rozwija się klub, w którym każdy zuch to ruch! Nasz Ruch to Unia Ruch! Niech strzela bramki, jak się tylko da! Niech każdy jej bojowość zna! Niechaj zwycięstwem wszyscy jej cieszymy się! Nuczimy piosnkę tę: Bomba i Gebur, Wyrobek w bramce, bronią się jak lwy! Suszczyk, Bartyla też ich wspomogą a może Cebula też! Atak zaś rwie! Jaki, się spytacie! Ależ każdy wie! że Ruch, nasz Ruch, kochany Ruch! Gdy Cieślik, Alszer i Przechotka też pociągną, to na pewno wiesz, że bramka będzie! Chór kibiców ryczy „gol“! gdy Cieślik strzela gol.

W 1953 roku „Niebiescy“ z Cebulą już tylko w roli trenera obronili tytuł. A w sezonie następnym...

- Działacze znaleźli pretekst, że niby młodych nie wprowadzam. Wezwał mnie do siebie dyrektor „Azotów“ („pod które“ Ruch należał): Nie zależy nam na Cieśliku i na Wyrobku, mamy lepszych i młodszych piłkarzy. Powiedziałem, że ja nie chcę, by zespół skończył w III lidze. Przystali do domu papier. Wyrzucili jak szmatę. Dowiedzieli się w Polsce. Kto tu w tym pokoju nie siedział... Przyjechało dwóch dyrektorów z Kalisza. Jeden mówi: „Dam panu wagon desek“. Drugi: „Ja dam wagon cegieł“. Przyjechał Szlajfer, sędzia międzynarodowy ze Szczecina. Wziął mnie ze sobą. Jedziemy po mieście, każde zwolnić kierowcy, wokół same wille. „Jeżeli któraś się panu podoba - to my staniemy... I to będzie pana.“

Zadnej willi Cebula nie wybrał. Trenował śląskie drużyny, między innymi Górnika Zabrze, z którym także zdobył mistrzostwo kraju. Prowadził kadrę juniorów, w której grywał wówczas także i jego syn - Henryk. Był również współpracownikiem szkoleniowców reprezentacji seniorów. Pomagał przygotować zespół narodowy Tadeuszowi Forsysiowi do pamiętnego - wygranego 2:1 - meczu z ZSRR na Stadionie Śląskim w 1957 roku.

- Po meczu Gierka zaprosił nas na kawę i ciasto. Zadzwoniony, dziękował. Pyta: macie jakieś życzenia? I wtedy wstaje Jankowski z Zabrza „Wicie - mówi do Gierka - jak przyniosła ta sztraffa na ten geltag, to żona pado: Co ty, pieronie, nie robisz, czy co, że tak mało zarobisz? Bo nom piszą bu-melki, że my pojechali na obóz.“ No to Gierka razem ze Stachoniem obiecali, że się zajmą tą sprawą.

Kiedyś człowiek się cieszył, że mógł grać. Dzisiaj miliony zbierają, a my... Raz w miesiącu chodziliśmy do klubu po przydział: jajka, ser, masło. Mistrzowie Polski, tyle dostawaliśmy. Kiedyś zorganizowałem mecz w Kielcach, za... gęsi. To było w 1951 roku, kiedy trenerem Ruchu był Koncewicz. Wstydził się z nami jechać, ale torbę na te gęsi dał. Już jak sam byłem trenerem, prowadziłem odprawę przed meczem. Wyrobek coś notuje. Skończyłem i pytam: „Pingol, coś notował? Pokoż.“ A tam: masorze - dziesięć biletów, piekork - sześć biletów, szewc - cztery.

Kiedy pytam Cebulę, co mu dała piłka, opowiada o którymś z spotkań oplatkowych organizowanych przez Ruch. Honorowa prezes klubu - Barbara Blida - była wówczas jeszcze ministrem budownictwa.

- Kiedy dzielił się z nami oplatkiem, to mówię: ma pani funkcję, że rzadko taką może mieć, ale ja, gdybym tylko mógł wybierać, bardziej niż ministrem wolałbym być trenerem.

Przed pożegnaniem opowiada, że jeden ze znajomych ma wnuka, który podjął treningi w Ruchu.

- Zawozi go, odwozi. Jak będzie cieplej, pójdę sobie zobaczyć, co też tam z tego małego może być...



Foto: Piotr Rębacz

Wierny

- Niedawno zajął pan wysokie siedemnaste miejsce w plebiscycie na Ślązaka stulecia. W głosowaniu czytelników „Gazety w Katowicach“ rywalizował pan nie tylko ze sportowcami, ale i z politykami, pisarzami, naukowcami czy duchownymi...

- Jest to dla mnie bardzo duże wyróżnienie. W ogóle nie myślałem, że znajdę się w gronie sławnych i znanych ludzi, których w tym plebiscycie wybrano. Trudno powiedzieć, dlaczego o mnie pamiętano. Może dlatego, że cały czas jestem ze Śląskiem związany, nigdy z niego nie chciałem wyjeżdżać i poza nim urządzić sobie życia.

- Zszedł pan z boiska przed ponad czterdziestu laty. Każdy piłkarski dorobek można zmierzyć liczbą zagranicznych meczy czy strzelonych bramek, ale przecież nie tylko to przesądza o ludzkiej pamięci.

- Byłem i ciągle jestem związany z jednym klubem. Wszystko przecież zaczęło się już przed wojną, kiedy jako dwunastoletni chłopak zostałem trampkarzem Ruchu. Ten klub był i jest dla mnie wielką świętością. Nigdy nie myślałem, by z Ruchu odejść. Panowała tu zawsze rodzinna atmosfera. Dzisiaj jest tak samo. To chyba ten klimat powoduje, że w całej Polsce mamy wspaniałych kibiców.

- Niedawno można było w Chorzowie oglądać wystawę poświęconą dziejom piłki nożnej w mieście. Zgromadzone pamiątki przypomniały nie tylko najważniejsze wydarzenia w historii klubów, ale i najciekawsze epizody w historii Stadionu Śląskiego. Na czołowym miejscu można było dostrzec pierwszą stronę gazety „Sport“, wydanie

z 21 października 1957 roku. Gazeta wychodziła jeszcze w Stalinogrodzie, ale tytułem na niemal pół kolumny z triumfem obwieszczała zwycięstwo polskiej reprezentacji nad ZSRR. Dzięki pańskim dwóm bramkom...

- Po wygranej 3:0 meczu w Moskwie piłkarze Związku Radzieckiego byli pewni zwycięstwa w Chorzowie, a jednak byliśmy lepsi. Zostaliśmy w ostatniej chwili włączony do drużyny, ale udało mi się strzelić dwie bramki. Ktoś je musiał przecież strzelić... Cała drużyna zagrała bardzo dobrze. Wynik był zasługą wszystkich piłkarzy.

- **Te dwie bramki strzelił pan wówczas Jaszynowi. Grał pan przeciwko niemu kilka razy...**

- Jaszynowi strzeliłem chyba w sumie sześć czy siedem bramek w różnych meczach.

- **Wygrana 2:1 z ZSRR na „Śląskim“ na trwałe wpisała się do kronik. Wcześniej jednak, w 1954, pana drużyna klubowa rozgromiła kijowskie Dynamo 5:0.**

- To była dobra drużyna, zdobywca pucharu ZSRR. Graliśmy na Ruchu we Wszystkich Świętych. Strzeliłem wtedy dwie bramki. Dobrze też mi się grało z innym Dynamo, z Tbilisi. Jako reprezentacja zrzeszenia Unia graliśmy z Gruzynami we Wrocławiu. Padł remis 1:1. Ruch potrafił grać z drużynami radzieckimi. Sami ci sportowcy, piłkarze ze Związku Radzieckiego, to byli wspaniali ludzie. Po meczach spotykaliśmy się, dużo rozmawiali. Inna rzecz, że w tym okresie, piłkarze radzieccy byli już bardzo silni, bo to byli praktycznie zawodowcy, którzy spędzali wiele czasu na zgrupowaniach i nie ulega wątpliwości, że wyłącznie zajmowali się sportem. U nas wtedy tego jeszcze nie było.

- **Trenowaliście trzy razy w tygodniu...**

- Trzy, cztery razy w tygodniu. I to po południu, bo rano się pracowało.

- **Dziesięć razy z rzędu był pan najlepszym strzelcem Ruchu w lidze. Nikt już nie jest w stanie tego osiągnięcia powtórzyć. Raz, że trudno o zawodników, którzy mogą dorównać klasą sportową Cieślakowi. Dwa, że każdy wybijający się piłkarz polskiej ligi prędzej czy później szuka chleba w klubach zagranicznych...**

- Ja cały czas grałem w jednym klubie. Dzisiaj, jak któryś z piłkarzy podpisuje umowę, to podpisuje na dwa, trzy lata. Czy najlepsi będą wyjeżdżać? Myślę, że u nas warunki są coraz lepsze. Z piłką klubową powinno być coraz lepiej, ale nie może dziać się znakomicie, kiedy na mecze przychodzi góra kilka tysięcy kibiców. Z czego klub ma żyć? Dlatego też, żeby istnieć, trzeba sprzedawać zawodników, których chcą bogate kluby zachodnie. Często też sponsor, który pomaga klubowi, bierze w zamian karty zawodników, gdyż nie chce stracić pieniędzy, jakie wyłożył.

- **Wspomniał pan o kibicach. Przychodzi ich niewiele, a jeszcze często wywołują awantury, myślą bardziej o rozróżkach, aniżeli dopingowaniu swojej drużyny...**

- Problemy z kibicami są nie tylko na stadionach, ale i w halach, np. w czasie meczów hokejowych. Zachowanie publiczności meczów piłkarskich chyba jednak ostatnio się poprawiło. Kibicowanie jest coraz lepsze. Ciągłe jednak za dużo jest „łaciny“. Gdybym miał coś powiedzieć kibicom, to jedno: kibicujcie zdrowo. „Za“ swoją drużyną, bo po to się przecież idzie na mecz, ale szanujcie też drużynę przyjeżdżającą. Dwadzieścia albo trzydzieści procent winy za zachowanie publiczności ponoszą zresztą sami piłkarze. Prowokują kibiców swym zachowaniem na płycie. Przede wszystkim za dużo dyskutują z sędzią, który przecież, jak raz zagwizdże, to nie cofnie swojej decyzji. Pomyłki sędziów są w sporcie nieuniknione. I nie zdarzają się wyłącznie dlatego, że ktoś chce krzywdzić piłkarzy.

- **Zdażył pan jeszcze zagrać w 1948 roku z Teodorem Peterkiem, w jego ostatnim meczu ligowym.**

- Tak. Peterek zaś wręczył mi specjalny proporzeczek (który wyhaftowała żona naszego nieżyjącego skarbnika) przed z kolei moim ostatnim meczem w lidze, z Wisłą, w listopadzie 1959 roku.

- **Jako chłopiec oglądał pan mecze znakomitego Ruchu drugiej połowy lat trzydziestych. Później współtworzył pan ligową drużynę następnych dwóch dziesięcioleci. Czym tamta piłka różniła się od dzisiejszej?**

- I przed wojną, i za moich czasów piłkarze normalnie pracowali. Przed wojną każdy chciał grać w Ruchu, żeby mieć dobrą pracę. My graliśmy tylko za dietę i kolację. Dzisiaj zaś młodzi ludzie chcą grać w piłkę, żeby nie pracować. Takie już czasy, zawodostwo. Piłka nie była kiedyś całym życiem. Z roboty szło się na trening, z treningu do domu. Kiedy jednak „przedwojenni“ wyszli na boisko, to grali od pierwszej do ostatniej minuty. Myśleli się też nie oszczędzali. Teraz są przerwy, przestoje, piętnaście minut gry, potem znowu przerwa. Nasza piłka była piłką dla publiczności. Dzisiaj najważniejsze jest wyrachowanie, obrona bramki. Za moich czasów było więcej swobody, więcej radości w grze.

- **W swoim ostatnim meczu ligowym zagrał pan z Antonim Nierobą, który kończył karierę dopiero na początku lat 70. i był jeszcze w kadrze „Niebieskich“, gdy zaczął ją prowadzić Michał Vican.**

- Zrezygnowałem z gry w wieku trzydziestu dwóch lat tylko dlatego, że do drużyny wchodził właśnie Nieroba, że coraz więcej umieli Lerch czy Polok. Zrobiłem dla nich miejsce. Dobrze się chyba stało, bo za rok drużyna zdobyła mistrzostwo.

- **W 1969 roku wybrano pana piłkarzem 50-lecia Polskiego Związku Piłki Nożnej. Następną dekadą, właściwie dziesięciolecie 1972 - 1982, to czas największych sukcesów polskiej piłki.**

- Dla mnie sukcesem była już gra w biało - czerwonych barwach. Bardzo dobrze pamiętam pierwszy mecz po wojnie, z Norwegią, w 1947 roku. Zagrałem w nim z piłkarzami, którzy występowali w reprezentacji jeszcze przed wojną: Szczepaniakiem, Jabłońskim, Baranem. Zagrałem też z Kaźmierczakiem z poznańskiej Warty, który w czasie wojny był więźniem oflagu. Uznałem to za ogromny zaszczyt, że mogłem z nimi wszystkimi być w jednej drużynie. Wiele im zawdzięczam. Miałem dwadzieścia lat. Spotkanie ze starszymi zawodnikami chyba mnie ukierunkowało, bo chciałem im po prostu dorównać. Już wcześniej, w 1946 roku, wspólna reprezentacja Śląska i Krakowa pojechała do Szkocji. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem przed meczem polski hymn, zaczęły mi drżeć nogi. To niesamowite przeżycie.

W latach pięćdziesiątych reprezentacja grała niewiele. Cztery - pięć meczy w roku to było dużo. I jeszcze często co kwartał zmieniano skład. Może i dlatego trudno było o wielkie wyniki.

- **Przeciwko komu nie lubił grać pan w lidze?**

- Najtrudniej grało się przeciwko drużynom śląskim. Najlepsi piłkarze znali się jak lyse konie, chociażby ze wspólnej gry w reprezentacji Śląska, która w tamtych latach grywała wiele meczy pucharowych i towarzyskich z innymi okręgami. Były lata, że z naszego regionu wywodziła się i połowa drużyn pierwszoligowych. Bardzo trudno grało się zawsze Ruchowi w derbach Chorzowa, w meczach z AKS-em. To, że w lidze było tyle zespołów ze Śląska, miało też swoje dobre strony. Na mecz do Bytomia na przykład jechało się tramwajem, tak że klub mógł zaoszczędzić sporo pieniędzy.

- **Po rundzie jesiennej Ruch prowadzi w lidze. Zdobędzie mistrzostwo na osiemdziesięciolecie?**

- Nikt nie przypuszczał przed sezonem, że „Niebiescy“ będą liderem. Mogą nie utrzymać prowadzenia, bo przecież inni też są silni i też chcą wygrać. Musimy chodzić twardo po ziemi. Najważniejsze, że w Ruchu mamy zdolną młodzież. Lepiej się rozwinie, kiedy nie będzie grała wyłącznie pod presją wyników i jeżeli dojdzie do porażek, to nie będzie się z tego robiło tragedii. Jestem pewien, że ta młoda drużyna, która już teraz jest kandydatem do mistrzostwa, za rok zagra jeszcze lepiej.

Rozmawiał

PIOTR ZACZKOWSKI



Rozmowy z
ks. prof.
JÓZEFEM
TISCHNEREM

OBJAŚNIANIE BIBLII

5. Przymierze z Abrahamem

— **Rozpocznę od cytatu ze Starego Testamentu. „A gdy już było Abrahamowi 99 lat, ukazał się Pan i rzekł do niego: uczynię przymierze moje między mną a między tobą”...**

Po Noem, którego Pan Bóg wybrał spośród innych, by uratować przed Potopem, Abraham był drugim człowiekiem na Ziemi wyróżnionym przez Stwórcę. Ale tym razem chodziło Bogu o coś więcej, a mianowicie — o zawarcie przymierza między Nim a ludzką istotą...

— Zatrzymajmy się przy słowie „przymierze”. Oznacza ono jakiś związek pomiędzy dwoma istotami, ale warunkiem jest, aby byli to ludzie wolni. Bez tego nie może być mowy o przymierzu. Wolność jest tu kwestią podstawową. Z przymierzem łączy się również pojęcie wierności, które z kolei odnosi się do istot zdolnych wypełniać zobowiązania wobec siebie przez dokonywanie takiego a nie innego wyboru.

Można powiedzieć, że w historii Abrahama mamy do czynienia z fundamentalnym doświadczeniem wolności oraz wierności, czego nie spotkamy ani w mitach greckich ani w sumeroarkadyjskich. W tamtych kulturach zabrakło owego doświadczenia i jest to zrozumiałe, gdyż wówczas kontakt słowny, samo słowo nie odgrywało aż takiej roli.

W Biblii sytuacja wygląda zgoła inaczej: słowo łączy istoty wolne, wierne sobie, ułatwiając im komunikowanie się, wyzwalać między nimi jakąś więź. Bez słowa żadne przymierze nie byłoby możliwe. Spójrzmy, jak to przedstawia Pismo Święte. Kiedy Pan Bóg woła „Abramie, Abramie”, Abram odpowiada: „Oto jestem”. Czyli słowo Boże, skierowane do Abrama spotyka się z jego odzewem. Tak powstaje więź między Stwórcą a Bożym wybranym. Odtąd ilekroć Bóg zawoła go po imieniu, Abram natychmiast stawia się na wezwanie. Reasumując — z kontaktu słownego dwóch wolnych, lojalnych wobec siebie istot rodzi się coś wyjątkowego — przymierze.

— **Zawarcie jego miało dla Abrahama ogromne znaczenie. Wpłynęło na jego życie i osobowość. Dzięki przymierzemu Abram stał się innym człowiekiem, czego symbolicznym potwierdzeniem jest zmiana jego imienia. Odtąd Pan Bóg będzie nazywał go Abrahamem...**

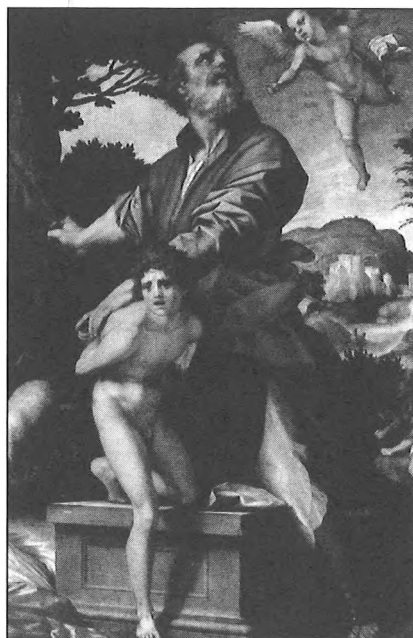
— Nawiasem mówiąc, ten biblijny motyw wykorzystał później Adam Mic-

kiewicz, który chcąc powierzyć Gustawowi — dla potrzeb dramatu — szczególną rolę do spełnienia, nadał mu imię Konrad.

Wracając do Abrahama, Bóg zawarł z nim przymierze bo Abraham zaakceptował stawiane mu warunki, czym zdecydowanie różnił się od Adama. Przypomnijmy o co chodziło. Gdy Bóg zawołał: „Adamie Adamie”, ten odparł „nie ma mnie” i uciekł. Postąpił zatem jak człowiek wolny, lecz niewierny Bogu. Odrzucił Boskie słowo, nie zgodził się na dialog, dlatego o przymierzu nie mogło być mowy... Widać tu dobitnie, ile znaczy wolność; ona kreuje człowieka, jest motorem jego postępowania.

W związku z przymierzem powiedzmy jeszcze jedną rzecz: ów akt miał wpływ zarówno na Abrahama jak i Pana Boga, który przez swój wybór znalazł się jakby w innej sytuacji. Po raz pierwszy zetknął się z przypadkiem absolutnego oddania, po prostu został przez Abrahama uznany, zaakceptowany. Stwórca nie doświadczył tego ani ze strony Adama, ani Noego.

— **Od tej chwili relacje pomiędzy Bogiem a Abrahamem stały się przejrzyste, klarowne. Obydwaj mieli świadomość — co istotne, czego mogą od siebie oczekiwać, przy założeniu, że we wzajemnych relacjach każdy zajmował inne miejsce...**



Andrea del Sarto „Ofiara Abrahama” 1529 r.

— Tak wyglądały początki związku między Stwórcą a człowiekiem, właściwie od tego zaczyna się cała Biblia. Potem św. Paweł będzie mógł powiedzieć: „wszyscy jesteśmy dziećmi Abrahama”.

— **Skoro mowa o naszym praojcu, przyjrzyjmy się bliżej jego losom. Otóż wybraniec Boży nie miał potomstwa z prawego łoża, bo żona Sara była bezpłodna. Tymczasem Pan Bóg obiecuje im syna. Sara nie daje wiary: mając 90 lat wiedziała, że urodzenie dziecka jest w tym wieku niemożliwe. A jednak doczekała się upragnionego syna Izaaka...**

— Powyższe zdarzenie ma również parę znaczeń. Najpierw okazuje się, że Abraham wbrew rozsądkowi uwierzył w obietnicę Pana Boga, że będzie ojcem; nie miał nadziei, ale zaufał słowu Stwórcy. Uogólniając, mamy tu kapitalny przykład posłuszenia się pojęciem „nadzieja”. Grecy w zasadzie go nie znali, tam nadzieję nazywano matką głupich, zaś mity sumeroarkadyjskie odwołują się wyłącznie do wspomnień, odgrzebują przeszłość. Nadzieja miała swój punkt odniesienia w przyszłości.

Odrębną sprawą w historii Abrahama jest dowartościowanie ciała ludzkiego i jego roli w życiu człowieka. Ta, powiedzianym, rehabilitacja ciała była potrzebna dlatego, że w dotąd znanych kulturach ciało było zazwyczaj siedliskiem zła, poddawało się śmierci, bólowi, cierpieniu. W Biblii ciało daje schronienie nadziei.

— **Wracając do relacji między Bogiem a Abrahamem... Pan Bóg wybrał go, zawarł z nim przymierze, wreszcie dał mu syna, by w końcu postąpić z nim w sposób zupełnie dla mnie niezrozumiały. Nakazał Abrahamowi złożyć Izaaka w ofierze...**

— Innymi słowy Pan Bóg skusił Abrahama, aby w imię wartości najwyższej, którą jest Bóg, poświęcił wartość najbliższą, jaką jest syn.

Życie dostarcza wiele podobnych przykładów. Weźmy, pierwszy lepszy z brzegu. Zdarza się nieraz, że jakaś kobieta odchodzi z innym mężczyzną, porzucając męża i dziecko. Po prostu ulega pokusie i poświęca wartości najwyższej, tj. miłości do dziecka, rodzinę. Abraham bez reszty oddany Bogu, dał się jemu skusić i chciał złożyć w ofierze ukochanego syna. Cóż, jak widać, pokusa wpisana jest w logikę człowieczeństwa.

— Myślałam, że chodzi tu o coś innego, tzn., że Pan Bóg chce wypróbować Abrahama, stawiając na szali siebie i małego Izaaka...

— Przeczytajmy tę historię do końca, a wtedy okaże się, że nic złego się nie stało i dramat kończy się szczęśliwie.

— Ale dlaczego Pan Bóg edukując Abrahama używa tak drastycznych

metod? Wystawia na tak ciężką próbę?

— Wszyscy, raz po raz, jesteśmy wystawiani na jakąś próbę. Dlatego sprawa Abrahama jest naszą sprawą. Każdy z nas ciągle przeżywa naszą miłość, naszą wiarę, naszą religię... Robi to w taki sposób, że bylibyśmy skłonni nawet zabić kogoś najbliższego, byleby tylko dać dowód naszej lojalności wobec idei,

spraw czy ludzi. I Bóg nas przed tym ostrzega, tak jak ostrzegł Abrahama. Pan Bóg mówi: człowieku uważaj, bo stoisz w obliczu pokusy, tak nie wolno! I dodaje: miłuj bliźniego jak siebie samego... Można stwierdzić z całą pewnością, że historia ta jest ilustracją mechanizmów, na których opiera się system totalitarny, niszczący wszelkie wartości i ich hierarchie.

6. Ofiara Izaaka

— Zazwyczaj Abrahamowi poświęca się wiele uwagi, dając go za przykład innym. Chwali się go za wiarę, wierność Bogu i gotowość złożenia w ofierze jedyne go syna z prawego łóża...

— Natomiast nie bierze się pod uwagę Izaaka, który jest jakby pionkiem w grze pomiędzy Bogiem a Abrahamem. Rzadko zastanawiamy się, co mógł przeżywać Izaak, ten mały chłopiec, gdy zorientował się, że idąc złożyć ofiarę sam nią będzie? Zgodnie z tym, co napisano w Piśmie Świętym, Izaak zapytał ojca: „oto ogień i drwa, a gdzie baranek na ofiarę paloną?”... Abraham dal mu odpowiedź wymijającą, nie przyznał się, co zamierza zrobić. Dopiero później wszystko wyszło na jaw. Czy zdajemy sobie sprawę co czuł Izaak, gdy w końcu ojciec położył go na stosie? Przeżycia Izaaka zostały w Biblii pominięte całkowicie milczeniem.

Kierkegaard komentując tę scenę twierdzi, że po tym zdarzeniu Izaak stał się ateistą. Z kolei Nietzsche powiada, że człowiek staje się ateistą wtedy, kiedy poczuje się lepszy od swego boga. Tak czy inaczej mamy okazję do zastanowienia się czy przypadkiem opowieść o Abrahamie i Izaaku nie jest ilustracją genezy ateizmu.

— Często coś niedobrego się dzieje w relacjach między człowiekiem a tymi, którzy reprezentują Boga na ziemi, przekazując prawdę o nim...

— Nie przekazuje się Boga ale cały świat, którym Bóg włada. Jakież to jest świat? Świat uczuć... Początek opowiadania o Abrahamie i Izaaku zdaje się sugerować, że Bóg oczekuje, aby miłość do Niego była absolutna, niepodzielna, by wypełniała człowieka całkowicie sprawiając, iż nie będzie w nim miejsca na uczucie do innej osoby, do bliźniego swego. Powtórzmy raz jeszcze: miałoby chodzić o taką miłość, w imię której człowiek, bez wahania dla wartości najwyższej, gotowy byłby poświęcić wartość najbliższą. Jest to fundamentalna pokusa każdej religii każdej wiary. Proponują one nie tylko Boga, ale też pewną koncepcję miłości... Pan Bóg tego nie chce. Pokusa, której poddał się Abraham dlatego jest niebezpieczna, bo jakoś dziwnie odpowiada ludzkiej naturze. Nasze serca są mało pojemne, nie ma w nich miejsca na większe grono bliźnich. Nowe, rodzące się uczucie eliminuje poprzednie. Mówiliśmy już o oszalałej z miłości kobiecie, która dla innego mężczyzny go-

towa jest porzucić męża i dziecko. Inny przykład: zakładając rodzinę, jakże często zapominamy o domu rodzinnym — ojcu i matce. Czym się różni kibic Legii od kibica Widzewa? Można powiedzieć, że niczym. Ale można też uznać, że wszystkim, bo sympatyzuje z jedną drużyną, odrzucając inną. I właśnie ta miłość jest źródłem jego nienawiści.

Wracając do wątku wiary i religii... Największe konflikty w historii naszej ludzkości wybuchają nie tylko pomiędzy innowiercami, ale także, a może przede wszystkim pomiędzy wierzącymi w tego samego Boga. Ile się krwi z tego powodu przelało?...

— **Rzeczywiście te przykłady przewodzą nam na myśl historię Abrahama i Izaaka...**

— Okazuje się, że jeden człowiek wierzący utożsamia się z Abrahamem i traktuje drugiego wierzącego jako Izaaka, którego trzeba poświęcić, posłać na stos. I co najciekawsze, tak się składa, że traktujemy w ten sposób nie swoich wrogów czy nieprzyjaciół Boga, tylko współwyznawców. Inny przykład wzięty z historii. Żydzi prześladowali nieprawowiernego Pawła Szawła bardziej niż pozostałych pogan, choć przecież kiedyś należał do ich gminy.

— **Psychologia dobrze zna ten problem. Największy i najtrwalszy mur nienawiści wyrasta pomiędzy tymi, którzy kiedyś byli sobie bliźcy. Do innych nie czujemy takich uczuć i emocji, mamy co najwyżej stosunek obojętny...**

— Oczywiście, przykłady na to możemy znaleźć w sądach rodzinnych, w których procesy należą do najtrudniejszych, mimo iż toczą się pomiędzy tymi, którzy powinni być sobie najbliżsi, gdyż łączą ich więzy krwi. To ogromny problem, nie tylko moralny ale też problem religijny. Można powiedzieć, że religii zawsze towarzyszy pokusa porzucenia wartości, które zostały przez nas zaakceptowane i uznane za cenne. Kto stał się człowiekiem religijnym rano, ten wieczorem może w imię wiary tworzyć sytuację podobną do relacji Abraham — Izaak.

— **Czyli wiara wyzwala ogromne emocje... Wróćmy jednak do Izaaka, żeby zastanowić się dlaczego po tak przykrym doświadczeniu nie zdecydował się zostać ateistą?...**

— Można powiedzieć, że ateizm jest koniecznym elementem wiary, bo żeby nauczyć się dojrzałe wierzyć, trzeba przejść przez ateizm, przez bunt skiero-

wany przeciwko ofierze z niewinnego. Gdyby Izaak, widząc przygotowany dla niego stos, starał się szukać ratunku i salwował ucieczką, z pewnością zostałby ateistą. Ale Bóg nie chciał, żeby tak się stało. Wysłany przez Niego anioł w ostatniej chwili wstrzymał miecz przygotowany do ciosu. Finalnemu dramatowi pozwolił odbudować Izaakowi pierwotne doświadczenie miłości, które można zawrzeć w krótkim stwierdzeniu: jeżeli kochasz, nie zabijaj, jeżeli kochasz, nie wyrządzaj krzywdy... Natomiast jego ojcu przyszło zrewidować swoje postępowanie, zrozumieć błąd. Abraham za lekcję jak żyć, jak postępować, jak wartościować i jak kochać, zapłacił wysoką cenę.

Izaak, którego potraktowano w Biblii dość przedmiotowo, także został wybrańcem Bożym. I stał się tematem opowieści biblijnych, podobnie jak jego synowie Jakub i Ezaw.

— **Obydwa te imiona braci bliźniaków również kojarzą się z sytuacją konfliktową. Ezaw urodził się pierwszy, Jakub drugi. Ojciec Izaak preferował pierworodnego Ezawa, natomiast matka — Jakuba.**

— Znowu powtarza się problem znany z Kaina i Abla, problem wybrańca. Po raz kolejny pojawia się pytanie, czy wybierając jednego musimy porzucić drugiego...

— **A porzucając, wyrządzać krzywdę... Dlaczego rodzice nie obdarzyli obu synów takim samym uczuciem? Bracia konkurujący ze sobą o ich względy znenawidzili się do tego stopnia, że obaj zaczęli myśleć o bratobójstwie...**

— Czyli znowu wracamy do Kaina i Abla... Trzeba powiedzieć, że historia miłości w księdze Genesis jest historią nie tylko wyborów ale też porzuceń. Bo miłość ludzka, dokonując wyboru jednego, zawsze zakłada porzucenie drugiego.

— **Nasze problemy są sprowokowane przez samego Pana Boga. Takie a nie inne Jego postępowanie. Nieustannie jesteśmy wystawieni na próby, pokusy...**

— Ale też Bóg uczy nas miłości, która nie porzuca, która nikogo nie krzywdzi i nie niszczy. Kochaj bliźniego swego jak siebie samego, to wezwanie do trudnej i długiej nauki. Pani Ewo, czy nie uważa pani, że do dnia dzisiejszego problem ten nie został rozwiązany?...

Rozmawiała:
EWELINA PUCZEK

CHYBA ŻEBY

Kto powinien być prezydentem?

Sprawa nie jest godna gęsiego pióra pana Williama. A przecież ważna. A nawet dosyć pilna. Jednakowoż nie paląca. Chociaż, nie cierpiąca zwłoki. Dlaczego pojawiło się w tym miejscu słowo „zwłoki”? Może dlatego, że kampania (a więc bitwa o prezydenturę, jeszcze się nie zaczęła, a już trup ściele się gęsto. Już wszyscy przeciwnicy urzędującego prezydenta zostali pokonani. Leżą po rowach, nie opodal pola bitwy. Ale, cóż to? Dychają przecie! Co, u diabła? Ano, udają zabitych. Poukładali się w rowach ze strachu. Niewygodnie, ale bezpiecznie. Mokra. Co zrobić, pomogli się. Nie tylko. Ze strachu. Ale nie ma nikogo, kto by ich przewinął. Pampersi wybiłi. Między sobą.

Urzędujący — jak Lech Wałęsa, z upodobaniem, lecz w przeciwieństwie do w/w z powodzeniem, w każdym razie u pań, z których każda wołabaty zatańczyć z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim, niż z takim, bądźmy szczerzy, pokurczem, jak kierowca rajdowy, pan Holowczyc (Nie bądź głupi, nie daj się zabić!) — prezydent Aleksander Kwaśniewski nie musi zrzucić dziesięciu kilogramów nadwagi. Wpadł na lepszy pomysł: wystarczy by stanął obok mecenasa Ryszarda Kalisza. Od razu widać, kto szczupły, a kto gruby. Prezydent Kwaśniewski jest jedynym prezydentem na świecie, z którym nie można wygrać. To jest wielkolud, którego wszyscy się boją. Z wyjątkiem Lecha Wałęsy. Ale Lech Wałęsa jest wyjątkiem. Od zasady. A także kwasów i soli. Kwasy, Kwach, Kwaśniewski! Nie ma ucieczki. Przewodniczący Marian Krzaklewski znalazł się w sytuacji gwoźdźcia, nad którym zawisł młotek. Nie ucieknie przed wyrokiem losu. Póki co, osłania (ten gwoździe) główkę rączkami, ale lada chwila omdlałe rączki opadną. Młotek robi swoje. Trzeba dać się wbić w deskę rzeczywistości, czyli stanąć do wyborów. I przegrać. Nie ma rady na Kwaśniewskiego. Zdarzył się Polsce jeden taki jedyny. Prezydent Dwutyśiąclecia.

Chyba żeby. No, naprawdę, chyba żeby...

Żeby udało się złożyć jednego kandydata z fragmentów.

Z najlepszych fragmentów Hanny Gronkiewicz-Waltz, Lecha Wałęsy, Mariana Krzaklewskiego, Macieja Płażyńskiego, Tadeusza Mazowieckiego, Andrzeja Olechowskiego, Jana Olszewskiego, a nawet, przepraszam za chwilową utratę równowagi, Andrzeja Leppera.

Co wziąć z kogo, każdy ma swój pomysł. Taki wygra.

Pod jednym warunkiem: że jego żoną będzie Jolanta Kwaśniewska.

FELIKS NETZ

O tym, że nie ma dziś sprawy ważniejszej niż zmiana dotychczasowego wizerunku Śląska, nie trzeba się już przekonywać. Wiadomo, iż przez dziesiątki lat powodowani industrialną obsesją usifowaliśmy światu dowieść, że jest to ziemia węgla i stali, w której bije bez wytchnienia niestrudzone serce przemysłowej Polski. Aby wytworzyć i narzucić takie przekonanie trzeba było wydać przepastne sumy, bo już samo zapalenie krajobrazu setkami górniczych szafotów i tysiącami dymiących kominów w oprawie malowniczych hałd musiało kosztować tyle, że mało który kraj mógł sobie na to pozwolić. Ba, żeby to wszystko funkcjonowało należycie w stanie nieprzerwanego ruchu trzeba było utrzymać setki tysięcy górników paradujących w galowych strojach a potrzysających pióropuszcami w rytmie marszów równie strojnych orkiestr dętych. Podobnie z hutnikami, którzy z kolei zajmowali się wytapianiem na pokaz stali co angażowało stale liczne telewizyjne ekipy.

To gigantyczne teatrum wielkoprzemysłowe wymagało utrzymania pod niebem chmur kłębiących dymów i błysków lun, ku radości licznych mistrzów pędzla uprawiających sztukę monumentalnego pejzażu. Goście zagraniczni pod presją obowiązującego protokołu przez dziesiątki lat, w stanie bezwolnego odurzenia, w otoczeniu miejscowych notabli, byli doprowadzani do licznych śląsko-zagłębiowskich kopalń, fabryk i hut, gdzie przebijano ich w oficjalne robocze stroje i kierowano na stanowiska pracy, aby tam mogli wymienić niezliczone uściski w obecności niestrudzonych kamer i fotoaparatów. Szczególnie efektywne były jednak sceny pod ziemią, gdzie ucharakteryzowani mężczyźni, po natarciu pyłem węglowym, radośnie błyskali białkami oczu i przetrzebionym uźbieniem w pokazowym procesie rozgrzania pokładów, co potwierdzali dzielni reporterzy.

To już na szczęście jednak bezpowrotna przeszłość, odkąd udało się zepchnąć na społeczne ubocze rozzechwalone dotychczasowymi przywilejami niezliczone szeregi tak zwanej braci górniczej, tudzież hutniczej, nawykłych do nieustających wizyt roboczych i zbiorowych toastów. Dzięki temu udało się już zlikwidować pewną ilość kopalń i hutniczych pieców a jednocześnie usunąć z krajobrazu kolosalne zabudowania. W miejscach tych zdezcelowanych dekoracji wyrosną już wkrótce nowoczesne supermarkety zwiedzane masowo przez niezliczone tłumy, szczególnie przez rzesze bezrobotnych w ten pozytywny sposób wykorzystujących nadmiar bezproduktywnego czasu.

Co jednak zrobić żeby zmienić tamten fatalny a jakże kosztowny wizerunek własny Śląska, w tej formie niemożliwy do rekomendacji na drodze do wolnorynkowej Europy, nie wolnej przecież od masowych ofiar w następstwie walki na froncie interesów. Długo wydawało się to niemożliwe, no bo jak i kogo promować, skoro Bank Śląski — to już głównie Holendrzy; Fiat tysi — co by nie rzec, Włosi; gliwicki Opel — Niemcy i Amerykańcy, więc gdzie tu nasza własna narodowa oferta, nie zaś kryptokolonialna, jak dowodzi poseł Pęk.

A jednak okazało się to możliwe — tylko trzeba było mieć pomysł godny okrzyku „eu-reka”! Ten rozległ się gromko, gdy doszło do wręcz nieprawdopodobnej wizyty przedstawicieli 52 ambasad i placówek dyplomatycznych akredytowanych w Warszawie. Otóż zaproponowano im zbiorową wizytę w woje-



PODKOPKI

wództwie katowickim, lecz nie po to by włożyć dostojnych gości z rodzinami po niskich pokładach, w zgrzytliwym huku zmechanizowanej ściany z obudową kroczącej, co grozi kosztownym rozwolnieniem w stanie nieuchronnego szoku. Nie, to już nie te czasy i nie tamci goście na spirytusowym napędzie, lecz wielki świat cywiliz-

zowany jak panujący nam dziś smoking.

Organizatorzy tej wizyty postanowili dowieść, iż województwo śląskie to w istocie nie ziemia węgla, zwanego ongiś „czarnym złotem”, ani też stalowej lawy, co telewizyjny spust, lecz kraina pięknych widoków, krystalicznego powietrza, arystokratycznych pałaców, górskich kapel i kuligów oraz wszelakich turystycznych atrakcji. Szczęście zresztą wizycie tej wyjątkowo sprzyjało, bo śnieg spadł wielki i czarny Śląsk stał się skrząco biały. Katowicki dworzec też odświętnie błyszczał, lśniły rozsolonecznione szyby a pospolici clochardzi i nieprzypadni narkomani dyskretnie udali się w inne miejsca współpracując lojalnie z władzami.

Kraina żubrów i koronek

Dostojni goście po przyjeździe oniemieli, długo nie mogąc pojąć dlaczego to przez całe dziesięciolecia narzucano światu wizerunek Śląska jako ziemi skażonych harujących na trzy zmiany. Ależ nie, okazało się, że nie bardziej mylnego! Taka Pszczyzna chociażby, z pałacem godnym monarchy — tylko życie smakować jak za czasów gdy rezydował tutaj cesarz Wilhelm II. Toż to jednak — okazało się — ziemia pierwotnych lasów, w których galopują stada żubrów, dotąd raczej pomijane w urzędowym wizerunku Śląska, z powodów zapewne ideologicznych, no bo jakich?

Szczególne wrażenie jednak zrobili ośnieżające urodą Beskidy: ziemia rozpiewanych górali i istebniańsko-koniakowskich koronek. A jeśli jeszcze zapuścić się w stronę Babiej Góry, to i na niedźwiedzia trafić można — dowiedzieli się raczej strachliwi dyplomaci, jako że to już nie tamte czasy, srogiej zimnej wojny. Wyszło także na jaw, że bogactwo domowej, regionalnej kuchni, może zaspokoić potrzeby dyplomowanych smakoszy: taki sum afrykański, galantyna drobiowa faszerowana jajkami przepiórczymi, a małże nowozelandzkie, sałatki siedmiu stron świata, w tym aborygencka i arktyczna, najlepsza w czas mrozów. Słowem — powiało wielkim światem.

Korpus dyplomatyczny w reprezentacyjnym składzie po trzech dniach wyjechał oczarowany województwem śląskim, krainą żubrów i koronek, trombit i przysypiewek podlewanych miodonką. I stało się jasne, iż Śląsk z takim wizerunkiem może podbić wolnorynkowy świat, także jako region międzynarodowej turystyki. Wystarczy w takich Beskidach pobudować drogi i parkingi, wytyczyć liczne trasy zjazdowe, postawić wyciągi, wnieść pensjonaty w stylu regionalnym, nie mówiąc o urokach starośląskiej gościnności, z którą nie mogą się równać wyrachowani tubylcy z takich chociażby Alp Haidera. A jeśli jeszcze rozwinąć na skalę masową produkcję koronek, póki jeszcze szydełka i nici trzymają babunie po domach! Takie szydełkowanie w świetle lucyza w długie zimowe noce — cóż to może być za interes!

To pewne, iż liczni dyplomaci, którzy gościli przez trzy dni na Śląsku, o niczym innym już teraz nie myślą, tylko jak tu pomóc w wypromowaniu nowego wizerunku Śląska, bo po to tu w interesach przyjechali!

LIMERYKI



Rys. Marek Polanski

EUGENIUSZ DEPTA

1.

Przez całe lato na Martynice
piękna panienka chodzi w tunice.
A dla zabawy,
kto jest ciekawy,
może tunikę wywrócić na nice.

2.

W czasie podróży kiedyś pan Tym
przypadkowo zauważył o Rzym
tam w Watykanie
zadano pytanie:
„Z czym przychodzisz tu synu,
z czym?”.

3.

Na bulwarze w Santa Monica
pies stoi pod palmą i sika.
Papuga to widzi,
z pieska sobie szydzi,
ale na wszystko oko przymyka.

4.

Pewien mufla z Teheranu
wcale nie chciał pijać tranu,
więc imami
pili sami
łypiąc okiem spod turbanu.

5.

Jął wypełzać z lasu wąż
co się w zielsku wije wciąż.
Widząc jak Ewa
jabłko rwie z drzewa
wnet zamierza kąsać jąż.



JULIUSZ WĄTROBA

Kopalnia wierszy

*Kopalni moich wierszy
nie dam zlikwidować!
Niech się minister pracy
ze wstydu w szyb schowa!*

*Choćby chciał dać mi taką
odprawę że ho ho,
ja ciągle będę zjeżdżał
w mój tebek głęboko,*

*i będę czarnym wierszem
ciągle się zachwycał,
choćbym miał denerwować
p. Balcerowicza,*

*choćażbym każdą zwrotkę
wciąż musiał dotować,
to będę wam fedrował
słowa, słowa, słowa...*

*I nikt mnie nie przekona
— o najmiłsi moi —
bo sam to wiem najlepiej:
kraj nasz słowem stoi!*

*Słowem, co takie piękne,
wzniosłe, złotousto!
To nic, że nic nie warte...
To nic, że tak puste...*

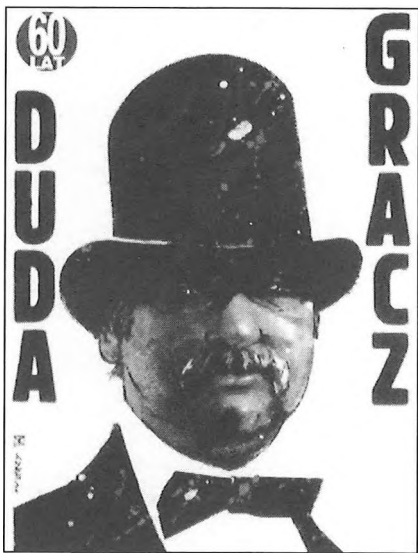
Walentynki

*Wszyscy chyba mi przyznają,
że najlepiej kochać w maju,
boć od Piasta, od stuleci
w Polsce się Marynią cieszył
każdy, kto był tylko w stanie
— bez względu na trzos, wyznanie...*

*A dziś — choć świat lodem skuty —
trzeba kochać się już w lutym,
bo to ponoć dobre dla nas
skoro tak się robi w Stanach.*

*Moja kotka, w pqsach cała,
to już w styczniu się puszczała
i mruczała czule do nas,
że to wszystko przez Clintona!*

*Stąd i u nas Walentynki.
Zrób do złej gry dobre minki,
zażyj viagrę, wszczep rozrusznik
i się kochaj jak sojusznik,
choć wbrew sobie, ale za to,
że wpuścili nas do NATO!*



Wielki benefis

łych komentarzy, bo każdy widzi co widzi. A to też się liczy w czasach mistyfikacji i cwanych erzaców w sztuce. Jak niewielu artystów Jerzy Duda Gracz wciąż trzyma się na wolnym rynku sztuki światnie a już na publicznych aukcjach jego obrazy sięgają z reguły cen górnych..., szczególnie gdy przekazuje swe prace — a czyni to często i hojnie — na szlachetne cele. I kto tu kogo wspiera: państwo Dudę Gracza — czy na odwrót?

W czasach, gdy byt zubożalej sztuki i kultury jest coraz bardziej zagrożony a pozycja społeczna twórcy i artysty ulega postępującej pauperyzacji — taki jubileusz?... Pod honorowym patronatem pierwszej osoby w państwie, prezydenta Rzeczypospolitej!... Nie, tylko Jerzy Duda Gracz mógł zdobyć się na to — artysta nie tylko wybitny, ale i zdecydowany w działaniach w obronie pozycji twórcy i sztuki.

Pojawia się teraz nie tylko pokątne posądzenia, że to, że tamto, że, że, że... oczywiście, że próżny — czy jednak kiedykolwiek ustawił się potulnie w kącie i kłaniał w pas przed byle urzędasem?... Że lasy uznania — a czemuż to akurat twórcy o uznanym dorobku i pozycji społecznej mają schodzić byle pozorantom z drogi?... Że obrotny — a z jakiego to powodu wizerunek artysty ma się kojarzyć głównie z lajzą życiową?

Jeśli więc rozważyć na chłodno to, co stało się tego dnia w Katowicach, okaże się, że Jerzy Duda Gracz doprowadził do ważnej publicznej demonstracji w sytuacji postępującej niemożności środowisk artystycznych vegetujących na pobrzeżach życia społecznego. Wystąpił przy tym w roli artysty suwerennego, o wysokim poczuciu wartości własnej, który nie musi się kierować urzędowym protokołem. Na jego wielki benefis stawili się jedynie ci, których artysta imieniem zaprosił, potwierdzając to własnym podpisem. A pominął na swej liście wielu, bez względu na lokalne układy i hierarchie stanowisk. I o tym się mówi!

Ten despekt nie zostanie mu na pewno długo zapomniany. I co z tego — bo od kogo tak na dobrą sprawę zależy jego sytuacja artystyczna i życiowa? Przecież od lat 30 drażni, oburza, intryguje i prowokuje... zawsze na koszt własny, w zaczepnym, widowiskowym stylu. W tym samym Muzeum Śląskim odbyła się 5 lat temu jego poprzednia jubileuszowa wystawa, wówczas bez wernisażu a nawet oficjalnego otwarcia ekspozycji z udziałem artysty, za to z dosadnie skarykaturowanym autopotretem u wejścia: macie i patrzcie, tak siebie widzę!

Takim był zawsze — demaskatorskim z powołania i temperamentu. W latach zadziornej młodości nie tylko dźgał ostrym piórem satyryka, ale sam wkroczył na dechy kabaretu. Bez tej wrodzonej drapieżności nie powstałyby jego szokujące wiele, błuzniercze sceny z polskiego życia. Lecz także dziś, choć to już inny Duda Gracz, malarz zgrzebnej prowincji i nośtałgicznych pejzaży „przedindustrialnej” Polski, która przemija, zainteresowanie jego sztuką wcale nie osłabło, o czym świadczy tłumy na wystawach. Jego rozpoznawalne obrazy nie wymagają zawi-

nie byłby jednak sobą, gdyby i tym razem nie zagrał na niejednym nosie licznych zawistników, a już szczególnie elitarnych autorytetów celebrujących przy namaszczonej ołtarzykach — używając jego słów — „babci awangardy”. Harcownik narowisty nie mógł się jednak obejść bez demonstracji artystycznej przekory nawet przy tak wyjątkowej okazji. Przecież urodzony pod Jasną Górą 20 marca 1941 roku — jubileusz swego 60-lecia urodzin odprawił w roku milenijnym, a więc o rok wcześniej... wyznaczając sobie tę datę w zgodzie z kalendarzem artystycznym, nie zaś z metryką urodzenia. Nie koniec na tym: jubileuszowa ekspozycja w salach Muzeum Śląskiego 140 „Obrazów prowincjonalno-gminnych. KREŚY POLSKIE 2000”, prac z ostatnich 5 lat, odbędzie następnie wędrowkę przez 22 miasta polskie. Nie, czegoś podobnego jeszcze w Polsce nie było — jubileuszu na tę miarę i skalę, z dwuletnią peregrynacją prac z katowickiej wystawy.

Kim tedy jest Jerzy Duda Gracz artysta nobliwy, który święci swe 60 urodziny w 59 roku życia, a do którego bliski przyjaciel, Wojciech Młynarski, lat temu kilka tak w wierszu wołał:

*Więc głupotę chłoszcz, Dudo-Aniele,
Piotrze Skargo palety i pędzla,
Bo sam nie wiesz jak w sobie masz wiele
Ze srogiego sejmowego księdza.*

Hm... a kogóż to przedstawia na jubileuszowych zaproszeniach i kopertach pękate, uszmińkowane oblicze prześmiwcy z krzepkim wąsem, w meloniku i zamasyżystą muchą? Postać ta sama, magik bądź kuglarz — słowem prestidigitator... wyobrażenie, które artysta sam od dawna narzuca. Lecz tym razem na sarkastycznym tle, w jubileuszową niedzielę 5 marca 2000 roku pojawił się inny Jerzy Duda Gracz — dostojny artysta w świetnie skrojonym smokingu, w otoczeniu dwu urokliwych dam znanych z jego obrazów — żony Wilmy i córki Agaty. W oczekiwaniu na Prezydenta z isticie staropolską wylewnością witał zaproszonych gości, którzy stawili się tłumnie i to nie tylko miejscowi. W takiej liczbie Kraków i Warszawa po raz pierwszy zjechały do Katowic przed rokiem na urodzinowe „Kutnowisko”. To także świadectwo pozycji artystycznej i kontaktów osobistych Dudy Gracza. No i ta prestiżowa wizyta prezydenta RP i jego słowa o roli kultury narodowej, zaproszonego przez Jubilata także z myślą o pro publico bono.

Podczas uroczystości otwarcia jubileuszowej wystawy oraz towarzyszącej ekspozycji prac przyjaciół i mistrzów artysty, pt. „Osobni”, Jerzy Duda Gracz silnie wybił sprawę budowy nowego gmachu muzeum, co Prezydent z miejsca podjął, podtrzymując zadeklarowany przed rokiem swój oficjalny



Foto: Janusz Pilszack

patronat nad budową tego oczekiwanego obiektu. Po zwiedzeniu obu wystaw doszło także do ważnego spotkania w dyrekcji Muzeum z senatorem Kazimierzem Kutzem, który stanął na czele zarejestrowanego właśnie, dzięki zapobiegliwości dyrektora Lecha Szarańca, Komitetu Budowy Nowego Gmachu Muzeum Śląskiego. Szczególne znaczenie mają wysiłki Prezydenta o pozyskanie na ten cel znacznych środków z Niemiec, stanowiących należną rekompensatę za dokonany przez niemieckich okupantów bezprecedensowy akt rozbiórki w Katowicach nowoczesnego gmachu, który jako „pomnik polskości Śląska” nie miał prawa istnieć.

Jubileuszowy koncert odbył się w Teatrze Śląskim a jego precyzyjny scenariusz miał kilka wątków zmierzających do ceremonii koronującej. Program został przygotowany pod znakiem polskości. Utwory Chopina zagrał katowicki pianista Zbigniew Raubo. Następnie zaprezentowane zostały sceny z „Opisu obyczajów” ks. Jędrzeja Kitowicza w adaptacji i reżyserii Mikołaja Grabowskiego — spektakl tyłem barwny, co dosadny... jak zjadliwie malowidła niedgłęjszego J.D.G... Tonacja rzewna zabrzmiała niebawem w „wiązance dla Dudy”, ta z nuty Polski sielsko-gminnej, z udziałem solistek Opery Śląskiej Aleksandry Stokłosy i Izabelli Tarasiuk oraz zaprzyjaźnionego z Jubilatem od lat Wiesława Ochmana. No a potem, gdy w obrzędowym korowodzie pojawił się autentycznie ludowy zespół Pieśni i Tańca „Roztocze”...

I tak nastąpił oczekiwany wielki finał. Na pustej, rozświetlonej scenie zasiadł w stylowym fotelu uroczysty jak nigdy, acz i rozbawiony chwilami wdzięcznie, DOSTOJNY JUBILAT. Za chwilę na scenę wstąpił Prezydent Najjaśniejszej, Aleksander Kwaśniewski, by w uznaniu wybitnych zasług dla kultury polskiej udekorować Jerzego Dudę Gracza — Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Wystąpienie Prezydenta wzniosłe, lecz także dowcipne, przyjęte zostało świetnie. Potwierdziło się też, iż Jerzy Duda Gracz nie tylko umie mówić, ale nie spieszy go żadna scena w światłach reflektorów. Instykt widowiska i świetny refleks — jakby odgrywał dobrze przygotowaną rolę.

No a potem, gdy kolejno wkroczyli na scenę zapowiadani holdownicy w pochodzie życzeń i laudacji!... Kwiaty, gratulacje, urodzinowe dary. To brawa, to śmiech. Dyskretne ukłony „dystyngowanego” Jubilata w smokingu „prosto z igły” i zamasyżyste uściski. I wreszcie ta uczta, jakby na przekór przestrogom księdza Kitowicza z czasów saskich.

TADEUSZ KIJONKA

5 marca 2000 roku w Muzeum Śląskim w Katowicach odbył się wernisaż wystaw „Jerzy Duda Gracz - obrazy prowincjonalno-gminne. Kresy Polskie 2000” oraz „Osobni” zorganizowanych z okazji jubileuszu 60-lecia urodzin Jerzego Dudy Gracza.

MONIKA BRANICKA

SKARGA KLASYKA
Skarga klasyka, czyli takiego artysty,
który zamiast
awangardowych poszukiwań zajmował
się szlifowaniem
języka swoich poprzedników:
„Ależ doskonale wiedziałem,
jak mało świata zagarnia sieć moich fraz
i zdań.
Niby zakonnik, skazujący siebie
na ascezę, nekany
przez erotyczne wizje, chronilem się
w rytm i ład składni
ze strachu przed moim chaosem.
Czesław Miłosz
Z tomu: *Piesek przydrożny*

Osobny i osobni

Zazwyczaj jubileusze dają okazję do przeglądu dokonań, tryumfów, wyliczania laurów, retrospektywy sukcesów i prezentacji dokonane-go, choć są i takie, które tworzą okazję do wyznań i do refleksji. Jednym z nich jest wystawa „Jerzy Duda Gracz - obrazy prowincjonalno-gminne. Kresy Polskie 2000”, prezentująca 110 kompozycji z kontynuowanego przez Dudę Gracza od około 1986 roku, cyklu „obrazów prowincjonalno-gminnych”. Autor dokonuje przeglądu prac z ostatnich pięciu lat wieku powstałych na plenerach w miejscowościach położonych na pograniczach Polski. Wystawa ta prowadzi przez labirynt obrazów - światów nierzeczywistych, w których odnaleźć można to, o czym zapomina się w natłoku codzienności. To wsparta na słupach z tektury „Świątynia Marzeń”, zamek na piasku i notatnik - jak sam o sobie mówi artysta - „chorego na Polskę”, który chce zatrzymać czas, wspomnienia, ukochaną i najprawdziwszą prowincję, tradycję i obyczaje oraz Polskę, odchodzącą w niepamięć: tę Polskę prawdziwą, skrywaną w zaścianowanych kompleksach i wstydzie, z polskimi grzechami głupoty, z gorącą wiarą i równie żarliwą obłudą, a ponad wszystko: prawdziwą, a nie kreowaną. Takiej Polski i takich miejsc coraz mniej, dlatego też trzeba doń peregrynować aż na kresy, aż do granic, do miejsc najodleglejszych i najbliższych zarazem.

Miejsca owych artystycznych „pielgrzymek” to położone na czterech krańcach Polski małe miejscowości: na Południu wieś Brzegi w Tatrach, na Wschodzie - Nadrzecze, na Zachodzie - Łągów, na Północy - wieś Buk i w samym środku Polski, koło Częstochowy - wieś Kamion nad Wartą.

Oglądając tę wystawę wysłuchać można swoistej artystycznej spowiedzi o tym, co ważne i co ulotne, co trudne lub nie do pokonania; o tym, czego się nie potrafiło, co gdzieś umknęło, o czym się zapomniało i czego się jeszcze nie wie. Artysta o duszy buchaltera w swoich obrazach wylicza miejsca, osoby, pamięci i zapomnienia, smutki, tęsknoty, żale, zachwycenia, chmury, słońca, polne wiatry wśród przydrożnych wierzb i zagubione anioły samotnie przycupnięte przy drodze, co to czekają na swoje wielkie niespełnienia.

Jak klatka po klatce oglądamy „świat według Dudy”: wieś z grząską drogą i gęsiami wedle niej oraz burka z podwórka, co cudnie paskudny, co dzień obszczekując tę samą sąsiadkę, wlecze za sobą psich trosk łańcuch lirowy. Bo czyż można wytłumaczyć się ze swoich marzeń i wyobraźni? Można snuć opowieści zawiłe i te całkiem proste o rzeczach najważniejszych i całkiem błahych, opowiadać o wzlotach i upadkach, dzielić się sukcesami i porażkami, snuć refleksje dotyczące życia, przemijania i swojej twórczości. I chyba są to opowieści bardzo szczere, skoro zdradzają nawet to, co zazwyczaj wstydliwie skrywane jest przez artystów: szkice.

Świat Dudę Gracza lubi, albo i nie, lecz wciąż go nie zna. Zarzucając mu ironię i złośliwość, demagogię i moralizatorstwo, prześmiewczość czy sarkazm, większość z widzów kojarzy artystę z - jak to nazywają - „publicystyką”, z „Wieżą Babel”, czy „Jeźdźcami Apokalipsy”. A jednak, okazuje się, że wciąż za mało osób wie, że ta „walka o normalność” już jest za nim, że stoczone - wygrane lub przegrane bitwy, w nadziei i o nadzie-

ję - dawno minęły, gdyż od lat maluje on patrząc nie na nas, ale na naturę, na swoją pamięć i marzenia. Jego obrazy z bardzo „konkretnych”, wyraźnie, mocno i stabilnie skonstruowanych, „zapiętych na ostatnie pociągnięcie pędzla”, zmieniły się w bardziej ulotne, zwiewne, niedopowiedziane i enigmatyczne; koloryt z ascetycznej, zdecydowanej brunatnej gamy zmienił się w ledwie zasugerowany, bardziej rozjaśniony, pastelowy. To już nie te mocne, „materialne” postaci, lecz ulotne zjawy z wyobraźni, duchy wspomnień z przeszłości, która była i nie była... Jedyne, co jest tu teraz prawdziwe, to ukochany pejzaż, którym wciąż się zachwyca i którego nigdy dosyć. Jak mówi sam artysta: „Maluję rekonstrukcje świata, który przemija, odchodzi, rozpada się; byłe ulice, stare kościołki, resztki chałup, strzępy pejzażu. (...) Maluję świat umarły, świat niespełnionych marzeń, świat złożony ze strzępów pamięci, obrazów, rozmów, starych fotografii, tęsknoty, lęków, miłości, gorzkości i ciepła. Wśród postaci wypełniających ów pejzaż coraz mniej ludzi realnych, bo wymierają. Zdarza się jeszcze jakiś robot z PRL-u, jakaś biurwa, „Częstochowianeczka”, tkliwy głupek lub „wiecznie żywy” betonowy lider życia publicznego. Ich miejsce zajmują stare staruszki, łysi staruszkowie, baby, dewotki, kobity w zapaskach i chłopcy w sukmanach. Coraz częściej mieszają się z nimi umarlaki, strzygi, wampierze, ogoniaste i paranoiczne debiliusze, deliryczne kotopsy, anielice, pokusy, grzesznice, umarte dziewczynki, nieżywe i stare hrabianki, zgrzybiałi ulani, wypłowiali sarmaci, szlachcianki i husarze. (...) Bardzo dużo jest tego, z czego sklejam moją malowaną Pol-

skę, spieszę się, żeby zdążyć z tym, co gubię w pamięci, co było, (a może nie było?) lub kogoś, kto odszedł, Gdzieś Tam. I nie pojmuję czy pamiętam go z obrazu, czy spokaliśmy się naprawdę? Spieszę się, bo moja Polska topi się coraz szybciej jak zeszłoroczny śnieg, a ja chcę zdążyć ją namalować, chociaż to absurd, bo ona jest przecież tylko we mnie i umrze razem ze mną“.

Jerzy Duda Gracz mówi językiem najprostszym i najpiękniejszym: językiem miłości; mówi o tym co kocha i co dla niego jest najważniejsze: o ludziach, o miejscach, o pięknie i tradycji, o sztuce polskiej, o jego czasie i twórczości. A jednak wciąż wydaje się, że nie wszyscy zechcieli się w ten monolog wsłuchać i nie przez wszystkich został on zrozumiany. Jest on klasykiem, który - jak w wierszu Cz. Miłosza - skarży się, jakby chciał powiedzieć: wysłuchajcie tych, których ukochałem, a być może w ich dziełach łatwiej wam będzie dostrzec to, czego ja sam przez trzydzieści lat nie potrafiłem powiedzieć. Właśnie to prac mistrzów i przyjaciół Jerzego Dudy Gracza; osób o pokrewnej postawie artystycznej, które zajmują podobne miejsce w sztuce polskiej, składa się wystawa pt. „OSOBNI”: Jerzego Krawczyka, Władysława Hasióra, Zdzisława Beksińskiego, Franciszka Starowieyskiego, Kiejstuta Bereznickiego, Antoniego Fałata, Zbysława Marka Maciejewskiego, Mariana Michalika i Józefa Panfila.

Choć twórczość wszystkich dziesięciu autorów jest bardzo odmienna, to jednak łączy ich decyzja o wyborze takiej drogi artystycznej, która miała prowadzić z dala od głównych nurtów sztuki im współczesnej. Nie włączając się do żadnego z bieżących jej kierunków i nie będąc wciąż á la mode, artyści ci pozostawali o b o k „wielkich rewolucji” w sztuce XX wieku. Bywało, że pomijani w przeglądowych opracowaniach o sztuce współczesnej, bez możliwości zaszklakowania czy zaszeregowania: obok unizmu Strzemińskiego, postkoloryzmu kapistów i nowoczesności informelu, pozostawali OSOBNI. Ci „epigoni” tradycji, zamiast odkrywać „nowe” prawdy w sztuce ku jej zbawieniu, zbudowali własny świat osobistych prawd, zachwyty i wizji, radości i lęków, fascynacji i strachów, zauroczeń i obsesji.

Twórców tych łączy zatem artystyczne wyznanie prawd wiary, o których - jak się wydaje - sztuka współczesna dawno już zapomniała, a które wyrzucone zostały na śmietnik jako zbyt akademickie, zacofane i epigońskie: **tradycja sztuki i kultury łacińskiej, piękno oraz warsztat.** Właśnie to **credo** jest powodem owego artysty-

cznego eremityzmu, a pojmować je należy jako inną niż rewolucyjną (czyt. awangardową) postawę w sztuce. Zamiast pogoni za „Zachodem“, leczenia kompleksów westchnieniami za Ameryką i platoniczną miłością do Europy, miast salonowych rozmów o tym, iż „polska wydała go ziemia” i kopiowania sztuki z importu, artyści ci pokazują to, co jest im najbliższe, wokół czego wyrastali: „kraj lat dzieciennych”, to co jest im bliskie, dla nich prawdziwe. Pokazują naszą drugorzędność, to co zapomniane, wyśmiane i przedrzeźniane, co brzydkie i szare - dla nich liryczne i wzruszające. Artyści ci udowadniają także, iż aby tworzyć, należy mieć ogromną świadomość sztuki. Według nich nie ma sztuki obiektywnej, uniwersalnej czy międzynarodowej, ma ona zawsze związek z twórcą i z jego światem. Zbędnym jest zgłębianie wyabstrahowanych problemów malarskich czy przekazywanie enigmatycznych stanów świadomości i emocji, lecz należy malować to, co się czuje i co się widzi, co boli, i co cieszy, co się kocha, i co nienawidzi. Artysta musi być wierny przede wszystkim sobie. Twórczość ta jest także zaprzeczeniem liniowego charakteru rozwoju sztuki, który błędny już w swojej koncepcji „rozwoju” sugeruje, że to, co wcześniejsze miało być gorsze od późniejszego. Jeśli zatem - zgodnie z regułą *repetitio es mater studiorum* - w całej historii sztuki naśladowanie nauczyciela czyniło mistrza, a mimo to (a może dzięki temu) sztuka nie pozostawała w miejscu, to dokąd brnie owo samolubne, bałwochwalcze dziecko współczesności - „oryginalność”, któremu nie wypada oglądać się wstecz, bo zostanie posądzone o naśladownictwo i wtórność? Nie można nie korzystać z doświadczeń innych, a skrywanie tego jest obłądą awangardy obalającej tradycję. Czyż zatem nie należy raczej przyjąć bardziej spiralnego charakteru postępu w sztuce? Czy nie kończyły się zawsze krytyczne momenty w sztuce powrotami do przeszłości, do ponadczasowych wartości i do szeroko rozumianej tradycji? Czymże zatem są wszelkie klasycyzmy, jeśli nie odwołaniem do czasu minionego? Niniejsza wystawa jest dowodem takiego odwoływania się artystów współczesnych do przeszłości, do tradycji i - co być może okaże się w przyszłości w oczach następnych pokoleń - dowodem na istnienie w sztuce współczesnej pewnych nurtów klasycyzujących.

Sztuka twórców obecnych na wystawie odwołuje się do podstawowych wartości humanistycznych, przedkłada rzeczywisty kontakt z odbiorcą, obraca się wokół problemów

bliskich człowiekowi i jego świata, a nade wszystko, mówi o jego pięknie - nawet, jeśli miałyby pokazać je poprzez kontrast i przyzmat brzydoty. Autorzy dzieł zebranych na tej wystawie od nowa uczą nas patrzeć na większą chalupę, gęsi drepczące wzdłuż drogi, „kobyłkę u plotu”, dzbanek, cebulę i pejzaż ze stodołą, zastanawiać się nad ulotnością ludzkiego istnienia i przemijaniem naszym oraz naszych przedmiotów; porywają prostymi, ludzkimi emocjami: miłością i nienawiścią, smutkiem, nostalgią, żalem za minionym czasem i pięknem oraz pamięcią po nas pozostającą; mówią o marzeniach, snach, pragnieniach, o naszych wadach i zaletach, o blichtrze pozorów i żalosności prawdy. Jednym słowem - ich sztuka to dialog z widzem, dialog prowadzony jego językiem i o jego świecie: cóż zatem bliższego humanizmowi? Bo miarą wszechrzeczy jest człowiek - wartość tak bardzo zapomniana we współczesnym świecie. Być może właśnie dlatego, ich twórczość wzbudza tyle emocji... Lecz czyż właśnie nie na tym ma polegać sztuka?

Wobec końca wieku i końca tysiąclecia, w chwili sporządzania tyłu mniej lub bardziej potrzebnych rankingów i rozrachunków z XX wiekiem, warto zapytać o rzeczy istotne: czego potrafiliśmy się nauczyć przez ostatnie sto lat, w którym miejscu jest obecnie sztuka polska, co nią wniesiemy w nową erę i co pozostanie po nas dla przyszłych pokoleń? Wystawa pt.: OSOBNI nie jest pokazem grupy artystycznej ani formalnego stowarzyszenia. Nie wydano żadnego manifestu z okazji 2000 roku. Grupa twórców sobie bliskich dokonuje manifestacji sztuki niezależnej i prawdziwie wolnej od tego, co modne, co aktualne, oficjalne i aspirujące do posiadania monopolu w sztuce współczesnej. To pokaz artystów osobnych, indywidualnych i suwerennych, których oprócz pasji tworzenia własnego świata, łączy talent oraz kontynuacja tradycji kunsztu i warsztatu. Ta wystawa, to także pożegnanie z XX wiekiem i pierwszy na nowe stulecie salon niezależnych, a także wydarzenie artystyczne dedykowane tym, którzy będą tworzyli sztukę polską XXI wieku. Jest to dowód na żywotność malarstwa, które narodziło się razem z człowiekiem i mimo ogłaszanej wielokrotnie w tym stuleciu jego śmierci, jest zjawiskiem wciąż żywym. Może zatem, na tle wydarzeń milenijnych, wystawa ta warta będzie odnotowania w rozmyślniach o kondycji malarstwa polskiego oraz okaże się być ważkim głosem w dyskusji o sztuce mijającego stulecia?



F. Starowieyski „Wniebowzięcie św. Sebastiana” rysunek, karton 100x70, 1994 r.



K. Bereźnicki „Uczta” olej, płótno 90x116



Z. M. Maciejewski „Lęk i pustka” tempera, akryl, płótno 137x200 1978 r.



J. Panfil „Smordzewice” (tryptyk) olej, płótno 13x48 cm, 1889/92 r. (fragment)



J. Krawczyk „Pracownia II” replika, olej, płótno 87x49, 1969 r.



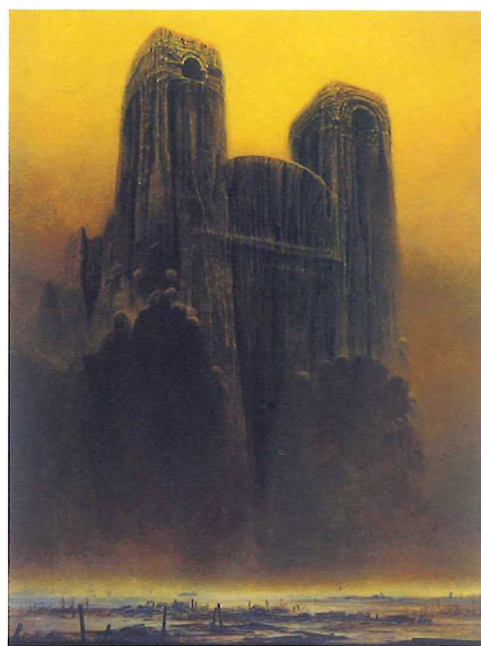
W. Hasior „Sztandar Gwiazdy Filmowego Festiwalu” assemblage, 1976 r.



J. Duda Gracz obraz 1786 r. (pamiętka z Barlinka – Anioł Śmierci) olej, płyta 122x90 1997 r.

„Osobni” i Jerzy Duda Gracz

Wystawa w Muzeum Śląskim



Z. Beksiński, 1987 r., olej, płyta 133x97



M. Michalik „Rok 1982” z cyklu „Stan wojenny” akryl, płótno 120x120, 1982 r.



A. Falat „Pamiętka Anny Frank” akryl, płótno 110x100, 1988 r.



Szalony bodypainter, 150x200

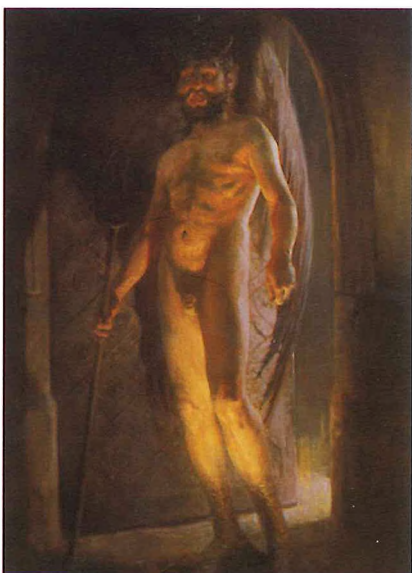


Syrenka, 150x200



Zalotnica, 130x97

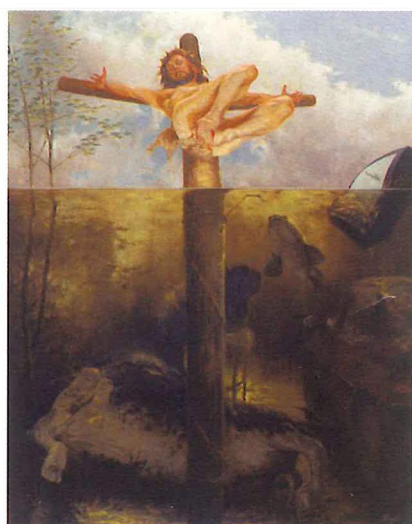
PIOTR NALIWAJKO



Portier, 198x130



M B CZ J B, 150x200



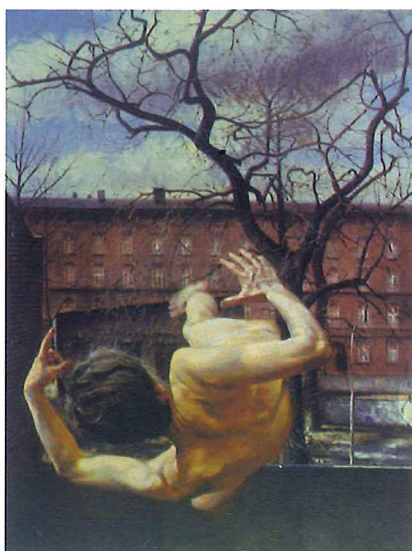
Powódź, 218x287



Byk, 218x287



Rajski ptak, 150x200



Wiosenny wiatr, 150x200

Ogromniasty (prawie 3 metry wysokości) „Byk” sąsiaduje z bliźniaczych wymiarów „Powodzia”. Gdzieś obok - mniejszy „Szalony bodypainter” (lub „Szalony malarz”). Na pierwszym planie dziewczę - na pościeście szczytni czy zamkniętej trumny - odziane w gęstą, poszarpaną czerwień. Oblesny jegomość z obnażonym torsem trochę pochyla się nad nią, a trochę gapi na niewidoczną publiczność Trzyma pędzel, którego drewniane „ostrze” mierzy w dziewczynę. Właśnie pomalował jej twarz na błądź, cynę i błękit. W głębi, w jakiejś iluzji drgania czy niepokoju, opada na to ciężki, toporny mur i jasna plama lukowatego przestworu. Obraz polubiłem, bo spróbował powiedzieć mi to, co komunikuje zazwyczaj autoportret. Zaakceptowałem „Szalonego malarza” jako manifestację artystowskiego gestu. Jak mało który z obrazów Naliwajki broni wolności pokrywania płótna farbą i dowolnego ich kształtowania, jest ucieczką od przymusu „fabuły”. Jednak, jeżeli ktoś się uprze, można i płótno „potraktować” kluczem skojarzeń np. o zbrodni, który dorwał się do dziewicy, a malarz w skrócie te skłonności odmalował.

I „Hołd Pruski” Matejki, i „Słoneczniki” Van Gogha nie są tym, co pokazują. Dlatego właśnie Malewicz czy - powiedzmy - Leon Tarasewicz mogą być malarzcy koncentrując się na właściwościach czarnego trójkąta lub pasek kolorów. Aby to wiedzieć, wystarczy kilka lekcji „wychowania plastycznego” w szkole średniej. Inną szkołę - Akademię Sztuk Pięknych - ukończył Naliwajko z rezultatem pozytywnym, ale bez przekonania, że obraz nie ma być tym, co pokazuje. Podobne przekonanie, z natury staroświeckie, bo wykluczające grę o nowoczesność, skazane może na kłopoty. Chyba że staroświecką ideę ciekawie się opakuje. Po raz pierwszy Naliwajko wystawił obrazy w 1983 roku, w Muzeum Historii Miasta Katowic. Uczynił to wspólnie z Januszem Szyptem i Leszkiem Żegalskim. Nazwali się „Grupą Trzech”. Przez rok studiowali razem na Wydziale Grafiki w Katowicach. Później Szypt z Żegalskim przenieśli się na malarstwo do Krakowa. Byli pewni, że malarstwo może być połączeniem idei i formy, a nie (cytuując Naliwajkę) „rozważaniami o przewadze czerwieni nad zielenią lub trzech kresek pionowych nad jedną skośną”. Dlatego też Naliwajko na katowickiej wystawie pokazał m.in. płótno bezpretensjonalnie zatytułowane „Kocham Velasqueza”. „Grupa Trzech” po paru wspólnych prezentacjach przystąpiła do „Tercet Nadęty”, a przy wystawie w Salonie Sztuki w Krakowie pojawił się manifest. „Chcemy - głosił „Tercet” - zawrócić malarstwo na tory prostoty, piękna, prawdy, autentyczności i doskonałości”. Nie zabrakło i wtrętu środowiskowego. Akademia w Krakowie została uznana za „Trupa sztuki wypuszczającego w świat podobne sobie mumie...” Taki manifest to nic no-

wego w kulturze. Manifest i techniki. „Tercet” wystawiał i prowokował. W dużej mierze za przyczyną manifestów, bowiem drugi z nich (i ostatni) wyrażał nadmierną troskę o stan krytyki artystycznej: „LUDZIE (...) nie słuchajcie kretyneków sztuki”. Swoje robiły jednak obrazy. W 1988 roku w Starej Korkegardzie w Warszawie Naliwajko wystawił rzecz o tytule „Polskie wideo”. Był to dosyć wierny wizerunek Jacka Malczewskiego, tyle że prawda artystyczna sprowadzona została do prawdy obnażonej. Malczewski z - mówiąc Fredrą - kutasem wywołał zgorzenie i zapwarantował Naliwajkę wcale interesującą bibliografię recenzji (np.: „Dialog z Malczewskim prowadzony jest w płaszczyźnie phallicznego ekshibicjonizmu oraz pozbawionej wszelkiej poetyczności alegorii”).

Prowokacja bardzo serio

MALARSTWO

Naliwajko nie tai, że bunt przeciwko „akademikom” był trochę instrumentalny. „Tercet” nie chciał być wyłącznie porozumieniem na rzecz po swojemu rozumianej sztuki, ale i wspólną artystów pragnących zaistnieć. Calostronicowe ogłoszenie (mniej więcej: „Kupujcie nas - jesteśmy najlepszy”) w „Sztuce”, skandalizujący manifest czy zaproszenie skierowane do Dwurnika, by skorzystał z lekcji malarstwa, były składowymi przemyślanymi gry. Dzisiaj Naliwajko ma do szumu z przeszłości dystans jednostki dojrzałej i przekonanej o własnym sukcesie. Nie używa jednak słowa „sukces”. Raczej opisuje stan rzeczy, czyli obecność na plastycznym rynku nie tylko w Polsce, ale i Holandii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Nie przywiązuje (lub udaje, że nie przywiązuje) wagi do zewnętrznych objawów tej obecności, sprowadzanych do statystyki wystaw, katalogów czy recenzji. Nadpobudliwa przeszłość ma znaczenie o tyle, że wtedy pojawiły się też próby opisanie malarstwa Naliwajki nie tylko jako „repertuaru” plastycznego „kabaretu”. Jarosław M. Daszkiewicz w książce o młodym malarstwie polskim uznał, że Naliwajko mieści się w nurcie „neo-realizmu egzystencjalnego”. Ma to oznaczać, że „na wskroś realistycznie” potraktowana forma doprawiona jest „pierwiastkiem egzystencjalnym w warstwie ikonograficznej i ikonologicznej.” Trochę nie tak. Każdy realizm jest bowiem z natury egzystencjalny. I co w ogóle z tym realizmem?

Czy np. Jacek Rykała jest „realistyczny”? Jeżeli zechcemy powiedzieć (a próbowano), że tak, ale „magicznie”, to niczego mądrego nie powiemy. Z rozmów w bufecie ASP wynika, że z konceptualizmu nie każdy wyżyje, że nie zaszkodzi pójść w kierunku Dudy-Gracza, Starowiejskiego, Stasysa. Naliwajko z premedytacją poszedł jednak w stronę malarstwa - czy realizmu - tradycyjnego. To znaczy bliższy mu Rubens niż Duda-Gracz. Odrzucił nie tylko eksperymenty formalne, ale i współczesne rozwiązania dylematu, jak być nowoczesnym bez nadmiaru eksperymentu. Byk na płótnie Naliwajko jest zwierzęciem bardziej zbliżonym do okazów z chłopskiej zagrody, aniżeli któregoś z ulubionych byków Picasa. Jeżeli Naliwajko maluje okno, to przypomina ono okno. Jeżeli maluje Chrystusa, to jest to Chrystus. Jeżeli Piłata - Piłat.

Kosteczki cegieł ułożone w ścianę domostwa. Z lewej okno w solidnej, dużej ramie. Pod tym murem, pod oknem przysiadł mężczyzna z brodą, długimi włosami, o twarzy, która jest skrótem twarzy z wizerunków Chrystusa w każdym parafialnym kościele. Wycięta ostrym konturem czerwona, koloru krwi - aureola. Palce kościaste dłoni blisko ust. Papieros - jego dogasanie. I całej sceny. Obraz nosi tytuł „Ecce homo”. Zdająca się coś jednoznacznego komunikować nalana gęba człowieka w białej wygniecionej koszuli, przechylony, może skórzany krawat. Zezuje w stronę nagiego do pasa, spętanego więźnia. Więźnia ciemnowej korony. Pomiedzy nimi stół. I misa z wodą. To „Piłat I”. Podobnych Piłatów i Chrystusów, namalował Naliwajko więcej. Chrystus w autobusie albo przybywający do Chorzowa. Wszystko wydaje się łatwe, publicystyczne, właściwie irytujące. Tyle że komentarz, interpretacja jest moją własną sprawą. Oglądając np. „Ukrzyżowania” malarzy różnych epok, nie zastanawiamy się, co chcieli nam powiedzieć oprócz tego, że na miarę swego talentu malarz opowiedzieli egzekucję Jezusa Chrystusa. Malarstwo „figuracywne” zawsze coś komunikuje obok anegdoty. Jakis „komunikat” jest zawarty w rekwizytach, które oglądamy na płótnach, ale i w twarzach modeli - ludzi żyjących w konkretnej epoce. W 1998 roku wystawił Naliwajko obraz, któremu dał tytuł „MBCzJB”. Laleczka w błękitnej sukience i długich blond włosach. I Dzieciątka Jezus w czerwonej szatce. Matka Boska z Częstochowy jako Barbie. Prowokacja? Może ważne pytanie - czy realistyczny „kanon” piękna wyłansowany przez kulturę masową potrafi wchłonąć „kanon”, o którym większość jest przekonana, że jest równie jak lalka Barbie realny. Dlaczego tak? Dlaczego nie? Umiejętność prowokowania takich pytań odróżnia wypowiedź artystyczną od publicystyki. Jestem o tym przekonany.

PIOTR ZACZKOWSKI

Muzeum w Tarnowskich Górach
Rynek 1, 42-600 Tarnowskie Góry
tel./fax (032) 285 26 07

Czynne: wtorek, piątek, niedziela 10-15,
środa 10-17, czwartek 10-16, sobota 10-14.

Muzeum powstało w 1958 roku. Z myślą o nim Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej wyremontowało zabytkową kamienicę Sedlaczka, XVI-wieczny budynek, w którym pierwotnie mieściła się siedziba starostów z ziem bytomsko-tarnogórskiej. Obecnie muzeum posiada następujące działy: historyczny (połączony z górniczym), etnograficzny, sztuki i naukowo-oświatowy. Muzeum gromadzi zbiory związane z historią i kulturą Tarnowskich Gór i powiatu, uwzględniając szersze tło kultury polskiej. W wystawach stałych prezentowane są - eksponaty związane z pradziejami i średniowieczem Tarnowskich Gór (min. wykopaliska archeologiczne, kopie dokumentów, zdjęcia z okresu międzywojennego), stroje ludowe i elementy wyposażenia domów z rejonu, renesansowe meble i obrazy pochodzące z kolekcji długoletniego proboszcza tarnogórskiego ks. Michała Lewka, oraz sobieszciana (wystawa upamiętniająca przemarsz przez Tarnowskie Góry husarii Jana III Sobieskiego).

Muzeum organizuje lekcje muzealne poświęcone historii miasta i regionalnym zwiyczajom i obrzędom dorocznym, a także „Wieczory pod renesansowym stropem” - spotkania z zasłużonymi dla nauki i kultury tarnogóranami.

Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej

ul. Gliwicka 2, 42-600 Tarnowskie Góry,
tel./fax (032) 285 49 96

Stowarzyszenie zostało założone w 1953 roku i jest jednym z najaktywniejszych towarzystw regionalnych na Górnym Śląsku. Do głównych osiągnięć stowarzyszenia należy uruchomienie do zwiedzania w 1957 roku Sztolni Czarnego Pstrąga w szymbarkach „Ewa” i „Sylwester”, przekazanie w 1976 roku do ruchu turystycznego Kopalni Zabytkowej - Muzeum, unikatowego w Europie zabytkowego obiektu górnictwa kruszcowego, założenie skansenu maszyn parowych na terenie tejże Kopalni, zabezpieczenie i odbudowanie budynków zabytkowych na terenie Tarnowskich Gór (m.in. Domu Sedlaczka, w którym utworzone zostało Muzeum Miejskie i budynku przy ulicy Gliwickiej, w którym mieści się siedziba stowarzyszenia). SMZT dokonało również rejestracji obiektów zabytkowych na terenie miasta, na wielu z nich umieściło tablice informacyjne i pamiątkowe. Przez wiele lat (1957-88) było organizatorem „Dni Gwarzków” - imprezy kulturalnej propagującej tradycję i obyczaje gwareckie ziemi tarnogórskiej (w ramach której odbyło się także ponad 20 konferencji naukowych). Obecnie stowarzyszenie organizuje „Piknik Gwarecki” - imprezę plastyczną, muzyczną i regionalno-obyczajową. W ramach cyklu „Czwartki Tarnogórskie” w siedzibie SMZT odbyło się ponad 300 spotkań na których poruszane były zagadnienia z historii górnictwa, Śląska i Tarnowskich Gór, także spotkań z twórcami, naukowcami, wybitnymi osobami wywodzącymi się z Tarnowskich Gór. SMZT wydaje wewnętrzne wydawnictwo „Kaganek” zawierające materiały opracowane przez członków stowarzyszenia, a także inne publikacje związane z Tarnowskimi Górami.

(tog)

Wszystkie instytucje zainteresowane zaprezentowaniem swojej działalności prosimy o przesyłanie informacji do Redakcji.



**EDUKACJA
REGIONALNA**

Z wydawnictw

Barbara Klajmon: Katowicka kamienica mieszczańska 1840-1918. Śródmieście. Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, Katowice 1997.

Pierwszy tom serii wydawniczej *Górnośląskie kamienice mieszczańskie*. Poświęcony dziewiętnastowiecznym kamienicom czynszowym z terenu centrum Katowic - budynkom w największym stopniu decydującym o charakterze stolicy województwa, stanowiącym najliczniej zachowany (i najmniej dotknięty przeobrażeniami) element katowickiego dziedzictwa kulturowego. Prezentuje ponad czterdzieści obiektów - wszystkie przedstawione są na zdjęciach i opatrzone tekstem zawierającym opis okoliczności zaprojektowania i budowy, szczegółową charakterystykę architektoniczną budynku i informację na temat stopnia zachowania oryginalnych elementów. Publikacja ukazuje zmiany w tendencjach architektury od początku rozwoju Katowic (kiedy dominowały, utrzymujące się pod wpływem berlińskiego, tendencje neorenesansowe i klasycyzujące), poprzez fazę eklektyczną na końcu wieku XIX (kiedy dominowały neobarok i neorokoko łączone z elementami innych stylów) i modernistyczną na początku XX, aż do lat dwudziestych, kiedy nastąpił zwrot ku funkcjonalizmowi.

Jerzy Rajman: Jemielnica. Centrum Dziedzictwa Kulturowego Górnego Śląska, Katowice 1995.

Publikacja doskonała do nauczania historii „małej ojczyzny”. Zaprezentowane w niej zostały dzieje położonej na trasie Zawadzkie - Strzelce Opolskie wioski Jemielnica i zlokalizowanego na jej terenie klasztoru cystersów. Autor przedstawia ich historię począwszy od czasów najdawniejszych, aż do roku 1810, kiedy to klasztor został rozwiązany. W poszczególnych rozdziałach koncentruje się na założeniu klasztoru, jego działalności religijnej, edukacyjnej i gospodarczej, sporo uwagi poświęca panującym w Jemielnicy stosunkom społecznym, demograficznym i narodowościowym. Całość będąca bardzo rzetelną, udokumentowaną źródłowo pracą naukową jest jednocześnie łatwa w odbiorze dla szerokiego grona czytelników. Można tylko wyrazić nadzieję, iż czasy, kiedy wszystkie górnośląskie miejscowości doczekają się tak solidnie wykonanych opracowań swojej historii nie są niewyobrażalnie odległą przyszłością.

GRODZISKA ŚLĄSKIE. Na Górnym Śląsku zachowało się wiele pozostałości pradziejowych i średniowiecznych osad obronnych. Do najstarszych należy grodzisko w Jędrychowicach, które pełniło rolę grodu obronnego ponad półtora tysiąca lat przed narodzeniem Chrystusa. Gród w Łubowicach koło Raciborza, współczesny Biskupinowi, otoczony obwarowaniami u schyłku IX w p.n.e. jest największym tego typu obiektem w Polsce. Ślady równie wielokierunkowej fortyfikacji odkryto w Będzinie i na górze Grojec koło Żywca. Dobrze zachowane pozostałości grodziska z wczesnego okresu plemiennego słowiaństwa odnaleźć można w Chrzelicach, Grodźcu, Kamieńcu, Lędzinach, Lubomi i Międzyzwięciu. Przykładem grodów będących załączkami miast u początków państwowości polskiej i czeskiej były warownie w Cieszynie, Opolu-Ostrówku i Raciborzu-Ostrogu. Małe gródki - siedziby rycerskie z XII-XIII wieku odnaleźć można w Domecku, Pniowie, Roszkowicach i Rudzie Śląskiej-Kochłowicach.

(tog)

ZABYTKI PRZEMYSŁU I TECHNIKI, można znaleźć na Górnym Śląsku w dużej liczbie. Wiele z nich znajduje się nadal na terenie zakładów pracy, ale kilka charakterystycznych obiektów przystosowanych jest do zwiedzania. Unikatowym na skalę europejską obiektem jest Kopalnia Zabytkowa w Tarnowskich Górach. Odbywa się w niej zwiedzanie XVII-XIX wiecznych chodników i komór wyrobisk złóż srebra, cynku i ołowiu. Do zwiedzania (które polega na 600-metrowym, podziemnym spływie lodziami) udostępniona jest także „Sztolnia Czarnego Pstrąga”. W zespole dawnej Huty „Gliwice” znajduje się Muzeum Odlewnictwa Artystycznego. W Zabrze udostępniony zwiedzającym jest fragment kopalni węgla kamiennego - Skansen Podziemny „Guido”, zlokalizowany w części oryginalnych wyrobisk kopalni „Zabrze”. Możliwe jest również zwiedzenie obiektów dawnej Huty Ulhemannowa w Szopienicach. Niewątpliwą atrakcją może być wizyta na terenie osiedli robotniczych w Giszowcu i Nikiszowcu.

(tog)

ZABYTKOWE KOŚCIOŁY DREWNIANE. Pomimo silnego zurbanizowania i uprzemysłowienia regionu, na samym terenie byłego województwa katowickiego zachowało się 46 takich obiektów. Choć generalnie ich architektura nie różni się od architektury kościołów z innych regionów Polski, pewna grupa ich cech określana jest jako „górnoszląskie”. Są to - zróżnicowana kalenica dachu pod nawą i prezbiterium, konstrukcja zrębowa z drewna iglastego, okapy chroniące zręb, słupowa wieża odstająca od zrębu. Na szczególne nagromadzenie tego typu obiektów można natrafić w okolicach Gliwic, Pszczyny i Rybnika.

(tog)



Region Regionalizm Regionalizacja

Z męczeni zwiędaniem New Delhi lub Bombaju możemy wpaść na *male co nieco* do takiej samej restauracji McDonalda jaką spotykamy w prawie każdym większym polskim mieście. Zauroczeni nieopowtarzalną atmosferą porannej przejażdżki po świętej rzece Ganges możemy podzielić się wrażeniami z przyjaciółmi w Polsce korzystając z pobliskiej budki oferującej połączenia internetowe. Świat wokół nas **globalizuje** się, zaczyna przypominać *globalną wioskę* (M. Mc Luhan). Żyjemy bowiem w świecie, w którym granice tracą na znaczeniu, oglądamy programy takich samych stacji telewizyjnych, słuchamy takiej samej muzyki, w sklepach znajdujemy towary takich samych marek. Coraz częściej czujemy się w nim anonimowo i buntując się przeciw uniformizacji szukamy tego co nas odróżnia. Sięgamy wówczas do naszych lokalnych i regionalnych korzeni. Równocześnie zaczynamy dostrzegać, że wszechobecne i scentralizowane państwo jest zbyt małe do załatwiania spraw globalnych, a zbyt wielkie by być efektywne w sprawach lokalnych (D. Bell). Znaczenia zaczyna wówczas nabierać nasza **mała ojczyzna**, świat naszego **regionu**. Dostrzegli to Francuzi, Włosi, Katalończycy czy mieszkańcy Qubecu. Od przelomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zaczęliśmy dostrzegać także i my. Coraz ważniejsze stawało się to co łączy nas z mieszkańcami naszej miejscowości czy naszego regionu. Wspólnota interesów, losów dziejowych, kultury, tradycji, gwary. Odradzać zaczęły się polskie regiony.

Pojęcia: globalizacja, mała ojczyzna (ojczyzna prywatna), region.

Znajdziesz więcej: R. Barber, *Dżihad kontra McŚwiat*, Warszawa 1997.

Region pojęcie wieloznaczne

Tak jak każde pojęcie powstałe najpierw w mowie potocznej, a dopiero później stanowiące przedmiot refleksji wielu dziedzin nauki, tak i pojęcie **regionu** jest wielce niejednoznaczne. W dodatku często posługują się nim politycy nadając w zależności od swych interesów odmienny sens. Inaczej rozumie je polityk katowicki, upominający się o połączenie wszystkich ziem górnośląskich w ramach jednego regionu, inaczej zaś polityk z Opola mówiący o Opolszczyźnie jako samodzielnym regionie. Wieloznaczność dostrzec można też w opracowaniach naukowych. Jak odmiennie można rozumieć w nich region pokazuje Oliver Freeman, który wyróżnił aż jedenaście jego rodzajów. Wedle Freemana w zależności od kryterium jego wyodrębnienia możemy mówić o regionie: **administracyjnym, demograficznym, historycznym, socjologicznym, geograficznym, językowym, etnicznym, wyznaniowym, kulturowym, ekonomicznym lub politycznym**. Z kolei Bohdan Jałowicki pokazuje, że pojęciem tym można określać: **sztucznie skonstruowany twór** (w celu porządkowania i klasyfikowania rzeczywistości), tak jak to ma miejsce w przypadku sztucznego podziału administracyjnego kraju, kreślimy mapę regionów nie licząc się z świadomością mieszkańców, odrębnością kulturową i historią (np. regiony francuskie, siatka europejskich regionów NUTS, którymi posługują się planiści z Unii Euro-

pejskiej); **region reliktowy**, tu jedyną podstawą wyodrębnienia jest niekiedy bardzo odległa przeszłość (interesującym przykładem mogą być francuska Burgundia i polskie Mazowsze, dawniej potężne, dziś jednak nie posiadające znamion odrębności); **region polityczny**, który w przeszłości był samodzielnym księstwem lub nawet państwem, a dziś jak np. Bawaria zachowuje administracyjną odrębność; **region etniczny**, który może charakteryzować się specyfiką etniczną (narodowościową), językową lub kulturową, tak jak ma to miejsce w przypadku Górnego Śląska lub Kaszub; **region socjologiczny**, o którym mówimy wówczas, gdy wśród jego mieszkańców występuje obecna w życiu codziennym tożsamość regionalna. To ona nadaje boskie tchnienie regionowi i sprawia, że region staje się regionem nie tylko dla badacza lub polityka, ale także dla jego mieszkańca. Ludzie żyjący na pewnym terytorium zyskują świadomość swojej odrębności, poczucia tego co ich łączy między sobą (więź społeczna) a różni od innych (dystans społeczny) i pozwala im określić się wobec różnych aspektów życia społecznego. Mają poczucie bycia mieszkańcem swego regionu i to niezależnie od tego, jak jego granice zakreślili planiści lub politycy. Zyskują **tożsamość regionalną**.

Pojęcia: tożsamość regionalna, region: sztuczny, reliktowy, polityczny, etniczny, socjologiczny.

Znajdziesz więcej: *Jaka Europa? Regionalizacja i integracja*, P. Buczkowski [red.], Poznań 1998.

Tożsamość regionalna

Świadomi swej odrębności mieszkańcy regionu mogą jednak swą **tożsamość regionalną** budować w oparciu o różne podstawy. Dla środowiska śląskich autonomistów liczy się przede wszystkim **więź krwi i świadomość wspólnie doznanych krzywd**. Członkiem wspólnoty regionalnej są dla nich przede wszystkim rodowici Ślączacy. Dla innych zasadniczego znaczenia nabiera **czynnik kulturowy**, to związek z kulturą śląską decyduje o przynależności do społeczności regionalnej. Dla jeszcze innych podstawowe znaczenie ma **wspólnota interesów** osób zamieszkujących pewne terytorium. Nie jest

wówczas ważne czy jestem Hanysem z Katowic, medalikorzem z Częstochowy, czy gorolem z Zagłębia, ważniejsze jest poczucie, że borykamy się z takimi samymi problemami i łączą nas takie same interesy. W tym ostatnim przypadku mamy do czynienia z tożsamością **prospektywną**, opartą na identyfikacji związanej z przyszłością regionu, a którą Michel Bassand odróżniał od **tożsamości historycznej**, powstałej dzięki pamięci o przeszłości lub/i dziedzictwie społeczno-kulturowym, przyrodniczym i gospodarczym. Obok nich funkcjonuje też w życiu codziennym **tożsamość przerywana**, która związana jest z przeplataniem się przeszłości i przyszłości regionu (B. Jałowicki). Nie można pominąć też, że dla wielu grup kluczowymi czynnikami określającymi ich tożsamość regionalną jest odrębność religijna, etniczna i językowa.

Pojęcia: tożsamość regionalna, tożsamość: historyczna, prospektywna, przerywana.

Znajdziesz więcej: w pracach socjologów Marka S. Szczepańskiego, Kazimierza Wódcz, Jacka Wodza, Bohdana Jałowickiego.

Regionalizm

Nie wystarczy sam fakt zamieszkiwania na pewnym obszarze, by pojawiła się tożsamość regionalna. Tożsamość nie jest też czymś niezmiennym i stałym. **Zbiorowość terytorialna** (mieszkańcy jakiegokolwiek obszaru nie dysponujący poczuciem odrębności i więzi społecznej) własnej tożsamości muszą dopiero *poszukać*, by stać się **społecznością regionalną** (poczucie odrębności i więzi społecznej). Proces tych poszukiwań określany jest mianem **regionalizmu** (G. Gorzelak). Jego świadkami jesteśmy my wszyscy, obserwując ożywianie regionalnej tożsamości na Górnym Śląsku, Kaszubach i Wielkopolsce, a także dostrzegając próby wykreowania nowej tożsamości Mazur. Dodajmy też, że poszukiwania te zyskują szczególny wymiar w sztuce i wiążą się z formułowaniem programu **regionalizmu kulturowego**.

Pojęcia: regionalizm, regionalizm kulturowy, zbiorowość terytorialna, społeczność terytorialna
Znajdziesz więcej: w pracach: Wojciecha Błasiaka, Mariana G. Gerlicha, Marka S. Szczepańskiego, Kazimierza Wódcz, Jacka Wodza, Bohdana Jałowickiego i Grzegorza Gorzelaka.

Regionalizacja

To ostatnie pojęcie wzbudza najmniej wątpliwości. **Regionalizacja** to po prostu administracyjny podział państwa na regiony i związane z tym nadanie im określonych kompetencji (G. Gorzelak)? Wątpliwości pojawiają się dopiero, kiedy przychodzi decydować wedle jakich kryteriów dzielić państwo i jakie uprawnienia nadać regionom. Daje wówczas o sobie znać wieloznaczność pojęcia regionu. Świadkami tego byliśmy podczas niedawnej debaty nad regionalizacją kraju. Efekty tego konsumujemy dziś, ale to temat na zupełnie inne opowiadanie.

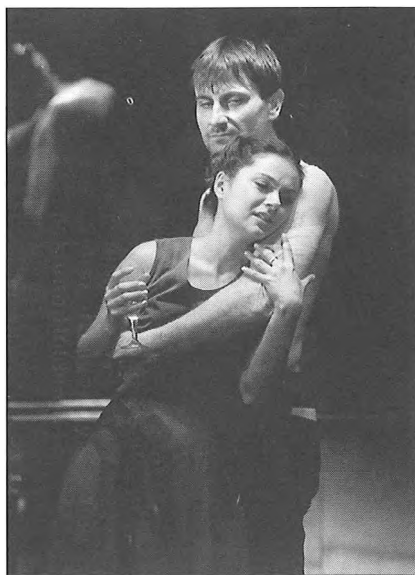
Pojęcia: regionalizacja.
Znajdziesz więcej: debatę nad regionalizacją kraju referowaliśmy w numerach Śląska z 1998 roku. O regionalizacji w Polsce i w Europie pisał B. Jałowicki, G. Gorzelak, J. Wódcz.

Krzysztof Babicki należy do najbardziej utalentowanych reżyserów pokolenia czterdziestolatków. Zanim trafił do gdańskiego Teatru Wybrzeże, gdzie przez parę lat był dyrektorem artystycznym, z powodzeniem uczestniczył w ruchu teatrów studenckich. To odległe czasy, ale przecież już wtedy Babicki zdołał się określić jako artysta, który zręcznie łączy różne tworzywa teatralne, szukając dla nich autorskiego spoiwa. Od lat sięga po trudne klasyczne teksty, niekiedy także te rzadko grane. Z Fryderykiem Schillerem mierzył się kilkakrotnie, w tym również w Teatrze TV. „Intrygę i miłość” też już zdążył parę lat temu zrealizować.

Teraz zaś jako reżyser po raz pierwszy zjawiał się Katowicach. Wizja spektaklu została już określona wcześniej, lecz przecież trzeba ją było wypełnić materią aktorską, a możliwości katowickich wykonawców gdańszczanin zapewne nie znał. A to nie jest łatwy dramat, nawet jeśli zdejmie się z niego historyczny balast, odrzuci kostium epoki. Ba, może ten warunek czyni rzecz jeszcze trudniejszą, bo jak pokazać na scenie śmierć dwojga kochanków, którzy — jak u Szekspira — wolą się otruć niż przyjąć narzucone im z zewnątrz reguły? Jak ustrzec się przed patosem czy pustą retoryką?

To niebezpieczeństwo było realne, bo przecież Schiller należy do gatunku tych wybitnych klasyków, których najchętniej spotykamy... w podręcznikach, już nie dowierając w siłę ich słowa, a już na pewno — nośność inscenizacyjną ich dzieł. Babicki myśli inaczej, a co najważniejsze — do swoich koncepcji potrafi współczesnego widza przekonać, zapraszając go do najgłębszych źródeł teatru, gdzie rządzą podstawowe uczucia i instynkty, jakby wyprane z obyczajowych czy rodzajowych kontekstów. Przed nami, współczesnymi, stawia się tylko jedno zadanie: mamy opowiedzianą historię intensywnie przeżyć, uruchamiając w sobie te pokłady wrażliwości, które poniosą nas w stronę refleksji o istocie natury ludzkiej. Natury kalekiej i odpychającej, bo prowadzącej do grzechu i zbrodni, ale także zdolnej do bezkompromisowych uniesień i poświęceń.

W Katowicach powstał spektakl o dużych walorach plastycznych, inscenizacyjnych, z dobrym, wyrównanym aktorstwem. Jest stylistycznie „czysty”, precyzyjnie łączy wszystkie użyte materię w jedną całość. Znak to, że reżyser znalazł wspólny język nie tylko ze scenografem i kompozytorem, ale również z pracownikami technicznymi. Kolejne obrazy wydobywane są światłem z mroku przestrzeni, metaforycznie skomponowanej tak, abyśmy nie szukali odniesień historycznych dla opo-



Ewa Kutynia (Luiza) i Grzegorz Przybył (Ferdynand)

Foto: ARC Teatru Śląskiego

Siła uczuć

TEATR

wiedzianej tu historii. Duże, choć dyskretnie konstrukcje scenograficzne, zbudowane z metalowych rurek, tylko pozorują wnętrza salonów. Są jak „złote klatki”, w których można się swobodnie poruszać, ale które jednocześnie aluzyjnie wyznaczają granice konwenansów i surowych reguł, jakim poddani będą młodzi kochankowie. Zmiana planów dokonuje się bezszmerowo, a konstrukcje te są ruchome, więc bez trudu przenosimy się z miejsca na miejsce. Ważnym atrybutem są lustra, które poszerzają przestrzeń, nie tyle jednak realnie, co — znowu — metaforycznie. Lustra wskazują na dwoistość natury ludzkiej, ale także na grę pozorów. Odbić się w nich może prawda, lecz również fałsz. Który więc obraz jest prawdziwy? Czyje słowa kłamią? Czyje intencje są czyste? Czyje uczucia szczerze?

Owe lustra pięknie „zagrały” w scenie z Lady Milford i Ferdynandem. Zrazu faworyta księcia emanuje erotyką i zdaje się potwierdzać niepochlebne pogłoski o niej krążące. Jej wyuzdane płasy na stole i wyspekulowane ruchy kobiety dojrzalej, znającej siłę kokieterii, odbijają się w lustrach i niejako do niej wracają. Czy to tylko gra miłosna? Czy może maska, pod którą ukrywa się kobieta skrzywdzona i nieszczęśliwa?

Anna Kadulska stworzyła bardzo udaną, wyrazistą kreację, umiejętnie godząc silny temperament swej bohaterki z jej tęsknotą do życia „prawdziwego”, w którym nie trzeba

byłoby udawać, że jest się kimś innym. Dramat Lady Milford jest tym bardziej przejmujący, że kontrastuje z jej powierzchownością, ze swobodą obyczajów, której rzekomo z taką zachłannością hołduje. Wierzmy raczej jej łzom, wierzmy, że rzeczywiście zakochała się w Ferdynandzie, a przynajmniej — w rozpacz, o której świat nic wiedzieć nie może — ulokowała w nim swe złudzenia i marzenia. Ferdynand jest poruszony zwierzeniami Milford. W pewnym momencie nawet wydaje się, że ulegnie tej pięknej i drapieżnej kobiecie. Cóż, to człowiek młody, przystojny, z dobrego domu. Pelen wigoru, pewności siebie, ciekawości świata, otwarty na silne bodźce. Grzegorz Przybył skonstruował tę postać z połotem, wyrazistymi kreskami. Przecież jednak Ferdynand wyrwa się z objęć niedosłej kochanki. Obraz drobniutkiej i tak ufniej Luizy zbyt silnie w nim utkwił. Natura i usposobienie Luizy zaś (udana rola Ewy Kutyni) silnie kontrastuje z jej ojcem, miejskim muzykantom Millerem (Czesław Stopka), zapijańczonym i wulgarnym, ale przecież mającym swój honor i prawdziwie kochającym córkę. Luiza jest ulepiona z innej też gliny niż jej matka (Ewa Leśniak), która zdaje się nie przejmować ani upływającym czasem, ani tym, że w małżeństwie na pewno szczęśliwa nie jest. Myśli o awansie, o wspięciu się o szczebel wyżej w hierarchii społecznej. Stąd gotowa jest oddać córkę w pazury Wurma, prezydenckiego sekretarza. To jedna z najlepszych ról w karierze Andrzeja Warcaby. Wurm to nie tylko lizus i karierowicz. Jest graczem wytrawniejszym od groteskowego, wyposażonego w cechy homoseksualisty marszałka von Kalba (Jerzy Kuczera), którym łatwiej można pokierować, wykorzystując jego próżność i lęk przed zdemaskowaniem prawdy o jego podejrzanym przeszłości. Siły Wurma nie podejrzewa nawet jego chlebobdawca, prezydent von Walter, choć Adam Baumann wyposażył go w cechy jednoznacznie odpychające. Von Walter nawet w obliczu śmierci syna nie zdejmuje maski hipokryzji, choć to przecież pośrednio on stał się jej sprawcą. Wurm w szczerzym lęku przed karą, jaka może go spotkać, uderzy w swego pana. I tym pojedynku, gdzie na szali waży się tylko podłość, to on zwycięży.

KRZYSZTOF KARWAT

Fryderyk Schiller: Intryga i miłość.
Przekład: Artur Marya Swinarski.
Reżyseria i opracowanie tekstu: Krzysztof Babicki. Scenografia: Marek Braun. Muzyka: Marek Kuczyński. Premiera 17 grudnia 1999 roku na Dużej Scenie Teatru Śląskiego w Katowicach.

Tydzień bez premiery to tydzień stracony. Z takiego założenia - jak mniemam - wychodzi młody, prężny dyrektor Teatru Polskiego w Bielsku-Białej Tomasz Dutkiewicz. Dlatego już we wrześniu ubiegłego roku, z chwilą zapoznania się z secesyjnym gabinetem bielskiego teatru, postanowił, że w sezonie 1999/2000 beskidzcy aktorzy wystawią aż 16 premier!

Jego wielki poprzednik na dyrektorskim stolcu, Henryk Talar narzekał na artystyczną niemoc swych podopiecznych i dawał po 4-5 spektakli rocznie. Tomasz Dutkiewicz nie tylko nie zrzedzi, ale nie daje aktorom wytchnienia na zrzedzenie. Sam schodzi ze sceny jedynie za (wyjątkowo) pilną potrzebą. Dlatego też nie bez kozery w swym najnowszym przedstawieniu ustawił pisuar na scenie. Uczynił tak najwyraźniej, aby pozbyć się niepotrzebnych kłopotów związanych z męczącymi go, fizjologicznymi atawizmami...

Jeśli razi Państwa niestosowny ton tego tekstu, zapraszam na bielską scenę. Językowych niestosowności jest tam tyle, że tworzą znakomite wzorce stosowności. Tomasz Dutkiewicz wystawił bowiem *Prezydentki* Wernera Schwaba, które już trzy lata wcześniej reżyserował w Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie - notabene jako pierwszy Polak. *Prezydentki* to jeden z kłoczących dramatów współczesnego austriackiego twórcy, który ujawnia siłę „człowieczych” instynktów i popędów, niemożliwych do wysublimowania czy okiełznania przez religię bądź kulturę. Wartości chrześcijańskie nie mogą zdominować... *libido dominandi*, zwłaszcza, że człowiekowi towarzyszą kłoczące potrzeby.

Werner Schwab ujawnia tę tragiczną prawdę w sposób groteskowy, czemu służy oryginalny język styryjskiego artysty, który 1 stycznia 1994 roku, w wieku 35 lat umarł z przepicia. Dla określenia języka autora *Prezydentek* stworzono termin Schwab-deutsch, a znawca twórczości dramaturga z Grazu, Helmut Schoedel twierdzi, iż kiedy mówi się tym językiem, automatycznie nazywa się wszystko, co chętnie by się przemilczało. Twierdzenie Helmuta Schoedela wydaje się zresztą paradoksalne. Obok uchylania regułom gramatycznym, składniowym czy leksykalnym, skłonności do - często nawet subtelnych - wulgaryzmów lub wymyślenia języka fekalicznego, Werner Schwab gustuje także w nieznośnym języku urzędniczym czy wręcz zmodyfikowanej nieco nowomowie. Niestosowny wobec mieszczańskich wzorców językowych tekst Austriaka, jest jednak z jednej strony bardzo konsekwentny, a z drugiej dość różnorodny.

Podziwiać należy więc autorkę przekładu, Monikę Muskałę, która dała sobie radę z tak specyficznym językiem autora *Prezydentek* i - jak mniemam - nie uрониła nic ze zróżnicowanej mowy trzech bohaterek dramatu. Nowomowno-fekaliczny język Maryjki „rywalizuje” z dewocyjno-mieszczańską mową Erny i nasączonym seksualnością językiem Grety. Można ryzykownie przypuścić, iż także dlatego Greta i Erna mordują Maryjkę, gdyż nie wytrzymują jej swoistej rywalizacji językowej. Prawda Maryjki jest także prawdą jej pozbawionego fałszu języka, a ginie ona przecież za prawdę.

Rzeczą reżysera było przeniesienie owej językowej odrębności postaci także na ich charakter i działania sceniczne. Tomasz Dutkiewicz zrobił to bardzo dobrze, w czym pomogły mu trzy świetne odwór-



Werner Schwab: *Prezydentki*. Przekład Monika Muskała. Reżyseria i scenografia: Tomasz Dutkiewicz. Premiera 5 lutego 2000 r. w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej.

Przed teatrem marzeń

TEATR



Mirko Stieber: *Proszę, zrób mi dziecko*. Przekład, adaptacja, reżyseria i scenografia: Karol Suszka. Premiera 4 grudnia 1999 r. na Małej Scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej.

cznie głównych ról. Greta Grażyny Bulkowej jest rozwrzaskliwa jak „czasów przechwalki”. Jej seksualność może porazić każdego natrętnym tonem. Erna Malgorzaty Kozłowskiej znakomicie razi potęgą mieszczańskiej dewocji. Maryjka Jadvigi Grygierczyk jest niedościgła i niepowtarzalna jako Aniol Kloaki. (Obawiałem się zresztą, że nie doceniana dotąd Jadviga Grygierczyk po tak wybornej roli będzie przez dłuższy czas postrzegana już tylko jako Maryjka. Na szczęście w „Wiśniowym czadzie” Tomasa Szulakowskiego w reżyserii Zdzisława Wardejna jest równie znakomita!)

Z „porażającą” grą artystek koresponduje agresywna i sztuczna scenografia Tomasa Dutkiewicza, która ujawnia autentyczne oblicze podszytych mieszczaństwem Erny i Grety. Nowy dyrektor próbował do-

tać zdobyć publiczność m. in. przy pomocy mieszczańskich fars. Kiedy mieszczaństwo zaczęło do teatru przychodzić, stworzył znakomite, antimieszczańskie przedstawienie... Jak widać, sztuka Wernera Schwaba nie będzie zbyt często grana i nie pozwoli na to nie tylko 15 innych tegorocznych premier.

Jedną z nich jest inscenizacja komedii współczesnego czeskiego dramaturga Mirko Stiebera *Proszę, zrób mi dziecko*. Spektakl zrealizował na Małej Scenie (tzw. sTalarni) były dyrektor Sceny Czeskiej Teatru Cieszyńskiego, Karol Suszka. Zaolziański artysta już wcześniej wystawił sztukę Mirko Stiebera w teatrze częstochowskim. W tamtejszej wersji sam wystąpił jako Antoni Blaha.

W przedstawieniu bielskim powierzył tę rolę Kazimierzowi Czaplī, który w minionym roku obchodził 25-lecie pracy twórczej. Bielski artysta miał trudne zadanie. Musiał się bowiem wcielić w postać dość gruboskórnego i cynicznego kolejarza, co zapewne jest obce jego cieplej i nobliwej naturze. Na dodatek kolejarz jest pijany, znalazł się na bruku - nawet w sensie dosłownym - a z czasem ma pojawić się w nim głębsze uczucie do Marii Vrhlickiej. Kazimierz Czaplī zagrał z właściwym mu poczuciem humoru. Jego typ komizmu predestynuje go do świetnej gry... ciałem, zwłaszcza w scenach łóżkowych. Dlatego też najlepiej sobie radził w sypialni Antoniego Blahy. Jedynym mankamentem kreacji bielskiego artysty było to, iż w drugiej części przedstawienia stał się nieco zbyt krzykliwy. Wydawało mi się, jakby czasem zapominał, że gra na małej scenie. Często jednak znakomicie ujawniał stany ducha Blahy - od huraganu emocji po ironiczną refleksję.

Niezwykle konsekwentną postać wykreowała jego partnerka Barbara Guzińska. Jej kreację Marii Vrhlickiej można porównać jedynie do roli, którą stworzyła kilka lat temu w *Sie Kochamy* Murraya Schisgala w reżyserii Stanisława Nosowicza, za którą otrzymała Złotą Maskę Kroniki Beskidzkiej. Niemal niewidoma telefonistka o kaczkowatych ruchach dewotki, w śmiesznym bereciku na głowie i z mocnymi okularami na nosie, lub we wzbudzącej nieklamaną wesołość halce, jest postacią niezwykle wyrazistą i zdeterminowaną. Poczucie komizmu wzbudza szczególnie jej konsekwencja w opracowywaniu najdrobniejszych szczegółów prokreacji przysłego triumfatora olimpiady, a może nawet spartakiady w skokach narciarskich.

Różnorodność przejawów jej natrętnych emocji jest zapewne nie tylko efektem pracy Barbary Guzińskiej nad rolą, lecz także przemyśleń reżysera. Dzięki temu m. in. możemy uwierzyć, iż w obojgu nieudaczników rzeczywistość zawiązuje się gorące uczucie - mimo zimnych i nie bez kozery siermiężnych wnętrz mieszkania Blahy, które zaprojektował Karol Suszka.

Tomasz Dutkiewicz, po mało ekscytującym, farsowym okresie dyrektorowania, odważnie preferuje sztuki współczesnych twórców. Dlatego na deskach bielskiej sceny dramatycznej pojawiają się takie spektakle jak *Prezydentki* Austriaka Wernera Schwaba i *Proszę, zrób mi dziecko* czeskiego artysty Mirko Stiebera. Widowska są bardzo dobrze wyreżyserowane i świetnie zagrane. Niestety do pełni repertuarowego szczęścia brak jeszcze choćby jednej znakomitej tragedii. Mam nadzieję, że Tomasz Dutkiewicza będzie na nią stać. Wtedy Teatr Polski byłby już teatrem marzeń...

JAN PICHETA

Foto: ARC Teatru Polskiego w Bielsku-Białej

II Bielską Zadymkę Jazzową zaczął wernisaż wystawy zdjęć Jerzego Pustelnika i Macieja Loranca „Jazz Foto Zadyma”, a następnie słowa prezydenta miasta Bogdana Traczyka: „Bielską Zadymkę Jazzową uważam za rozpoczętą”. Zadyma nastąpiła. I to jeszcze jaka!

Na dobry początek wystąpił zespół „Alchemik”, który dał popis swych muzycznych umiejętności. Po koncercie spora część widowni popędziła do kularowego stoiska muzycznego, by nabyć promowaną przez zespół płytę. Bardzo dobrym posunięciem zespołu było wprowadzenie na scenę drugiej perkusji i perkusisty. Znakomite partie solowe trębacza Łukasza Golca i innych muzyków, pojedynki perkusistów, dwa nowe utwory i muzyczne żarty sprawiły, że koncert stał na bardzo wysokim poziomie.

Po „Alchemiku” wystąpił kwintet Adama Kawończyka. Formacja ta, niemalże co piątek, choć wraz z Kawończykiem rzadziej, występuje w bielskiej Piwnicy Zamkowej. Odniosłem wrażenie, że tam gra im się lepiej, niż w sali Teatru „Baniałuka”.

Jednak tym, na co większość publiczności czekała, był występ Michała Urbaniaka i „Golec uOrkiestry”. Interesujący był kolejny „pojedynki”, tym razem wspomnianego już Łukasza Golca z Michałem Urbaniakiem, który - mimo iż grywał z Milesem Davisem - nie był stroną dominującą. Spodobał mi się również fragment, w którym moje ucho odkryło dla siebie kilka niebieskich davisowskich nut.

Drugi dzień koncertowania rozpoczął Sekstet Jana Ptaszyna Wróblewskiego z Lorą Szafran. Ptaszyn, jak wiadomo, to człowiek, który wie wszystko o polskim jazzie. Zaprezentował tym razem repertuar, który w zasadzie nie ma nic wspólnego z jazzem, a za to wiele z Opolem - tak zwane piosenki (w większości) popularne. Jednakże aranżacje Ptaszyna i znakomity głos Lory Szafran sprawiły, że z przyjemnością słuchało się nawet tak wielkich przebojów jak „Cicha woda” czy „Malowana lala”.

Następny na scenie, i to wprost z Nowego Yorku, zaprezentował się, wspólnie ze swym kwartetem, Jarosław Śmietana, który potwierdził, iż jest jednym z najlep-



Jan Ptaszyn Wróblewski

Zadymianie

JAZZ

szych gitarzystów jazzowych w naszym kraju. W jego programie pojawiły się zarówno stare, znane już utwory, jak i zupełnie nowe, które dopiero ukazały się na płycie nagranej w Stanach Zjednoczonych. I bardzo dobrze, ponieważ utwór „African Lakes” należał do takich, które wysłuchuje się z zapartym tchem. To po prostu arcydzieło. A na koniec „Cios”, choć o opóźnionym działaniu i o mocno woodstockowskim brzmieniu, wprowadził widownię w stan ekstazy ... i w to, co miało nastąpić za 15 minut.

Kwintet Piotra Wojtasika wniósł do „Baniałuki” prawdziwie mroczną atmosferę. Free, które zdominowało salę na dobre trzy kwadranse, w pełni spełniło moje oczekiwania. Wspaniałe dźwięki, które można usłyszeć na płycie „Escapes”, w nie mniejszym stopniu niż afrykańskie jeziora zawiadły publiczność do innego świata. W tym świecie rytm schodzi na dalszy plan i poszukuje swojej własnej, niezależnej drogi, a dźwięki sekcji dętej to rozchochą się w różnych kierunkach, to się spotykają, by znów gdzieś zbłądzić. Szkoda tylko, że trwało to tak krótko.

Podczas Zadymki wręczono nagrodę artystyczną Stowarzyszenia Sztuka - Teatr. Brązową statuetkę Jazzowego

Anioła, stworzoną przez bielską artystkę Lidie Sztwiertnię, a ufundowaną przez prezydenta miasta, odebrała stracianka z urodzenia Urszula Dudziak. Artystka nie potrafiła ukryć wzruszenia i z wielkim trudem podziękowała krajanom, za co została nagrodzona gromkimi brawami. Po kilku chwilach ekliwości, nastąpił pokaz wokalnych możliwości śpiewaczki, które, jak się okazało, nie były tylko wokalnymi. Główną tajemnicą okazała się przedstawiona przez artystkę „kuchnia” (czyli cały zestaw urządzeń, służących do przetwarzania głosu), w której Urszula Dudziak przygotowuje swoje muzyczne dania. Podczas serwowania dwóch skromnych dań, a przede wszystkim w sposobie ich sporządzania, niepoślednie znaczenie miało poczucie humoru artystki, które sprawiło wiele radości publiczności. Po „lekcji gotowania” nastąpiła lekcja śpiewania z akompaniamentem najukochańszych muzyków wokalistki rodem spod Przegibka i Magury.

Trzeci dzień zadymki miał zdecydowanie inną oprawę od poprzednich, a to z tego powodu, iż na miejsce koncertu sekstetu „Jazz Band Ball Orchestra” wybrano, podobnie zresztą jak przed rokiem, schronisko na Szyndzielni. W sali jadalnej, gdzie zgromadzono najwytrwalszych sympatyków jazzu na Podbeskidziu, panowała swobodna atmosfera i... tradycyjny jazz. W pewnym momencie do głosu dopuszczona została Urszula Dudziak. Do wspólnego śpiewania zaproszono również publiczność.

Nie można pominąć milczeniem postaci Jerzego Batyckiego, który był głównym pomysłodawcą i organizatorem festiwalu. W organizacji imprezy pomogli mu liczni przyjaciele ze Stowarzyszenia Sztuka - Teatr. Jeżeli jednak bez Jerzego Batyckiego jazzowe zadymienie nie mogłoby się odbyć, to bez Jana Ptaszyna Wróblewskiego, nie mogłoby się udać. Takiego konferansjera może Bielsku-Białej pozazdrościć każdy festiwal.

DOBROŚLAW
BARWICKI-PICHETA

Wydział Kultury Urzędu Marszałkowskiego już od dwóch lat podejmuje starania, by utrzymać kilkudziesięcioletnią tradycję przyznawania „Złotych Masek” — regionalnych nagród za wybitne osiągnięcia w teatrze. Dobrze się stało, że po wycofaniu się niektórych redakcji, które dotąd patronowały tym laurów, udało się ten prestiżowy konkurs uratować. Konkurs? No, niezupełnie. Jury ocenia już gotową produkcję artystyczną z sezonu na sezon, od lutego do lutego, a w każdym razie — takie reguły regulaminowe obowiązują od wielu lat. Być może, w przyszłości ulegną one jednak pewnym korektom. Pojawiły się bowiem nie tylko problemy finansowe (sponsorem są teraz redakcje największych śląskich dzienników i elektronicznych mediów publicznych), ale także organizacyjne. W nowych granicach województwa śląskiego do „Złotych Masek” aspiruje ok. 15 zespołów: dramatycznych, muzycznych, lalkowych i pozateatralnych. Niektóre z nich — jak chociażby bielski Teatr Polski czy Baniałuka — wystawiają po kilkanaście premier rocznie. Jak to wszystko ogarnąć? Jak nie pominąć wydarzeń znaczących, skoro liczba nagród nie zwiększyła się. Kiedyś na-



Anna Kodulska jako Lady Milford w „Intrydze i miłości”

NAGRODY TEATRALNE

„Maski '99”

rzekaliśmy na inflację „Masek”, dziś — zwłaszcza, gdy zdarzy się dobry sezon — poza uwagę muszą pozostać prace, które są godne tej nagrody.

Jak się wydaje, nie ma dobrych czy optymalnych rozwiązań. Zauważmy tylko, że jury zostało w ostatnich latach poszerzone, także o recenzentów czy dziennikarzy pracujących na co dzień w Częstochowie czy Bielsku. Mimo tych obiektywnych trudności udało się w tym roku wyłonić niekwestionowanych zwycięzców. Zbieg okoliczności sprawił, że „Złote Maski” ’99 rozdano po okolicznościowym (Międzynarodowy Dzień Teatru) spektaklu w Katowicach. A to właśnie *Intryga i miłość* uznano „najlepszym przedstawieniem sezonu”.

Poza tym laury odebrali: Anna Kodulska (za rolę Lady Milford w *Intrydze i miłości*), Andrzej Warcaba (za rolę Wurma w tym samym przedstawieniu i rolę Paganiniego w *Rzeźni*), Marek Perepeczko (za rolę Wernyhory w *Weselu* w Teatrze im. Mickiewicza w Częstochowie), Krzysztof Babicki (za reżyserię *Intrygi i miłości*), Tomasz Dutkiewicz (za reżyserię *Prezydentek* w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej) i Jadwiga Mydlarska-Kowal (za scenografię do *Przemiany* w Teatrze Bez Sceny oraz *Rewizora* i *Operę za trzy grosze* w Teatrze Zagłębia).

K.K.

Wzorem szacownych przedwojennych czasopism kulturalnych otwieramy stałą rubrykę sprawozdań z bieżącego życia muzycznego w regionie. Prosi się ono o jakąś syntezę; tę zaś można tworzyć jedynie z dalszej perspektywy, w której można rozróżnić nie tylko poszczególne wydarzenia, ale i rozpoznać ogólne tendencje kultury muzycznej, ocenić działalność instytucji za nią odpowiedzialnych, wyczuwać zmienne nastawienie publiczności. Wyłuszczywszy nasz cel powinienem jeszcze dodać sakramentalną formułę o bezstronności, niezależności i apolityczności stanowiska, z którego będziemy obserwować śląski ruch muzyczny. Tak się jednak składa, że w przeszłości takie deklaracje formułowały zwykle osoby jak najbardziej zależne, stronnice i upolitycznione. Lepiej więc zamilczmy.

Początek roku jest zwyczajowo okresem drzemki instytucji koncertowych. Kiedyś - trzeba to przypomnieć - przypadał na ten okres karnawał. Balety, wieczorki i muzyka taneczna skutecznie konkurowały z koncertami. Szał karnawału dawno przeminął, ale zwyczaj pozostał. Mieliśmy więc w Filharmonii Śląskiej, zasłużenie wypoczywającej po wielkim wysiłku, jakim był grudniowy międzynarodowy konkurs dyrygentów, doroczną solidną porcję lżejszej muzyki w serii koncertów sylwestrowych, karnawałowych, walentynkowych, etc. Oraz serię koncertów, podczas których publiczność chyba drzemała, bo niewiele o nich mówiono na mieście. Z ciekawszych imprez Filharmonii trzeba odnotować występ prawie rodzinnego duetu Tatiana Szebanowa - Staś Drzewiecki. Ona - znakomita pianistka rosyjska, niegdyś gorąco oklaskiwana laureatka II nagrody na Konkursie Chopinowskim (było to w 1980 roku; pierwszą nagrodę otrzymał wówczas Wietnamczyk Dang Thai Son - niemilośmiernie niemuzykalnie grał Chopinowskie *Preludia* w Filharmonii Narodowej na koncercie upamiętniającym zeszloroczną rocznicę urodzin kompozytora...). On - uczeń Szebanowej, syn poznańskiego pianisty Jarosława Drzewieckiego, cudowny jedenastoletni malec, „wycinający“ z łatwością trudne sztuki wirtuozowskie. Z wielkim uznaniem śląskiej publiczności spotkały się ich koncerty, powtórzone w kilku mniejszych salach koncertowych regionu.

Zasłużony dyrektor NOSPRu Antoni Wit, wybitny artysta i niestrudzony szef orkiestry, w której przepracował rekordowo długi okres - osiemnaście lat (o trzy lata został zatem pobity dotychczasowy rekord współpracy z katowicką radiówką, który należał do Jana Krenza) poinformował oficjalnie o rezygnacji ze stanowiska. Jakkolwiek od dawna huczało od plotek na ten temat, wiadomość ta poruszyła środowisko i melomanów. Nie przesadzę, jeśli powiem, że w ostatnich dekadach kultura muzyczna Śląska „stała NOSPRem“, który śrubował poziom koncertów i był wzorową placówką, jeśli chodzi o urozmaicenie repertuaru, dbanie o publiczność oraz etos pracy, nie tylko muzyków, ale i administracji. Trudno uwierzyć, że tą olbrzymią instytucją, prowadzącą wielostronną działalność koncertową i nagraniową (do ostatnich, unikatowych przedsięwzięć nagraniowych



Foto: Jan Zegalski

Odejście Wita

Z MUZYKI

NOSPRu należy m. in. pierwsza na świecie kompletna edycja utworów symfonicznych Pendereckiego, w planach były dalsze nagrania muzyki tego wielkiego kompozytora), kierowała zaledwie piętnastoosobowa ekipa administracyjna, wliczając w to pracowników działu gospodarczego i technicznego. Pod kierunkiem Antoniego Wita, jego wieloletniej zastępczyni Ireny Siodmok, niezwykle zaangażowanej w pracę redaktor programowej Elżbiety Bogacz i pozostałych osób instytucja działała jak w zegarku. Należy mieć nadzieję, że znajdzie się na miejsce dyrektora Wita ktoś, kto będzie w stanie sprostać zadaniu kontynuowania dawnego poziomu i w ogóle, podtrzymania bytu katowickiej placówki.

W zalewie rocznic muzycznych, wyluskaliśmy sympatyczne święto, które przygotowała Akademia Muzyczna: obchodzono setną rocznicę urodzin Władysławy Markiewiczówny, pianistki, profesor fortepianu w katowickiej Uczelni (z jej to klasy wyszedł Andrzej Jasiński!), wreszcie - kompozytorki. Skonsolidowane i utrzymujące między sobą poprawne, a nawet przyjacielskie stosunki środowisko katowickich pianistów urządziło Markiewiczównie okolicznościowy koncert, na którym zabrzmiały przebrzmiałe, ale przecież cenne utwory mistrzyni minorum gentium. Nie zapominajmy, że to właśnie szereg mistrzów mniejszych nadaje kulturze danego obszaru wymiar przestrzenny, pozwala mówić o jej pełni, dojrzałości, promieniowaniu.

Na koniec wypada wspomnieć o tym, co po życiu muzycznym pozostaje - o książkach, których na Śląsku wydaje się nikle ilości, w porównaniu z takimi ośrodkami, jak Warszawa, Kraków, Poznań, a nawet Wrocław czy Gdańsk. Katowicka Akademia wydała m.

in. zbiór rozpraw krytycznych Mariana Wallek - Walewskiego, jednego z najbardziej wpływowych krytyków muzycznych późnego PRL-u. Tom nosi tytuł *Z pism muzycznych. Wędrowki w czasie i przestrzeni* (moim zdaniem, z mulistego podtytułu można było zrezygnować). Trudno oceniać go od strony redakcyjnej, gdyż jest to po prostu przedruk garści najbardziej znanych tekstów Wallek-Walewskiego, przytoczonych w ciągu chronologicznym, bez jakiegokolwiek wprowadzenia czy komentarza. Warto jednak po raz kolejny przyjrzeć się treści owych tekstów, pochodzących od autora, który cieszył się na Śląsku w latach 80. prestiżem osoby niemal „kultowej“. W sposób typowy dla tamtej epoki treść rozpraw została nastrojona na wysoki „humanistyczny“ ton. Przewijają się w nich tematy inspirowane ówczesnymi trendami wiedzy o kulturze (a więc przede wszystkim antropologia kulturowa i wywodzące się z niej zainteresowanie językiem, symbolami, mitologią, naturą ludzkiej psychiki) oraz kierunkami nauki (na czele z cybernetyką).

Rozprawy Mariana Wallek-Walewskiego z pewnością dorównują poziomem rozumowania i bogactwem języka pracom autorów, którzy dyktowali w latach 80. konwencje pisania o kulturze (Juszczak, Porębski, Bieńkowska, Mycielski). Jako przejawy krytyki muzycznej mają jedną, specyficzną cechę: są bardzo, bardzo odizolowane od rzeczywistości Z opublikowanego zbioru nie sposób dowiedzieć się czegokolwiek o polskiej kulturze muzycznej tamtych lat, nie ma w nim nic o ludziach. Są tylko idee i duchy: sławnych kompozytorów, filozofów, pisarzy. Jest to kwestia doboru tekstów (wybrano te o większej wartości poznawczej, pomijając codzienne recenzje), ale nie tylko. Uprawianie pięknośuchostwa było dla niektórych sposobem na władzę, cenzurę, itd.. Sposobem bezpiecznym i eleganckim. Przy okazji jednak wymuszającym historię - bo myśl o kulturze muzycznej także do tej historii należy. Wydawałoby się, że myśl o kulturze muzycznej jest czymś tak niewinnym i abstrakcyjnym, że nie wymaga zgola ingerencji władzy i cenzury. A jednak ingerencja owa dotykała refleksję o życiu muzycznym PRL-u w bardzo dotkliwy sposób - likwidując w zarodku wszelką dyskusję. Sam Marian Wallek-Walewski pouczał nas, studentów: należy pisać recenzje jedynie z dobrych koncertów, ze złych nie ma po co. Parę osób zastosowało się kiedyś do tego przykazania, z czego powstał w krytyce muzycznej lat 70. i 80. obraz polskiego raj, w którym sztuka muzyczna kwitnie, a na dodatek jeszcze się rozwija. Dla niepoznaki stosowano proste wybiegi: od czasu do czasu „zjeżdżano“ a) debiutujących kompozytorów, b) artystów z zagranicy, bo to nie szkodziło ani obrazowi kultury, ani samym krytykom, którzy, bądź co bądź, muszą z racji swego zawodu posiadać umiejętność wirtuozowskiego poruszania się w sieci powiązań zawodowo - towarzyskich. Ślady podstępnie atrakcyjnej „etyki socjalistycznego recenzenta“ są do dziś żywe w piśmiennictwie. Ale to już temat na inny artykuł. Ja go nie napiszę.

MAGDALENA DZIADEK

W zbiorze szkiców zatytułowanym *Wiek dokumentu* Zygmunt Ziątek, pracownik Instytutu Badań Literackich, śledzi różne rodzaje odzwierciedlenia rzeczywistości w polskiej literaturze XX wieku. Czyni tak w momencie, w którym odejście do historycznoliterackiej przeszłości opozycji „dokumentu” i „literatury” można uznać za dokonane.

W początkowej części książki obszarem zainteresowania stają się ludowa autobiografia, relacja świadka i reportaż — trzy główne inspiracje kształtujące literacki dokumentaryzm, w obrębie których dostrzec można ich własny, wewnętrzny rozwój ku dojrzałości literackiej.

Analizę dokumentaryzmu w literaturze XX wieku rozpoczyna Zygmunt Ziątek od opisanego zjawiska nie będącego już raczej od dłuższego czasu obiektem szczególnie żywego zainteresowania — chłopskiej autobiografii. Jako największy artystyczny wyraz tego zjawiska literackiej emancypacji, „spóźnionego procesu przełamania społeczno-kulturowej izolacji oraz bariery piśmienniczej” warstwy chłopskiej uznaje autor powieść Wiesława Myślińskiego *Kamień na kamieniu* z roku 1984. Ocenia ją na tyle wysoko na tle całego dorobku chłopskiej autobiografii, że pisze, iż Myśliński „wyniesiony (...) wysoką falą nurtu chłopskiego w momencie debiutu, wyczerpał możliwości nurtu już w trzeciej powieści i tym samym nurtu cały skasował”. I rzeczywiście, z perspektywy piętnastu lat ta właśnie powieść, której narrator, Szymon Pietruszka, ubogi gospodarz na siedmiu morgach, otarłszy się o śmierć przyjmuje rolę pamiętnikarza, a poniekąd także sporządzającego testament odchodzącej cywilizacji, pełni rolę wizytówki zjawiska.

Wiek XX, a w szczególności II wojna światowa, spowodowały istotny literacki awans relacji świadka — uczestnika zdarzeń, powodując jednocześnie umasowienie tego rodzaju wypowiedzi. W sytuacji wojny totalnej, ogarniającej niemal cały świat, zacierała różnicę pomiędzy frontem a terenami okupowanymi, a jednocześnie wojny, która jak gdyby „rozmięła się na wiele wojen nie wiedzących o sobie” — „relacja świadka-uczestnika wydarzeń — sankcjonująca uczestniczkowość, fragmentaryczność, przypadkowość obserwacji, potwierdzająca niewiarygodny charakter wydarzeń wiarygodnością przeżycia — stała się (...) podstawowym sposobem informowania świata oraz komunikowania się podzielonego społeczeństwa o swoim losie” — pisze Ziątek. Jednocześnie dodaje, iż poczucie odpowiedzialności za rodzaj głoszonych prawdy wywołało u autorów relacji próby podjęcia intelektualnego rozrachunku z wojennym doświadczeniem, relacje świadków wojennych działań wypełniły się próbami dawania moralnego i intelektualnego świadectwa. Spełnienie takiego świadectwa oznaczało zaś powstanie wybitnej literatury.

Takim przykładem w polskiej literaturze są oczywiście opowiadania Tadeusza Borowskiego. Im poświęca uwagę Ziątek w drugiej części *Wiek dokumentu* i czyni to, jak zaznacza, patrząc na nie po raz pierwszy w dziejach historii literatury polskiej, w perspektywie literatury świadka. Intrygujący jest sposób w jaki odczytuje Ziątek opowiadania Borowskiego. Klasyfikując je jednoznacznie jako literaturę faktu, odrzuca funkcjonującą w latach sześćdziesiątych manierę sprowadzania obecności w nich Borowskiego do konwencji literackiej, nie patrzy na nie również przez pryzmat „czamej legendy” ich autora. Wskazuje natomiast, że do ich właściwego odczytania wskazane byłoby odrzucenie autorskiej kompozycji zbioru *Pożegnanie z Marią* opierającej się na chronologii przedstawianych w nich wydarzeń i przeczytanie ich w kolejności po-



Zygmunt Ziątek: *Wiek dokumentu*, Instytut Badań Literackich, Warszawa 1999, s.

Głód dokumentu

wstawania. „Badacze problematyki obozów stwierdzają, że dla więźniów Oświęcimia historia ich życia podzieliła się na trzy epoki” pisze Ziątek i pokazuje dalej, że opowiadania składające się na *Pożegnanie z Marią* pisał Borowski w takich trzech różnych okresach. Okres trzeci, poobozowy (w zapiskach więźniów wypełniony „powrotem do życia”) to czas, kiedy napisał Borowski opowiadania dotyczące życia przedobozowego, oraz okresu wkrótce po wyzwoleniu. Trzy powstałe wówczas opowiadania (między innymi tytułowe) okazują się w interpretacji Ziątka dowodem zagubienia ich autora, rozpaczlivości braku autentyzmu, także rezygnacji z próby dania świadectwa tych strasznych czasów. „Nie możemy (...) nie zauważyć, że kierując na śmierć w obozie literacką Marię, pisarz zabijał kształt własnej nadziei, bo Maria to było imię tylko jego nadziei, a uśmiercając chłopca z Biblią uśmiercał portret samego siebie jako strażnika i bojownika wartości” — pisze.

Gatunkiem literackim w którym, z natury rzeczy dokumentaryzm objawia się szczególnie, jest reportaż. Jemu poświęca uwagę Ziątek w rozdziale zatytułowanym *Głód rzeczywistości*. We wstępnej jego części pisze, iż polski reportaż oprócz zainteresowania dziejącym się procesem historycznym dodatkowo odznaczał się „podatnością na myślenie w perspektywie tradycji, w perspektywie historycznej racji zbiorowości”, charakterystyczne dla niego było „dążenie do wpisania bieżącej rzeczywistości w przebieg historii, spojrzanie na tę rzeczywistość jako na segment procesu dziejowego”. Jako przykład polskiego reportażu omawiane są w książce twórczość Ryszarda Kapuścińskiego i Hanny Krall. O Kapuścińskim pisze Ziątek, iż „szukał (on) w historii szansy upodmiotowienia rzesz, które dotychczas były jej przedmiotem”, że „historia nieudana to dla (niego) przede wszystkim dramat, dramat tych, któ-

rzy mieli stać się jej podmiotem, a po raz kolejny odepchnięci zostali na margines egzystencji zdegradowanej do wyczekiwania na sprawiedliwość”. Wskazuje na przemiany pisarstwa Kapuścińskiego, kształtowane przez odczuwanie przez niego historii jako obszaru niezawinionych cierpień. Podkreśla, że Kapuścińskiego „nie interesuje (...) samo wydarzenie, jeśli nie odbija się w nim jakaś prawda uniwersalna lub wiedza o mechanizmach historii”.

Pisząc o twórczości Hanny Krall, Ziątek stwierdza, iż jej reportaż był reportażem całkiem innego rodzaju, niż reportaż Kapuścińskiego, a mianowicie był to reportaż „nastawiony na uchwycenie dziejowych wyznaczników przedstawianych zdarzeń, zaangażowany w historyczne racje opisywanych zbiorowości”.

W dalszej części książki Ziątek poświęca uwagę twórczości Igora Newerlego — pisarza, który jeszcze przed swoim debiutem literackim miał, dzięki własnej burzliwej biografii okazać do zapoznania się z najdonioślejszymi, i najtragiczniejszymi zarzeczami, doświadczeniami XX-wiecznej historii. Dzięki temu, jak pisze autor „Newerly nie stał się pisarzem żadnego z (...) kręgów doświadczenia historycznego (...), z wierności któremuś ze swoich głównych przeżyć nie uczynił pisarskiego posłannictwa i źródła pisarskiej siły. Stał się od razu pisarzem XX-wiecznego doświadczenia historycznego w całości, świadkiem epoki”. Dalej zaznacza, że Newerly w swojej twórczości uprzywilejowujący kategorię życiorysu, nie prezentuje w niej życiorysów stereotypowo polskich, z wyraźną niechęcią odnosi się do „uświęconych wyobrażeń Polaków”, traktując na przykład „podejrzliwie” wiejski dwór jako architektoniczno-historyczny symbol polskości.

Ostatni rozdział książki, *Koniec wieku dokumentu*, poświęcony literackim odzwierciedleniom wydarzeń lat osiemdziesiątych, odbiega swym kształtem od pozostałych. W poprzednich zasadniczą część, poprzedzoną jedynie krótkimi rozważaniami ogólnymi, stanowiły analizy dotyczące konkretnych, literackich przykładów danego zagadnienia. Tym razem *Szkicom historycznym* Zbigniewa Kruszyńskiego i powieści Olgi Tokarczuk *Prawie i inne czasy* poświęcił autor stosunkowo niewiele miejsca. Nie stało się tak przypadkowo. W najobszerniejszej części książki Ziątek próbuje odpowiedzieć na pytanie, dlaczego najnowsze wydarzenia w historii Polski nie znalazły należnego odzwierciedlenia w literaturze. Według Ziątka przyczyną jest fakt, iż w akcie dokumentowania wydarzeń związanych z ruchem „Solidarności” stosunkowo duży był udział pisarzy zawodowych, wobec małej ilości świadectw nieprofesjonalistów. „Prawie wszystkie notatniki osobiste stanu wojennego zostały napisane przez pisarzy, dziennikarzy, przyszłych ministrów i działaczy państwowych najwyższego szczebla. Z pewnością nie zaszkodziło to ich wartości informacyjnej, chociaż znacznie ograniczyło teren obserwacji”. Inną przyczyną był fakt, iż doświadczenia stanu wojennego nie dorównywały, na szczęście, wcześniejszym kataklizmom dziejowym (Andrzej Szczępiński na przykład stwierdził, że stan wojenny nie objawił mu niczego, czego nie znalazłby z najnowszej historii, i uznał, że należy tę historię opisać od nowa).

Książka Zygmunta Ziątka, znamionująca bardzo rzetelne, można rzec „kompletne” odczytanie we współczesnej literaturze polskiej, dająca całościowy obraz dokumentarycznych odzwierciedleń w literaturze polskiej XX wieku, kończy się więc zapowiedzią stopniowego odchodzenia literatury dokumentarnej na plan dalszy.

TOMASZ GŁOGOWSKI

Wczeskiej i słowackiej literaturze pięknej epigramat (fraszka), zarówno w przeszłości jak i obecnie, nie budził szczególnego zainteresowania. Nie zadomowił się on w piśmiennictwie rodzimym, niewyraźna jest linia jego rozwoju itp. Co więcej, kiedy mówi się o nim w kontekście tradycji, ma się niemal zawsze na myśli zjawisko synkretyczne pod względem rodzajowym i gatunkowym, tak jak je dzisiaj - analogicznie do wszelkich innych inspiracji - wykorzystuje „poetyka” postmoderny. Sytuacja jednak wygląda inaczej, kiedy uwzględnimy twórczość ludową, gdzie małe formy literackie znalazły dla siebie miejsce i możliwość rozwoju w obrębie baśni i bajki, pośród przysłów i porzekadeł, w pieśń obrzędowej itp.

W literaturze polskiej natomiast „epigramatyka (fraszka)” jest obecna od wielu stuleci. Ukształtowała własną, autentyczną tradycję w obrębie literatury pięknej i ludowej. Ma określone zaplecze czytelnicze i w znacznym stopniu zachowuje aktualność. Jak zauważa L. Štěpán, to kulturowe i „twórcze” zjawisko stanowi swoisty duchowy „znak” etnicum, jego historycznego doświadczenia, rodzaju samowiedzy, szerszych prądów duchowych i kulturowych (humanizm, renesans), ale i aktualnej atmosfery społecznej czy politycznej, współkształtującej sensy i znaczenia tego - małego - gatunku literackiego.

L. Štěpán we wstępie do swej pracy tak wyjaśnia powyższą sytuację: „Na małe formy literackie (i gatunki małych form) w większości literatur narodowych spogląda się jako na marginalne, choćby dlatego, że małe formy literackie to jakoby częstkowe problemy wielkich form literackich. Gatunki i odmiany gatunkowe epigramatyki są jednak, zwłaszcza w polskiej literaturze, na tyle specyficzne (w porównaniu z innymi gatunkami, a szczególnie z gatunkami małych form literackich) i odgrywają tak szczególną rolę, że pominąć ich nie można” (s. 5).

Štěpánowskiej „mapie” polskiej epigramatyki towarzyszy dokładny przegląd literatury przedmiotu oraz - jak sygnalizuje sam autor - sumienna analiza materiału literackiego (z zakresu literatury pięknej i ludowej). Umożliwia to szeroką prezentację drobnych gatunków literatury polskiej. Problemy typologii, genealogii, terminologii (Rozdz. „Miejsce



Ludvík Štěpán, *Polská epigramatika. Žánry fraška a epigram ve spektru malých literárních forem*. Opera Universitatis Masarykianae Brunensis. Faculta philologica. Spisy Masarykovy univerzity v Brně. Filozofická fakulta. Číslo 318. 1. vyd. Masarykova univerzita v Brně 1998, s. 168.

Fraszka i epigramat

dla małych form literackich”, s. 5 i następne), kontaminacja gatunków folkloru, sposób istnienia twórczości ustnej, funkcjonowanie poszczególnych elementów w strukturze tekstu (Rozdz. „Ewolucja gatunków literackich: epigramu i fraszki” z podrozdziałami: „Gatunki literackie w literaturze polskiej”, „Funkcjonowanie elementów struktury gatunków literackich”, „Funkcje komizmu jako kategorii estetycznej”) to wszystko wykorzystał autor pracy o polskiej epigramatyce jako tło dla „swojego” problemu badawczego. A tym jest przedstawienie epigramatu i fraszki jako hybrydycznego, dynamicznie się rozwijającego (rodzajowego, gatunkowego, poetologicznego, estetycznego i semantycznego) artefaktu.

W początkowych partiach *Polskiej epigramatyki* L. Štěpán zwraca uwagę na to, że jego ujęcie należy do pionierskich, gdyż nawet polska nauka o literaturze - mimo iż są tu publikacje J. Trzynałdowskiego (*Małe formy literackie*, 1977), A. Siomkaj-

ło (*Ewolucje epigramatu*, 1983), P. Michałowskiego (*Poetyka współczesnej fraszki*, 1995) oraz antologie i wybory z fachowym komentarzem J. Tuwima, A. Siomkajło, W. Brudzińskiego - nie posiada dotychczas reprezentatywnej pracy syntetycznej, która by traktowała o tym dynamicznym (zmiennym pod względem formy i statusu) genealogiczno-semantycznym zjawisku.

Wydaje się, że z perspektywy komparatystyki i związków międzyliterackich, ogląd danego zjawiska kulturowego, dokonywany przez badacza reprezentującego inną narodową literaturę, kulturę, naukę, będzie zawsze interesujący i owocny. Wyniki takiego ujęcia i ich oddziaływanie skłaniają do rewizji rodzimego poznania, często zwracają uwagę na okoliczności, które w rodzimej nauce o literaturze nie zostały dostrzeżone. Przeczuwa to i L. Štěpán, gdy formuluje pytanie i zarazem problem: „czy epigramat i fraszka są naprawdę oddzielnymi gatunkami, czy też „fraszka” jest tylko gatunkową odmianą epigramatu” (s. 5). Dochodzi zaś do wniosku, że: „fraszka i epigramat jako gatunki samodzielne znikają z książek” (s. 142), aby przyjąć dzisiaj na siebie postać gnomy, sentencji, cytatów „złotych myśli” z wielkich form literackich. Epigramat w rozwoju literatury pięknej zmienił swoją substancję gatunkową, ale nie stracił swej semantycznej ostrości i estetycznej funkcjonalności. Należy do tych rodzajów i gatunkowych modyfikacji, które „gubią” swój byt indywidualny, by się odnaleźć w innej formie znaczeniowej.

Nadanie tezie roboczej postaci pytania oznacza w pracy to, że przy rekonstrukcji małych polskich form gatunkowych skupia się uwagę na folklorze, zwłaszcza zaś - mimo specyficznych polskich form - na uniwersalności baśni, bajki, przysłówia, porzekadła. I to, jak sądzimy, stanowi silny impuls do dalszych badań, ale już na gruncie współczesnej literatury dla dzieci.

Praca Štěpána i dla niepołonistów staje się bodźcem, by przyrzeć się konstrukcji „nowoczesnej” bajki i wierszowanych tekstów z ostatnich dziesięcioleci dla czytelników młodszych (wierszyków, rymowanek), gdzie epigramat, chociaż modelowany przy użyciu klucza kompozycyjnego i gatunkowego, mądry i zwięzły - żyje nadal.

VIERA ŽEMBEROVÁ

Autorka *Sentencji i porad*, słynna mistyczka, uczona i lekarka, była benedyktynią niemiecką, opatką klasztoru w Bingen. Żyła w latach 1098—1179. Urodziła się ona w niezbyt bogatej, za to wielodzietnej rodzinie rycerskiej, toteż już jako dziecko trafiła do zakonu, gdzie przyszło jej spędzić resztę życia. Była to normalna kolej losu ówczesnych panien, nie mających szans i na posag, i na męża, także z uwagi na występującą w średniowieczu dużą nadwyżkę płci pięknej.

Na schronienie w murach klasztornych mogły wszakże liczyć przeważnie tylko kobiety szlacheckie poczęte. Przed niewiastami z niższych warstw społecznych piętrzyły się na tej drodze spore utrudnienia. Hildegarda z Bingen należała do grupy duchownych, którzy stanowczo żądali przestrzegania zakazu werbowania do zgromadzeń kobiet o nierycerskim rodowodzie. Stawiane jej z tego powodu zarzuty nie odnosiły skutku, nasza bohaterka nie zwykła ustępować komukolwiek pola, wytrwale trzymając się porządku istniejącej hierarchii feudalnej. Zdecydowanie też broniła przed krytyką swoje nadmierne rozmiłowane w strojach podkomendne, bo jako dziewice, argumentowała, miały do tego pełne prawo.

Jakkolwiek zapatrywania badaczy są niekiedy podzielone, to wydaje się jednak, iż Hildegarda z Bingen odebrała w klasztorze gruntowniejsze wykształcenie. Po jej twórczości pozostały dzieła o najrozmaitszej tematyce, a wśród nich poświęcone wizjom i objawieniom. Przy okazji dała się poznać jako wprawna ilustratorka. Poza tym pisała o medycynie, naukach ścisłych, z dobrym rezultatem próbowała sił w poezji i muzyce. Jakby nie dość było tego wszystkiego, zapracowała sobie jeszcze na rozgłos prorokini i miano Sybilli Renu. Hildegarda z Bingen w sławie pławiła się już za życia, jej prace cenili papież Eugeniusz III i Bernard z Clairvaux, reprimend zaś wysłuchiwali inni infułaci kościelni i nawet sam cesarz Fryderyk I Hohenstauf.

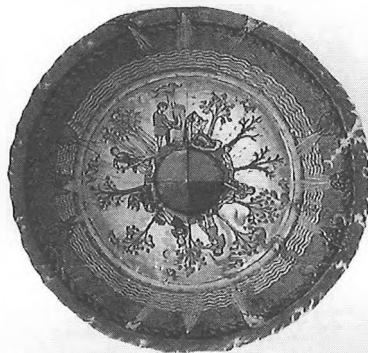
Mistyka opatki benedyktyńskiej ma platońską metrykę, we wczesnym średniowieczu inspirowaną dodatkowo panteizmem Jana Szkota Eriugeny, według którego Bóg jest „wszystkim we wszystkim”. Zdaniem Hildegardy z Bingen każdy człowiek czerpie moc z miłości, co pozwala mu łączyć się z Bogiem. Utrzymywała także m.in., że „to Bóg jest tym, Kogo człowiek rozpoznaje w każdym stworzeniu”, a „przybranie przez Boga postaci człowieka jest największym objawieniem Jego nieskazitelnej miłości, w niej to człowiek patrzy w oblicze Boga”.

Ta mistyczka niemiecka już w dzieciństwie zasmakowała w objawieniach, jednakże w obawie narażenia się na śmieszność wzbraniała się komunikować o tym otoczeniu. Potem wyzbyła się oporów i uwieczniła te swoje nadzwyczajne przeżycia, wywołujące u niej stany uniesienia o charakterze wręcz ekstatycznym.

Do najważniejszych traktatów teologicznych Hildegardy z Bingen zaliczają

Hildegarda z Bingen

Sentencje i porady na każdy dzień



Księgarnia Św. Wojciecha

Hildegarda z Bingen: *Sentencje i porady na każdy dzień*. Opracowanie i wprowadzenie Angelika Conrad-Seibert i Karin Hechtberger. Przekład Daria Polańska i Olaf Piotrowski. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1998, s. 335.

Zadumana kobieta

się następujące dzieła: „Poznaj drogi Pana”, „Księga uczynków” i „Księga dzieł Bożych”. Natomiast w omawianym zbiorze *Sentencji i porad* autorki korzystały z „Poznaj drogi Pana” z „Wiedzy o uzdrowieniu”, „Fizyki” oraz modlitwy pt. „Okna wiary”. Wypisy niniejsze nie są tłumaczeniem z oryginału, lecz ze współczesnego wydania niemieckiego. Książka, w ograniczonym wymiarze przydatna historykom-mediewistom, zbyt uboga jak na wymagania historyków filozofii średniowiecznej, pozbawiona jest jakiegokolwiek aparatu pomocniczego (przypisy, objaśnienia, bibliografia), wstęp natomiast zdradza wyłącznie zauroczenie obu autorek sukcesami dawnej uczoney. Wydawca polski łatwo mógł udoskonalić edycję, wzbogacając ją o rzeczowe i kompetentne wprowadzenie; nie brakuje przecież u nas wytrawnych znawców mistycyzmu średniowiecznego i dorobku Hildegardy z Bingen.

Większą część omawianej pozycji wypełniają porady ściśle medyczne. Zakonnica niemiecka opisywała działanie rozmaitych leków roślinnych (maści, nalewki, potrawy), ich zastosowanie, znała się również na dietetyce, balneologii (człowiek szczypty winien korzystać z kąpieli, otuły natomiast z łaźni parowej), wiedziała, kiedy trzeba stawiać bańki czy puszczać delikwentowi krew tudzież rozezna-

wała się w uzdrowicielskich właściwościach kamieni szlachetnych. Do zakresu wiedzy medycznej Hildegardy z Bingen należą również formułowane przez nią pouczenia moralne (niezgoda—zgoda, zarozumiałość—pycha, hulanka—wstrzeźliwość itp.), rozumiane jako przejawy obcowania człowieka z Bogiem i deklaracje co do realizacji jego oczekiwań. Z racji swoich doznań mistycznych czuła się ona uprawniona do definiowania tych kategorii. I chociaż nie była w tym względzie jakoś nadzwyczajnie surowa, gdyż polecała jedynie umiarkowanie, to zadufanie Hildegardy z Bingen przekraczało niekiedy, jak się zdaje, granice wyrozumiałości, ponieważ wykladała także, jakoby pożądanie u mężczyzny jest większe niż u kobiet.

Chciałoby się zapytać, skąd ta znajomość materii u mniszki, która z własnej cnoty uczyniła oręż w służbie absolutu. Przywodzi to na pamięć koncepcje Platona, notorycznego homoseksualisty, usiłującego zaprowadzić ład i poukladać fantazje erotyczne obecnej mu zmysłowo gromady heteroseksualistów. Nic nie jest wiadomo, aby myślicielka dwunastowieczna rozczytywała się w utworach tego filozofa i ewentualnie zaczerpnęła z lektury tychże jakieś podniety. Stąd też przyjąć wypadnie, że takie zadziwiające pomysły stanowiły (stanowią?) przypadłość wszystkich przemądrzałów, niezależnie od okresu ich aktywności.

Jednakowoż tzw. ogólnolekarskie umiejętności benedyktyнки średniowiecznej tchną autentyzmem. Nie sięgała ona bowiem do zawartej w księgach mężów starożytnych skarbnicy doświadczeń wszelakich, jak to najczęściej bywało w ówczesnych klasztorach męskich, ale praktycznie spożytkowała tradycję i wiedzę ludową. Lekarska renoma Hildegardy z Bingen musiała jakimś sposobem zwycięsko wyjść ze zmagania z upływającym czasem, skoro obecne apteki niemieckie wciąż serwują wymieszane podług jej receptur medykamenty.

Swego rodzaju słowem-kluczem pisarstwa zakonnicy benedyktyńskiej z XII w. jest wielokrotnie powtarzany wyraz miłość, jako że to uczucie „jest mianowicie niegasnącym ogniem”. Ta cecha ujawniła się także w równoległe kwitnącej twórczości trubadurów i minnesengerów, tyle że u nich Boga, adresata wypowiedzi Hildegardy z Bingen, zastąpiła wyidealizowana kobieta. Uczeń analogie dostrzegają również w poezji mistycznej. Zresztą wspólnych korzeni średniowiecznej mistyki, miłosnej poezji prowansalskiej, jej naśladowców i kontynuatorów oraz dokonani heretyków znawcy problematyki dopatrują się już od bardzo dawna, włączając do kwestionariusza pytań także lirykę arabską. Tymczasem jednak brak jeszcze zadowalającego wszystkich rozstrzygnięcia, a poszukiwaniom i polemikom raczej końca nie widać.

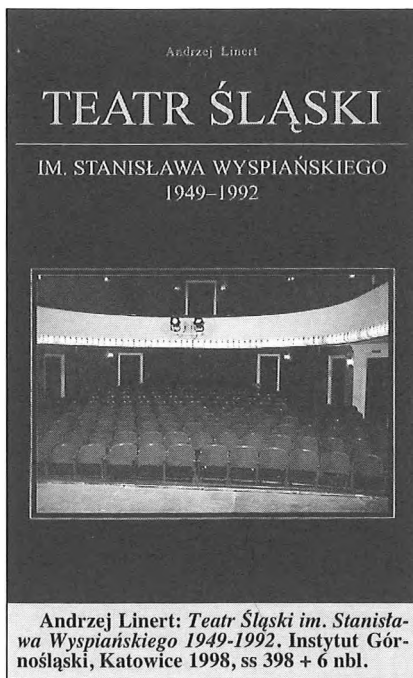
JERZY MULARCZYK

Książka, która wieńczy wieloletni trud badawczy Andrzeja Linerta, zasłużonego historyka życia teatralnego na Górnym Śląsku. Od ponad 30 lat prowadzi teatrologiczne badania obejmujące działalność nie tylko scen zawodowych, zarówno dramatycznych i lalkowych, lecz także amatorskich, których społeczne funkcje na tym obszarze zawsze były i nadal są ważne jako świadectwo wyższych aspiracji kulturalnych lokalnych środowisk. W przeszłości zespoły te miały przede wszystkim zasługi w upowszechnianiu polskiego repertuaru i w utrwalaniu postaw narodowych w konfrontacji z akcjami germanizacyjnymi; taka misja wpisana była oficjalnie także w zadania teatru niemieckiego w Katowicach od chwili jego otwarcia 2 października 1907 roku, co wywołało reakcję środowisk polskich. Jak ważna w owym czasie była działalność scen polskich, szczególnie w okresie decydujących rozstrzygnięć, świadczy utworzenie w 1920 roku 2 zespołów zawodowych: Teatru Plebiscytowego Edmunda Rygiera i Górnośląskiego Teatru Narodowego Henryka Cepnika, których działalność poprzedza bezpośrednio powstanie Teatru Polskiego w Katowicach w październiku 1922 roku, już po połączeniu części Górnego Śląska z Macierzą.

Właśnie na historii i dokonaniach tej zasłużonej placówki skupia się głównie w swej pracy badawczej Andrzej Linert, ze szczególnym uwzględnieniem jego działalności po roku 1945. Nie licząc innych publikacji, Teatrowi Śląskiemu poświęcił 2 książki — owoc wieloletnich teatrologicznych penetracji. Pierwsza z nich pt. „Teatr Śląski w latach 1945-1949”, wydana w 1979 r. przez Śląski Instytut Naukowy w Katowicach (Linert był przez szereg lat jego pracownikiem) obejmuje pierwsze miesiące po wyzwoleniu Katowic, gdy w tzw. „półsezonie” Karola Adwentowicza i Wilama Horzycy dochodzi rychno do pamiętnej premiery „Zemsty” Fredry; następnie dyrekcję Bronisława Dąbrowskiego (1945-1947) oraz dwuletnią kadencję Władysława Krasnowieckiego, której koniec przypada na rok upaństwowienia teatru a jednocześnie czas wprowadzenia do polityki kulturalnej państwa socrealizmu, z jego fatalnymi następstwami, czemu wiele uwagi poświęca Linert w swojej drugiej książce.

Tytuł w istocie ten sam — inne daty obejmujące lata 1949-1992; w sumie 13 kolejnych dyrekcji, łącznie z najdłuższą gdy Teatrem Śląskim w latach 1981-1992 kierował Jerzy Zegalski. Właśnie ta kadencja okazała się niespodziewanie najdłuższą i najbardziej stabilną w historii katowickiego teatru, choć nie posiadał już tak licznej i wartościowej zespołu jakim dysponował jeszcze w latach 1971-1974 Ignacy Gogolewski, nie mówiąc już o wyjątkowych możliwościach w pierwszych powojennych latach.

Obie książki o Teatrze Śląskim Andrzeja Linerta, zgodnie zresztą z intencjami autora, należy traktować jako całość (druga jest kontynuacją pierwszej), choć pierwsza powstała w warunkach ograniczeń cenzuralnych, co musiało rzutować na swobodę wyrażania opinii dotyczących kontekstów politycznych w działalności teatru. Dzieli je natomiast — już na pierwszy rzut oka — strona poligraficzna: bez względu na zawartość to wydawnictwa z dwu różnych epok. Książka pierwsza (nawet gruntowniejsza pod względem zakresu dokumentacji) przypomina siermiężne publikacje tamtego okresu: kiepski papier, licha okładka, marny druk. Druga — w formacie A4, z kolorową obwolutą na kredowym papierze, w sztywnej oprawie, jest książką o wysokich walorach poligraficznych, co ma w tym przypadku duże znaczenie, chociażby ze względu na czytelność fotografii, dzięki czemu możemy wychwycić założenia inscenizacji i klasę kreacji aktorskich. Teraz zresztą, gdy Teatr Śląski dysponuje jeszcze książką Elżbiety



Andrzej Linert: *Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego 1949-1992*. Instytut Górnośląski, Katowice 1998, ss 398 + 6 nbl.

„Teatr Śląski” Linerta

Toszy o cechach wysmakowanego albumu, działalność tej sceny ma bogatą, dopełniającą się dokumentację.

Książka Andrzeja Linerta kończy się na działalności Teatru Śląskiego w połowie 1992 roku — po zamknięciu ostatniego sezonu kadencji Jerzego Zegalskiego, która stanowi już zwartą, możliwą do zbilansowanego opisu całość. Przyjęta przez autora granica czasowa wydaje się być uzasadniona kryteriami obiektywizmu i wyznaczonym celem: przedstawieniem dziejów i dokonań Teatru Śląskiego w okresie PRL-u. Czy jednak aż do tego stopnia można, mimo wszystko, działalność tej sceny rozpatrywać w kontekście uwarunkowań ideologicznych i ograniczeń politycznych poprzedniego ustroju... podobnie jak po roku 1989 w związku z konsekwencjami postępującego kryzysu finansowania kultury? Nie mogą też zgodzić się z opinią Linerta, iż był Teatr Śląski... „przykładem funkcjonowania teatru w warunkach totalitarnego zniewolenia”. To prawda, że niemal ingerencji władz miało charakter brutalny, dochodziło do blokad repertuarowych a do czasu kadencji Jerzego Zegalskiego (lata 80. charakteryzowały się jednak coraz większą liberalizacją cenzury) żaden dyrektor nie miał szans na zrealizowanie swego programu i był zmuszony rozstać się z teatrem, bądź składał dymisję. Na pewno tak częste zmiany nie mogły być korzystne dla stanu teatru, jego kondycji artystycznej i stabilności zespołu. Zapewne nigdzie też nie doszło do takiego zhamowania szans jak w Katowicach, gdzie w okresie dyrekcji Bronisława Dąbrowskiego — i to w wyjątkowych, powojennych warunkach — powstał 100-osobowy zespół, jeden z najświetniejszych w Polsce nie tylko w owym czasie. To wszystko prawda — także i to, że stan ten przerodził się w swoisty fatalizm ciążyący nad katowickim teatrem, o czym również pisałem nie raz. Lecz stan ten był wynikiem sytuacji znacznie bardziej złożonej, w tym pogłębiającego się niedofinansowania kultury na Śląsku — i to od dziesięcioleci, wbrew oficjalnej propagandzie. Nigdy prze-

cież nie został zrealizowany żaden program kultury w sferze materialnej, co również rzutowało na samopoczucie twórców, których możliwości, bądź aspiracje, wykraczały poza coraz bardziej zniechęcające warunki. I podobnie jest dziś — czy Teatr Śląski, choć nie działa już w sytuacji „totalitarnego zniewolenia”, lecz w pełni swobod twórczych i wolności artystycznej, może nawiązać do swych najlepszych sezonów i osiągnąć, nawet z lat największych ograniczeń. A jeśli nie — to dlaczego?

Zaluję, iż ten punkt widzenia zaważył na ograniczeniu ram książki Linerta do epoki PRL. Nie przeceniałbym również wagi dystansu czasowego i obiektywizującej perspektywy dla dokonania całościowych ocen. Mimo wszystko szkoda, iż tak kompetentny znawca katowickiego teatru nie pokusił się o zwięzłe chociażby scharakteryzowanie pierwszych sezonów dyrekcji Bogdana Toszy i nie uwzględnił ich w indeksie tytułów. A w latach, które obejmuje książka Linerta, Teatr Śląski przedstawił 457 premier; jeśli dodać 63 pozycje z lat 1945-1949, otrzymamy łącznie 620 premier — i ta liczba wyraża skalę dokonań oraz społecznego znaczenia „narodowego teatru” na Śląsku, którego repertuar, jeśli przejrzeć indeks sztuk, z perspektywy lat wypada wcale atrakcyjnie. A co dopiero gdy się włączy w indeks nazwisk aktorów, reżyserów i scenografów związanych z katowicką sceną; ileż tu artystów i twórców z listy najwybitniejszych, których obecność w kulturze narodowej jest trwała, zaś licząca 400 stron książka Linerta dokumentuje należycie.

Jest wielką zasługą autora ogarnięcie i uporządkowanie ogromnego materiału związanego z historią Teatru Śląskiego od roku 1949 do 1992 oraz wnikliwe scharakteryzowanie dorobku poszczególnych epok i kadencji artystycznych katowickiej sceny, od „Teatru Woźnika”, opartego na wierności literaturze i rzetelnym aktorstwie, po teatr wielkich inscenizacji, poetyckiej metafory, w tym o ambicjach „sceny narodowej”. Andrzej Linert stara się dać szeroki przegląd najważniejszych osiągnięć, tendencji estetycznych i stylistycznych, nurtów programowych i wyznaczników repertuarowych, na szerokim tle dokonań polskiego teatru i wielorakich uwarunkowań artystycznych. Powstała w ten sposób rozległa panorama dorobku katowickiej sceny, w której są należyście uwzględnieni najważniejsi twórcy i artyści działający w różnych okresach jej powojennej historii. Imponujące jest bogactwo informacji, które zgromadził i zapisał Linert, docierając do źródłowych dokumentów, unikalnych zdjęć i prywatnych zapisków. Wykonał także wielką pracę tworząc podstawową dokumentację wszystkich premier z podaniem bibliografii recenzji. Każdy rozdział opatrzone został przypisami, w znacznej części komentowanymi, które przybliżają toczące się wówczas spory i dyskusje.

Książka Linerta skomponowana jest z wielką dbałością i troską o przekazanie możliwie najszerzej mozaiki faktów i wydarzeń tworzących materiał do teatrologicznej analizy i wniosków. Autor co prawda zaznacza, iż nie ogarnął całości dokonań teatru, ale czy jest to w ogóle możliwe, skoro jest to sztuka z natury ulotna, skazana na erozję pamięci, bo co pozostaje po latach z największego nawet spektaklu: magii inscenizacji, kreacji aktorskich?... Dlatego tak ważna jest rzetelna dokumentacja tego co zapisać i utrwalić można. Dwie książki Andrzeja Linerta poświęcone Teatrowi Śląskiemu, stanowiące w istocie całość, to dokonania ważne nie tylko w skali tej instytucji lecz o znaczeniu daleko większym niż to określa dosłowny tytuł.

TADEUSZ KIJONKA

Po długim milczeniu przypomniał o sobie, jako poecie, Bogdan Prejs. Do tego rodzaju powrotów warto podchodzić z rezerwą. Autor jest czynnym zawodowcem, aktywnym dziennikarzem. Tomik wierszy może być więc rodzajem autoterapii, próbą przekonania siebie i świata, że coś jeszcze pozostało z dawnych pięknych lat. Tymczasem w przypadku Bogdana Prejsa otrzymaliśmy nie powtórkę z przeszłości, ale najdramatyczniejszy, najbardziej dojrzały i najpiękniejszy zbiór jego wierszy.

W autorze, jak ropiejąca zadra, tkwi kompleks zdrady czy też porzucenia. Porzucenia poezji w imię uporządkowania świata, który nabiera w jakimś sensie pięknego, ale tak dalekiego literaturze rytmu: „trzeba pamiętać: / o siódmej pobudka / o wpół do ósmej Karol do szkoły Martynia do przedszkola / ósma z minutami włączyć komputer”. Ten kompleks został dokładnie opisany i zdiagnozowany: „kilka lat nie pisałem wierszy / kilka lat nie pisałem wierszy / (...) kilka lat nie pisałem wierszy / nie szukałem ich a one / obchodziły mnie wokół / nie dając się przyłapać na chwili słabości (...) kilka lat w czasie których jedni odeszli / inni przyszli (...) i tylko ta dziwnie znajoma twarz w lustrze // jak ja nie nawidzę luster”. Tak rodzi się piękny poważny bunt, nie rwący sztandarów, ale przeżywający gorzyc, którego mottem jest częstokroć cytowana fraza Grochowiaka: „Bunt nie przemija, bunt się ustatecznia”.

Czasami z buntu pozostają jedynie gesty: „wciąż nie noszę krawata / marynarkę od święta na nogach welury / rękawiczki kupilem dopiero wczoraj / kiedy skóra na dłoniach popękala od mrozu // gołę się wciąż od golenia do golenia / włosy ścinam raz na rok / Jola szybko chwytła wtedy nożyczki i tnie / bo wie że mogą się rozmyślić // na wiszące nad moim biurkiem zdjęcie Boba Dylana / dzieci mówią: tata / i tylko dziwi się, że kiedyś grałem na gitarze”. Zapewne od takich gestów więcej heroizmu wymaga o wiele bardziej przyziem-

Bunt ustateczniony

ny wybór z tekstu poświęconemu przydrożnym kurwom-tirówkom: „czasami myślę żeby spróbować za tych pięćdziesiąt złotych // ale szybko przeliczam /: pięćdziesiąt to dzień pracy / dwadzieścia czekolad dla dzieci / cztery kompakt w macro / pół lalki dla Martyny / strój zorro dla Karola // albo spłoszony wzrok przy Joli / która przecież i tak o niczym się nie dowie”. Tak na marginesie: nie chcąc Prejs zdradza tu jak kiepsko płaci dziennikarzom jego wielka redakcja.

Ale mówmy o buncie. Czy to jeszcze jest bunt? „dzisiejszy bunt zaczął się bez przeszkód /: odczekałem aż dzieci zasną / a Jola zabierze w gazetę / białego orla / poprzez samotną aleję / odchodzących powstań”. Wiersz zatytułowany jest „Lekcja”, przywołuje Brzozowskiego i Piłsudskiego i dobitnie określa fascynację autora. Froczek odwołuje się do narodowej spuścizny, którą część jego rówieśników włożyłyby najchętniej do lamusa lub uznała za rzecz zagrażającą wolności artystycznej wypowiedzi. Nie waha się zatytułować poszczególnych tekstów „Powstańcy z roku 1863”, „Leśni ludzie” (dedykowane żołnierzom AK), „Kresy”, czy „Dolina Olszynki”. „W otwartą / ranę historii / sypie się sól.” - to jedno z ważnych przesłań Jerzego Froczka; gdyby gdzieś w dalekim planie szukać „ojców chrzestnych” takiej poezji, to mogłyby się nimi okazać zarówno Jerzy Harasymowicz, jak i Bohdan Urbankowski.

Wiersze Froczka są ciepłe, ale równocześnie przepojone nostalgią, żalem, co widać chociażby w jego wariacji na temat „jechania do Lwowa”: „Pojechać, pojechać / stukają koła pociągu / pohulać, pohulać / woła wesolo kraska, / ale od dawna resztki torów / zarasta trawa / i żaden maszynista / nie przewiezie / na drugą stronę / wyschniętego / potoku.” Świat Jerzego Froczka to w jakimś sensie czas, który odszedł. Niewiele po nim zostało: „kilka listów / żółtych jak kość sloniowa / fotografia / z czasów okupacji, / wdychająca wtedy zapach / starych murów

MARCIN HAŁAŚ

Bogdan Prejs - „Najnowsze zmiany w pliku: życie”, nakładem autora, Mikołów 1999, str. 32.

Jerzy Stanisław Froczek, krakowski poeta urodzony w 1963 roku, debiutował w drugiej połowie lat 80. Należy więc do generacji, którą nazywam „pokoleniem „Radaru”. Jej przedstawiciele zniknęli po 89 roku z literackich rankingów, wyparci przez swych rówieśników spod znaku „bruLionu”. Z tego starcia twórców jednego przecież pokolenia wylonili się zwycięzcy i pokonani, zaś arbitrów bynajmniej nie interesowały wyłącznie wartości artystyczne jako takie. Tymczasem wybór wierszy Jerzego Froczka pod tytułem „Zwycięzcy i pokonani” jest jakże wymownym dowodem na to, że Kraków to nie tylko „bruLionowcy”, że miasto to posiada w obrębie twórców urodzonych w latach 60. także inne ważne propozycje artystyczno-światopoglądowe.

Froczek nie boi się jasnych deklaracji: „Jakże ciężko iść / w poszarzałej koszuli zmierzchu / z niewygasłymi / wulkanami bitew / niosąc zawiniętego w gazetę / białego orla / poprzez samotną aleję / odchodzących powstań.” Wiersz zatytułowany jest „Lekcja”, przywołuje Brzozowskiego i Piłsudskiego i dobitnie określa fascynację autora. Froczek odwołuje się do narodowej spuścizny, którą część jego rówieśników włożyłyby najchętniej do lamusa lub uznała za rzecz zagrażającą wolności artystycznej wypowiedzi. Nie waha się zatytułować poszczególnych tekstów „Powstańcy z roku 1863”, „Leśni ludzie” (dedykowane żołnierzom AK), „Kresy”, czy „Dolina Olszynki”. „W otwartą / ranę historii / sypie się sól.” - to jedno z ważnych przesłań Jerzego Froczka; gdyby gdzieś w dalekim planie szukać „ojców chrzestnych” takiej poezji, to mogłyby się nimi okazać zarówno Jerzy Harasymowicz, jak i Bohdan Urbankowski.

Wiersze Froczka są ciepłe, ale równocześnie przepojone nostalgią, żalem, co widać chociażby w jego wariacji na temat „jechania do Lwowa”: „Pojechać, pojechać / stukają koła pociągu / pohulać, pohulać / woła wesolo kraska, / ale od dawna resztki torów / zarasta trawa / i żaden maszynista / nie przewiezie / na drugą stronę / wyschniętego / potoku.” Świat Jerzego Froczka to w jakimś sensie czas, który odszedł. Niewiele po nim zostało: „kilka listów / żółtych jak kość sloniowa / fotografia / z czasów okupacji, / wdychająca wtedy zapach / starych murów

Rana historii

Lwowa”. Starego domu zburzonego do ostatniego słowa (nasuwa się skojarzenie z niektórymi tekstami Lesława Nowary) nie zastąpi już nic, być może nic - oprócz poezji: „Szybko splonął / drewniany dom. // Nie zdążyliśmy nawet / wszystkich wynieść. // Książki, stare obrazy, / biżuteria matki i jej / ślubna suknia zostały / gdzieś na strychu. // Po wojnie zbudowano nowy / dom z czerwonej cegły, / ale zabrakło w nim / miejsca na białą / szablę, którą ojciec / nosił / przy sobie.” Poezja Froczka brzmi jak tren; tren bo autor zdaje sobie sprawę, że „Narodowe sztandary, rogatywki, orzelki / zasypał piasek.”; tren dla metafizycznej pamięci i dla konkretnych, dokładnie nazwanych miejsc, bo te dwa wymiary zębiają się, tworząc naszą tożsamość: „Sambor. / Drohobycz. // Nie było tam złota / ani drogich kamieni, / tylko sosny szumiały nad stryjem / i Czeremoszem.”

Obecne są w tym świecie również kobiety; matka - „Jej dłonie pacierz odmawiały / bliski jak szmer wezbranej rzeki. / W pacierzu mięta, deszcz i konie, / znajomy widok polnej drogi.”; i kochanka - „Szukamy się / jak dwie zagłówniki / na wielkim jeziorze.” Froczek potrafi być lirykiem, pochylając się nad rzeczami małymi, nad ludźmi nieszczęśliwymi, których „plaszcz / przypominają skrzydła ptaków / niezdolnych do lotu.” Te rzeczy najmniejsze, ale przecież przejmujące, to na przykład „Jego dłonie / czerwone / jak cegła, którą nosił / całymi latami”, które teraz „są zbyt kruche, / by utrzymać pióro / podpisać / odcinek renty / na chleb, herbatę / i cukier.”

Co jest powracającym motywem książki? Przynależność do narodu, do jego kultury, historii, etosu. „To nasz / ostatni strzelecki / szaniec, który / nazywamy / Ojczyzną.” pisze Jerzy Froczek. Dobrze, że są jeszcze poeci, których boli rana historii.

MARCIN HAŁAŚ

Jerzy Stanisław Froczek - „Zwycięzcy i pokonani”. Wyd. WiR Partner, Kraków 1999, str. 96.

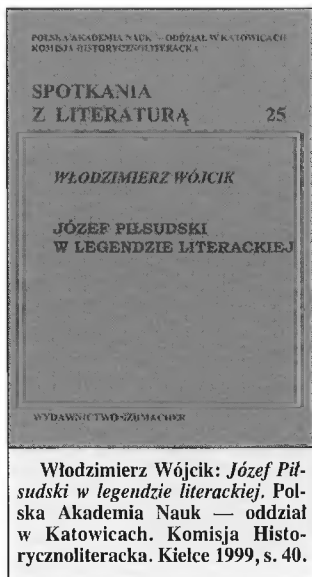
W wydanej w serii „Spotkania z literaturą” książeczke Józef Piłsudski w legendzie literackiej Włodzimierz Wójcik śledzi literackie odzwierciedlenie legendy Marszałka Józefa Piłsudskiego, człowieka, który wyjątkowo dbał o stworzenie własnej legendy i który, jak mało kto, legendą obrósł.

W tworzeniu literackiego wizerunku Piłsudskiego jako „zbawcy narodu” i jego męża opatrnościowego udział miało wiele dziesiątek pisarzy, w większości nie tych najwybitniejszych. Tym większą uwagę zwracają więc świadectwa tych największych, jak choćby Bruno Schulza (dowodzącego, iż Piłsudski „w obszarach duchowych okazał się o wiele większy od własnych dokonań”), od przedstawienia którego rozpoczyna Włodzimierz Wójcik. W dalszej części wykazuje, jak wiele zachowań Piłsudskiego miało świadomie legendotwórcze cele. Piłsudski mianowicie, pisząc o własnych dokonaniach, celowo lokował je obok znamienitych wydarzeń z dziejów polskiego oręża, wpisywał swoją postać w nietscheański kult nadczłowieka, przedstawiał siebie jako tego, który wcielił w czyn projekty snute w utworach polskich romantyków.

Wielu twórców czasu międzywojennego podchwytowało te skojarzenia. „On rozdarł chmury słońca. On jest słońca wschodem: CZTERDZIEŚCI I CZTERY” - pisał Artur Oppman, inni, na przykład Sylwia Borkowska, nazywali Piłsudskiego Królem-Duchem. Sam Marszałek, zapewne w celu utwierdzenia tychże skojarzeń własnej osoby z Mickiewiczem i Słowackim, często wplatał w teksty swoich przemówień fragmenty *Beniowskiego* i *Grobu Agamemnona*.

Nie tylko takie konotacje postaci Piłsudskiego obecne są w literackich, legendotwórczych, czasem bałwochwalczych utworach. Włodzimierz Wójcik przytacza utwory podkreślające demokratyczne stosunki panujące w Legionach, ukazujące ich dowódcę, zachowującego się jak równy swoim żołnierzom, czy też jako osobę, która po zwycięskich bojach przyjęła rolę „oracza i siewcy”, zagospodarowującego kraj, wypełniającego tym samym bardzo bogato obecny w literaturze polskiej sen o „wsi spokojnej, wsi wesolej”, utożsamiający wolną ojczyznę z większą sielanką.

Sulejowski okres Marszałka zaowocował powstaniem literackich obrazów „Wielkiego Samotnika”, dumającego nad losem kraju, jak i utworów wyrażających opinię na temat konieczności powrotu Piłsudskiego do czynnego udziału w życiu kraju. Ciekawym zapewne problemem, nie poruszonym przez Włodzimierza Wójcika, byłoby zastanowienie się nad tym, jak wiele z nich powstało na specyficznie



Legenda Marszałka

„polityczne zamówienie” i było elementem przygotowań do objęcia przez Piłsudskiego władzy.

Śmierć Piłsudskiego spowodowała naturalnie powstanie dużej ilości utworów oddających hołd zmarłemu. W wielu spośród nich przewijało się przesłanie przedstawiające Marszałka jako ziarno, które zasiane w polskiej glebie przyniesie dorodny plon.

Legenda Józefa Piłsudskiego, pomimo iż zdecydowanie nie był on postacią ocenianą jedynie pozytywnie, wykorzystywana była i jest nadal przez wiele ugrupowań politycznych do własnego dowartościowania, podniesienia swojego znaczenia.

W zakończeniu książeczki Włodzimierz Wójcik pisze o przemówieniu Piłsudskiego, które wygłosił on do społeczeństwa śląskiego w 1922 roku. Przemówienie to, unaoczniające literacki i oratorski kunszt Piłsudskiego, oprócz sporej liczby, wysokiej klasy, chwytliwych retorycznych (jak choćby nieoczekiwane wyznanie, iż miejscami Śląsk przypomina mu jego rodzinną Litwę) obfituje w wiele, bardzo przychylnych dla Śląska słów, z dużym sentymentem odnoszących się do tej ziemi. Szczególnie zwracają uwagę słowa o rozbrzmiewającej na Śląsku „przepięknej staropolskiej mowie” i widocznym wokół wysiłku „wielu tysięcy mózgów”. Nie da się ukryć, że te słowa Józefa Piłsudskiego mogą być zaskoczeniem wobec, znanych z wielu relacji, innych, niekoniecznie już w swej wymowie tak przychylnych Śląskowi, wypowiedzi.

TOMASZ GŁOGOWSKI

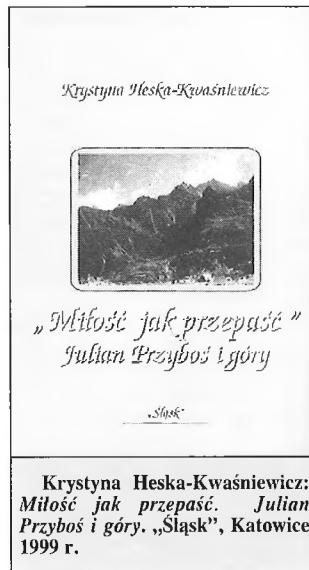
„Miłość jak przepaść”. Julian Przyboś i góry — to tytuł wydanej przez „Śląsk” książki Krystyny Heskowej-Kwaśniewicz. Autorka - profesor Uniwersytetu Śląskiego - od lat poświęca część swoich opracowań Śląskowi Cieszyńskiemu. Jej teksty umiejętnie łączą poważne, poprzedzone wnikliwymi badaniami, naukowe ustalenia z przystępnym i zrozumiałym językiem.

Opowieść o związkach Juliana Przybosia z górami zaczyna się tak: *1 września 1927 roku do Gimnazjum im. A. Osuchowskiego w Cieszynie przybył nowy nauczyciel języka polskiego i propedeutyki filozofii; został on wychowawcą klasy IV c. Nazywał się Julian Przyboś. Jego uczniowie, wśród których było wielu wyróżnionych dryblasów z Istebnej i Koniakowa, zrazu myśleli, że drobny, niskiego wzrostu pedagog będzie łatwo mógł stać się obiektem niewybrednych sztabackich żartów. Toteż, gdy wszedł na pierwszą lekcję powstali i odśpiewali chóralnie „Powitajmy maluckiego”, ale ani to, ani szturchanie oberwane przez przypadek w bójce uczniowskiej, nie były w stanie wyprowadzić go z równowagi.*

Od razu po przeczytaniu pierwszych zdań książki wiemy, że: po pierwsze, rzecz będzie dotyczyła m.in. związków Przybosia z Cieszynem, a po drugie: możemy mieć pewność, że będzie to opowieść i mądra, i interesująca. K. Heskowa-Kwaśniewicz przytacza wspomnienia o niezwykłych metodach pracy nowego nauczyciela, o jego wędrowkach beskidzkimi szlakami i o tym, jak wybitny poeta traktował młodych adeptów poezji.

Zapewne, przeczytawszy opracowanie uzupełnione „górkimi” wierszami Juliana Przybosia, czytelnik nie będzie zawiedziony. Nie wszyscy przecież słyszeli i o bardzo ciekawym „cieszyńskim” epizodzie w biografii znanego poety, i o jego miłości do uczennicy cieszyńskiego liceum - Marzeny Skotnicówny. „Wraz z Marzeną - przypomina K. Heskowa-Kwaśniewicz - wchodziły w życie Juliana Przybosia góry oraz cała ideologia taternicka, tak przedtem mu obca i niesympatyczna”. Przyboś nie lubił gór, a Marzena - jego uczennica (nazwana nawet „początkującą *Dagny Juel przeniesioną w czasy awangardy krakowskiej*”) kochała i przyrodę, i góry. Podczas pobytu w Cieszynie - zauważa autorka książki - nastąpił moment zwrotny w twórczości Przybosia - tu objawia się po raz pierwszy „zafascynowanie pejzażem, które miało tu już teraz towarzyszyć mu aż do ostatniego wiersza”.

Śledzi badaczka to zafascynowanie, analizuje „górskie” wiersze począwszy od tych, które powstały w okresie pobytu w Beskidach aż po pierwsze „alpejskie”, dostrzegając w twórczości Przybosia powracające elementy pejzażu górskiego i wyraźny dialog z tradycją. Autor „Czytając



Julian Przyboś i góry

Mickiewicza” w latach 1947-1957 zamieszkał nad Lemaniem i sam, jak wcześniej A. Mickiewicz i J. Słowacki, dał wyraz swoim uczuciom i doznaniom wywołanym zetknięciem z alpejskim krajobrazem. Przyboś obcuje w życiu z górami a jego wiersze są poetycką wizją pejzaży beskidzkich, tatrzańskich i alpejskich. Analiza jego „górskich” wierszy dokonana przez badaczkę prowadzi do interesującej konkluzji. Przyboś - jak podkreśla K. Heskowa-Kwaśniewicz - nie widział tych gór inaczej, jak tylko przez Tatry. „Zainspirowany przez dramatyczny epizod biograficzny w życiu wielkiego poety nurt pisania o górach wplótł się na stałe w jego twórczość i przechodząc z namienną ewolucję prowadził od lekceważenia do uwielbienia, poprzez śmierć Marzeny; od obelg poprzez sakralizację - do ostatniego, niespełnionego marzenia poety; o grób na zboczu Patry, wzgórze zamykającego horyzont rodzinnej Gwoźnicy” - podsumowuje swoje rozważania autorka.

Z pewnością „Miłość jak przepaść”. Julian Przyboś i góry to opracowanie, które zainteresuje wielu czytelników. Warto na koniec podkreślić, że sięgną po książkę zapewne nauczyciele, którzy znajdują w niej materiał do ciekawych lekcji (zwłaszcza, że tyle ostatnio mówi się o regionalizmie), a poza tym mają oni, dzięki niej, okazję wzbogacić analizę wierszy J. Przybosia o interesujące odniesienia biograficzne.

JOANNA JURGAŁA-JURECZKA

Znana wielu miłośnikom książki bibliofilską seria Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Katowicach wzbogaciła się o kolejną, już dwudziestą szóstą, wartościową pozycję. Tym razem prof. dr hab. Helena Synowiec opublikowała tu niewielką objętościowo, lecz niezwykle ważną pracę zatytułowaną *Śląskie czasopisma szkolne (1922—1939)*. Wydana, jak zwykle w tej serii, bardzo starannie, publikacja cieszy oko elegancką formą graficzną — efektowną okładką, starannym drukiem, wysmakowaną czcionką, nie zabrakło w niej nawet kolorowej wklejki.

O wartości tej książki nie decyduje jednak wyłącznie forma zewnętrzna. Mamy do czynienia bowiem z chyba pierwszą próbą całościowego a zarazem syntetycznego spojrzenia na problem prasy szkolnej w dwudziestoleciu międzywojennym na terenie Śląska.

Autorka zadała sobie dużo wysiłku, by odszukać bądź to pojedyncze egzemplarze, bądź roczniki gazetek szkolnych, ukazujących się w szkołach całego regionu — skala tego zjawiska była niemała — na Śląsku Górnym i Cieszyńskim ukazywało się 47 tytułów. Z niezwykłą starannością badawczą przystąpiła do analizy zjawiska — rozpatrująco w wielu aspektach. Wydawać by się mogło, że najoczywistszym kluczem jest analiza prasoznawcza. Czytelnik otrzyma więc zarówno dokładny opis form wydawniczych, częstotliwości ukazowania, struktury gazetki, wielkości nakładu. Opis wszakże idzie dalej, sięga zarówno strony technicznej a więc techniki druku, powielania, jak i nadzoru merytorycznego — roli pedagogów.

Prasa szkolna jest również pewnym zjawiskiem socjologiczno-obyczajowym. W omawianej pozycji znaleźć można także próbę odtworzenia założeń ideowych — pedagogicznych jak i zwykłego zwierciadła szkolnej codzienności. To co, z punktu widzenia ówczesnego odbiorcy było opisem rzeczywistości uczniowskiej, jest dziś istotnym dokumentem źródłowym, niezwykle pomocnym do opisu życia szkolnego w dwudziestoleciu międzywojennym. W gazetkach szkolnych odbijają się więc nie tylko problemy typowo scholarskie, ale także zagadnienia szersze i głębsze. Poczesne miejsce zajmuje na przykład nurt patriotyczny, przeważnie związany z rocznicami, ale także nurt krajoobrazowo-przy-



Helena Synowiec. *Śląskie czasopisma szkolne (1922—1939)*. Katowice 1999, s. 54.

Pisemka - zwierciadła

rodniczy, wykraczający już poza sferę doznań czysto szkolnych.

W gazetkach tych ukazywały się teksty znanych literatów o wyrobionej pozycji np. Zofii Kossak czy Gustawa Morcinka, który zresztą był honorowym opiekunem np. „Głosu Młodych”. Szkolne łamy były także miejscem zdobywania literackich szlifów młodych adeptów tej sztuki, takie próby podejmował np. uczeń IV klasy Państwowego Gimnazjum w Rybniku — Wilhelm Szewczyk.

Na uwagę zasługuje również fakt, że pisemka te wyróżniały się staranną formą językową i poprawną polszczyzną — czy o poziomie tym stanowił jedynie nadzór pedagogiczno-metodyczny, trudno wyrokować. Trochę o formę towarzyszyła jednak także świadomość wartości gwary, stąd na przykład uwaga w *Młodym krajoznawcy*: „Prace konkursowe muszą być oryginalne (...), jakkolwiek mogą być pisane gwara, muszą być napisane poprawnie”. Gdzieniedzie pojawia się postawa quasi — badawcza — uczniowie podejmują próbę opisu zjawiska językowego, jakim jest gwara.

Praca Heleny Synowiec poza wartością ściśle naukową, może mieć także walor pragmatyczny — powinna stać się lekturą obowiązkową dla wszystkich aktualnych opiekunów szkolnych gazetek.

MARIA KWAŚNIEWICZ

Komisja Filozofii i Socjologii Oddziału PAN w Katowicach wraz z Instytutem Filozofii Uniwersytetu Śląskiego zorganizowała 17 listopada ubiegłego roku konferencję poświęconą Janowi Legowiczowi (1909-1992), wybitnemu filozofowi i historykowi filozofii, wychowawcy wielu pokoleń polskich humanistów. Okazją do spotkania zainteresowanych spuścizną tego niezwykle zasłużonego uczonego była dziewięćdziesiąta rocznica jego urodzin.

Wykształcony na Katolickim Uniwersytecie we Fryburgu (Szwajcaria) w zakresie filozofii, teologii i pedagogiki był Legowicz od swego powrotu do kraju aktywnie zaangażowany w pracę pedagogiczną i naukową. Warto w związku z tym odnotować śląski wątek w biografii filozofa. Lata wojny spędził on w Chrzanowie, gdzie organizował tajne nauczanie oraz przerzut do strefy okupowanej osób, dla których pobyt na Śląsku stwarzał szczególne zagrożenie (między innymi zbiegów z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu). Po wojnie, w roku 1946 objął Legowicz funkcję dyrektora i nauczyciela w chrzanowskim Państwowym Liceum Pedagogicznym, a jako pracownik Wydziału Kultury chrzanowskiego starostwa zajmował się poszukiwaniem i ratowaniem zabytków.

Od roku 1948 Jan Legowicz związał się z powstającym wówczas Uniwersytem Łódzkim, by kilka lat później, w 1953 roku, na stałe już przenieść się do Warszawy i rozpocząć na tamtejszym Uniwersytecie pracę naukowo-dydaktyczną. Na Uniwersytecie Warszawskim, stale kierując Zakładem Historii Filozofii Starożytnej i Średniowiecznej, pełnił funkcję dziekana Wydziału Filozoficznego i dyrektora Instytutu Filozofii. Zasłużył się także w tworzeniu Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.

We wprowadzającym słowie *spiritus movens* całego przedsięwzięcia, a zarazem i uczeń Jana Legowicza, prof. Czesław Głombik, wyjaśniając motywy i cele jakie przysięgały organizatorom konferencji (jej temat ujęto w formułę: *Jan Legowicz - filozof i nauczyciel*), szczególnie wyakcentował walory Legowicza jako naukowca i wychowawcy młodzieży - jego kompetencje, życzliwość i otwartość wobec potrzeb i oczekiwań studentów zjednywały mu zawsze szacunek i uznanie.

Wygłaszane, referaty obok elementów wspomnieniowych (większość prelegentów stanowił bowiem wychowanekwie Profesora) wielostronnie prezentowały skalę twórczych dokonań Legowicza jako historyka filozofii (autora klasycznych już w polskim piśmiennictwie filozoficznym syntez z zakresu filozofii starożytnej i średniowiecznej) oraz myśliciela oryginalnie uprawiającego filozofię człowieka i historii. Jego następczyni na stanowisku kierownika Zakładu Historii Filozofii Starożytnej i Średniowiecznej UW prof. Dobrochna Dembińska-Siury w referacie *Jan Legowicz. Osoba i dzieło* starała się poka-



Najważniejsze prace Jana Legowicza: *Zarys historii filozofii (1964)*, *Filozofia. Istnienie — myślenie - działanie (1972)*, *Historia filozofii starożytnej Grecji i Rzymu (1973)*, *Historia filozofii średniowiecznej Europy Zachodniej (1980)*, *Człowiek istota ludzka (1993)*.

Filozof i nauczyciel

zać, że kluczem do zrozumienia wszystkich prac Legowicza są szczególnie mu bliskie idee humanizmu i racjonalizmu. Kolejne wystąpienia stanowiły uszczegółowienie wątków sygnalizowanych przez prof. Dembińską-Siury. I tak m. in. prof. Ryszard Palacz z WSP w Zielonej Górze zaprezentował osiągnięcia uczonego jako mediewisty; prof. Jan Szmyd z WSP w Krakowie - jego dokonania na polu filozofii wychowania; dr Bogusław Szubert przedstawił Legowiczowską koncepcję przedmiotu badań historyczno-filozoficznych; dr Stanisław Bijok jego koncepcję człowieka; prof. Bronisław Burlikowski z WSP w Kielcach mówił o działalności Legowicza w Komitecie redakcyjnym Biblioteki Klasyków Filozofii. W wystąpieniach dawano przykłady trwałości i siły inspiracji jaką niósł z sobą kontakt z tym wybitnym uczonec (referat dziekana Wydziału Nauk Społecznych UŚ prof. Józefa Bańki).

Znaczący i interesujący zarazem okazał się udział w konferencji gości z Czech i Słowacji. Profesor Ján L. Veverka z Uniwersytetu Macieja Bela z Bańskiej Bystrzycy, oraz docent Jan Zouhar z Uniwersytetu Masaryka w Brnie w swoich wystąpieniach mówili o recepcji prac Legowicza w ówczesnej Czechosłowacji. W wielu środowiskach tamtejszych humanistów kształtowały one - wolny od ideologicznego piętna - obraz dziejów filozofii.

Konferencję uświetnili sąw obecnością Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Tadeusz Sławek i syn filozofia Wiktor Legowicz.

MIROSLAW TYL

Pięć lat temu zapytałem Jerzego Giedroycia, czy nie zechciałby udzielić katowickiemu dziennikowi wywiadu czy choćby wypowiedzi na temat współczesnego Śląska. Odpisał, że pogląd swój ma, niemniej radzi skorzystać z pióra publicysty Ryszarda Surmacza, który, choć z Lublina, przygląda się śląskim sprawom bardzo pilnie. Tamta opinia była dostateczną rekomendacją, by kilka tygodni temu wygrzebać w mało uczęszczanym kącie księgarni książkę Ryszarda Surmacza właśnie. Tytuł intrygujący: „Znów tracimy Śląsk”. My, czyli kto? Ślązacy? Polacy? I komu ten Śląsk oddajemy - Warszawie? Niemcom? Europie?

A jednak Śląsk, chociaż nie cały, bo tylko Śląsk Opolski, oddaje Polska - Niemcom. „Opolszczyzna jest poletkiem doświadczalnym zachodnich (czytaj: niemieckich) struktur - tam widać ich sposoby działania i zamiary (...). Politycy niemieccy, którzy mają niewątpliwy wkład w budowę współczesnej Europy, nie mogą zrozumieć, że ziemie, które utracili w wyniku dwóch wojen światowych w żadnej postaci nie mogą wrócić do Niemiec (...). Istnieje możliwość, że Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców na Śląsku Opolskim może nagle liczbę swoich członków ze 190 tys. kilkakrotnie powiększyć o określoną liczbę „wypędzonych”, którzy przyjadą po odbiór majątków i zdobycie władzy w gminie czy powiecie. Jest to zupełnie realne, ponieważ w Niemczech już trwa aktywizacja w tym kierunku”. I jeszcze, żeby nie było najmniejszej wątpliwości: „Śląsk Opolski nie jest jedynym zagrożonym regionem w Polsce. Polskie ziemie zachodnie i północne są również poważnie zagrożone, różnica polega tylko ona metodzie oddziaływania”.

Jakbym nie wiedział, że to Surmacz, powiedziałbym: Męclewski. Brak tylko Hupki i Czaji, ulubionych figur peerelowskiej propagandy strachu przed niemieckim zagrożeniem. Ale sprawa nie jest taka prosta. Publicyści z czasów PRL-u, w poszukiwaniu odwetowców w pickelhaubach nie musieli podpieierać się faktami; wystarczyły partyjne zaklęcia zapiekłowane w nowomowę. Z książką Ryszarda Surmacza jest inaczej. Jest ona bowiem zestawem tekstów autora z różnych lat i z różnych pism, „Kultury” nie wyłączając, czy też - posługując się autorskim wstępem - „relacją informacyjno-reportażową, na żywo chwytającą wydarzenia związane z działalnością mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim w latach 1990-1998”. W tym sęk właśnie: w tych reportażach, wywiadach, relacjach i wycinkach z gazet nie ma nieprawdy. Mówią ludzie mądrzy i głupi, przywołane są wydarzenia ważne i te mniejszej rangi - jak w życiu, bo wszystko jest „na żywo”, po autoryzacji i z przywołaniem cytatu, przykłady zaś samosprawdzających się fobii antyniemieckich są również liczne jak dowody, że porozumienie jest rzeczywistością i wielokulturowość nie stoi na przeszkodzie polskiej państwowości. Problem, jakie wnioski Surmacz ze swojego archiwum wyciąga. A to są wnioski dziwne, jak na absolwenta historii KUL, płyną one bowiem z przekonania, że historia się powtarza, a skoro tak, to zjednoczona

BLOC -NOTES

i zregionalizowana Europa może być tylko czapką-niewidką dla niemieckiego Drang nach Osten. „Dziś znaleźliśmy się ponownie w piastowskiej konfiguracji geopolitycznej i starym konflikcie niemiecko-polskim”, oznajmia Surmacz na wstępie. I nawet jeśli spora część jego książki pozostaje faktograficznie cenna, założona ahistoryczna teza dyskwalifikuje ją jako poważną publicystykę.

Musiał się połapać stary Giedroyc na Ryszardzie Surmaczu, skoro od 1996 niczego mu więcej nie wydrukował. Autor przywdział barwy „Naszego Dziennika”, a książkę wydał w wydawnictwie Retro, które poleca takie m.in. pozycje jak „Żydowskie oblężenie Oświęcimia” czy „Piąty rozbiór Polski 1990-2000”. Przynajmniej to się jakoś tłumaczy.

W nowym „Leksykonie PWN. Media” od razu szukam, prowincjusz, hasel śląskich bądź tych, które Śląskiem trąca. Jak to wygląda z Warszawy? Przy założeniu, że książeczka nie jest obszerna - raptem dwa i pół tysiąca hasel, które mają dać obraz historii, ale i głównych kierunków rozwoju mediów.

„Dziennik Zachodni” obecny. „Trybuna (śp. Robotnicza) Śląska” też, choć podany nakład świąteczny - 433 tysiące egzemplarzy - kłasek wypada między bajki. Przy „Panoramie” robi się jeszcze śmieszniej, skoro zdaniem autorki Edyty Banaszkiwicz-Zygmunt, jest to „magazyn ilustrowany wydawany od 1954 roku w Mikotowie (!), w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy (!!”. Bez skutku szukam „Poglądów”, „Tak i Nie” i jeszcze dychającego „Wieczoru”. Ale jest „Sport”. I „Opcje” z „Zaraniem Śląskim”. Do tego całkiem sporo hasel historycznych: „Gwiadzka Cieszyńska”, Ligoniowy „Kocycnder”, „Fantana”, przedwojenny dziennik Korfantego „Polonia” i, dla równowagi, jego sanacyjny konkurent „Polska Zachodnia”. Na koniec, hosanna!, miesięcznik „Śląsk”, przedstawiony z polityczną poprawnością („podejmuje problemy historyczne, społeczno-gospodarcze, kulturalne i literackie Górnego Śląska, z punktu widzenia polskiej racji stanu”) i w sosie gorzko-kwaśnym („...dominują artykuły, rozmowy i reportaże poświęcone zagadnieniu tożsamości narodowej Górnoślązaków oraz

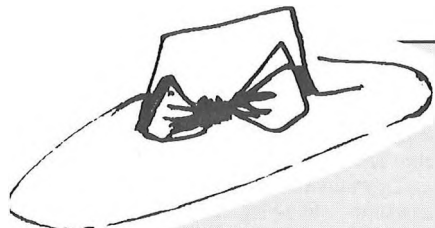
skupione wokół kwestii śląskiej krzywdy”).

Teraz po nazwiskach. Nie jest ich w końcu wiele, więc... Pierwszy strzał: Wilhelm Szewczyk. Powinien być gdzieś między Zygmuntem Szeliwą a Dariuszem Szpakowskim... Nie ma, niestety. No, to założyciel „Dziennika Zachodniego” Stanisław Ziemia. Nie ma. Może Tadeusz Kijonka? Nie ma. Stanisław Ktocz? Nie ma. Zdzisław Zwoźniak? Nie ma. Jezu, to może chociaż Jan Ciszewski? E, tam, skądże znowu... I nagle olśnienie! Mam! Przecież jest dziennikarz, co wyszedł z Katowic, redaktor i menedżer odnotowany w każdym wydaniu encyklopedii, człowiek, który do rozwoju mediów w Polsce wniósł wkład wielki, a co wyniósł - nie wiadomo, fakt faktem, że z ośmioletniego wyroku odsiedział trzy lata i osiem miesięcy... Nerwowo przewracam kartki..., Mariusz Szczygieł..., Svenska Dagbladet... Jest! Jest Maciej Szczepański! Demiurg propagandy sukcesu lat 70., który zasłużył na miejsce we współczesnym leksykonie mediów.

Jestem niesprawiedliwy: z rozdzielnika trafiła do książki Krystyna Loska, razem z innymi najpopularniejszymi spikerami tv. Są Grzegorz Fitelberg z Antonim Wittem, bo autorka otwarła boczne drzwi dla wszystkich dotychczasowych dyrygentów orkiestr radiowych. I na tym się kończy konsekwencja w niekonsekwencji. Odkładając na bok śląskie obsesje: zmutnej i jakże potrzebnej pracy p. Banaszkiwicz-Zygmunt zabrakło - jak słusznie zauważył Krzysztof Masłoń w „Rzeczpospolitej” - redaktora. Zabrakło precyzyjnych kryteriów, selekcji zebranego materiału i jego oceny pod kątem wartości. Bo jak można było nie zachować proporcji między, powiedzmy, Zdzisławem Pietrasikiem a Moniką Luft, której nota zwała nas z nóg wiadomością, iż „od 1987 r. współpracowała z telewizją hiszpańską”, ostatnio zaś popelnia wywiady w miesięczniku „Pani” oraz artykuły w miesięczniku „Cinema”... O Wojciechu Giełżyńskim podaje słownik mniej niż o Macieju Orłosiu, bo aktor-prezenter zasłużył na przywołanie kompletnego wykazu filmowych ról. Karola Małcużyńskiego potraktowano skromniej od Piotra Semki, Stefan Kisielewski ma biogram o jedną trzecią mniejszy niż Janusz Rolicki. Paulinę Smaszcz (rany boskie, kto to jest!?) potraktowano na równi z Olgą Lipińską, Tomasz „Pogodynka” Zubilewicz goni Olgierda Budrewicza, Krzysztof Ibisz ma więcej tytułów do chwały niż Jerzy Giedroyc, a Wojciech Reszczyński pobit na łeb Jan Nowaka-Jeziorańskiego. Itede, itepe.

W pierwszej chwili myślałem polecieć leksykon moim studentom dziennikarstwa. Ale nie zrobię tego. Nie skorzystam też z zaproszenia autorki, która pisze: „Biorąc po uwagę tempo, w jakim rozwijają się media, prosimy o nadsyłanie uwag, ocen, propozycji uzupełnień pod adresem Wydawnictwa Naukowego PWN”. Bo co niby miałbym napisać? Żeby w drugim wydaniu koniecznie nie zapomnieli podać, że pani Luft prowadzi także telewizyjny program „Kawa czy herbata”?

MAREK BASTER



Listy spod kapelusza

Droga Moja Przyjaciółko, piszysz, że czujesz się pojedyncza i w związku z tym bardziej osamotniona. Nie napawa Cię to radością. Na pocieszenie powiem Ci, że tego stanu już w sobie nie zmienisz. Jeżeli choć raz poczułaś w sobie pojedynczość, pozostanie ona w Tobie, choćbyś nie wiem jak bardzo bratała się z ludźmi, patrzyła na nich życzliwie, wsłuchiwała się w ich racje, stawiała po ich stronie. Pojedynczość, to pojedynczość. To świadomość osobności, bycia tym jedynym jedynym egzemplarzem, bez zapasowej kopii. Ktoś może z Tobą współodczuwać, może mu się nawet wydawać, że coś z Ciebie rozumie, może się z Tobą zgadzać, akceptować Twoje wybory, ale to i tak nie umniejsza Twojej pojedynczości. Być może poczujesz się rażniej, pewniej w swojej pojedynczości, szczególnie, gdy po Twojej stronie będzie ktoś, kogo darzysz dobrymi uczuciami, a może nawet przyjaźnią. Tylko tyle.

Powinnaś obnosić swoją pojedynczość, bo jesteś po raz pierwszy na tym świecie i drugi raz już nie będziesz, przynajmniej w tym wcieleniu. „Tę drogę trzeba przebyć jak dziecięcą ośpiel...! ale tak, by pozostały ślady”. Zacytowałam Ci fragment wiersza Lestawa Nowary z jego najnowszego tomiku poetyckiego pod tytułem „Rozsyjska ruletka”. I niechby to był chociaż ślad w duszach Tobie bliskich, taki ślad, by Twoja nieobecność w przyszłości stała się dla nich namacalną obecnością.

Tomik Ci wysyłam, abys poczuła, że są inni pojedynczy, abys zanurzyła się w słowa kogoś, kto ze swojej pojedynczości czyni poezję daleką od modnych tendencji, refleksyjną, postrzegającą siebie pojedynczego w pokruszonym świecie. „Przestałem się śpieszyć - mówi poeta - nie próbuję biec, coraz częściej pozostaję w tyle, dopiero teraz czuję, że nadążam”. Czuję, że te słowa staną się Tobie bliskie, co może na krótko spowoduje, że puste miejsce między Tobą a poetą, zostanie wypełnione. To pokrzepiające uczucie, na pewno.

Ciągle liczę na to, że się spotkamy na jakimś moście w Europie. Wiem, że wszyscy Twój są tam, co dla mnie oznacza - za oceanem. Czasami odnośnie wrażenie, że boimy się spotkania po latach. Jakbyśmy nie wierzyły, że nasza przyjaźń ma nie tylko korespondencyjne podstawy. Żałuję, że nie oglądasz tego, co ja. To jednak próżny żal i na razie musimy się zadowolić relacjami. Wysyłam Ci więc wycinki prasowe z benefisu Jerzego Dudy-Gracza. Wystawy w Muzeum Śląskim „Obrazy prowincjonalno-gminne. Kresy polskie 2000” oraz „Osobni” zobaczę jeszcze raz, spokojnie, bez tłumów oglądających i całego wernisażowego sztafetu. Byłabyś uskrzydłona, podobnie jak ja.

Wystawy odpowiadałyby Twoim obecnym nastrojom. Mówię Ci: jest to pojedynczość do potęgi, osobność artystów, którzy utworzyli sobie własną drogę wśród „starszaki awangardy”, jak powiedział na wernisażu Jubilat. Wśród „osobnych” Duda-Gracz umieścił obrazy Jerzego Krawczyka, Władysława Hasióra, Zdzisława Beksińskiego, Franciszka Starowieyskiego, Kiejstuta Zberneźnickiego, Antoniego Fatata, Zbysława Marka Maciejewskiego, Mariana Michalika i Józefa Panfila. Trudne są drogi wszystkich „osobnych”, szczególnie tych, którym się „udaje” i mogą być podziwiani za życia. Obdarzani są za to najbardziej bezinteresownym na świecie uczuciem, czyli zawiścią. Ich obrazy wystawiane są gościnnie w różnego typu muzeach, bo trudno dla nich znaleźć miejsce w przeznaczonych do tego salach wystawienniczych.

Uroczystość w Teatrze Śląskim była przednia. Słuchałam, między innymi, mazurków Chopina, które grał Zbiniew Raubo, pieśni polskich w wykonaniu Wiesława Ochmana, Aleksandry Stokłosy i Izabeli Tarsiuł, także piosenki, specjalnie na tę okazję przygotowanej, do słów Ernesta Brylla, w wykonaniu Tadeusza Woźniaka. Zobaczyłam po raz drugi z wielką przyjemnością „Opis obyczajów” ks. Kitowicza w wykonaniu Mikołaja Grabowskiego i jego krakowskich aktorów. Wystąpienie prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego było rzeczowe, z akcentami humorystycznymi. Ciekawa jestem, co czuł Duda-Gracz i o czym myślał w momencie dekorowania go Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Jubilat był wyciszony i „pogodny mądrym smutkiem”. Zazdrościłam mu przez moment, gdy w swoich podziękowaniach zrobił ukłon w stronę żony i córki, zaznaczając z satysfakcją, że jego dom i jego rodzina trwa w całości, po tym okresie „burzy i naporu”, poprzedzającym jubileuszowe przygotowania. Podejrzewam, co dla artysty znaczy, mieć rodzinę po swojej stronie. Do spotkania w następnym liście, droga moja. I niech wreszcie słońce prawdziwie wiosenne zaświeci.

Twoja MARTA FOX
w marcu 2000 roku, w Katowicach

Galeria ESTA pokazuje nijak nie przetworzone, prawdziwe rysunki Stefana Żechowskiego. Ze zbiorów jego żony, Pani Marianny Żechowskiej oraz ze zbiorów Galerii Sztuki „U Jaksy” w Miechowie. Czy Żechowskiego trzeba czytelnikowi przedstawiać? Albo inaczej: jak ukazać fenomen, który zdecydowanie jest czymś więcej niż tylko ilustratorstwem, a jednak tak często grzeszy artystyczną nieporadnością przy nierzadko oszłamiającej technicznej biegłości?

W roku 1929 siedemnastoletni wówczas Żechowski został członkiem - a może należałoby rzec - wyznawcą, założonego przez Stanisława Szukalskiego artystycznego Szczepu Herbu Rogate Serce. Sam Szukalski, indywidualność nietuzinkowa, na swój sposób wybitna, był postacią kontrowersyjną. Musiał mieć w sobie jakąś charyzmę, skoro do swego programu rozpalil kilkunastu młodych artystów. A chodziło mu o stworzenie sztuki narodowej ożywianej duchem prasłowiańszczyzny. Nazwanie go faszystą byłoby nadużyciem. Gdybyśmy jednak wyobrazili sobie, że osoba duchowo i twórczo podobna do Szukalskiego rodzi się jako Niemiec, to moglibyśmy domniemywać, iż ktoś taki byłby znaczącym artystą Trzeciej Rzeszy. Oczywiście, nie było żadnych flirtów pomiędzy rodzącym się faszyzmem a polskim nacjonalistą Szukalskim. Wprost przeciwnie. Wspomnę tutaj, że interesujące są śląskie tropy Stacha z Warty, jak siebie nazywał. Muzeum Górnośląskie posiada portret Michała Grażyńskiego i jego autorstwa, wiadomo również, że korzystał ze stypendium wojewody śląskiego i projektował dla Katowic niezrealizowane pomniki Chrobrego i Bolesława Śmiałego.

Ziemin z Książa

Ziemin z Książa — bo tak brzmiało artystyczne imię Żechowskiego w Szczepie Szukalszczyków — oprócz tego, że brał udział we wszystkich wspólnych wystawach Szczepu w latach 1930—1936, prócz tego, że był pod zniewalającym urokiem Mistrza („Widziałem w nim — powie później — genialnego twórcę o renesansowej wszechstronności, bo rysował, rzeźbił, projektował obiekty architektoniczne i pisał”), jednocześnie sam był osobowością zupełnie odmienną, liryczną, introwertyczną, delikatną. Jego artystyczna wrażliwość ukształtował nie tylko Szukalski, ale i w równym stopniu młodopolska uczuciowość i stylistyka. „W sztuce mojego narodu — zapisał kiedyś — od pierwszej chwili pokochałem malarzy — poetów nastroju: Grottgera, Malczewskiego, Witolda Pruszkowskiego i Józefa Chelmońskiego, a Matejko wzbudził we mnie najgłębszy podziw nieprześcignionym mistrzostwem w oddawaniu wyrazu twarzy ludzkiej, smutku, dostojności i tragicznej powagi oraz swą nadludzką, pokrewną mistrzom gotyku, pracowitością”.

Jest jednak w tej twórczości Żechowskiego, zachowawczej, nawiązującej do tradycji, zupełnie nie nowoczesnej, pewien element wyraźnie wyróżniający. Jest to zainteresowanie seksualnością obecne nawet w fazie młodzieńczej. Już w 1938 roku przeciętą nakład świeżo wydrukowanych *Motorów* Zegadłowicza z ilustracjami Żechowskiego zostaje skonfiskowany przez Prokuraturę Krakowską pod zarzutem szerzenia pornografii. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych rozwija Stefan Żechowski nurt erotyczny swojej sztuki.

A jest ono ciekawe i dość oryginalne. Żechowski ukazuje się jako piewca, adorator wiecznej kobiecości w jej aspekcie jednocześnie dziewczęcym i dojrzałym. Jego rysunki poruszają pewne wewnętrzne obrazy czy wizje wiążące się z kobietą. Jak się wydaje, artysta spogląda na kobiecość oczami zachwyconego chłopca. Nie mężczyzny, kogoś kto nie raz był już partnerem kobiety, ale właśnie chłopca. Nawet jeśli Żechowski namaluje *Szał uniesień* ukazujący połączenie kobiety i mężczyzny, jest w tym niewinność i dziewczęcość. Przy całej nieskrywanej zmysowości jego rysunki są kosmiczne, archetypowe, i jakby właśnie wiecznie dziewicze.

Mimo wspomnianych na wstępie zastrzeżeń, jestem od dawna sympatykiem twórczości Stefana Żechowskiego. W końcu lat sześćdziesiątych prezentowałam jego rysunki w prowadzonej przez siebie Galerii Katowice PSP-ZPAP. Uważam, że Stefan Żechowski jest ciągle zbyt mało znany i zbyt rzadko pokazywany, i niestety nie doczekał się do tej pory rzetelnych, krytycznych omówień.

ANDRZEJ URBANOWICZ



Siła brutalna – węgiel, 1965

STEFAN ŻECHOWSKI



Faun, ołówek + węgiel, 1937



Hymn do Ziemi, ołówek. 1933



Gmach Urzędu Miasta przy Młyńskiej.



Odrestaurowany budynek przy ulicy Pocztowej, zajmowany od kilku lat przez biura Urzędu Miasta jest ozdobą tej części katowickiego Rynku.



Dawny hotel „De Prusse” u wylotu ulicy Pocztowej do Rynku.

Katowicki budynek Urzędu Miasta przy ulicy Młyńskiej został wybudowany w latach 1929-1931 według projektu architekta Lucjana Sikorskiego. Jest siedmiokondygnacyjną budowlą, o wklęsłej fasadzie, zrealizowaną w stylu zredukowanego funkcjonalizmu. Ściśle przylegając do innych zabudowań, zdecydowanie się od nich odcina.

W budynku tym urzęduje Zarząd Miasta z prezydentem i jego zastępcami oraz ma swą siedzibę Rada Miejska. Znajduje się tu również szereg wydziałów.

Urząd Miasta zajmuje również część pomieszczeń przylegających do niego secesyjnej kamienicy, wieńczącej ulicę Pocztową u wylotu do Rynku. Ta jedna z najpiękniejszych i najbardziej charakterystycznych dla Katowic kamienic, była w końcu XIX wieku siedzibą hotelu „De Prusse”, a następnie, po wielokrotnych przebudowach, siedzibą katowickiego magistratu.

Wydziały Urzędu Miejskiego od kilku lat zajmują również lokale przy ulicy Pocztowej, w gmachu przylegającym do budynku Poczty Polskiej. Po prze-

prowadzonym remoncie i pracach adaptacyjnych, odzyskał swą dawną świetność nie tylko fronton i wnętrze tej kamienicy, ale również oficyna.

Warto dodać, że pierwszy katowicki ratusz stał w miejscu obecnego Teatru Śląskiego. Zburzony został w 1905 roku. Kolejny, reprezentacyjny ratusz planowano wybudować (przy ulicy Młyńskiej miały się mieścić tylko biura magistratu) na terenie Parku Zamkowego przy Alei Korfańskiego (okolice Pomnika Powstańców Śląskich). Pomysł nie został nigdy zrealizowany.

(wk)



Z Wielkopolski do Raciborza

Niedawna okrągła rocznica urodzin Cyryla RATAJSKIEGO niech stanie się pretekstem do przypomnienia niektórych faktów z biografii człowieka, który przeszedł do historii jako wielki prezydent Poznania i pierwszy Delegat Rządu RP w Londynie na kraj. Był bowiem przecież w jego życiu wątek śląski, który snuł się od jego lat studenckich aż po ostatnie lata życia.

Przyszedł na świat 3 marca 1875 roku w Zalesiu Wielkim koło Gostynia w Wielkopolsce. Po ukończeniu gimnazjum w Poznaniu, studiował w latach 1896—1900 prawo na uniwersytecie berlińskim. W tym czasie zetknął się z Wojciechem Korfantym. Po czterdziestu latach, w tekście wspomnieniowym opublikowanym w dniu pogrzebu śląskiego przywódcy, pisał Ratajski o jednym z epizodów tej znajomości:

„Rok 1898. Cudowna Gwiazdka w Warszawie. Odślonięcie pomnika Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu, milczącym gestem Henryka Sienkiewicza, prowadzącym córkę Wieszcza pod pomnik.

Liczny zjazd polskiej młodzieży akademickiej w podziemiach Warszawy. Przybyli akademicy z Krakowa i Lwowa, Wiednia i Berlina, Paryża i Zurychu, najliczniej z Rosji: Petersburga, Moskwy i Charkowa.

Nie brakło też przedstawicieli ziemi śląskiej. Znalazł się w Warszawie, pod przewodnictwem patriotów warszawskich Osuchowskiego i dr. Benniego kwiat polskiej młodzieży pochodzącej ze Śląska: Wojciech Korfanty, Jan Kowalczyk, Emanuel Twórz, Konstanty Wolny.

Przyjmowano ich wszędzie najserdeczniej jako zwiastunów przyszłej zjednoczonej Polski. Szczególniej Wojciech Korfanty, rumiany młodzian 25-letni, rozpoczynający służbę obywatelską w Katowicach, był przedmiotem ogólnego zaciekawienia. Zbratanie dusz polskich było wzruszające: zjednoczenie umysłów w kierunku odrodzenia Polski powszechne.” („Moje wspomnienia: pierwsze i ostatnie”. „Polonia” 20 VIII 1939)

Po studiach Ratajski musiał odbyć kilkuletnią praktykę, po której w listopadzie 1905 roku zdał egzamin państwowy uprawniający do wykonywania zawodów sędziego, adwokata i notariusza. 15 lutego 1906 roku przybył do Raciborza, w którym miał pozostać przez pięć lat. Nie znamy powodów, które skłoniły młodego prawnika do wyboru tego miasta leżącego na południowej rubież Cesarstwa. Może zachęciło go to, że Racibórz uchodził za silny — może najsilniejszy na Górnym Śląsku — ośrodek ruchu polskiego. Od kilkunastu lat trwała tam intensywna praca narodowa, której głównym motorem był doktor Józef Rostek (1859—1929). Cyryl Ratajski, dzięki swej energii i wielkopolskiemu praktycyzmowi miał wnieść do niej nowe impulsy i pozostawić po sobie



Glossy górnos Śląskie

działa trwale. Już pod koniec roku 1906 widzimy go na stanowisku sekretarza Polskiego Komitetu Wyborczego w Raciborzu. Taką funkcję sprawował w dwa lata później. Przypomnijmy, że odbywające się na przemian wybory do sejmiku pruskiego (Landtargu) i parlamentu Rzeszy (Reichstagu) były na Górnym Śląsku legalną okazją do agitacji za kandydatami polskimi i próbą sprawności organizacyjnej działaczy i organizacji polskich.

W maju 1909 roku z inicjatywy Narodowej Demokracji powstało w Poznaniu Polskie Towarzystwo Demokratyczne. W Radzie Głównej z działaczy górnośląskich znaleźli się Korfanty i właśnie Ratajski. 19 grudnia tegoż roku na wiecu w Stawiskach koło Rybnika, którego Ratajski był współorganizatorem, powołano śląski oddział Towarzystwa.

Szczególną uwagę przykładał młody działacz do rozwoju oświaty i czytelnictwa w języku polskim. W roku 1906 był delegatem Towarzystwa Czytelni Ludowych na powiat kozielski, w roku 1908 delegatem na powiat raciborski, a w okresie 1908—9 prezesem Komitetu TCL na tenże powiat. Jego żona, Stanisława, prowadziła kursy języka polskiego i udzielała się w Towarzystwie Kobiet.

Jedną z głównych przeszkód utrudniających działalność polskich stowarzyszeń był brak własnych lokali, bowiem właściciele sal — pod naciskiem władz i policji — odmawiali ich wynajmowania. W Raciborzu postanowiono wybudować własną okazłą siedzibę. Mecenat Ratajski był członkiem zarządu spółdzielni budowlanej „Strzecha”, powstałej w końcu roku 1908, a zarejestrowanej w maju następnego roku. Dom Polski „Strzecha”, otwarty 24 września 1911 roku — a więc już w kilka miesięcy po wyjeździe Ratajskiego

z miasta — stał się siedzibą kilku polskich organizacji i ważnym ośrodkiem życia narodowego. Potwierdziło się jego znaczenie później, w latach międzywojennych, gdy stał się jedną z twierdz Związku Polaków w Niemczech.

I jeszcze jeden szkic do wizerunku naszego bohatera z tamtych lat. Był zapalonym turystą, obszedł ważniejsze pasma polskich gór. W Beskidach obserwował panoszenie się Beskidenvereinu i arogancję personelu schronisk wobec turystów-Polaków. Z gronem działaczy polskich założył w Cieszynie 6 marca 1910 roku Polskie Towarzystwo Turystyczne „Beskid”, którego został pierwszym prezesem. Towarzystwu podarował zakupiony przez siebie szczyt Ropiczki w Beskidzie Śląskim. Zbudowano na nim pierwsze polskie schronisko na Śląsku Cieszyńskim. Nie opuścił uroczystości poświęcenia go, która odbyła się 6 lipca 1913 roku.

Wierna przyjaźń

Był Ratajski prezydentem Poznania w latach 1924—1934, z półroczną przerwą (1924—25), kiedy to piastował funkcję ministra spraw wewnętrznych. Wybitnie przyczynił się do rozwoju infrastruktury, dzięki czemu pod tym względem miasto uzyskało poziom europejski. Stał się o rozwój Targów i był inicjatorem Powszechnej Wystawy Krajowej w roku 1929, którą zwiedziło 4,5 miliona osób. Z własnej pensji kupował dla miasta cenne prezenty. Wskutek machinacji kliki sanacyjnej, nie został wybrany na następną kadencję. Zbliżył się potem do grupy działaczy opozycyjnych znanych jako Front Morges. Z niepokojem obserwował zadufanie ekipy rządowej wiodącej kraj ku nieuniknionej katastrofie. 30 marca 1939 roku był członkiem delegacji wybitnych uczonych, która usiłowała nakłonić prezydenta Mościckiego do zmiany polityki, wyciągnięcia ręki do przesładowanych osobistości (m.in. Witosa i Korfatego) i utworzenia rządu porozumienia narodowego. Usłyszeli wtedy arogancją odpowiedź: „Nam tu w Zamku łydki nie drżą”.

W jego domu w Puszczykówku zatrzymał się 27 kwietnia powracający z czteroletniej emigracji Wojciech Korfanty. W sobotę 29 kwietnia wieczorem, gdy doszła do niego wieść o uwięzieniu Korfatego, wraz z innymi działaczami wielkopolskimi wysłał telegram do premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego: „Wstrząśnięci wiadomością o aresztowaniu Wojciecha Korfatego w Katowicach, prosimy Pana Premiera, aby w interesie dobra kraju spowodował zwolnienie bojownika o polskość Śląska w chwili, gdy jedność opinii polskiej winna się na zewnątrz ujawnić w całej pełni”. Nie dało to nic. Na pogrzebie człowieka, który przywiódł Śląsk do Polski, w Katowicach 20 sierpnia 1939 roku, szedł Ratajski w kondukcje obok generała Józefa Hallera. Już niebawem nad ojczyzną, o której wolność wszyscy trzej walczyli, miał zapaść mrok okupacji.

WOJCIECH JANOTA

Festiwal Dygacza

Na mapie kulturalnej Śląska pojawia się nowa propozycja kulturalna. Jest nią „Festiwal Dygacza”, organizowany przez Fundację Profesora Adolfa Dygacza pod hasłem „Inspiracje i interpretacje”. Festiwal odbywać się będzie 13 października 2000 r. w katowickim... Spodku. Dlaczego akurat w miejscu najmniej kojarzącym się z imprezami stricte ludowymi (poza występami Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”)? Organizatorzy przewidują, że weźmie w nim udział około 8 tysięcy widzów. Program obejmuje dwa koncerty - jeden przeznaczono dla laureatów cieszącego się dużą popularnością w szkołach konkursu „Śląskie śpiewanie” (w eliminacjach bierze udział około 15 tysięcy dzieci). Widowisko ma być połączone z edukacją ekologiczną, która swój wyraz znajdzie w zaprezentowaniu tematyki dotyczącej życia człowieka w zgodzie z rytmem przyrody. Nieco inny charakter będzie miał drugi koncert: do udziału w nim zaproszone zostaną zespoły i soliści, którzy w swoich utworach czerpią z bogatej skarbnicy muzyki ludowej. Występować będą również zespoły zagraniczne.

Aby zespoły szkolne mogły wystąpić podczas wielkiej październikowej gali w Spodku, muszą w pierwszym zaprezentować swoje umiejętności podczas tegorocznych eliminacji, które przebiegać będą pod hasłem „Życie człowieka w zgodzie z rytmem przyrody w tradycjach, zwyczajach i obrzędach”. Będzie to już siódma edycja konkursu. Sześć poprzednich edycji organizował Związek Górnośląski, który VII Przegląd Piosenki Dziecięcej „Śląskie Śpiewanie” powierzył Fundacji. O szczegółach konkursu informują organizatorzy Fundacja Profesora Adolfa Dygacza (Katowice ul. Młyńska 1, tel. 253-84-20).

Do tej pory Fundacja zorganizowała kilka imprez związanych z ekologią: „Sprzątanie Świata z Zieloną Ligą”, benefis prof. A. Dygacza - wybitnego śląskiego etnomuzykologa, konferencję ekologiczną poświęconą realizacji ustawy o gospodarce odpadami oraz zachowaniu czystości i porządku w gminach.

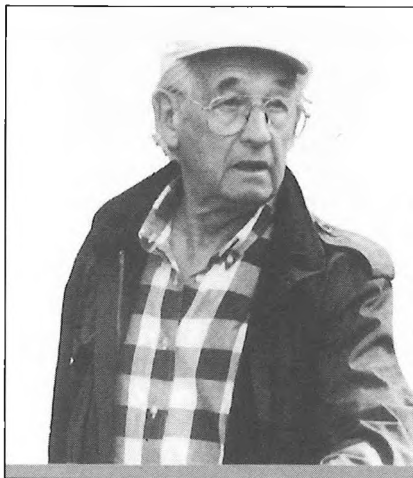
Dzięki staraniom Fundacji, Górnośląska Oficyna Wydawnicza S.A. wydała „Pieśni lublińskie” - kolejny zbiór pieśni zebranych przez Profesora.

W zamierzeniach Fundacji leży zorganizowanie Śląskiego Centrum Folkloru, udostępniającego zbiory profesora Dygacza i innych folklorystów, a także organizacja warsztatów dla nauczycieli i młodzieży.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Marzenia są ciekawsze



Przyznanie Oscara Andrzejowi Wajdzie za całokształt twórczości wywołało prawdziwą lawinę różnorodnych pokazów, spotkań, artykułów prasowych. Bo to przecież wielkie święto dla polskiego kina. Do najciekawszych imprez można zaliczyć zorganizowany przez Instytucję Filmową „Silesia-Film” w Katowicach pokaz filmu Stanisława Janickiego „marzenia są ciekawsze” poświęcony nigdy nie zrealizowanemu projektom filmowym Wajdy. Film składa się z trzech ponad półgodzinnych fragmentów, w których Wajda opowiada o pomysłach, które nigdy nie zostały przeniesione na taśmę filmową. Dowiadujemy się o „Kartotece”, „Zamachu w Sarajewie 1914”, serialu o Chopinie, afrykańskim „Kordianie”, „Jądrze ciemności”, filmie o Katyniu, „Jutrznii” do muzyki Krzysztofa Pendereckiego i współczesnym „Weselu”.

Film powstał według scenariusza Stanisława Janickiego, zaś operatorem był Krzysztof Tusiewicz.

Wieczory z muzyką

Koło Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego przy Akademii

Muzycznej było organizatorem „Wieczorów z muzyką Karola Szymanowskiego i Maurycego Ravela”, które odbywały się w ciągu trzech dni marca (20-21.03). Autorem koncepcji artystycznej był Arkadiusz Kubica - szef Kwartetu Śląskiego.

Koło działa od dwóch lat, a calem jego istnienia jest przypominanie twórczości wybitnego polskiego kompozytora, patrona Towarzystwa, w kontekście innych kompozytorów. W poprzednich „Wieczorach” Szymanowski prezentowany był wraz z L. Janackiem i Grażyną Bacewicz.

Po raz pierwszy organizatorzy spotkali sięgnęli do twórczości wokalnej Szymanowskiego, zestawiając ją z dorobkiem Maurycego Ravela w tej dziedzinie. Zabrzmiały więc utwory napisane do słów Jana Kasprowicza i Stefana Malarmego, także „Słowieńie” i „Pieśni madagaskarskie”.

Podczas „Wieczorów” wykonane zostały również i inne utwory Szymanowskiego: Sonata op. posth. i III Symfonia fortepianową.

Maurycy Ravel został zaprezentowany jako twórca muzyki kameralnej, chociaż do najbardziej znanych jego dzieł należy orkiestrowe „Bolero”.

„Wieczory z muzyką” skupiły grono znakomitych wykonawców, a wśród nich m.in.: Gabrielę Szendzielorz-Jungiewicz (fortepian), kwartet DAFO, Kwartet Śląski, Adama Musialskiego (skrzypce), Urszulę Musialską (fortepian), Magdalenę Spytek (mezzosopran), Alicję Lizer (flet), Mirosława Makowskiego (wiolonczela), Katarzynę Makowską (fortepian) oraz Elżbietę Grodzką (sopran) i Krystynę Słobodnik (fortepian), także Trio im. W. Lutosławskiego, Szymona Krzeszowca (skrzypce), Marię Sz wajger Kulakowską (fortepian), Barbarę Bielaczcyc (alt), Magdalenę Świtaj (fortepian), Adama Szerszenia (baryton) i Joannę Domańską (fortepian).

Do Muzeum nie tylko na wystawę

Muzeum Miejskie w Zabrzu proponuje szereg interesujących wystaw („Czar dawnych rzeczy”, „Dawne narzędzia tortur”, „W górnośląskim składzie dla strojów chłopskich”) oraz cykl tzw. lekcji muzealnych przeznaczonych dla młodzieży szkolnej. Lekcje obejmują kilka interesujących tematów, m.in. zabytek jako dobro kultury, przeobrażenia przestrzenno-administracyjne Zabrze, stroje górnośląskie na co dzień i od święta, Zabrze jako obszar pogranicza wpływu różnych odmian stroju górnośląskiego. Ponadto organizowane są konkursy tematyczne, takie jak Ogólno-

Jednym zdaniem

■ „Mieczysław Gładysz. Badacz kultury ludowej Śląska” - to tytuł wystawy zorganizowanej przez Muzeum Śląskie.

■ Wystawę „Jan Matejko - mistrz i kolekcjoner” ze zbiorów Donu Jana Matejki Oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie, otwarto w Muzeum w Sosnowcu.

■ W tyskiej galerii „Obok” otwarto wystawę poplenerową „Plener Tychy '99”.

■ Rzeźby Jana Bijoka gościły w Galerii Antresola Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tarnowskich Górach.

■ W Galerii „Ciasna” w Jastrzębiu Honorata Kowalczyk i Katarzyna Matusek zaprezentowały swoje prace malarskie, a Wacław Gwoździak „Świat w miedzi”.

■ Promocja najnowszej książki Piotra Zawojkiego pt. „Elektroniczne obrazowiały. Między sztuką a technologią” odbyła się w Klubie Filmowym „Silesia” Instytucji Filmowej „Silesia-Film” w Katowicach.

■ Muzeum Miejskie w Rudzie Śląskiej było organizatorem wystawy pt. „Na afrykańskim targu”, której eksponaty pochodziły ze zbiorów Państwowego Muzeum Etnograficznego w Warszawie.

■ W Teatrze Cogitatur odbyła się premiera Teatru Porywaczy Ciał z Poznania pt. „Vol 7”.

■ Na wystawę fotografii Krzysztofa Gołucha i Michała Gawendy zapraszała Galeria „Krekol” Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rudzie Śląskiej.

■ Gminny Ośrodek Kultury w Pawłowicach pokazał wystawę fotografii Marka Karchych pt. „Rodeo - Calgary Stampede”.

■ Muzeum w Gliwicach ogłosiło konkurs na „Najpiękniejsze kroszonki 2000”.

■ Urząd Miasta Bieruń, Niemiecko-Polskie Stowarzyszenie Partnerskie oraz Bieruński Ośrodek Kultury byli organizatorami koncertu w wykonaniu artystów z miasta partnerskiego Gundelfingen.

■ W chorzowskim Teatrze Rozrywki trwają przygotowania do mającej się odbyć 28 kwietnia premiery głośnej rock-opery Andrew Lloyd Webbera i Tima Rice „Jesus Christ Superstar”, której reżyserem jest Marcel Kocharczyk.

■ W Bibliotece Śląskiej Timothy Garton Ash - wytrawny obserwator przemian w Europie Środkowo-Wschodniej - promował swoją najnowszą książkę pt. „Historia na gorąco”.

polski Konkurs Plastyczny „Moja przygoda w Muzeum”, konkursy literackie „Tradycje Wielkopolskie i Wielkanoc w Zabrzu” i „Młodzież przeciwko przemocy”.

W lepszym przyswajaniu historii miasta pomagają wystawy. Wszystkie prezentowane w Muzeum są niezwykle interesujące. Na wystawie „W górnośląskim składzie dla strojów chłopskich” można obejrzeć wszelkie elementy składające się na strój śląski - chłopski, zrekonstruowane wnętrza sklepu, stroje codzienne, odświętne, strój drużby weselnej, pana młodego, starosty, stroje kobiece różnego wieku i stanu cywilnego, a także stroje uczestników orszaku weselnego.

Z kolei na wystawę „Dawne narzędzia tortur” składają eksponaty przywiezione z Niemiec, Austrii, Włoch i Hiszpanii. Jak twierdzą organizatorzy wystawy, ekspozycja służyć ma nie tylko „niezdrowej sensacji”, ale uświadomić, że obecna jest w życiu człowieka od zarania dziejów.

Kolejna wystawa to „Czar rzeczy dawnych” czyli prezentacja wiekowych już przedmiotów codziennego użytku czyli przedmiotów gospodarstwa domowego i przedmiotów osobistych. Można więc oglądać stare maszyny do pisania, szafy grające, fonografy, wagi, gramofony, odkurzacze, także bicykl, żelazka, młynki do kawy i ... herbaty, naczynia porcelanowe, kamionkowe i metalowe, sztucce i samowary.

Szwedzkie inspiracje

I Ogólnopolski Konkurs Literacki pn. „Szwedzkie inspiracje” im. Carla Michaela Bellmana organizuje Towarzystwo Polsko-Szwedzkie, Oddział w Katowicach. Celem konkursu jest popularyzacja historii, tradycji, kultury, sztuki i literatury szwedzkiej.

Każdy kto chce wziąć udział w konkursie powinien nadesłać tekst (esej, recenzję, reportaż, wiersz, opowiadanie) tematycznie związany z szeroko pojętą kulturą Szwecji. Prace konkursowe należy nadsyłać wyłącznie w maszynopisie w 3 egzemplarzach, opatrzone godłem pod adresem: Towarzystwo Polsko-Szwedzkie, Oddział w Katowicach ul. Borysa 5, 40-862 Katowice, z dopiskiem: Inspiracje szwedzkie.

Dane osobowe należy dołączyć w oddzielnej kopercie opatrzonej godłem autora.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa 30 kwietnia 2000 r. Oficjalne ogłoszenie wyników oraz rozdanie nagród laureatom nastąpi 5 czerwca 2000 r. w czasie trwania „Dni Szwedzkich 2000” w Bibliotece Śląskiej w Katowicach przy Placu Rady Europy 1.

■ W Katowicach na ulicy Kochanowskiego otwari swoją autorską galerię znany śląski malarz, pejzażysta i fotografik Georgij Safronow.

■ W Muzeum Archidiecezjalnym otwarta została wystawa „Polskie Madonny”, której autorem jest Japończyk Takuya Tsukahara.

■ Grafiki i rysunek Tomasza Chudzika można było oglądać w Galerii „Brama” w Gliwicach.

■ W Muzeum Miejskim w Świętochłowicach odbył się koncert, w programie którego znalazły się „Cztery pory roku” A. Vivaldiego w wykonaniu znakomitego skrzypka młodego pokolenia Roberta Kabary z towarzyszeniem Kwartetu Krakowskiego.

■ Galeria „Po schodach” Muzeum Miejskiego w Siemianowicach Śląskich proponuje wystawę malarstwa Stanisława Tabisza pt. „Obrazy wybrane”.

■ Jan Ptaszyn Wróblewski był gościem koncertu jazzowego, jaki odbył się w Muzeum Miejskim w Siemianowicach Śląskich.

■ W cyklu spotkań historycznych organizowanych przez Muzeum Historii Katowic wykład nt. „Biblia a nauka” wygłosiła prof. Anna Świderkówna.

■ Z okazji jubileuszu 80-lecia urodzin i 50-lecia pracy artystycznej aktorki i poetki Zofii Książek-Bregulowej odbył się wieczór poświęcony artystce zorganizowany przez Centrum Scenografii Polskiej Mu-

Profesjonalne jury pracować będzie pod przewodnictwem prof. dr hab. Grażyny Szewczyki.

Główną nagrodą jest wyjazd do Szwecji. Przyznane będą również wyróżnienia rzeczowe.

Turniej Jednego Wiersza

Klub Kreatywnego Pisania przy MDK „Koszutka” w Katowicach (40-126 Katowice ul. Grażyńskiego 47) ogłasza konkurs poetycki pn. Turniej Jednego Wiersza. W konkursie mogą brać udział wszyscy autorzy, którzy nie mają w swoim dorobku publikacji książkowej. Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie jednego wiersza o dowolnej tematyce, w trzech egzemplarzach maszynopisu lub czytelnego rękopisu. Nadesłany wiersz powinien być opatrzone godłem. Termin nadsyłania prac (pod adresem organizatora) upływa 15 maja 2000 r. Ogłoszenie wyników odbędzie się 20 czerwca w czasie „Poetyckiej Nocy Świętojańskiej”.

Szewczenkowskie spotkanie

Niedziela, 25 marca była w Katowicach, w siedzibie Towarzystwa Współpracy Polska-Wschód, dniem pochylecia się nad wierszami wielkiego ukraińskiego poety doby romantyzmu - Tarasa Szewczenki. Okolicznościowe referaty wygłosili dr Piotr Lwowicz i przewodniczący śląskiego oddziału Związku Ukraińców w Polsce - Michał Waszczyński.

Na spotkanie nie tylko z poezją - wygłaszaną pięknie przez ukraińskie dzieci i młodzież, przybyli licznie słuchacze.

W uroczystości wziął udział konsul generalny Ukrainy Zinowij Kurawskij z małżonką.

Jubileuszowe koncertowanie

Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopnia im. G. Fitelberga w Chorzowie w związku z obchodzonym w tym roku jubileuszem 50-lecia organizuje cykl koncertów, na które zaprasza wszystkich melomanów. I tak już 13 kwietnia odbędzie się koncert uczniów PSM I stopnia, 18 kwietnia wystąpi uczniowie PSM II stopnia, z kolei 5 maja będzie można usłyszeć koncert muzyki jazzowej, 9 maja koncert pokoleń. Koncert Jubileuszowy odbędzie się w Teatrze Rozrywki w Chorzowie w dniu 20 maja 2000r. Szczegółowych in-

zeum Śląskiego, Stowarzyszenie Pro Scaenographia w Katowicach i Związek Artystów Scen Polskich - Oddział w Katowicach.

■ Prof. dr hab. Włodzimierz Wójcik wygłosił w Muzeum Miejskim w Świętochłowicach wykład „Józef Piłsudski w literackiej legendzie”.

■ Muzeum w Chorzowie zaprasza do zwiedzania najnowszej wystawy, na której prezentowany jest dorobek fotografów dawnego Chorzowa.

■ W sali audytorijnej Biblioteki Śląskiej odbył się koncert zespołu „Concerto Palocco”, który wykonał utwory Jana Sebastiana Bacha.

■ 14 kwietnia w Filharmonii Śląskiej odbędzie się koncert, podczas którego będzie można usłyszeć Stabat Mater F. Poulencera oraz Psalm 130 L. Boulangera w wykonaniu artystów: Doroty Radomskiej (sopran) oraz orkiestry i chóru Filharmonii Śl., natomiast 19 kwietnia melomani mogą uczestniczyć w wykonaniu „Mejsasza” Haendla podczas koncertu w kościele św. Józefa w Chorzowie.

■ Wystawa „Wizerunki ludzi teatru” została otwarta w Galerii „Obok” Teatru Małego w Tychach.

■ Na wykład Wojciecha Czecha nt. „Granice i wewnętrzne struktury przestrzenne Górnośląska” zaprasza Muzeum Miejskie w Rudzie Śląskiej.

formacji udziela PSM (Chorzów ul. Dąbrowskiego 43, tel. 2410-329)

Do jubileuszu chorzowskiej PSM powrócimy na łamach „Śląska”.

Z francuskim barokowym brzmieniem

O organach w kościele Opatrzności Bożej w Katowicach-Zawodziu mówi się już od jakiegoś czasu, kiedy to zbudowane zostały tu unikatowe organy o francuskim, barokowym brzmieniu. Niedawno znów była okazja do podziwiania ich niezwykle pięknego brzmienia. Odbył się tu koncert poświęcony z promocją płyty z muzyką organową XVI i XVII wieku, wydana w serii „Sound of Silesia” przez Polskie Radio Katowice. Wykonawcą koncertu jak i utworów płytowych był znakomity polski organista europejskiej sławy prof. Julian Gembalski, rektor katowickiej Akademii Muzycznej.

Prof. Gembalski jest również projektantem tego niezwykle instrumentu. Powstanie instrumentu łączyło się z ogromną pracą teoretyczną, poznawaniem i studiowaniem francuskich traktatów organowych, badaniem francuskich instrumentów okresu baroku, wreszcie podjęciem się dzieła ogromnego - za sprawą organmistrzów Janusza i Zygmunta Kamińskich instrument został wybudowany. Budowę organów ukończono jesienią ub. roku.

Proboszcz parafii kościoła Opatrzności Bożej, ks. Eugeniusz Breitung zapewnia, że koncerty na tym pięknie brzmiącym i unikatowym instrumencie będą odbywały się częściej, zaś prof. Julian Gembalski chciałby zorganizować w tej świątyni Festiwal Muzyki Francuskiej.



Koncert znakomitego wirtuoza i improwizatora, a także projektanta instrumentu, prof. Juliana Gembalskiego w kościele Opatrzności Bożej w Katowicach-Zawodziu.

Foto: Zbigniew Sawicz

■ Dom Współpracy Polsko-Niemieckiej wraz z Centrum Europejskim proponowało wiele interesujących spotkań, a wśród nich były warsztaty dla młodych filmowców, seminarium z zakresu edukacji obywatelskiej nt. „Zdobycie, utrzymanie i kontrola władzy. Demokracja parlamentarna w Niemczech i w Polsce”, konferencję „Być kobietą...” czyli o polityce Unii Europejskiej względem kobiet a warunki aktywności zawodowej, politycznej i społecznej kobiet w Polsce, spotkanie nt. „Intelektualisci polscy i niemieccy a stalinizm”, a także konkurs dla młodzieży szkół ponadpodstawowych na slogan reklamujący integrację Polski z unią Europejską.

■ W Czeladzi odbywały się wystawy: malarstwa i tkaniny Ewy Jędrzyk-Czarnoty (Galeria SDK „Odeon”) oraz akwarel Stefana Dobronia (Galeria Exlibris Miejskiej Biblioteki Publicznej).

■ Serigraficzne martwe natury oraz pejzaże autorstwa znakomitego śląskiego grafika Adama Romanika można oglądać w katowickim Marcholcu.

■ Laureatem Złotej Kaczki w plebiscycie miesięcznika „Film”, przyznanej po raz pierwszy w kategorii „najlepsza muzyka do polskiego filmu” został wybitny kompozytor Wojciech Kilar, twórca najśłynniejszego w ostatnim czasie poloneza, więcączonego scenę finałową „Pana Tadeusza”.

Aśka

Kiedy Janusz Walesiak zaczął chorować na raka, Joanna Kwiatkowska była pierwszą osobą, która zorganizowała pomoc. Dzięki jej aukcjom, zbiórkom i innym charytatywnym zabiegom bielski aktor mógł zostać operowany i cieszyć się życiem jeszcze przez rok. Gdy podobna choroba dotknęła Aśkę, pomocy unikała. Nim zeszała z tego świata, odeszła najpierw ze świata bielskiej kultury. Wylądowała z życia publicznego, jakby chciała pokazać, że mocowanie się z okrutnym losem jest jej prywatną walką. Może przagnęła, aby nikt nie widział, jak ciężko jest walczyć. Może chciała także, by zapamiętano ją tylko taką, jaka była przed chorobą?

I taką Aśkę będziemy pamiętać. Bo kim bylibyśmy, gdybyśmy zapomnieli o człowieku, który dla każdego znajdował nie tylko dobre słowo, ale i czas, i kieliszek domowej nalewki?

Urodziła się 24 czerwca 1940 r. we Flisach, na pagórkowatej, lesistej Lubelszczyźnie, ale pokochała góry, na które wspinano się z upodobaniem himalaisty. Być może dlatego osiadła pod Szyndzielnią, wspomnieniem Czomolungmy?

Aśka od 18 roku życia pracowała w Domu Kultury Włókniarzy. Bezdużny termin określający czynności zarobkowe człowieka nie oddaje tego, co naprawdę robiła. Nie tylko była instruktorem, organizatorem i dyrektorem domu kultury. Ona była samym domem kultury!

Gdy parę lat temu przeszła na emeryturę, przeniosła się do sąsiadującego z DK Włókniarzy budynku tylko dlatego, że mieścił się tam Wojewódzki Ośrodek Kultury... Pracowała wówczas zaledwie na pół etatu, ale poświęcała się tak, jakby była zatrudniona na co najmniej dwóch.

Trudno zliczyć jej wybitnych wychowanków - aktorów, plastyków, animatorów życia kulturalnego. Wychowała całe rodziny - od młodych babci i dziadków po rezolutne wnuczki - które są bądź będą, jeśli nie artystami, to zapewne wrażliwymi odbiorcami sztuki.

Jej ślady na tej Ziemi będą jeszcze długo zaskakujące. To dzięki jej staraniom mogłem wydać tom młodzieńczej prozy bielszczanina Gracjana Pająka, który przypadkiem dostał się w ręce Aleksandra Dyla. Artysta obiektywu pracuje teraz nad filmową wersją opowiadań młodego pisarza, który zaczął swą drogę twórczą tam, gdzie James Joyce skończył.

Aśka zmarła 15 lutego 2000 roku. W kościele św. Trójcy w Bielsku-Białej pożegnał ją Henryk Talar, jeden z jej wiernych uczniów, o których zawsze mówiła bardzo dobrze. Artysta scen warszawskich nauczył się nawet wiersza, którego nie powtórzył przed zajęciami z Aśką. Dlatego dopiero teraz mógł odrobić zadaną przez nią 40 lat temu lekcję.

Na cmentarzu katolickim przy ulicy Grunwaldzkiej żegnało Aśkę ciche, ciepłe brzmienie kapeli zespołu „Beskid” oraz mocne dźwięki ludowego instrumentarium Józefa Brody - trombity, rogu i własnego głosu. Aśka musiała cieszyć się z takiego pożegnania. Wszak rozstaliśmy się tylko na chwilę.

JAN PICHETA

BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Lipa 2000

Spółdzielca Centrum Kultury BEST przy Spółdzielni Mieszkaniowej „Złote Łany” w Bielsku-Białej organizuje IV Ogólnopolski Przegląd Dziecięcej i Młodzieżowej Twórczości Literackiej LIPA'2000. Patronat nad imprezą objął prezydent Bielska-Białej Bogdan Traczyk, a wspiera ją finansowo m. in. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Uczestnikami przeglądu mogą być uczniowie szkół podstawowych i średnich. Tematyka i rodzaj literacki oraz objętość prac są dowolne, natomiast liczba utworów jest ograniczona do trzech. Samodzielnie wymyślone przez uczniów i nigdzie dotąd nie opublikowane teksty należy nadsyłać do 16 czerwca br. pod adresem: SCK BEST ul. Jutrzenki 22, 43-300 Bielsko-Biała, z dopiskiem LIPA'2000.

Prace należy podpisać imieniem i nazwiskiem oraz podać dokładny adres, szkołę i klasę, a także dane na temat ewentualnych nagród i publikacji.

Najlepsze utwory będą opublikowane w specjalnym, lipowym biuletynie. Rozdanie nagród, połączone z warsztatami literackimi dla laureatów, odbędzie się jesienią w SCK BEST.

Szczegółowe informacje można uzyskać pod nr tel. 033/ 814-12-92 od godz. 10,00 do 16,00.

Ludowa trójka



Rzeźba Stanisława Kwaśnego

Jednym zdaniem

■ 3 marca na Małej Scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej odbyła się premiera „Wisłowego czadu”, bielszczanina Tomasza Szulakowskiego, w reżyserii Zdzisława Wardejna.

■ Kolejną premierę w Teatrze Polskim przygotowuje reż. Jacek Andrucki.

■ „Mały obiekt - Duży obiekt” to tytuł kolejnej wystawy w Galerii Bielskiej BWA, którą będzie można oglądać do 24 kwietnia br.

■ Organizacje ekologiczne, kulturalne i niezależne zorganizowały w Bielsku-Białej Europejski Tydzień Akcji Przeciw Rasizmowi.

■ W ostatnim tygodniu marca w Teatrze im. A. Mickiewicza w Cieszynie odbędzie się Dni Teatru Stu.

W marcu w Galerii Sztuki Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Bielsku-Białej można było oglądać wystawę trzech beskidzkich artystów - Marii Suszki, Rozalii Kastelik oraz Stanisława Kwaśnego.

Koniakowianka Maria Suszka zaprezentowała koronki, które wykonuje już od szóstego roku życia. W młodości należała do uczennic znanej koronczarki Marii Gwarkowej. Była też stypendystką spółdzielni ArW w Katowicach. Jest laureatką wielu nagród za swą twórczość koronkarską.

Rozalia Kastelik to córka jednej z najbardziej znanych bibulkarek żywieckich - Franciszki Uflant, a jej nagrody uzyskane na konkursach trudno zliczyć. Prace urodzonej w Pewli Wielkiej, a mieszkającej w Bielsku-Białej artystki prezentowano w wielu krajach Europy.

Stanisław Kwaśny to inny artysta spod Klimczoka, który - podobnie jak Rozalia Kastelik i Maria Suszka - należy do Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Ten zdolny samouk karierę rzeźbiarską rozpoczął zaledwie przed sześciu laty, a już ma za sobą pasmo sukcesów.

Cała trójka realizuje w znacznej mierze wzorce sztuki ludowej. Lubi jednak także zaskakiwać sympatyków swego talentu nieoczekiwanymi odstępstwami od tradycji.

Kęcki badacz dziejów

18 lutego bezduszną śmierć dosięgła kęckiego pedagoga, dyrektora tamtejszego liceum, społecznika, badacza dziejów Kęt - Władysława Drożdżika. Z okazji 700-lecia grodu nad Solą wydał monografię pt. „Z dziejów Kęt”, którą tworzył przez dziesięć lat. Zainspirował m. in. powstanie „Almanachu Kęckiego” oraz muzeum miejskiego. Jego przyjaciel, współpracownik naszego miesięcznika, Marian Koim powiedział, że Władysław Drożdżik był człowiekiem wielkiego serca, autentycznym autorytetem w środowisku kęckim:

- Do ostatniego dnia niezwykle aktywny, pracowity, a przy tym skromny i cichy. Reprezentował coraz rzadszy typ prawdziwego pasjonata i społecznika. Kęty straciły wybitnego człowieka.

Płonące laury

Stowarzyszenie Cieszyńskiej Młodzieży Twórczej otrzymało główną nagrodę (w wysokości 5 tys. zł) w ogólnopolskim konkursie pn. „Nasza Gmina”. Cieszyńską młodzież nagrodzono za „Program aktywizacji młodzieży”, wedle którego stowarzyszenie działa od 1993 r. SCMT prowadzi działalność organizatorską, artystyczną, wydawniczą, a także szkoleniową i samokształceniową. Jak zapewniła prezes stowarzyszenia, Sławomira Kalisz, młodzi ludzie cieszą się z nagrody i przeznaczają ją na ogrzewanie siedziby SCMT.

■ Wernisaż wystawy grafiki i malarstwa Eugeniusza Delekty odbył się 31 marca w Domu Kultury w Kętach.

■ W Ustroniu odbyły się II Ustrońskie Spotkania Teatralne UST-a 2000.

■ W Dziale Zbiorów Specjalnych Książnicy Beskidzkiej odbyło się spotkanie promocyjne, podczas którego Stanisław Gola i Juliusz Wątroba prezentowali swoje najnowsze książki poetyckie.

■ Bielski filmowiec Jerzy Kolodziejczyk zrealizował dla TV Polonia dwa filmy o beskidzkich Madonnach: „Kamesznicą Matkę Boską Zwycięską” i „Bolesną Panią Halcnowską”.

Wędrowka farsy

Bezwzględna zasada Broadwayu są przedpremierowe pokazy na prowincji („on the road“). To największy sprawdzian dla sztuki i jej obsady, którego nie uniknęły nawet największe sceniczne przeboje. Bywa jednak (niekiedy w teatrze amerykańskim), że mamy do czynienia z mechanizmem odwrotnym. Sztuka ma swą premierę na którejś ze scen „centralnych“, po czym jej mniej lub bardziej udane warianty pojawiają się teatrami rangi ostatnich.

Teatr im. Adama Mickiewicza wzmocnił swój repertuar „Szczęściarzem“ Michaela Cooneya. Aby specjalnie nie komplikować życia publiczności, sięgnięto jednak od razu po gotowy schemat inscenizacyjny. Gwarantem stał się odtwórca roli tytułowej, a także reżyser spektaklu Jerzy Bończak. Tak się bowiem składa, że powtarza własną pracę aktorską wykonywaną ku ucieście widzów w „Szczęściarzu“, jaki zrealizował specjalizujący się w farsach warszawski Teatr Komedii. Bończak zresztą już jesienią 1998 roku pozwolił się obsadzić w premierze „Szczęściarza“ w Teatrze Nowym w Zabrzu.

Jednym z atrybutów farsy jest przebieranka. Czasem kobiety przebierają się za mężczyzn lub odwrotnie. Częściej chodzi o zmianę tożsamości - ojciec udaje syna, córka matkę, milioner żebraka, a polityk cukiernika. Źródłem przemian są zazwyczaj sprawy sercowe. Inaczej w „Szczęściarzu“. Cała przebieranka to efekt gry nie o przychylność damy lub kawalera, a o względy Zakładu Opieki Społecznej. To taki brytyjski odpowiednik naszego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych czy Urzędu Pracy. Przyznaje zapomogi, odszkodowania i wszelkiego rodzaju zasiłki. Jak każde ramie biurokracji działa jednak chwilami na ślepo. Tytułowy bohater przejmując zasiłki dla sublokatora dawno już przebywającego w Australii. W ślad za pierwszym oszustem wymyśla następne i bardziej pomysłowe. I tak np. kolejnego sublokatora, akwizytora branży obuwniczej Normana, rejestruje jako bezrobotnego drwala z licznym przychówkiem. I nawet go usmierca, choć tanien ma się całkiem dobrze i na wiadomość o swym zgonie raczej nie jest przygotowany... Sielanka się skończy, gdy nadejdzie pan Jenkins, kontroler Zakładu Opieki Społecznej. Wszystko nabierze niemożliwego tempa. Widz pęknie ze śmiechu, choć tak naprawdę raz po raz pękać będzie tylko przesadnie nadmuchiwany balon gagów i koncepcji.

RYSZARD JASNORZEWSKI

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Francuskie wzory

Od wielu już lat znajomość obcych języków jest słusznie uznawana za edukacyjny standard. Szczególną jednak kategorią kształcenia językowego jest przygotowywanie specjalistów - tłumaczy mogących pracować w różnych agendach Unii Europejskiej. Zajmuje się tym między innymi Institut Superior de Traducteurs et Interpretes w Brukseli, z którym współpracuje Wyższa Szkoła Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie. Najważniejszą formą współpracy jest możliwość wyjazdów do Brukseli częstochowskich studentów. W tym roku WSJOiE nawiązała partnerskie kontakty również z Instytutem Katolickim w Paryżu, który kształci nie tylko tłumaczy konferencyjnych, ale np. specjalistów w tłumaczeniu simultanicznym. W miarę bliskie wejście Polski do Unii Europejskiej spowodowało, że w Paryżu (podobnie jak w brukselskiej ISTI) przygotowuje się także tłumaczy języka polskiego. Dzięki umowie partnerskiej, coroczna wymiana obejmie dwoje studentów z Paryża i Częstochowy.

Czar fotografii

Starej i amatorskiej, ale na swój sposób urokliwej. Mogli przekonać się o tym wszyscy, którzy odwiedzili w Muzeum Częstochowskim wystawę „Album fotamatora z lat trzydziestych“. Autorem zdjęć wykonywanych aparatem skrzynkowym Voigtlaender jest częstochowianin Feliks Andrzejewski. 346 zachowanych klisz ofiarował muzeum syn fotamatora, Bronisław. Wszystkie zaprezentowane na wystawie odbitki są już wydrukami komputerowymi, gdyż dokonano cyfrowego zapisu obrazu zachowanego na kliszach. W kolekcji dominują sielankowe

scenki z wycieczek poza miasto i zdjęcia rodzinne. Nie brak jednak i mimowolnych zapewne świadectw życia codziennego oraz ciekawych zapisów reporterskich. W zbiorze znalazły się m.in. fotografie dokumentujące spektakle teatru amatorskiego.

Gmina w internecie

O Olsztynie było głośno za przyczyną fajerwerków. Pokazy pirotechniczne wywędrowały poza gminę, ale pozostały ruiny zamku, a zatem oczekiwania, że turyści zechcą odwiedzić miejscowość. Potrzebna jest jednak promocja, w konsekwencji - określone sposoby formułowania o sobie informacji. Dlatego też postanowiono pójść z duchem czasu i uruchomić strony internetowe poświęcone walorom gminy. Jej władze zamierzają również przygotować folder reklamujący niewątpliwie uroki Olsztyna i jego okolic. Wiele wskazuje, że jedyną drogą do konkretyzacji pomysłu jest pozyskanie sponsorów i reklamodawców. Podobnie jednak czynią w wypadku tego rodzaju wydawnictw i gminy od Olsztyna zasobniejsze.

Warsztaty

Zajęcia w siedzibie zespołu „Śląsk“ w Koszęcinie były największą atrakcją kursu wprowadzającego nauczycieli w problemy edukacji teatralnej i regionalnej. Uczestniczyło w nim ponad 80 osób. Nauczyciele w trakcie warsztatów w Domu Kultury w Myszkowie oraz częstochowskich szkołach poznawali zasady prowadzenia zajęć z dziedziny sztuki i tańca. Uczono się między innymi podstawowych kroków tańców regionalnych i narodowych oraz poznawano najprostsze układy choreograficzne mogące być wprowadzane na zajęciach kółek tanecznych dla dzieci. W Koszęcinie uczestnicy kursu brali udział w próbach baletu „Śląska“. Koncepcję warsztatów przygotowała Elżbieta Jatulewicz, specjalistka wychowania estetycznego Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego.

Jednym zdaniem

■ Torsten Oestergen, szwedzki dyrygent i skrzypek, wystąpił w Filharmonii Częstochowskiej.

■ Galeria „Bez Tynku“ zaprosiła na wystawę „Mama i ja“ Alicji i Samuela Kowalskich.

■ Spektakl obrzędowo - obyczajowy „Gromniczna“ w wykonaniu zespołu „Dąbrowianie“ wystawiono w kościele św. Wojciecha w Biskupicach.

■ „Ekslibrisy Ojca Świętego Jana Pawła II“ to hasło ekspozycji przygoto-

wanej w Bibliotece Miejskiej w Częstochowie.

■ Wystawę malarstwa Mariusza Chrostowskiego przygotował Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater“.

■ Częstochowianka Rozalia Ślodziak zwyciężyła w wojewódzkich eliminacjach XXIV Olimpiady Artystycznej.

■ „Zespół Marketingowo - Kabaretowy from Poland“ wyprzedził swój pierwszy program - „Casting“ - na scenie ośrodka „Gaude Mater“.

Z rektora złodziej?

Temat pepickiego lapidarium prof. Stanisława S. Nicieja trafił na łamy prasy mniej więcej rok temu. Wtedy wydawało się, że nie będzie nad czym debatować, bo historia ta, jak każda niepotrzebnie rozdmuchana pseudoafery, sama rozejdzie się po kościach. Tymczasem okazało się, że, wręcz przeciwnie, sprawa lapidarium urosła do rangi opolskiej afery sezonu, wystawiając Opolanom jak najgorsze świadectwo.

Fakty są powszechnie znane. Prof. Stanisław S. Nicieja, pełniący już drugą kadencję obowiązki rektora Uniwersytetu Opolskiego, zaczął gromadzić w ogrodzie swojego domu w Pepicach pod Brzegiem zniszczone i porzucone tablice epitafijne, ułamki nagrobnych kamieni i różne inne porozbijane architektoniczne detale.

Nikt się temu specjalnie nie dziwił, bo Nicieja znany jest z ogromnej pasji, jaką budzi w nim badanie przeszłości. To człowiek, który nie potrafi żyć w przestrzeni anonimowej. Gdy tylko zamieszkał w Pepicach, zaczął badać dzieje miejscowości, przy okazji budząc świadomość historyczną jej mieszkańców. A to, że zainteresowały go zdevastowane śląskie cmentarze i kaplice, też dziwne nie było — Nicieja ma na koncie kilka znakomitych książek o lwowskim cmentarzu Łyczakowskim, od dawna planuje napisanie monografii największych europejskich nekropoli. Wszyscy o tej pasji rektora wiedzieli, bo mówili o niej na prawo i lewo, apelując przy okazji o to, by wreszcie zająć się ratowaniem popadających w ruinę opolskich zabytków.

Okazało się jednak, że są ludzie, którzy w dobre intencje Nicieja nie wierzą. Najpierw przyczepili się do niego konserwatorzy z Dolnego Śląska, potem zaczęła go atakować lokalna prasa, w końcu zajął się nim opolski wojewódzki konserwator zabytków Jacek Kucharczyk. I zaczęła się równia pochyła, bo, przynajmniej zdaniem niższej podpisanej, panu konserwatorowi zabrakło czegoś (dystansu a może odrobiny zdrowej dezynwoltury), co pozwoliłoby sprawę zatłwić od ręki. Można było zinventaryzować kolekcję rektora, oddać mu ją w tymczasowy depozyt i zabrać się wspólnie za szukanie miejsca, gdzie takie lapidarium dałoby się wyeksponować z pożytkiem dla wszystkich zainteresowanych.

Niestety, konserwator zachował się jak modelowy legalista, co nie zawsze jest najlepszym wyjściem, i wszczął ciągnąć się przez rok postępowanie administracyjne, po czym nie tylko nakazał Nicieja oddać całą „nielegalną” kolekcję różnym wskazanym instytucjom, ale także skierował sprawę do prokuratury. Ta z kolei nie miała innego wyjścia, jak wszcząć śledztwo z paragrafu o zwyczajną kradzież. I w ten oto sposób cała Polska dowiedziała się, że rektor opolskiej uczelni będzie przez wymiar sprawiedliwości sprawdzany jako ordynarny złodziej.

Co ciekawe, głosy w obronie Nicieja się zdarzały, ale było ich zaskakująco mało. Kilku polityków, koledzy z uczelni, Paweł Kozerski z Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu. I tyle. Zdecydowana większość Opolan, która znała sprawę wyjątkowo z podgrzewających atmosferę publikacji prasowych, ma dziś o Nicieja zdanie nie najlepsze. W całej tej aferze Opole zaprezentowało się światu jako powiatowe miasteczko, w którym lokalna elita niby jest dumna ze swoich najlepszych obywateli, ale zazdrości im tak bardzo, że gdy tylko nadarzy się okazja, gotowa jest wbić im nóż w plecy. Wstyd, panie i panowie, po prostu wstyd.

MAREK ŚWIERCZ

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Pikarejski d'Artagnan

„Trzej muszkietierowie” w reżyserii Czecha Petra Nosalka to spektakl, to kolejna premiera Opolskiego Teatru Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki.

Kluczem do inscenizacji Nosalka jest uwaga Umberto Eco, że romantyczna powieść Aleksandra Dumasa łączy tradycję powieści historycznej z tradycją opowieści lotrzykowskiej — muszkietierowie to twór „wyobraźni pikarejskiej w stanie czystym”. Gra aktorów, ubranych przez Evę Kotkową w kostiumy z epoki, zgodna jest z przesłanym duchem powieści lotrzykowskiej. Zbigniew Babiak jako Portos, Jan Chrabot jako Aramis i Tomasz Szczepiński jako Atos grają wyrazistymi głosami. Jeden Tomasz Maślakowski jako d'Artagnan ma okazję pokazać ewolucję swojej postaci od gamoniowatego głupek z prowincji do szarmackiego kawalera. Mogą się podobać postaci z drugiego planu, zwłaszcza łajdacka para Rochefort i Milady — Andrzej Szymański to arogancki łajdak, a Agnieszka Zyskowska to wyuzdana femme fatale w typie hiszpańskiej tancerki flamenco. Ta nieskrzywana frywolność to prezent dla dorosłych, którym nie umknie nieco libertyńska wymowa spektaklu.

Inszenizacja stoi bitewnym zgiełkiem i szaleńczą choreografią, w której mieszczą się pojedynki na szpady rozgrywane na widowni, między fotelami (za układ walk szermierczych odpowiada Zbigniew Borysiuk). Spore wrażenie robi muzyka Pavla Helebrandta, który sięgnął do źródeł — podczas potyczek pod La Rochelle wesolotka piosenka o „małej Alouette” usiłuje załuszczyć angielską „God Save The King”.

Laury dla Czajki

Aż 174 nieprofesjonalnych pisarzy wzięło udział w VII edycji konkursu literackiego „Krajobrazy słowa”, organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Kędzierzynie-Koźlu.

Jury, w którym zasiadali tym razem poetka i pisarka Marta Fox (przewodnicząca), poeta Jacek Podsiadło oraz Marian Kisiel z Uniwersytetu Śląskiego i Piotr Kowalski z Uniwersytetu Opolskiego, oceniło 681 wierszy i 102 utwory napisane prozą. 11 lutego ogłosiło werdykt.

W kategorii prozy nagrodę specjalną marszałka województwa opolskiego Stanisława Jąłowickiego w wysokości 600 złotych otrzymała Elżbieta Dziewońska z Głogówka (godło „Czajka”) za utwór „Jaś i chłopaki co już nie płaczą”. Dwie równorzędne nagrody po 500 złotych otrzymali Andrzej Piotr Nowak z Sidry za opowiadanie „Przez wisko” oraz Anna Czujkowska z Lublina za opowiadanie „Ostatni pociąg”.

W dziedzinie poezji zwyciężył Grzegorz Tomicki z Legnicy, nagrodzony za „zręczne ujęcie emocji w wyszukane formy w nadesłanym cyklu wierszy”. Otrzymał 1.000 złotych ufundowane przez drugiego, obok marszałka, patrona konkursu — prezydenta K. Koźla Jerzego Majchrzaka.

Jednym zdaniem

- W Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu zaprezentowano wystawę „Slady”, zbiór 55 akwarel katowickich artystów Soni i Ireneusza Botorów, obrazującą formę architektonicznej kultury wysokiej na Śląsku.
- W Opolskiej Galerii Sztuki Współczesnej odbył się wernisaż wystawy „Drzewo”, która jest owocem trzyletnich poszukiwań plastyczki Anny Beskiej.
- Opolski Kabaret „Rzyśko” pojechał do Stanów Zjednoczonych, by wziąć udział w Zjeździe Kabaretowych Gwiazd z Polski zorganizowanym w Copernicus Center w Chicago.
- 10. rocznicę działania Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim uczczono koncertem na Dużej Scenie opolskiej sceny dramatycznej — opolscy filharmonicy i członkowie mniejszościowych chorów pod batutą Piotra Barona z Górnośląskiego Towarzystwa Śpiewaczego wykonali kompozycje Verdiego, Franka, Schuberta i Mozarta.
- Wystawę poświęconą Baltom, przygotowaną przez Centralne Muzeum Morskie w Gdańsku i Pań-

Dwie równorzędne nagrody po 500 złotych przypadły poetom: Wojciechowi Brzosce z Sosnowca i Mariuszowi Tenerowiczowi z Leżajska. Nagroda koziełskiego koła Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich wręczona zostanie Helenie Ostaszewskiej z Białogostoku za cykl wierszy dla dzieci.

Kalendarz milenijny

Z niewielkim opóźnieniem w ręce czytelników trafił kolejny Kalendarz Opolski, wydany jak zawsze staraniem Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego. To numer szczególny, bo próbujący dokonać rozliczenia za minionym stuleciem.

Formuła Kalendarza odwołuje się do staropolskiej konwencji silva rerum, w której jest miejsce dla każdego tematu i każdej dygresji. Nie inaczej dzieje się w ostatnim wydawnictwie OTKO, gdzie eseje sąsiadują z portretami zmarłych Opolan, próbkami talentu opolskich literatów, wreszcie populonaukowymi artykułami historyków i etnografów.

Ostatnia edycja Kalendarza ma jednak swój, wpisany w milenijny kontekst, motyw przewodni. Jest nim rozliczenie nie tylko z minionym stuleciem, ale wręcz tysiącleciem. Właśnie tysiąclecie polsko-niemieckiego trudnego sąsiedztwa próbuje podsumować Aleksandra Trzcielińska-Polus z Instytutu Śląskiego, wracając później do tematyki niemieckiej w artykule o mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku u progu XXI wieku. To zawieszenie między wiekiem minionym a nadchodzącym jest też widoczne w innych tekstach, choćby w wizji rozwoju Uniwersytetu Opolskiego, którą rozciąga jego rektor Stanisław S. Nicieja.

Coś dla siebie w Kalendarzu 2000 znajdują też miłośnicy śląskiej mowy — artykuł na temat gwar śląskich zamieszczył prof. Bogusław Wyderka, językoznawca z opolskiej uczelni, który kieruje wznowionymi pracami nad słownikiem śląskiej gwary.

Doktor Tazbir

Prof. Janusz Tazbir, jeden z najwybitniejszych polskich historyków, został kolejnym doktorem honoris causa Uniwersytetu Opolskiego. Okazją była 6. rocznica utworzenia uniwersytetu.

Prof. Tazbir razem z żoną Julią, znakomitym dydaktykiem, przyjechał do Opola już w czwartek 9 marca, by wygłosić wykład „Czy historia jest nauczytelką życia?”. W piątek zjawił się w auli UO, by wysłuchać laudacji prof. Stanisława Gajdy i odebrać swój pierwszy w życiu honorowy dyplom.

— Jego dzieło to przykład humanistyki pokornej w poznaniu. Rolę badacza łączy z rolą popularyzatora wiedzy o przeszłości, przestrzegając jednak przed rocznicowymi daninami — komplementował bohatera uroczystości prof. Gajda.

Sam prof. Tazbir zauważył, że byłby hipokrytą, gdyby twierdził, że wyrazy uznania nie robią na nim wrażenia, choć dodał, że podczas tego typu uroczystości, jak na „Imiennach u cioci”, o bohaterze nie mówi się źle. Stwierdził też z przekonaniem, że Polacy nie powinni się uważać za giermków historii, uzalających się nad własną martyrologią.

— Many swój wkład w historię. Największe zainteresowanie na świecie budzi nasz wiek XVII, czasy niepowtarzalnej kultury sarmackiej, a więc ta epoka, którą ja mam przyjemność się zajmować — stwierdził świeżo upieczony doktor honoris causa UO.

stowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie, zaprezentowano w Muzeum Śląska Opolskiego.

■ W Filharmonii Opolskiej miała miejsce uroczystość wmurowania tablicy pamiątkowej poświęconej Vladimirowi Grygarow, budowniczej organów FO.

■ Radio O'le, pierwsza komercyjna rozgłośnia radiowa na Opolszczyźnie, świętowała w lutym swoje 7. urodziny.

■ W nakładzie 300 egzemplarzy ukazał się kolejny numer Łambinowickiego Rocznika Muzealnego.

■ „Z pamięci”, spektakl opolski Krzysztofa Żyńskiego, to kolejna premiera opolskiego Teatru Jedynki Wiersza.

■ Opolszczyzna nie ma herbu — wojewoda Adam Pędziół unieważnił uchwałę Sejmiku w sprawie herbu regionu, zarzucając radnym Sejmiku, że nie skonsultowali projektu z MSWiA.

■ Emilia Szpiech, kierująca ludowym zespołem „Faska” z Piotrkówku pod Jemielnicą, została uhonorowana nagrodą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Animatorek kultury 1999”.

Urodzinowo i z „Lamusem”

Pękała w sobotni wieczór - 26 marca br. - w swych sala Teatru Cieszyńskiego, część łaknących dobrej rozrywki Zaolziaków musiała usiąść nawet na przyniesionych na szybko krzesłach. Nic dziwnego - swoje czwarte już urodziny świętowała popularna literacka „Kawiarnia AVION, której nie ma”, a przy okazji ochrzczono też pierwszą „avionową” płytę pt. „Lamus”, na której znalazły się piosenki Zbyszka Sivka do tekstów twórczyni kawiarni, Renaty Putzlicher (wszystkie zabrzmiąły w swoim czasie na kawiarenkowych spotkaniach), a którą wydał Kongres Polaków w RC przy wsparciu finansowym Senatu RP.

A przygotowali organizatorzy urodzinowego koncertu - Towarzystwo „Avion” i Kancelaria Kongresu Polaków na czele z Danutą Branną - dla sympatyków „kawiarni, której nie ma” ucztę duchową z prawdziwego zdarzenia. Zabrzmiąły zatem ze stylowo zagraczonej sceny (jak „Lamus”, to lamus...) nie tylko wszystkie piosenki z pierwszej płyty „Avionu”, ale i te znane z wcześniejszych spotkań, odbywających się zarówno w Klubie Teatralnym TC i Galerii „Na strychu”, jak i poza Cz. Cieszyńnem, np. w Brnie na Scenie Kameralnej Teatru „Husa na prowadzku”. Nie zabrakło też wspaniałych wierszy Renaty, aktorskich monologów i żydowskich „szmonecesów” oraz wspaniałej „zaolziańskiej” parodii Mickiewicza pt. „Wpłynęłam na mokrego przestwór oceanu”...

W sumie - było to wspaniałe widowisko, w którym - oprócz głównych bohaterów, R. Putzlicher i Z. Sivka - przewinęli się przez scenę aktorzy Sceny Polskiej: Malgorzata Pikus, Lena Peśak, Sebastian Pawlak, Ryszard Pochron i Michał Siegoczyński, zespoły muzyczne „Siwek Trio” i „Kamraci” (w „avionowym” spotkaniu pt. „Historia prosta: w Cieszyńniu żył Kohn” przemienili się ongiś „Kamraci” nawet w typową żydowską kapelę klezmerską...), na fortepianie grał jak zawsze niezawodny Bronisław Liberda. Wprost z praskich występów przyjechał też na urodzinowy „Avion” kolejny twórca kawiarni, Jaromir Nohavica, który podczas koncertu zaśpiewał aż sześć piosenek, w tym pięć zupełnie nowych, m.in. nagrodzone burzliwymi okłaskami, śpiewane gwarą ostrawską frywolne „Ostravěno moja” i „To umi każdy debil” oraz delikatny „List do pana prezydenta”...

Oklaskom nie było końca, jak również i podziękowaniom. A dziękowali Renia ze Zbyszkiem nie tylko publiczności, wykonawcom i współorganizatorom, lecz także „Bogu i rodzicom, swoim 'połowiczkom’ za ciepłość i serce...”, akustykowi Vladimirovi Rybařovi, autorowi okładek płyty Kazimierzowi Gajdzicy, muzykom, którzy zagrali na płycie, ale zabrakło ich na scenie... D. Branna i J. Nohavica odebrali zaś z rąk autorów płyty ogromne zaramowane obrazy w stylu „złoty płyt” - „Nasza płyta złota chyba nie będzie, przyjmijcie od nas zatem przynajmniej te 'pamiętni deski’ (‘tablice pamiątkowe’ - przyp. JS)...” - powiedziała R. Putzlicher.

Chrzty płyty szampanem tym razem nie było. Zaprosili natomiast organizatorzy wszystkich swoich sympatyków do teatralnej „Café Galerii”, gdzie można było obejrzeć pierwszą wystawę prac plastycznych Sebastiana Pawlaka oraz zdjęć z „avionowych” wieczorów autorstwa m.in. Wiesława Przeczka i Franciszka Balona, gdzie grała kapela „Kamraci”, gdzie raczono się dobrym morawskim winem. Przede wszystkim jednak można tu było zakupić płytę „Lamus” oraz tomiki poetyckie Renaty Putzlicher. Nie trzeba chyba już mówić, że nabywców było sporo...

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Ze wspólnej listy?

Marcowe, trzecie już robocze spotkanie tzw. Grupy 3x3, w którym wzięli udział przedstawiciele Kongresu Polaków, PZKO oraz Polskiej Sekcji Ruchu Politycznego „Coexistentia-Wspólnota”, poświęcone było tym razem wyborem do nowych samorządowych władz okręgowych, które odbędą się jesienią br. Po zakończeniu rozmów ich uczestnicy zwrócili się do wszystkich polskich organizacji w RC, w tym i Miejscowych Kół PZKO z propozycją utworzenia wspólnej listy wyborczej. Listę zarejestruje „Wspólnota”, jako że ordynacja wyborcza uwzględnia wyłącznie listy kandydackie zarejestrowane przez ruchy lub partie polityczne.

W Pradze o dotacjach

Chociaż budżet państwa na rok 2000 Parlament RC uchwalił dopiero w marcu, komisja doradczą wiceministra kultury Iliji Racka, która współdecyduje o przyznaniu stowarzyszeniom mniejszości narodowych dotacji na działalność kulturalną, podjęła decyzję o podziale przyznanej na ten cel przez Rząd RC sumy już w lutym.

„Suma ta jest jednak dużo niższa niż w roku ubiegłym” - mówi członek Rady Polaków Rudolf Moliński, który od 4 już lat reprezentuje w komisji polską społeczność w RC. „Jeżeli przed rokiem było do podziału prawie że 9 mln koron, w tym roku mieliśmy do dyspozycji tylko 6,4 mln. W dodatku jest to tylko suma wstępna, gdyż po uchwaleniu budżetu może dojść jeszcze do jej obniżenia. W każdym razie komisja nie spotka się w tej sprawie w tym roku, ponieważ ustaliłoby, że dotacje nie przekraczające 30 tys. koron na jeden projekt nie ulegną już zmianie, wyższe natomiast zostaną odpowiednio procentowo obniżone lub podwyższone”.

Komisja decydowała w sumie o 102 projektach, z czego polskie organizacje i stowarzyszenia złożyły siedem projektów - chodzi o Polskie Towarzystwo Artystyczne „Ars Musica”, „Collegium Cantorum”, „Hutnik”, zespół „Górole”, Kongres Polaków, PZKO i Teatr im. mjr. Szmauza. Wszystkie polskie projekty - za wyjątkiem projektu PTA „Ars Musica”, który ze względu na niespełnienie warunków formalnych (zarejestrowała się dopiero w lutym 1999 r.) komisja odrzuciła i - uznane zostały przez komisję za bardzo dobre.

„Świadczy o tym chociażby to, że jeżeli Węgrzy mogą otrzymać ok. 400 tys. koron, Niemcy 480 tys., liczące najwięcej członków grupy narodowościowo romska i słowacka - odpowiednio - 1,7 mln i 1,4 mln koron, to do podziału między polskie stowarzyszenia mogłoby być ok. 1,720 mln koron” - stwierdził R. Moliński.

Jednym zdaniem

■ Delegacja komisji ds. odszkodowań wojennych przy Radzie Polaków rokowała w lutym w Pradze z przedstawicielem czeskiego MSZ Jiřim Šitlerem o odszkodowaniach dla osób narodowości polskiej, zesłanych w czasie II wojny światowej do obozów nazistowskich i na roboty przymusowe.

■ Czeskosłowackie Polskie Centrum Pedagogiczne zorganizowało w lutym tradycyjną wystawę wydanych w Polsce podręczników szkolnych, plansz dydaktycznych oraz pomocy dla nauczycieli.

■ W czeskim MSW zarejestrowane zostało polsko-czeskie stowarzyszenie artystyczne Spolek Zrzeszenia AVION. Jego członkami-założycielami są poetka Renata Putzlicher, muzyk Zbigniew Siwek oraz czeski bard Jaromir Nohavica.

■ Tytuły „Osobistość Roku 1999” przyznały 17 lutego władze Hawierzowa 6 hawierzowskiemu artystom i animatorom kultury. Znalazł się wśród nagrodzonych m.in. plastyk Oskar Pawlas, przewodniczący Stowarzyszenia Artystów Plastików przy ZG PZKO.

■ Podczas swojej dwudniowej wizyty w RC prezydent RP Aleksander Kwaśniewski spotkał się

Przeczek w radiu i TV

Po zaolziańską poezję sięgnął tym razem znany czeski piosenkarz folkowy i poeta Jiři Dėdeček, autor i główny prowadzący cieszącego się znaczną popularnością programu poetyckiego pn. „Obce słowo - poezja”. Tym razem zabrzmiąły bowiem 11 marca w sobotniej audycji o godz. 20.00 w drugim programie czeskiej telewizji publicznej wiersze mieszkającego w Bystrzycy polskiego poety Wilhelma Przeczka.

Zainteresowało się twórczością Wilhelma Przeczka także praskie Czeskie Radio. W piątek 24 marca o godz. 11.00 stacja Weřtawa nadała słuchowisko bystrzyckiego poety pn. „Bluszczy”, w znakomitym przekładzie głosnej tłumaczki literatury polskiej, Heleny Stachowej.

„Nowina” ma 15 lat

Jubileusz 15-lecia swojej działalności obchodził pod koniec lutego jabłonkowski dziecięcy zespół folklorystyczny „Nowina”, działający przy miejscowej Polskiej Szkole Podstawowej im. H. Sienkiewicza (zespół taneczny) oraz Podstawowej Szkole Artystycznej (kapela).

Uroczystości jubileuszowe rozpoczęto 25 lutego otwarciem wystawy dorobku „Nowiny” umieszczonej w pomieszczeniach Klubu Młodych na parterze Domu PZKO w Jabłonkowie. Wystawę przez cały tydzień przygotowywali nauczyciele jabłonkowskiej PSP - Irena Szymonik, Irena Pysko i Jan Pysko - czerpiąc z materiałów z archiwum zespołu.

Uroczysty koncert jubileuszowy „Nowiny” odbył się w sobotę 26 lutego w odremontowanej sali w ratuszu jabłonkowskim.

„Pegaz” wkroczył w drugą dekadę

Do drugiej już dekady wkroczyła w tym roku najstarsza zaolziańska kawiarnia literacka - jabłonkowska Kawiarenka „Pod Pegazem”. Jedenasty rok w historii kawiarenki przebiegać będzie jednak częściowo nadal pod znakiem obchodów jubileuszu - w ramach sierpniowego poetycko-muzycznego spotkania towarzyszącego tradycyjnie już „Gorolskim Świętu” przebiegnie bowiem „Pod Pegazem” promocja przygotowywanej już od roku książki „W stronę dieścicolecia”. W niej miłośnicy poezji i sympatycy kawiarenki będą mogli przeczytać nie tylko zapisy z „pegazowskich” kronik, ale także biogramy i utwory wszystkich dotychczasowych bohaterów Kawiarenki „Pod Pegazem”.

„Nie oznacza to jednak, żebyśmy chcieli zasnąć na laurach” - mówi jeden z gospodarzy kawiarenki, poeta Jan Pysko z Nawisia-Potoków. „Poza kawiarenką ‘świętogorolską’ odbędą się bowiem aż cztery spotkania - bohaterami pierwszego z nich, już w ostatni piątek kwietnia będą słowacy poeci i tłumacze Dana Podracká i Vlastimil Kovalčik. W maju natomiast odwiedzi nas mój kolega z liceum pedagogicznego w Cieszyńnem-Bořku, znany polski aktor Henryk Machalica, który będzie również gościem honorowym Festiwalu PZKO w Trzyciu. Jesienne kawiarenki natomiast odbędą się we wrześniu i październiku - na pierwszej gościami będą czescy twórcy Karla Erbowa z Pragi i Roman Kniže z Pilzna...”

w Brnie także z przedstawicielami organizacji Polaków żyjących w RC.

■ Chór uczniów czeskosłowackiego Polskiego Gimnazjum „Collegium Iuvenum” po raz piąty zakwalifikował się do finałów Ogólnopolskiego Konkursu Chórów 4 Capella Dzieci i Młodzieży, które odbyły się pod koniec marca w Bydgoszczy.

■ W wieku 32 lat zmarł 21 lutego tragicznie jeden z inicjatorów reaktywacji po 1989 Harcerstwa Polskiego w RC, Witold Styrba.

■ 23 lutego ukonstytuowała się wreszcie władza Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej. Na czele organizacji stanął prezes Robert Szewczyk, jego zastępcami będą Michał Przywara i Leszek Cimała.

■ W ramach cyklu „Wieczory z...” prężnie działający Klub Kultury (m.in. organizator Cierlickiego Lata Filmowego) zorganizował 11 marca w Bystrzycy wieczór filmów Andrzeja Wajdy. Gościem imprezy był m.in. Daniel Olbrychski.

■ 25 lutego odbył się w ostrawskiej kawiarni studenckiej „Vollera” wernisaz wystawy „Fotografika 2000”, autorstwa Jana Trojaka z Wędrzyn, absolwenta praskiej ASP, dziś popularnego przedsiębiorcy.

Elektrownia w Chorzowie uruchomiona została w dniu 3 maja 1898 roku. Podobnie jak w przypadku budowanej mniej więcej w tym samym czasie elektrowni w Zaborzu - dzisiejszej dzielnicy Zabrze - inicjatorem budowy i głównym inwestorem była firma Allgemeine Electricitäts-Gesellschaft (AEG) z Berlina. W tym miejscu należy od razu zaznaczyć, że używana w późniejszych latach nazwa Oberschlesische Electricitäts-Werke (O.E.W.) nie była nigdy nazwą odrębnej spółki, lecz drugą, handlową, powszechnie stosowaną na Górnym Śląsku, nazwą rejestrowej spółki Schlesische Electricitäts-und Gas A.G. z Wrocławia. Spółka ta przejęła w 1900 roku oba wybudowane zakłady od A.E.G. Odkryło się do na zasadzie podniesienia kapitału akcyjnego spółki Schlesische Electricitäts-und Gas A.G., przy czym pokryciem tego kapitału był aport rzeczowy A.E.G. w postaci obu elektrowni.

Jeszcze przed uruchomieniem produkcji podpisano kilkanaście długoterminowych umów na dostawę energii elektrycznej. Na przykład w 1896 roku podpisano umowy z gminami: Alt Zabrze (Stare Zabrze), Brzeziny, Biskupice, Chorzów, Chropaczów, Domb (Katowice Dąb), Mała Dąbrówka, Rozbark, Zaborze i miastem Gliwice.

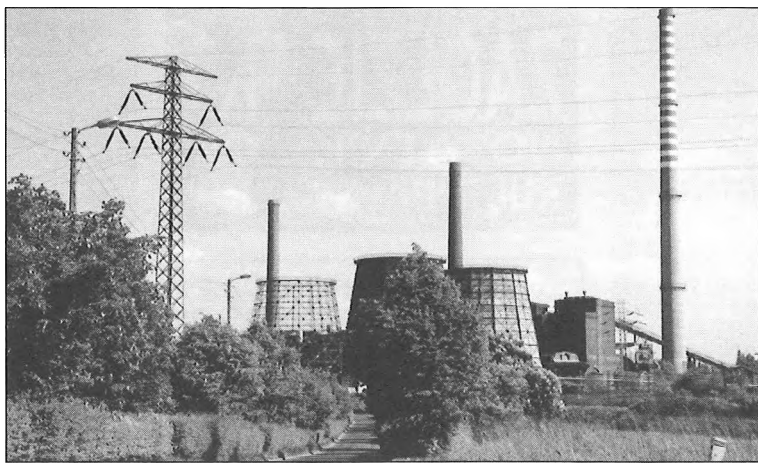
W pierwszym dwudziestolecu funkcjonowania chorzowskiej Elektrowni, choć w zasadzie należy w odniesieniu do tego okresu mówić raczej o obu elektrowniach łącznie, na podkreślenie zasługują trzy fakty:

- począwszy od 1904 roku, dzięki zastosowaniu po raz pierwszy w Europie kotłowni z ruchomym rusztem łańcuchowym, Elektrownia w Chorzowie odegrała pionierską rolę w spalaniu miałów węglowych, gromadzonych dotąd na hałdach jako uciążliwy produkt odpadowy,

- w 1912 roku do sieci O.E.W. przyłączonych zostało niemal 60 gmin i miast. Powstał w ten sposób największy w ówczesnej Europie „system energetyczny” sięgający na wschodzie granicy niemiecko-rosyjskiej, na zachodzie - Pyskowie, na północy Tarnowskich Gór, a na południu - Knurowa,

- istnienie Elektrowni w Chorzowie przesądziło o lokalizacji największej na Śląsku fabryki chemicznej, wybudowanej w sąsiedztwie elektrowni w latach 1915-1916.

Na początku lat dwudziestych elektrownia chorzowska oraz zasilana przez nią sieć decydowały o poziomie elektryfikacji tej części byłej Prowincji Śląskiej, a wtedy Województwa Śląskiego. W 1922 roku, po podziale Górnego Śląska Elektrownia w Chorzowie znalazła się w granicach Polski, a sposób jej funkcjonowania określony został w podpisanej 15 maja 1922 roku Polsko-Niemieckiej Konwencji Genewskiej. Na kilkanaście dni przed podpisaniem tej konwencji doszło do powstania nowej spółki Oberschlesisches Kraftwerk Aktien-Gesellschaft w Katowicach (OKW), na którą „przelane zostało” prawo własności Elektrowni w Chorzowie i wszystkich towarzyszących jej urządzeń przesyłowych. W niczym to jednak nie zmieniło układu właścicielskiego, a tym samym i decyzyjnego. Rozwój Elektrowni w Chorzowie, a właściwie należałoby stwierdzić - jego zahamowanie - sterowane było z Gliwic, z siedziby Schlesische Electricitäts-und Gas A.G. o ile w 1920 roku moc zainstalowana w Chorzowie wynosiła 81 MW i był największa w Polsce, to w momencie przejścia Elektrowni w roku 1938 przez kapitał polski, moc ta wynosiła 76 MW. Właściciela OKW, czyli spółkę Schlesische Electricitäts-und Gas-A.G., przede wszystkim interesowała możli-



Elektrownia Chorzów S.A.

Elektrownia na „102”

Trudno wyobrazić sobie nowoczesne społeczeństwo bez energii elektrycznej. Weszła ona w życie całej cywilizacji w taki sposób, że przestaliśmy ją zauważać, traktując energię jako coś, co było, jest i być musi. Jednym z zakładów, które na przełomie XIX i XX w. przyczyniły się do owych głębokich przeobrażeń cywilizacyjnych, była Elektrownia Chorzów, należąca do najstarszych, profesjonalnych zakładów wytwórczych w Polsce i Europie.

wość uzyskania maksymalnych zysków przy minimalnych kosztach. Spółka OKW wyraźnie zmieniała swoje oblicze. Z zakładu produkcyjno-handlowego, przekształcała się w przedsiębiorstwo handlowo-produkcyjne. Coraz większą rolę w wynikach spółki odgrywały zyski z pośrednictwa i handlu energią, a coraz mniejszą - produkcja. Wykorzystywano w ten sposób uprzywilejowaną pozycję w zakresie przesyłu, odziedziczoną po początkowym okresie elektryfikacji regionu i fakt posiadania stosunkowo dobrze rozwiniętej sieci przesyłowej. Produkcja Elektrowni w Chorzowie była z roku na rok coraz mniejsza, a ona sama pełniła jedynie funkcję szczytowego źródła zasilania.

W 1933 roku zmieniona została nazwa spółki na Śląskie Zakłady Elektryczne Spółka Akcyjna w Katowicach („Ślązel”). Na eksponowanych stanowiskach zaczęto zatrudniać Polaków. Faktyczne zmiany nastąpiły dopiero w roku 1938, kiedy to doszło do przejścia 80% akcji „Ślązela” przez kapitał polski. Niemal natychmiast przystąpiono do sporządzenia planów rozbudowy elektrowni w Chorzowie i rozpoczęto inwestycje. Były one kontynuowane przez Niemców w czasie II wojny światowej. W czasie okupacji „Ślązel”, a wraz z nim elektrownia chorzowska, znalazł się początkowo pod zarządem komisarycznym, a od 1942 roku w ramach spółki Energieversorgung Oberschlesien A.G. W wyniku rozbudowy kontynuowanej przez okupanta według polskich planów przedwojennych (kotłownia wysokoprężna i turboszpół TG-3 o mocy 45 MW), moc elektrowni wzrosła z 76,5 MW do 121 MW.

Po wojnie, w nowych warunkach społeczno-politycznych nastąpiły zasadnicze zmiany organizacji energetyki polskiej. Od 1945 roku „Ślązel” znajdował się pod zarządem państwowym. W 1948 roku podporządkowano go Zjednoczeniu Energetycznemu Okręgu Górnos Śląskiego. W 1949 roku majątek spółki przejęty został na rzecz Skarbu Państwa. Dokonano wówczas także organizacyjnego rozdzielania sieci przesyłowych od zakładów wytwórczych. Sieć „Ślązela” weszła w skład podokręgu sieciowego Gliwice, zaś elektrownia pozostała właściwie bez osobowości prawnej. Dopiero w 1952 roku utworzone zostało przedsiębiorstwo państwowe „Elektrownia Chorzów”, podległe Zarządowi Energetycznemu Okręgu Południowego. W roku 1958 przedsiębiorstwo Elektrownia Chorzów zostało zlikwidowane, a majątek przejęty został przez

woju scentralizowanego zaopatrywania w ciepło miast i rejonów przemysłowych. Z tej właśnie szansy postanowiła skorzystać także Elektrownia Chorzów. Znalazła się ona w grupie tych elektrowni, które zmuszone zostały do przystosowania klasycznego układu kondensacyjnego do oddawania ciepła.

Pierwsze próby w tym zakresie podjęto w roku 1964. W styczniu 1967 roku uruchomiona została stacja ciepłownicza o mocy cieplnej 21 MWt, przeznaczona dla dostaw energii cieplnej w postaci gorącej wody do celów grzewczych i technologicznych ówczesnej kopalni „Przyzdynt” oraz położonych w pobliżu tej kopalni osiedli mieszkaniowych. Przebudowano turboszpół TG-6 i TG-5, umożliwiając tym samym pracę tych jednostek w układzie „skojarzonym”. W latach 1976 - 1979 uruchomiono 2 kotły wodne WP-120. Łączna moc cieplna Elektrowni Chorzów wzrosła do 490 MWt. Moc elektryczna zmniejszyła się do 100 MW. Taki układ urządzeń pozostał do dziś.

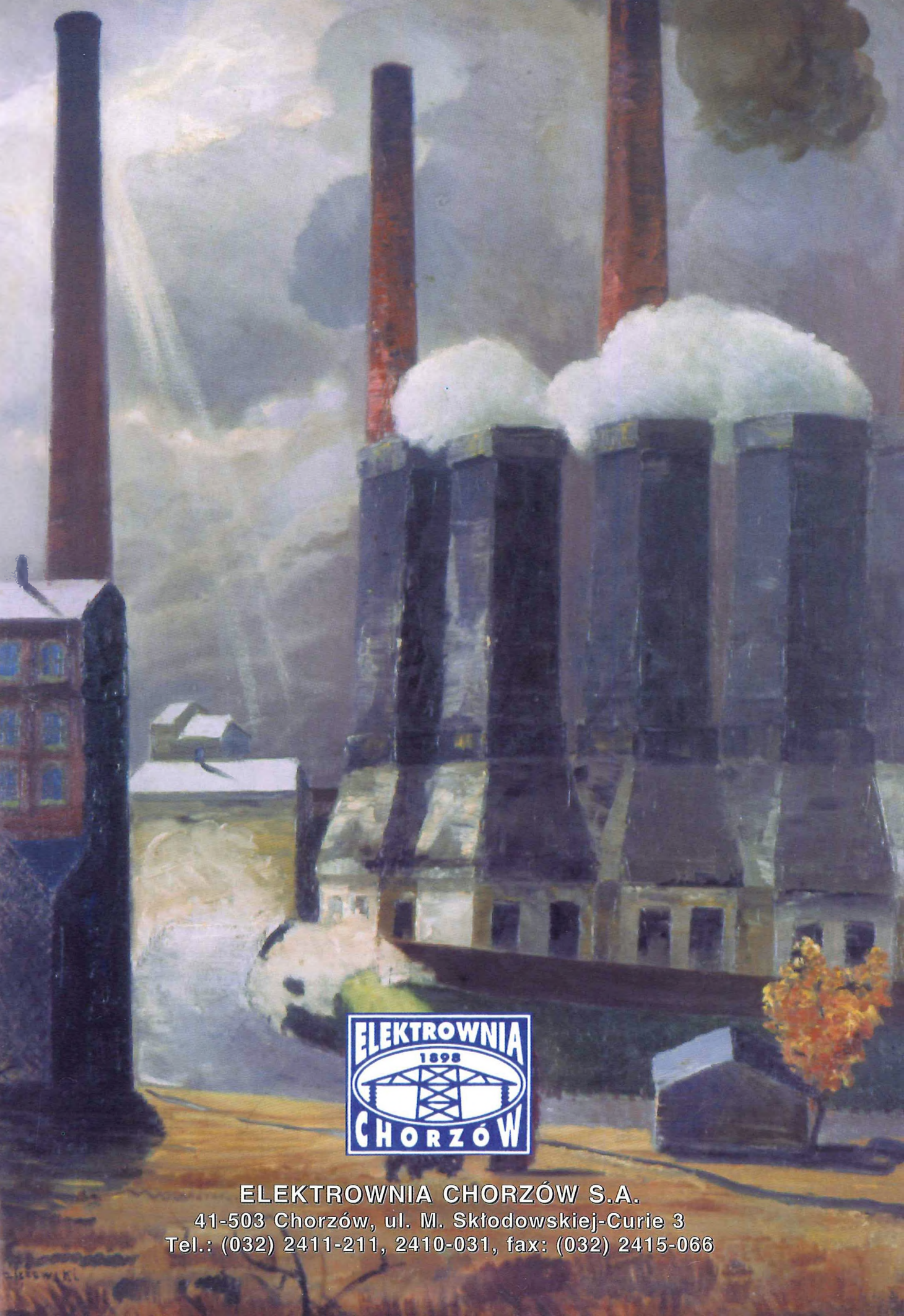
W strukturze ZEOPd (wielokrotnie modyfikowanej - m.in. utworzenie w latach 70. Zespołu Elektrociepłowni „Wschód” z siedzibą w Chorzowie) Elektrownia pozostawała do roku 1985, kiedy to - po kolejnej reorganizacji - powstał Południowy Okręg Energetyczny. Elektrownia nadal jednak nie była samodzielnym przedsiębiorstwem. W 1989 roku weszła w skład powołanego do życia Zespołu Elektrociepłowni Katowice, pozostając w tej strukturze do połowy roku 1990, kiedy to utworzone zostało Przedsiębiorstwo Państwowe Elektrownia Chorzów. 3 stycznia 1994 roku Przedsiębiorstwo Państwowe Elektrownia Chorzów, przekształcone zostało w Spółkę Akcyjną Elektrownia Chorzów. Właścicielem tej spółki jest Skarb Państwa.

Obecnie, przy współpracy partnera amerykańskiego, Elektrownia Chorzów S.A. przygotowuje się odbudowy swoich mocy produkcyjnych, jako pierwsze w Polsce Niezależne Prywatne Przedsięwzięcie Energetyczne, widząc swoją przyszłość w skojarzonej produkcji energii elektrycznej i cieplnej.

RYSZARD KUREK

Na okładce obok: Rafał Malczewski „Kondensatory w Chorzowie” z cyklu „Czarny Śląsk”. 1934 rok, olej, płótno, 115 x 92 cm.

Ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach. Foto: Jacek Mężyk

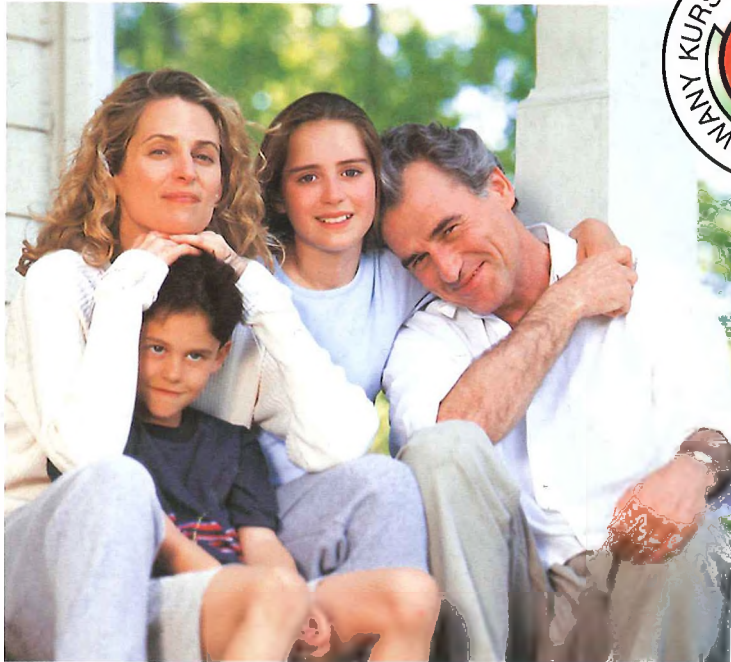


ELEKTROWNIA CHORZÓW S.A.

41-503 Chorzów, ul. M. Skłodowskiej-Curie 3
Tel.: (032) 2411-211, 2410-031, fax: (032) 2415-066

GBG dom

czyli kredyt **murowany!**



Pamiętaj o uldze budowlanej w roku 2000!

Wybierz **GBG dom**. To kredyt:

- **uniwersalny**
 - na: **dom, mieszkanie, działkę, garaż, altanę** i także na: **malowanie, ocieplenie, rozbudowę, remont**, a nawet na: **ubezpieczenie budowy** oraz tysiące innych rzeczy, o których tylko marzysz
 - do wyboru: **w złotych, w przeliczeniu na dolary lub EURO** z możliwością zmiany waluty w trakcie spłaty!
- **nisko oprocentowany**
- **z odroczoną płatnością** - do 2 lat
- **o wydłużonym okresie spłaty** - nawet do 20 lat!
- **z możliwością**
 - zawieszenia spłaty kapitału w trakcie trwania kredytu
 - taniego ubezpieczenia kredytu do czasu ustanowienia hipoteki

Dla posiadaczy GBG konto jeszcze korzystniejsze warunki kredytu!

KREDYT WYRÓŻNIONY WIELKĄ NAGRODĄ PREZYDENTA IZBY BUDOWNICTWA W KATOWICACH



GBG dom



GÓRNOŚLĄSKI BANK GOSPODARCZY SA
GRUPA PBK

Bezpłatna infolinia: 0 800 163 049, internet: www.gbg.com.pl